

NAGRODA  
BRITISH FANTASY 2012

NAGRODA  
NEBULA 2011

NOMINACJA DO  
WORLD FANTASY  
AWARD 2012

NAGRODA  
HUGO 2012

# Jo Walton

Poruszająca książka, w której nie sposób dostrzec,  
gdzie kończy się fantastyka a zaczyna rzeczywistość.

## WŚRÓD OBCECH

Z magią nigdy nic nie wiadomo. Nie można  
mieć pewności, czy rzeczywiście coś się  
zdziało, czy tylko tak się wydaje.

Jo Walton

WŚRÓD  
OBCYCH

Przełożyli:  
Izabela Miksza  
Marek S. Nowowiejski



*Dla wszystkich bibliotek świata i bibliotekarzy,  
którzy w nich siedzą dzień po dniu,  
wypożyczając ludziom książki.*

*Er' perrehnne!*

Ursula K. Le Guin: *Jesteśmy snem*

*Jaką radę dałbyś swojemu młodszemu mieleniu i w którym roku życia?*

*Na pewno w przedziale między dziesiątym a dwudziestym piątym rokiem życia.*

*Będzie lepiej. Naprawdę. Są ludzie, których polubisz i którzy ciebie polubią.*

Farah Mendlesohn, LiveJournal,

23 maja 2008

*1 maja 1975*

Fabryka brykietów antracytowych w Abercwmboi spowodowała śmierć wszystkich drzew w promieniu ponad trzech kilometrów. Sprawdziłyśmy odległość licznikiem samochodowym. Budowla wyglądała tak, jakby wyłoniła się z czeluści piekielnych, czarna i najeżona kominami buchającymi płomieniem. Odbijała się w ciemnym jeziorku, które zabiłoby każde zwierzę, jeśli spróbowałoby z niego pić. Bił stamtąd nieopisany smród. Kiedy musiałyśmy przejechać obok, zawsze podkręcałyśmy szyby w samochodzie tak szczelnie, jak tylko się dało, i starałyśmy się wstrzymać oddech. Co prawda Dziadek twierdził, że nikomu nie uda się wstrzymać oddechu na tak długo, i miał rację. W tym smrodzie dawało się wyczuć siarkę, która, jak wiadomo, jest pierwiastkiem piekielnym, a oprócz tego inne, gorsze substancje – rozpalony metal i zgniłe jaja.

Moja siostra i ja nazywałyśmy to miejsce Mordorem. Nigdy wcześniej nie byłyśmy tu same. Miałyśmy już po dziesięć lat, ale gdy tylko wysiadłyśmy z autobusu i rozejrzałyśmy się trochę, wzięłyśmy się za ręce, żeby dodać sobie otuchy.

Zapadał mrok. Fabryka majaczyła na tle nieba, czarniejsza i bardziej złowroga niż zwykle. Z sześciu kominów buchały płomienie, cztery pozostałe pluły jadowitym dymem.

– Z całą pewnością to twór Nieprzyjaciela – mruknęłam.

Mor nie podjęła zabawy.

– Naprawdę myślisz, że to zadziała?

– Wróżki były o tym przekonane – powiedziałam, starając się, by brzmiało to wiarygodnie.

– Wiem, ale czasami zastanawiam się, ile one rozumieją z prawdziwego świata.

– Ich świat też jest prawdziwy – zaprotestowałam – tylko inaczej. Jest zbudowany w inny sposób. Inaczej funkcjonuje.

– Fakt. – Wpatrywała się w budynek fabryki, który w miarę jak się zbliżałyśmy, rósł i stawał się coraz bardziej przerażający. – Nie wiem tylko, w jakim stopniu pojmują one zasady i prawa naszego codziennego świata. A ta ohyda definitywnie do niego należy. Drzewa są martwe. W

promieniu wielu kilometrów nie ma ani jednej wróżki.

– Po to tu jesteśmy – odparłam.

Podeszliśmy do ogrodzenia zrobionego z drutu – trzy poziome pasma, najwyższe najeżone kolcami. Wisiała na nim tabliczka z napisem: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. UWAGA NA STRÓŻUJĄCE PSY. Brama znajdowała się daleko, po drugiej stronie, stąd jej nie widziałyśmy.

– Naprawdę są tam psy? – zapytała Mor. Bała się psów, a one o tym wiedziały. Spokojne, grzeczne pieski, które podchodziły bawić się ze mną, przy niej jeżyły sierść na karku. Matka mówiła, że to dobry sposób, aby nas od siebie odróżnić. Owszem, można było, ale brzmiało to wyjątkowo paskudnie – cała matka! – i cokolwiek niepraktycznie.

– Nie ma – zapewniłam ją.

– Skąd wiesz?

– Gdybyśmy teraz zawróciły, po tym, jak zadałyśmy sobie tyle trudu i dotarłyśmy tak daleko, wszystko poszłoby na marne. A poza tym to cała wyprawa, nie można z niej zrezygnować tylko z obawy przed psami. Nie wiem, co by na to powiedziały wróżki. Pomyśl, jakie trudności muszą pokonywać ludzie udający się na wyprawy. – Wiedziała, że wcale nie jest przekonana. Wyteżyłam wzrok, próbując coś wypatrzeć w gęstniejącym mroku. Mor zacisnęła mocniej palce na mojej dłoni. – Poza tym psy to zwierzęta. Nawet wyszkolone psy stróżujące próbowałyby pić wodę, a to by je zabiło. Gdyby rzeczywiście wypuszczali tu psy, na brzegu jeziora leżałoby przynajmniej kilka psich zwłok, a nie widzę żadnych. Blefują.

Przezołgałyśmy się pod drutami, po kolei unosząc je jedna dla drugiej. Nieruchome jezioro wyglądało jak stary talerz z niepolerowanej cyny, płomienie buchające z kominów odbijały się w nim w postaci niewyraźnych smug. Budynek był oświetlony, pracowała nocna zmiana.

Nie było widać żadnych roślin, nawet martwych drzew. Pod stopami chrząścił żwir, grudy żużlu groziły skrzyśnięciem kostki. Wydawało się, że prócz nas nie ma tu niczego ani nikogo żywego. Światło padające z okien domów stojących na najbliższym wzgórzu wydawało się absurdalnie dalekie. Nasza szkolna koleżanka tam

mieszkała. Raz poszliśmy do niej na imprezę i smród czuło się nawet w domu. Jej ojciec pracował w fabryce. Zastanawiałam się, czy teraz jest w środku.

Zatrzymałyśmy się na brzegu jeziora. Było kompletnie nieruchome, tafla wody bez najmniejszej zmarszczki. Wygrzebałam z kieszeni magiczny kwiat.

– Masz swój?

– Jest trochę pognieciony – stwierdziła, wyciągając go.

Przyjrzałam się obu. Mój też był trochę wymięty. To, co robiłyśmy tutaj – stojąc pośrodku jałowego pustkowia, nad martwym jeziorkiem, trzymając wymięte kwiatki kurzyśladu, które zdaniem wróżek miały zlikwidować fabrykę – wydawało się nieprawdopodobnie dziecinne i głupie.

Nie wiedziałam, co dalej mówić.

– No dobra, *un, dai, tri!* – powiedziałam w końcu. Na „trzy” rzuciłyśmy kwiatki do jeziora, gdzie zatoneły bez śladu. Nic poza tym się nie wydarzyło. W oddali zaszczekał pies, Mor odwróciła się i pobiegła. Popędziłam za nią.

– Nic się nie stało – wysapała, gdy już byłyśmy na drodze. Powrót zajął nam mniej więcej jedną czwartą czasu, którego potrzebowałyśmy na dotarcie do jeziora.

– A czego się spodziewałaś? – spytałam.

– Że fabryka zapadnie się i zmieni w nawiedzone ruiny – odparła, jakby to było oczywiste. – No dobrze, albo że pojawią się huornowie.

Nie pomyślałam o huornach i zrobiło mi się ich bardzo żal.

– Wyobrażałam sobie, że kwiatki się rozpuszczą, a na wodzie powstaną kręgi, że fabryka się rozpadnie, drzewa i bluszcz zakryją ruiny na naszych oczach, że jezioro wypełni prawdziwa woda, nadleci ptak, by się napić. A potem pojawią się wróżki, podziękują nam i zabiorą nas do pałacu. Ale nic takiego się nie stało. – Westchnęła. – Jutro będziemy musiały im powiedzieć, że się nie udało. Chodź. Idziemy pieszo czy czekamy na autobus?

A jednak się udało. Rano nagłówki w „Aberdare Leader” głosiły:  
**FABRYKA BRYKIETÓW ANTRACYTOWYCH ZAMKNIĘTA.  
TYSIĄCE MIEJSC PRACY ZLIKWIDOWANYCH.**

Opowiadam o tym na początek, bo to zwięzła i krótka historia, która przynajmniej ma jakiś sens, podczas gdy reszta nie jest taka prosta.

Uznajcie to, co piszę, za pamiętnik. Coś w rodzaju dzienników, które później, ku ogólnemu zaskoczeniu, okazują się czystą fantazją, bo pisarz kłamał i naprawdę jest zupełnie innej płci, koloru skóry, pochodzi z klasy społecznej i jest innego wyznania, niż kazał czytelnikom wierzyć. Ja mam odwrotny problem. Muszę się bardzo starać, żeby nie uprawdopodobniać tego, co opisuję. Fikcja jest super. Pozwala wybierać i upraszczać. To nie jest fajna ani łatwa historia. Opowiada o wrózkach, więc możecie uznać ją za bajkę. I tak przecież w nią nie uwierzycie.

*Zapiski bardzo osobiste.  
To nie jest słowniczek!*

*Et haec, olim, meminisse iuvabit!*

Wirgiliusz, *Eneida*

*Środa, 5 września 1979*

– Jakież to dla ciebie dobre – mówili – że zamieszkasz na wsi. W końcu pochodzisz z przemysłowej okolicy. Szkoła jest na wsi, są tam krowy, trawa i zdrowe powietrze.

Chcą się mnie pozbyć. Najlepszy sposób to wysłać mnie do szkoły z internatem, wtedy będą mogli udawać, że w ogóle nie istniałam. Nigdy nie patrzyli wprost na mnie, tylko gdzieś nade mną, albo zerkali na mnie spod półprzymkniętych powiek. Nie należałam do krewnych, jakich chciałoby się mieć, gdyby można było wybierać. *On* być może na mnie patrzył, nie wiem. Ja nie potrafiłam spojrzeć na *niego* wprost, cały czas rzucałam *mu* szybkie spojrzenia z ukosa, starając się zobaczyć, jaką ma brodę, jaki kolor włosów. Czy jest do mnie podobny? Nie umiałam tego ocenić.

Było ich trzy, *jego* trzy starsze siostry. Widziałam fotografię, na

której były znacznie młodsze, ale twarze miały jedna w drugą dokładnie takie same. Były ubrane w suknie druhen, a ciocia Teg wyróżniała się brązową opalenizną. Na zdjęciu zobaczyłam też moją matkę, w okropnej, różowej, ślubnej sukience – różowej, bo to działo się w grudniu, a my urodziłyśmy się w czerwcu następnego roku, więc nie wypadało wkładać białej sukni. *Jego* na tej fotografii nie było. Matka oderwała czy odcięła jego podobiznę ze wszystkich ślubnych zdjęć, a kawałki spaliła. Zrobiła to, kiedy uciekł. Nigdy nie widziałam żadnej *jego* fotografii, ani jednej. W *Janka z Latarniowego Wzgórza* Lucy Maud Montgomery dziewczynka, której rodzice się rozwiedli, podświadomie rozpoznała ojca na zdjęciu w gazecie. Kiedy o tym przeczytałyśmy, przejrzałyśmy trochę zdjęć, ale żadne z nich nie zrobiło na nas wrażenia. Prawdę mówiąc, przez większość czasu wcale o *nim* nie myślałyśmy.

Nawet kiedy już znalazłam się w *jego* domu, poczułam coś w rodzaju zaskoczenia, że *on* istnieje. *On* i jego trzy apodyktyczne przyrodnie siostry. Poprosiły, żebym nazywała je ciotkami. „Nie ciociami, to takie pospolite”, stwierdziły. Więc zwracałam się do nich „ciotko”. Nazywały się Anthea, Dorothy i Frederica. Wiedziałam to, jak wiele innych rzeczy; z pewnością niektóre imiona były zmyślane. Nie mogę tak po prostu, bez sprawdzenia wierzyć we wszystko, co opowiadała mi matka. Co prawda niektórych informacji nie da się sprawdzić w książkach. Zresztą co z tego, że znałam imiona, skoro i tak nie umiałam ich rozróżnić, więc nie mówiłam „ciotko Antheo” czy „ciotko Frederico”, tylko po prostu „ciotko”. One nazywały mnie Morwenną, bardzo oficjalnie.

– Arlinghurst to jedna z najlepszych w kraju szkół dla dziewcząt – stwierdziła jedna z nich.

– Wszystkie tam uczęszczałyśmy – dodała druga.

– Doskonale się tam bawiłyśmy – dokończyła trzecia.

Najwyraźniej tak już miały.

Stałam sobie zwyczajnie przed wygasłym kominkiem i patrzyłam na nie spod grzywki, oparta na lasce. Tego też reszta rodziny nie chciała widzieć. Kiedy po raz pierwszy wysiadłam z samochodu, na twarzy jednej z ciotek zobaczyłam litość, której nie znoszę. Miałam ochotę



usiąść, ale nie zamierzałam pytać, czy mogę. Potrafię stać znacznie dłużej. Wiedziałam, że mój stan będzie się poprawiać, niezależnie od tego, co mówili lekarze. Czasami chciało mi się biegać tak bardzo, że aż bolało mnie całe ciało, bardziej niż kontuzjowana noga.

Żeby o tym nie myśleć, odwróciłam się i przyjrzałam kominkowi. Był z marmuru, niezwykle ozdobny, w palenisku czekał stosik gałęzi brzozy nadrzecznej. Wszędzie było czysto, ale niezbyt przytulnie.

– Zaopatrzymy cię w mundurek i wszystko inne jeszcze dziś, w Shrewsbury, a do szkoły pojedziesz jutro – oznajmiły ciotki.

Jutro. A więc chciały się mnie pozbyć jak najszybciej. Miałam paskudną walijską wymowę, kulałam i w ogóle moja obecność bardzo im przeszkadzała. Ja też nie chciałam tam mieszkać. Problem polegał na tym, że nie miałam wyboru. Nie można decydować o sobie, dopóki nie skończy się szesnastu lat, dowiedziałam się tego jeszcze w domu. No i *on* był moim ojcem, nawet jeśli nigdy wcześniej *go* nie widziałam. W pewnym sensie te kobiety naprawdę były moimi ciotkami. Czułam się bardziej osamotniona i oddalona od domu niż kiedykolwiek wcześniej. Tęskniłam za prawdziwą rodziną, która mnie zawiodła.

Resztę dnia spędziłam na zakupach w towarzystwie ciotek nierozłączek, ale wciąż bez niego. Nie mogłam się zdecydować, czy mnie to cieszy, czy wprost przeciwnie. Mundurki Arlinghurst kupowało się w określonych sklepach, w liceum było tak samo. Byłyśmy takie dumne, kiedy skończyłyśmy jedenaście lat. Sama śmietanka Dolin Południowej Walii, tak o nas mówiono. A teraz zmuszano mnie do chodzenia do ekskluzywnej szkoły z internatem o dziwnych wymaganiach. Jedna z ciotek miała listę zakupów. Nie liczyły się z kosztami. Nikt nigdy nie wydał na mnie tyle pieniędzy. Szkoda tylko, że wszystko było takie paskudne. Nie brakowało kompletów do uprawiania rozmaitych sportów. Jak miałabym ich używać? W najbliższym czasie nie będą mi potrzebne, może nawet nigdy. Staralam się unikać takich myśli. Całe dzieciństwo wypełniało nam bieganie. Byłyśmy najlepsze w wyścigach. Zresztą w większości szkolnych zawodów ścigałyśmy się głównie ze sobą, resztę zawodniczek pozostawiając daleko w tyle. Dziadek lubił mawiać, że kiedyś pojedziemy na olimpiadę. I zawsze dodawał, że jeszcze nigdy w żadnej olimpiadzie nie brały udziału

bliźniaczki.

Podczas kupowania obuwia pojawił się problem. Buty do hokeja, do biegania i tenisówki do gimnastyki pozwoliłam ciotkom kupić, bo mogłam ich po prostu nie używać. Jednak przy codziennych pantoflach do mundurka musiałam je powstrzymać.

– Muszę mieć specjalne obuwie – powiedziałam, nie patrząc na nie. – Z grubszą podeszwą. Trzeba je zamówić u ortopedy. Nie można go tak po prostu kupić.

Sprzedawczyni potwierdziła, że nie ma takich pantofli w sklepie ze szkolnymi akcesoriami. Pokazała szkolny bucik. Był brzydki i niewiele różnił się od moich niezgrabnych butów.

– Nie mogłabyś chodzić w takich? – spytała jedna z ciotek.

Wzięłam but i przyjrzałam mu się.

– Nie – stwierdziłam, obróciwszy go w dłoniach. – Proszę popatrzeć, ma obcas.

To był argument nie do odparcia, chociaż w szkole zapewne uważano, że jest to najniższy możliwy obcas, jaki może zaakceptować każda nastolatka bez utraty szacunku dla samej siebie.

Nie miały zamiaru upokarzać mnie, kiedy tak gdakały nad butami, nade mną i grubą podeszwą z koturnem mojego buta. Powtarzałam to sobie, stojąc bez ruchu, z wymuszonym półuśmiechem. Miały ochotę zapytać, co jest nie tak z moją nogą, ale się nie ośmieliły. Pocieszyło mnie to trochę. A ciotki stwierdziły, że szkoła będzie musiała wykazać wiele zrozumienia.

– W końcu nie noszę czerwonych odświętnych bucików – stwierdziłam.

To był błąd, bo wtedy wszystkie cztery wlepiły wzrok w moje obuwie. Buciki dla kaleki. Miałam do wyboru tylko jeden fason damskich butów ortopedycznych i dwa kolory: brąz albo czerń. Wybrałam czarne. Laskę mam drewnianą. Należała wcześniej do Dziadka, który wciąż żył, był w szpitalu i stara! się wyzdrowieć. Gdyby mu się polepszyło, może mogłabym wrócić do domu. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, było to mało prawdopodobne, ale nie traciłam nadziei. Do zamka błyskawicznego przy kardiganie doczepiłam kiedyś drewniany nieokorowany breloczek do kluczy, pochodzący z

Pembrokeshire. To był mój talizman. Dotknęłam go, żeby poczuć kontakt z drewnem, i wtedy zobaczyłam, jak na mnie patrzą. Wiedziałam, co widzą – małą, śmieszoną, kaleką nastolatkę, trzymającą w palcach kawałek drewna. A powinny były zobaczyć dwie promienne, pewne siebie dziewczyny.

– Jesteście bardzo angielskie – stwierdziłam.

Uśmiechnęły się. Tam, skąd pochodzę, *Saes* to najstraszliwsza obelga, sygnał do walki. Znaczą „Anglik”. A teraz byłam w Anglii.

Obiad jadłyśmy przy stole, który byłby trochę za mały, gdyby posadzić przy nim szesnaścioro ludzi. Dla mnie przygotowano pięte nakrycie. Wszystko było dopasowane, w jednakowym stylu – podkładki pod nakrycia, serwety, talerze. Zupełnie inaczej niż w domu. Jedzenie, jak się spodziewałam, było okropne: twarde jak skóra mięso, wodniste ziemniaki i jakieś zielone warzywo w kształcie włóczni, które smakowało jak trawa. Przez całe życie słyszałam od różnych ludzi, że angielskie jedzenie jest wstrętne. To w pewien sposób pocieszające, że mieli rację. Opowiadali też o szkołach z internatem, do których chodzili. Wiem o nich wszystko. Nie na darmo czytałam **Greyfriars**<sup>1</sup>, trylogię **Malory Towers** Enid Blyton i wszystkie powieści Angeli Brazil.

Po kolacji *on* zaprosił mnie do swojego gabinetu. Ciotki nie wyglądały na uszczęśliwione, ale nic nie mówiły. Gabinet mnie zaskoczył, bo okazał się pełen książek. Sądząc po wystroju reszty domu, spodziewałabym się eleganckich, starych, oprawnych w skórę wydań Dickensa, Trollope’a i Hardy’ego (Dziadek uwielbiał Hardy’ego), tymczasem półki były tak zapchane kieszonkowymi wydaniem, że palca nie wciśniesz, w większości literatury science fiction. Po raz pierwszy w tym domu i po raz pierwszy w *jego* obecności udało mi się odprężyć, bo skoro miał tu książki, nie mogło być aż tak źle. W pokoju były również inne rzeczy: krzesła, kominek, stolik z napojami, gramofon, ale nie zwracając na nie uwagi, niezgrabnie i jak najszybciej ruszyłam do półek z science fiction.

Było tam sporo powieści Poula Andersona, których nie czytałam. Na kieszonkowych wydaniach autorów na literę A leżało *W pogoni za smokiem* Anne McCaffrey, wyglądało to na ciąg dalszy *W poszukiwaniu Weyr*, które czytałam w antologii<sup>2</sup>. Na niższej półce stała powieść Johna

Brunnera, której nie znałam. Lepiej – dwie, nie, trzy powieści Johna Brunnera, których nie znałam. Poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

Całe lato spędziłam praktycznie bez książek, mając tylko te, które zabrałam, uciekając od matki – trzytomowe kieszonkowe wydanie **Władcy Pierścieni**, oczywiście drugi tom *Wszystkich stron świata* Ursuli K. Le Guin, który uważam za najlepszy autorski zbiór wszech czasów, i Johna Boyda *Ostatni statek z planety Ziemia*, w którego połowie wtedy byłam i którego nie miałam później ochoty czytać po raz drugi. Czytałam, chociaż nie zabrałam, Judith Kerr *When Hitler Stole Pink Rabbit*, i porównanie z dzieckiem, które podczas ucieczki z Trzeciej Rzeszy zamiast ukochanego Różowego Królika wzięło ze sobą nowszą zabawkę, sprawiało, że czułam się niezręcznie za każdym razem, gdy patrzyłam na książkę Boyda.

– Czy mogłabym... – zaczęłam.

– Możesz pożyczać wszystkie książki, jakie chcesz, tylko dbaj o nie i odnieś z powrotem – powiedział.

Chwyciłam Andersona, McCaffrey, Brunnera.

– Co wzięłaś? – spytał.

Odwróciłam się i pokazałam. Oboje patrzyliśmy na książki, a nie na siebie.

– Czytałaś poprzednie? – zapytał, dotykając McCaffrey.

– Z biblioteki – odparłam.

Przeczytałam całą kolekcję science fiction i fantasy biblioteki w Aberdare, począwszy od *Ensign Flandry* Andersona do *Stworów światła i ciemności* Rogera Zelaznego – trochę dziwnych jako ostatnia pozycja w kolekcji, przy czym nie byłam wcale pewna, czy mi się podobały.

– A Delany’ego znasz? – spytał.

Nalał sobie whisky i upił łyk. Pachniała dziwacznie, nieprzyjemnie.

Pokręciłam głową. Wręczył mi „dubelta” wydawnictwa Ace, którego jedną część stanowiła *Gwiazda Imperium* Samuela R. Delany’ego. Odwróciłam ją, żeby spojrzeć na drugą powieść, ale cmoknął niecierpliwie, więc podniosłam na niego wzrok.

– Druga to śmieć – stwierdził lekceważąco. Zgasił papierosa, zbyt mocno wciskając go w popielniczkę. – A Vonnegut?

Przeczytałam wszystko, co wydał Kurt Vonnegut. Niektóre rzeczy czytałam na stojąco w księgarni Learsa w Cardiff.

*Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater* to bardzo dziwna książka, ale *Kocia kołyska* to jedna z najlepszych powieści, jakie w życiu czytałam.

– O tak – powiedziałam.

– Które czytałaś?

– Wszystkie – stwierdziłam z przekonaniem.

– *Kocia kołyska*?

– *Śniadanie mistrzów, Witajcie w małpiarni...* – wyliczałam.

Uśmiechał się. Wyglądał na zadowolonego. Czytanie było mi pociechą i nałogiem, ale nikogo wcześniej to nie cieszyło.

– A *Syreny z Tytana*? – spytał, kiedy skończyłam wyliczać.

Pokręciłam głową.

– Nigdy o nich nie słyszałam!

Odstawił szklankę, schylił się i sięgnął po nie, nawet nie patrząc na półkę. Dodałam kolejną pozycję do swojej sterty.

– A Zenna Henderson?

– *Pilgrimage*<sup>3</sup> – westchnęłam.

Książka ta silnie do mnie przemawiała. Uwielbiałam ją. Nikt ze znajomych jej nie czytał. Nie pożyczałam jej z biblioteki. Matka miała amerykańskie wydanie, z przeceny, z okrągłą dziurką w rogu okładki. Chyba nie było brytyjskiego wydania. W katalogu biblioteki Zenna Henderson nie figurowała. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że *on* jest naprawdę moim ojcem. Znał moją matkę dawno temu. Nawet ją poślubił. Miał ciąć dalszy *Pilgrimage* i jeszcze dwa zbiory opowiadań Henderson. Wzięłam je niepewnie. Nie mogłam już utrzymać sterty książek w jednej ręce. Włożyłam je do torby, którą miałam jak zwykle na ramieniu.

– Chyba teraz pójdę do łóżka i sobie poczytam – powiedziałam.

Uśmiechnął się. Miał miły uśmiech, niepodobny do naszego. Przez całe życie mówiono mi, że jesteśmy do niego podobne, ale nie potrafiłam tego dostrzec. Powinnam odczuć coś w rodzaju pokrewieństwa dusz. Nie przypominałyśmy nikogo z rodziny, lecz poza kolorem oczu i włosów podobieństwa do niego też nie widziałam. Ale to

nie miało najmniejszego znaczenia. Miałam książki, nowe, nieczytane. Jeśli tylko miałam dostęp do książek, mogłam znieść wszystko.

*Czwartek, 6 września 1979*

Ojciec odwiózł mnie do szkoły. Na tylnym siedzeniu leżała elegancka walizka, której wcześniej nie widziałam, a jedna z ciotek zapewniła mnie, że w środku jest kompletny mundurek, porządnie złożony. Stała tam też skórzana torba, w której podobno znajdowała się reszta szkolnego wyposażenia. Torba i walizka były gładkie, nieporysowane, prawdopodobnie zupełnie nowe. Musiały kosztować majątek. W mojej własnej torbie było wszystko to, co zabrałam ze sobą, uciekając, plus pożyczone książki. Ścisłałam ją kurczowo i nie pozwoliłam sobie odebrać i położyć razem z resztą bagażu. Kręciłam tylko głową, bo język zeszywniał mi w ustach. Zabawne, jak trudne było okazywanie przy tych ludziach emocji, a tym bardziej płacz. Nie byli moją rodziną. Nie byli nawet podobni do mojej rodziny. Brzmiało to jak pierwsza linijka wiersza i aż mnie swędziało, żeby zapisać ją w notesie. Niezgrabnie wsunęłam się do samochodu. Bolało. Na szczęście było tam dość miejsca, żebym mogła wyprostować nogę. Przednie siedzenia są wygodniejsze, zauważyłam to już wcześniej.

Zdołałam nie tylko pożegnać się, ale i podziękować. Ciotki po kolei całowały mnie w policzek.

Ojciec nie patrzył na mnie, prowadząc samochód, dzięki czemu mogłam przyglądać mu się z ukosa. Palił, odpalając kolejnego papierosa od poprzedniego, zupełnie jak matka.

Odkręciłam szybę w olanie, żeby mieć trochę powietrza. Nadal nie uważałam, żeby był choć w najmniejszym stopniu podobny do nas. I nie chodziło wcale o brodę. Co też powiedziałyby o nim Mor? I schowałam tę myśl jak najgłębiej.

– Zapisałem cię pod nazwiskiem Markova – odezwał się po chwili.

To jego nazwisko. Daniel Markova. Zawsze o tym wiedziałam. W mojej metryce urodzenia też widnieje. Był mężem mojej matki, więc to też jej nazwisko. Ale nigdy go nie używałam. Nazywałam się Phelps, i pod takim nazwiskiem chodziłam do szkoły. Znaczyło coś, przynajmniej

w Aberdare – tak nazywali się moi dziadkowie i reszta rodziny. Pani Markova to była ta wariatka, moja mama. W Arlinghurst było to obce nazwisko.

– Morwenna Markova brzmi trochę jak pseudonim – stwierdziłam po trochę zbyt długiej przerwie.

Roześmiał się.

– Kiedy się urodziłyście, powiedziałem to samo. Morwenna i Morganna.

– Mówiła, że to ty wybrałeś nam imiona – powiedziałam cicho.

Wbiłam wzrok w przesuwany się za otwartym oknem patchwork pól obsadzonych różnymi roślinami. Niektóre kwadraty były ścierniskami, inne świeżo zaorano.

– Chyba tak – przyznał. – Miała długie spisy i kazała mi wybierać. Wszystkie imiona były długie i bardzo walijskie. Dla mnie w połączeniu z nazwiskiem brzmiały po prostu sztucznie, ale ona stwierdziła, że ludzie będą je skracali. Robią tak?

– Owszem – powiedziałam, wciąż wyglądając przez okno. – Mo albo Mor. Albo Mori.

Kiedy zostanę sławną poetką, będę używała nazwiska Mori Phelps. Tak podpisuję swoje książki: Exlibris Mori Phelps.

Co Mori Phelps miała wspólnego z Morwenną Markova i co czekało ją w nowej szkole? Kiedyś będę się z tego śmiała, pomyślałam. Będziemy się z tego śmiali, ja i ludzie tak mądrzy i wyrafinowani, że teraz nie potrafiłam sobie ich jeszcze w pełni wyobrazić.

– A twoją siostrę nazywali Mog? – spytał.

Wcześniej nie pytał mnie o nią. Pokręciłam głową, po czym uświadomiłam sobie, że przecież prowadzi i na mnie nie patrzy.

– Nie – powiedziałam. – Mo albo Mor, tak mówili na nas obie.

– No to jak was rozróżniali?

Zapalił następnego papierosa.

– Nie potrafili. – Uśmiechnęłam się do siebie.

– Nie masz nic przeciwko temu, że w szkole będziesz się nazywała Markova?

– Nie przeszkadza mi to. Zresztą ty płacisz za szkołę – wypaliłam. Odwrócił głowę w moją stronę i przez chwilę na mnie patrzył.

Potem znów przeniósł wzrok na drogę.

– Moje siostry za nią płacą – stwierdził. – Ja nie mam żadnych pieniędzy poza tymi, które mi wypłacają. Wiesz o mojej sytuacji rodzinnej?

A co niby miałam wiedzieć? Nic nie wiedziałam poza tym, że jest Anglikiem, co było przyczyną moich niezliczonych przepychanek na placu zabaw, że poślubił moją matkę, kiedy miał dziewiętnaście lat, a dwa lata później uciekł, gdy ona akurat rodziła w szpitalu kolejne dziecko, które zresztą zmarło.

– Nie – odpowiedziałam.

– Moja matka była żoną faceta o nazwisku Charles Bartleby. Był bardzo zamożny. Mieli trzy córki. Potem wybuchła wojna. Wyjechał do Francji w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, został schwytany i umieszczony w obozie jenieckim. Matka zostawiła trzy małe córeczki z babcią Bartleby, w Old Hall, w domu, z którego właśnie teraz wyjechaliśmy. Zaczęła pracować w kantynie RAF-u, żeby chociaż w ten sposób brać udział w działaniach wojennych. Tam poznała polskiego lotnika, Samuela Markova. Był Żydem. Zakochała się w nim. Urodziłem się w marcu czterdziestego czwartego roku. We wrześniu tego samego roku Bartleby został uwolniony z obozu i wrócił do Anglii, gdzie on i matka wzięli rozwód. Poślubiła mojego ojca, który właśnie dowiedział się, że cała jego rodzina w Polsce zginęła.

Czy miał tam też żonę i dzieci? Byłam pewna, że tak. Polski Żyd! Jestem więc częściowo Polką. Częściowo Żydówką? Niewiele wiedziałam o judaizmie, tyle co z *Kantyczki dla Leibowitza* i *Umierając żyjemy* Silverberga. No i chyba jeszcze z Biblii.

– Matka miała trochę własnych pieniędzy, ale raczej niezbyt dużo. Ojciec po wojnie opuścił RAF i pracował w fabryce w Ironbridge. Bartleby zostawił pieniądze i dom moim siostram. Kiedy miałem trzynaście lat, matka zginęła w wypadku. Siostry, które już wtedy były dorosłe, pojawiły się na jej pogrzebie. Anthea zaproponowała, że opłaci mi szkołę. Ojciec przyjął jej propozycję. Od tamtego czasu siostry dofinansowują mnie. Jak wiesz, ożeniłem się, będąc na uniwersytecie.

– Co się stało z Bartlebym? – spytałam. Nie mógł być wiele starszy od Dziadka.



– Zastrzelił się, kiedy dziewczęta skończyły dwadzieścia jeden lat  
– oznajmił tonem, który wykluczał dalsze pytania.

– Czym się zajmujesz?

– Siostry trzymają kasę, ale ja zarządzam majątkiem – wyjaśnił.

Wrzucił niedopałek do przepelnionej popielniczki. – Wypłacają mi pensję, a ja mieszkam w ich domu. To bardzo wiktoriańskie.

– Mieszkasz tu, odkąd uciekłeś od nas?

– Tak.

– Ale one powiedziały, że nie wiedzą, gdzie jesteś. Mój dziadek przyjechał tu i z nimi rozmawiał. – Byłam oburzona.

– Kłamały. – Nie patrzył na mnie. – Masz mi za złe, że uciekłem?

– Ja też od niej uciekłam – stwierdziłam, co nie było odpowiedzią na jego pytanie, ale najwyraźniej wystarczyło.

– Wiedziałem, że dziadkowie się wami zajmą – powiedział.

– Owszem. O to nie musiałeś się martwić.

– Aha.

Uświadomiłam sobie, że już sama moja obecność w jego samochodzie stanowi jedno wielkie oskarżenie. Po pierwsze, porzucił bliźniaczki, a byłam teraz tylko ja. Po drugie, byłam kaleką. Po trzecie, sama moja obecność: uciekłam z domu. Musiałam poprosić go o pomoc, a co gorsza, żeby to zrobić, byłam zmuszona zwrócić się do opieki społecznej. Najwyraźniej nie zabezpieczył nas dostatecznie. Moja obecność jawnie dowodziła, że kiepski z niego rodzic – co było oczywiste. Niezależnie od tego, jaka była nasza matka, porzucenie małych dzieci jest czynem niedopuszczalnym. W zasadzie, ujmując rzecz obiektywnie, porzucenie małych dzieci i zostawienie ich na łasce naszej matki było czynem szczególnie nieodpowiedzialnym. Ja też od niej uciekłam...

– Nie chciałam dorastać w innych warunkach – wyznałam. Dziadkowie. Doliny. Dom. – Naprawdę. Było cudownie. Nie mogłam mieć lepszego dzieciństwa.

– Niedługo zabiorę cię do mojego ojca, może na koniec semestru – obiecał.

Włączył kierunkowskaz i skręciliśmy między dwa usychające wiązy, na zwirowany podjazd. Arlinghurst. Byliśmy na miejscu.

Pierwsze, co mi się przydarzyło w szkole, to spór o chemię.

Budynek był duży, proporcjonalny, okazały i bardzo wiktoriański. Pachniał – jak to szkoła – kredą, gotowaną kapustą, środkiem dezynfekcyjnym i potem. Dyrektorka zachowywała dystans i prezentowała doskonale maniery. Nie pozwoliła ojcu palić, co wprawiło go w zły humor. Fotele w jej gabinecie były za niskie, trudno mi było wstać. Wszystko to nie miałooby znaczenia, gdyby nie plan zajęć, który mi wręczyła. Po pierwsze, przewidywał codziennie trzy godziny wychowania fizycznego. Po drugie, plastyka i religia miały być obowiązkowe. Po trzecie, mogłam wybrać albo chemię, albo francuski i albo łacinę, albo biologię. Pozostałe przedmioty do wyboru nie stwarzały trudności – fizyka albo ekonomia, historia albo muzyka.

Robert Heinlein we *Wkładaj kombinezon i w drogę* napisał, że jedyne, co warto studiować, to historia, języki i nauki ścisłe. Właściwie dodał jeszcze matematykę, ale szczerze mówiąc, matematyczna część mojego mózgu niezbyt się rozwinęła. Wszystko co matematyczne dostało się Mor. Chociaż tak naprawdę było z nami podobnie: albo rozumialiśmy coś od razu, albo trzeba było świdra, żeby zrobić dziurkę i wlać nam naukę do głowy. „Jak możesz rozumieć algebrę Boole’a, skoro wciąż masz problemy z dzieleniem pisemnym?” – pytała z rozpaczą matematyczka. Tyle że diagramy Venna są łatwe, a dzielenie pisemne bywa skomplikowane. Najtrudniejsze są zadania, w których ludzie wykonują niezrozumiałe czynności bez żadnej motywacji. Zdarzało mi się nie dotrzeć do wyniku końcowego, bo zastanawiałam się, po co komu wiedzieć, o której godzinie miną się dwa pociągi (ważne dla szpiegów?), dlaczego ktoś chce siedzieć obok kogoś, a nie obok kogoś innego (niedawno rozwiedzeni?), czy też – co do tej. pory pozostaje dla mnie zupełnie niezrozumiałe – dlaczego ktoś miałby napełniać wodę do wanny bez uprzedniego zatkania ujścia korkiem.

Historia, języki oraz nauki ścisłe i przyrodnicze nie sprawiały mi takich trudności. Jeśli trzeba przy nich wykonywać jakieś obliczenia, zawsze ma to określony sens, a poza tym wolno używać kalkulatora.

– Chcę mieć i łacinę, i biologię oraz i francuski, i chemię – oznajmiłam, podnosząc wzrok znad planu zajęć. – Za to nie jest mi potrzebna plastyka ani religia, łatwo to zorganizować inaczej.

Dyrektorka o mało nie dostała zawału, najwyraźniej układ zajęć był tu rzeczą świętą czy coś w tym rodzaju, nie słuchałam aż tak uważnie.

– W tej szkole uczy się ponad pięćset dziewcząt, chcesz, żebym wprowadziła zamęt po to, żeby dostosować się do ciebie?

Ojciec, który niewątpliwie też czytał Heinleina, poparł mnie. W każdych okolicznościach wolę poglądy Heinleina niż dyrektorki. Ostatecznie stanęło na kompromisie – zrezygnowałam z biologii, jeśli mogłam mieć trzy pozostałe przedmioty, co dało się zorganizować przy niewielkich przesunięciach. Miałam uczyć się chemii z inną klasą, ale to mi nie przeszkadzało. I tak czułam się zwyciężczynią. Zgodziłam się, żeby pokazano mi sypialnię i poznano z wychowawczynią i „nowymi przyjaciółkami”.

Ojciec pocałował mnie na pożegnanie w policzek. Patrzyłam za nim przez drzwi frontowe i widziałam, że na dworze natychmiast zapalił papierosa.

*Piątek, 7 września 1979*

Okazało się, że „zamieszkanie na wsi” to był chyba jakiś żart.

W pewnym stopniu to prawda – Arlinghurst stoi pośrodku dużego terenu składającego się z boisk i trawników, a dookoła są same farmy. Nie ma tam ani centymetra kwadratowego ziemi, którego nie wykorzystywano w gospodarstwach. Wszędzie pasą się krowy, głupie i brzydkie stworzenia w czarno–białe łaty, niczym pluszowe i drewniane zabawki, a nie brązowo–czerwone jak prawdziwe krowy, które widywałyśmy na wakacjach. Łażą po polach aż do pory udoju, wtedy wędrują szeregiem na farmę. Tamtego popołudnia, kiedy pozwolono mi pospacerować po okolicy, uświadomiłam sobie, że te krowy są głupie. Wolowate. Znałam wcześniej to określenie, ale nie zdawałam sobie sprawy, co dosłownie znaczy.

Pochodzę z walijskich Dolin. Nie bez powodu tak nazywają się tamte okolice. To wąskie kotliny polodowcowe o stromych zboczach, na ich dnie nie ma zbyt wiele płaskiego terenu. Pełno ich w Walii. Typowa dolina to kościół i ileś farm, i nie więcej niż tysiąc mieszkańców. Tyle

ludzi może się utrzymać. Nasza dolina, Cynon, nie różniła się od pozostałych. Ludzie mieszkali tam w wiktoriańskich domach budowanych tarasowo na zboczach, blisko siebie, jak owoce w winnym gronie. Między nimi było zaledwie tyle miejsca, żeby rozwiesić pranie. Wszyscy stłoczeni razem jak w dużym mieście, tylko że to nie miasto. Lecz poza terenem zabudowanym było zupełnie dziko. Ale i spomiędzy domów zawsze można było spojrzeć dalej i wyżej – i koić oczy zielenią.

„Wznoszę swe oczy ku wzgórzom: skądże nadejdzie mi pomoc?”. Ten psalm zawsze wydawał mi się w pełni zrozumiały. Wzgórza były piękne, pokryte zielenią, drzewami i owcami, zawsze obecne. Dzikie, ale w takim sensie, że każdy mógł po nich chodzić, kiedy tylko chciał. Nie należały do nikogo, nie tak jak te płaskie, poogradzane tereny rolnicze wokół szkoły. Wzgórza były wspólne. Nawet na dnie dolin rzeki, lasy i ruiny, w które zamieniały się opuszczone huty, w miarę jak porzucano tereny przemysłowe. Ruiny porastały roślinnością, wracały do natury, a następnie wprowadzały się tam wróżki. To, co spotkało fabrykę brykietów antracytowych, działo się też w innych dolinach. Tyle że trwało trochę dłużej, niż mogłybyśmy sobie wyobrazić.

Spędziłyśmy dzieciństwo na zabawach w ruinach, czasem tylko we dwie, a czasami z innymi dziećmi lub z wrózkami. Przez długi czas nie zdawałyśmy sobie sprawy, co tu wcześniej było. Niedaleko domu ciotki Florrie znajdowała się mina dawnej huty żelaza, tam bawiłyśmy się najczęściej. W tej okolicy mieszkały inne dzieci, od czasu do czasu bawiłyśmy się z nimi w chowanego albo w berka. Nie wiedziałam wtedy, co to takiego huta żelaza. Gdyby ktoś zmusił mnie do zastanowienia się nad tym, pewnie doszłabym w końcu do wniosku, że jest to miejsce, gdzie wytapia się żelazo. Dla nas było to po prostu miejsce do zabawy, jesienią całkowicie zarośnięte wierzbówką i wierzbownicą.

Większość ruin, w których się bawiłyśmy, w lasach, nie miała nazw i mogła być wcześniej czymkolwiek. Umawiałyśmy się, że tu jest domek czarownicy, tam zamek olbrzyma, pałac wrózek, a czasem ostatnia reduta Hitlera albo mury Angbandu – ale tak naprawdę to były tylko rozsypujące się resztki przemysłowej zabudowy. Wróżki nie umiały stworzyć niczego realnego. Same nie mogły nic zrobić, dlatego

potrzebowały nas. Nie wiedziałyśmy o tym. Nie wiedziałyśmy wielu rzeczy, a nie przychodziło nam do głowy, żeby zapytać. Sądzę, że zanim pojawili się ludzie, wróżki mieszkały w drzewach, nie miały prawdziwych domów. Farmerzy pewnie wystawiali dla nich mleko. Istoty zwane wrózkami nie były zbyt liczne.

Ludzie pojawili się w Dolinach na początku rewolucji przemysłowej. Podwzgórzami znajdowały się pokłady węgla i rud żelaza, więc Doliny błyskawicznie się zaludniły. Masowej emigracji Walijczyków do Nowego Świata na taką skalę, jak Irlandczyków czy Szkotów, nie było nie dlatego, że nie musieli porzucać farm, ale dlatego, że mieli własną ziemię. A przynajmniej tak im się wydawało. Anglicy też się tam osiedlali. Język walijski zanikał. Był głównym językiem mojej babci, mojej matki już tylko drugim, a ja ledwie w nim dukam. Rodzina babci sprowadziła się z zachodniej Walii, z Carmarthenshire. Nadal mamy tam krewnych.

Moi przodkowie przybyli jak wszyscy, kiedy odkryto rudy żelaza i pokłady węgla. Zaczęto budować huty, linie kolejowe, domy dla robotników, potem więcej hut, więcej kopalń, więcej domów, aż doliny wypełniły się po brzegi. Osiedla były oddzielone od siebie wzgórzami, w których prawdopodobnie kryły się wróżki. Później rudy żelaza wyczerpały się lub też taniej było je eksploatować gdzie indziej, a chociaż nadal wydobywano węgiel, miejscowy przemysł stal się żalonym cieniem boomu sprzed stu lat. Huty pozamykano, kopalnie rudy porzucono. Część ludzi wyjechała, ale większość została w miejscu, które było już ich domem. Kiedy się urodziłam, panowało permanentne bezrobocie. Wróżki po cichu znów zeszły do dolin i przejęły bezpańskie ruiny.

Dorastałyśmy swobodnie, bawiąc się w zrujnowanych zabudowaniach. Nie zdawałyśmy sobie sprawy z ich historii. Dla dzieci to miejsce było krainą cudów – porzucone przez dorosłych, zarośnięte i niezauważane. Kiedy dziecko już wymknęło się z domu, trafiało na zupełnie dzikie obszary. Zawsze można było wspiąć się na górę, gdzie ciągnęły się prawdziwe wiejskie tereny, gdzie leżały kamienie, rosły drzewa i pasły się owce o poszarzałej od pyłu węglowego wełnie i zdecydowanie odrażające. (Nie rozumiem, jak ludzie mogą rozczulać się

nad owcami. Miałyśmy zwyczaj wołać do nich: „Miętowy sos!”, a one uciekały w popłochu. Ciocia Teg krzywiła się, kiedy się o tym dowiadywała, i zabraniała nam robienia głupstw, ale i tak byłyśmy niepoprawne. Zwierzaki schodziły w doliny, przewracały pojemniki na śmiecie i niszczyły ogródki. To dlatego trzeba było starannie zamykać furtki). Na dnie doliny rosły rzędy drzew i wszędzie, w miasteczkach, pod nimi i obok, natykałyśmy się na ruiny. Ale znałyśmy też inne krajobrazy. Jeździliśmy na wakacje do Pembrokeshire, w góry Brecon Beacons, a także do Cardiff – prawdziwego miasta, ze sklepami. Jednak Doliny to był nasz dom, normalność, coś podstawowego i naturalnego.

Wróżki nigdy nie twierdziły, że ruiny są ich dziełem. Raczej o to nie pytałyśmy, ale gdybyśmy to zrobiły, śmiałyby się tylko w odpowiedzi, tak zresztą kwitowały większość naszych pytań. Istniały w sposób niewytłumaczalny, a w niektóre dni w równie niewytłumaczalny sposób nie istniały. Czasem rozmawiały z nami, a czasem uciekały przed nami. Podobnie było z innymi, znanymi nam dziećmi, mogłyśmy się bawić z nimi lub bez nich. Jediną rzeczą, której tak naprawdę potrzebowaliśmy, była obecność tej drugiej i nieograniczona wyobraźnia.

Miejsca znane z dzieciństwa łączyły magiczne dróżki, z których dorośli prawie nie korzystali. Oni mieli drogi, a my te ścieżki, służące wyłącznie do chodzenia pieszo, dość szerokie, ale nie na tyle, żeby mógł nimi przejechać samochód. Czasem bieging równolegle do dróg, a czasem przecinały je, prowadząc znikąd donikąd, od elfiej ruiny do labiryntu Minosa. Nadawałyśmy im nazwy, ale jednocześnie wiedziałyśmy z całą pewnością, że prawdziwa nazwa brzmi *dramroads*. Nigdy nie zastanowiłam się nad tym wyrazem na tyle dokładnie, żeby się domyślić, że chodzi o *tram road*, tory kolejki elektrycznej. W walijskim zniekształca się spółgłoski na początku wyrazu. Tak naprawdę we wszystkich językach zachodzi takie zjawisko, ale na ogół przebiega w ciągu stuleci, podczas gdy w walijskim dzieje się to, zanim jeszcze wyraz przebrzmi. *Tram*, kolejka, staje się *dram*, to oczywiste. Kiedyś po naszych *dramroads* jeździła szynowa kolejka z wagonikami pełnymi rudy żelaza lub węgla. Teraz, opuszczone i zasłane liśćmi, nieużywane przez nikogo prócz dzieci i wrózek, *dramroads* niegdyś były torami

kolejowymi.

Znałyśmy historię. Nawet jeśli brać pod uwagę tylko realny świat, wiedziałyśmy więcej niż większość ludzi. Uczono nas o jaskiniowcach, o Normanach i Tudorach, o Grekach i Rzymianach. Znałyśmy mnóstwo opowieści o przeżyciach ludzi z czasów drugiej wojny światowej. Wiedziałyśmy dużo o historii naszej rodziny. Tyle że to wszystko nie miało żadnego związku z otoczeniem. A to przecież otoczenie kształtowało nas, w miarę jak dorastałyśmy. Sądziłyśmy, że zamieszkujemy krainy rodem z książek fantasy, podczas gdy naprawdę żyłyśmy w światach science fiction. W swojej niewiedzy bawiłyśmy się w miejscach, które pozostawiły nam elfy i olbrzymy, brałyśmy w posiadanie tereny wrózek. Nazywałam *dramroads* nazwami z *Władcy Pierścieni*, kiedy powinnam rozpoznać je jako pochodzące z *Poczwarek Wyndhama*.

Zdumiewające, jak potężne rzeczy można przeoczyć.

*Włorek, 18 września 1979*

Szkoła była okropna, dokładnie taka, jak się spodziewałam. Po pierwsze, co wiedziałam już ze wszystkich powieści dla młodzieży, jedną z najważniejszych rzeczy w szkołach z internatem było uczestniczenie w zajęciach sportowych, czemu nie mogłam sprostać. Po drugie, wszystkie dziewczęta oprócz mnie pochodziły z tego samego środowiska. Niemal wszystkie były Angielkami urodzonymi i mieszkającymi w tej samej okolicy, w której znajdowała się szkoła. Różniły się wzrostem i tuszą, ale większość mówiła tak samo. Moja wymowa, która w Dolinach klasyfikowała mnie jako należącą do klasy wyższej, tu piętnowała mnie jako cudzoziemską „barbarzynkę”. Jako kaleka „barbarzynka” miałam przechlapane, a na dodatek zjawiłam się już po rozpoczęciu roku szkolnego w klasie, w której dziewczęta znały się od dwóch lat, mając ustalone wpływy i sojusze, o których nie miałam pojęcia.

Na szczęście szybko się zorientowałam w sytuacji, nie jestem głupia. Nigdy przedtem nie chodziłam do szkoły, w której wcześniej nie znano mnie albo chociaż mojej rodziny, nigdy też nie zjawiłam się sama.

Jednak miałam już za sobą trzy miesiące w domu dziecka, tu nie mogło być gorzej. Po wymowie szybko odnalazłam inne „barbarzynki”

– Irlandkę (Deirdre, zwaną Drętwiak) i Żydówkę (Sharon, na którą wołano Malinka). Postarałam się zawrzeć z nimi przyjaźń.

Łypałam groźnie na dziewczyny, które próbowały się ze mną drażnić, patrzeć na mnie z góry albo mi dokuczać. Na szczęście skutek był zadowalający, jak zwykle. Przeżywały mnie najrozmaiciej – Toffi, Łupieżca i Koniuszka oraz, co było bardziej uzasadnione, Połamaniec albo Pokurcz. Koniuszka dlatego, że wzięły moje imię za rosyjskie – myliłam się, kiedy uznałam, że nie będą wiedziały, co z nim zrobić. Szczypały mnie i poszturchiwały, kiedy tylko uznały, że im się upieczę, ale nie posuwały się do prawdziwej przemocy. Po przejściach w domu dziecka nie było to dla mnie nic takiego. Miałam do obrony łaskę i groźne spojrzenie, a wkrótce, zaraz po zgaszeniu światła, zaczęłam im opowiadać historie o duchach. Niech się mnie boją, byleby zostawiły w spokoju; niech mnie nienawidzą, byle się mnie bały. To dobra strategia w szkole z internatem, cokolwiek sądzić o skuteczności zasad Tyberiusza<sup>4</sup>. Powiedziałam to Sharon, a ona popatrzyła na mnie jak na kosmitkę. Co, co takiego? Zrozumiałam, że nigdy nie przywyknę do tego miejsca.

Szybko znalazłam się w czołówce najlepszych uczennic, choć oczywiście odstawałam w matematyce. Poszło mi to błyskawicznie, szybciej, niż się spodziewałam. Te dziewczyny chyba nie były równie bystre jak te w liceum. Tam jedna lub dwie stanowiły dla nas konkurencję, ale tu nie było żadnej dostatecznie dobrej. Wznosiłam się na szczyty. Moja popularność rosła lub malała zdecydowanie dziwnie, z tego samego powodu – przez dobre stopnie. Dziewczyny miały w nosie naukę i nienawidziły mnie za to, że je prześcigałam, ale z powodów rodzinnych bardzo zależało im na punktacji. Przygnębiająca sprawa, że tak wiele zjawisk w szkołach z internatem wygląda identycznie jak w powieściach Enid Blyton, a ewentualne różnice są zawsze na gorsze.

Klasa chemii, z innymi uczennicami, była o wiele lepsza. Uczył tam nauczyciel, jedyny mężczyzna w całej szkole, a dziewczęta wyraźnie interesowały się jego lekcjami. Najlepszy przedmiot, jaki



mogłam mieć na świadectwie, cieszyłam się, że tak o niego walczyłam. Nie obchodziło mnie, że omijała mnie plastyka – chociaż cioci Teg by na niej zależało. Nie napisałam do cioci. Myślałam o tym, ale zrezygnowałam. Nie powiedziałyby matce, gdzie jestem, lecz nie mogłam ryzykować.

A wczoraj znalazłam bibliotekę. Mam pozwolenie, żeby spędzać tam czas, kiedy wszyscy są na boisku. Nagle poczułam, że kalectwo ma swoje dobre strony. Nie była to bardzo bogata biblioteka, ale zawsze lepsza taka niż żadna, więc nie narzekałam. Przeczytałam już wszystkie książki, które pożyczył mi ojciec (miał rację co do drugiej powieści wydanej razem z *Gwiazdą Imperium*, ale sama *Gwiazda Imperium* była jedną z lepszych książek, jakie czytałam). W tej bibliotece stał na półce *The Bull from the Sea*<sup>5</sup> i jeszcze inna powieść Mary Renault, o której nigdy nie słyszałam – *The Charioteer* i trzy powieści SF dla dorosłych C.S. Lewisa. Pomieszczenie było wyłożone boazerią, a fotele pokrywała stara, spękana skóra. Wyglądało na to, że nie zaglądał tu nikt oprócz mnie i bibliotekarki, panny Carroll, którą traktowałam z nienaganną uprzejmością.

Teraz już będę mogła prowadzić dziennik. Jedną z najgorszych rzeczy tutaj jest to, że nigdy nie jestem sama, a ludzie cały czas pytają, co robię. Powiedzieć, że „piszę wiersz” albo „prowadzę dziennik” równałoby się samobójstwu. Po pierwszych dwóch dniach przestałam nawet próbować, chociaż bardzo chciałam. I tak uważają mnie za dziwaczkę. Śpię w dormitorium z jedenastoma innymi dziewczętami. Nie jestem sama nawet w łazience – ani toalety, ani prysznic nie mają drzwi, a wszystkie dziewczyny uważają dowcipy o defekacji za najwspanialszy rodzaj humoru.

Z okna biblioteki widzę gałęzie obumierającego wiązu. Wszędzie wokół wiązy umierają na holenderską chorobę. Nie ma w tym mojej winy, nie mogę nic na to poradzić. Jednak wciąż odnoszę wrażenie, że mogłoby być inaczej, gdyby wróżki podpowiedziały mi, jak wyleczyć te drzewa. Może jest jakiś sposób. Umierające drzewa – jakże smutny widok. Zapytałam o to bibliotekarkę i dała mi stary numer „New Scientist”, z którego dowiedziałam się więcej o tej chorobie. Przywieziono ją z Ameryki z ładunkiem drewna, wywołują ją grzyby.

Tym bardziej powinna istnieć możliwość skutecznego zaradzenia problemowi. Wiązy są tak naprawdę jednym i tym samym wiązem, to klony jednego drzewa<sup>6</sup>, dlatego wszystkie chorują. Nie mają odporności, którą zapewnia różnorodność genetyczna. Bliźnięta to też klony. Jeśli zobaczy się wiąz, nie myśli się o tym, że jest częścią całej populacji. Tak samo jest wtedy, gdy ludzie, patrząc na mnie, widzą odrębną osobę, a nie połowę bliźniąt.

*Sroda, 19 września 1979*

Po odrobieniu lekcji do kolacji mam pół godziny wolnego czasu. Wczoraj nie padało, więc o zmroku wyszłam na spacer. Powędrowałam do granicy szkolnych gruntów. Jest tam pastwisko, a na nim pasą się czarno-białe krowy. Gapiły się na mnie apatycznie. Jest tam też rów i kępa drzew. Nie wiem, czy przebywają tu gdzieś wróżki, ale to miejsce wygląda na odpowiednie na ich mieszkanie. Było zimno i wilgotno, niebo traciło ostre barwy, a zachodzące słońce kryło się za chmurami.

Trudno jest odnaleźć wróżki, nawet jeśli się wie, gdzie powinny być. Zawsze uważałam, że są jak grzyby: potykamy się o nie, gdy ich nie szukamy, ale trudno je napotkać, kiedy chce się je odnaleźć. Nie zabrałam drewnianego breloczka, a wszystko, co miałam na sobie, było nowe i bez przeszłości, więc nie mogłam tego użyć. Laska jednak była stara, drewniana, powinna zadziałać. Usiłowałam myśleć o wiązach i zastanawiać się, czy mogę im pomóc. Starłam się osiągnąć spokój umysłu.

Zamknęłam oczy i oparłam się na lasce. Próbowałam ignorować ból nogi i ten spowodowany wielką wyrwą, którą powinna zapełniać obecność Mor. Wiedziałam, że ten ból przeraziłby wróżki bardziej niż cokolwiek innego. Pamiętam, jak rozbiegły się i zmykały niczym przestraszone owce, kiedy za Camelotem zraniłam się w rękę. Normalny ból mojej nogi objawia się dwojako: jako ostre szarpnięcie i powolne zgniatanie. Gdy stoję nieruchomo i utrzymuję równowagę, zgniatanie przechodzi w tępe ćmienie, bez szarpnięcia, dopóki nie zmienię pozycji. Wypróbowałam tę metodę i udało mi się. Myślałam o tym, co zazwyczaj robiłyśmy, żeby przywołać wróżki. Otworzyłam umysł. Nic się nie

działo. „Dzień dobry?” – powiedziałam niepewnie po walijsku. A może wróżki w Anglii mówią po angielsku? Albo w ogóle ich tu nie ma? W tych okolicach jest niewiele miejsc odpowiednich dla nich. Otworzyłam oczy. Krowy poszły sobie, musiała być pora udoju. Wzdłuż rowu od strony szkoły rosły krzaki, a wśród nich karłowata jarzębina i leszczyna. Położyłam lewą rękę na gładkiej korze leszczyny, nie mając wielkiej nadziei na powodzenie.

W koronie drzewka siedziała wróżka. Była nieufna. Zawsze zadziwiało mnie, jak bardzo wróżki są podobne do roślin. Ludzie i zwierzęta mają standardowe formy: dwie ręce, dwie nogi i głowa to człowiek, a cztery nogi i wełna to owca. Z roślinami i wrózkami jest inaczej, owszem, jedne i drugie mają elementy, które wskazują, z czym mamy do czynienia, ale drzewo może mieć dowolną liczbę gałęzi, które wyrastają w rozmaitych miejscach. Istnieje coś w rodzaju ogólnego wzoru, ale jeden wiąz nie będzie wyglądał dokładnie tak samo jak drugi, raczej będzie zupełnie inny. Wróżki są albo bardzo piękne, albo odrażające. Wszystkie mają oczy, a wiele z nich też coś, co można nazwać głową. Niektóre posiadają kończyny, podobnie jak ludzie, inne są jak zwierzęta, a pozostałe nie są podobne do niczego. Widziałam właśnie jedną z tego ostatniego rodzaju. Była długa, patykowata, jej skóra przypominała szorstką korę. Gdyby nie oczy, które miała częściowo zakryte, można by ją wziąć za rodzaj pnącza oplątanego pajęczyną. Tak jak dęby mają żółędzie i dłoniaste liście, a leszczyny orzechy laskowe i małe, owalne listki – tak wróżki bywają sękaty, szare, zielone lub brązowe i tu i ówdzie trochę włochate. Ta akurat była szara, bardzo sękata i paskudna.

Wróżki nie używają imion. Tym, które znałyśmy w domu, nadawałyśmy imiona, a one na nie reagowały albo nie. Wydawało się, że uważają je za coś zabawnego. Nie nadają też nazw miejscom. Nie nazywają siebie wrózkami, to my tak o nich mówimy. Właściwie, jeśli mówią, rzadko używają rzeczowników. .. Tak czy inaczej, ta wróżka była obca, zresztą ja dla niej też. Nie znałam żadnych nazw czy haseł, za których pomocą mogłabym się z nią porozumieć. Siedziała tam i patrzyła na mnie, jakby w każdej chwili miała zamiar zeskoczyć i uciec albo wtopić się w drzewo. Płeć to kolejne pojęcie nie bardzo przystające

do wróżek, no, chyba że akurat któraś ma długie powiewające włosy pełne kwiatów albo penisa tak wielkiego jak reszta ciała, albo coś w tym guście. Ta tutaj nie miała nic takiego, więc myślałam raczej o niej niż o „onym”.

– Przyjaciół – powiedziałam, mając nadzieję, że niczego nie zepsuję.

Z zupełnego bezruchu wróżka nagle eksplodowała gwałtownymi poruszeniami i podniesionym głosem:

– Iść! Niebezpieczeństwo! Znaleźć!

Wróżki nie mówią tak jak ludzie. Choćby nie wiem jak bardzo chciało się spotkać elokwentną Galadriellę, te prawdziwe nigdy nie wypowiadają się pełnymi zdaniami. Ta powiedziała, co zamierzała, i natychmiast zniknęła, zanim zdążyłam jej powiedzieć, kim jestem, zapytać o więzy i czy można im jakoś pomóc. Zupełnie jakby ulotniła się podczas mrugnięcia okiem, ale przecież nie mrugałam. Zawsze tak jest, kiedy odchodzą szybko – znikają między jednym uderzeniem serca a drugim, tak jakby nigdy ich nie było.

Niebezpieczeństwo? Znaleźć? Nie miałam pojęcia, o co jej chodziło. Nie widziałam żadnego niebezpieczeństwa. Zawróciłam do szkoły, gdzie rozbrzmiewał dzwonek na kolację. Byłam ostatnia w kolejce, ale jedzenie, które podają, jest nieszczerłne nawet wtedy, gdy jest gorące. Niebezpieczeństwo mnie nie dopadło ani też go nie znalazłam, przynajmniej tego wieczoru. Wypiłam wodniste kakao i miałam nadzieję, że z wróżką jest wszystko w porządku. Cieszę się, że ją spotkałam, była dla mnie namiastką domu.

*Czwartek, 20 września 1979*

Tego ranka zrozumiałam, co wróżka miała na myśli, mówiąc „iść” i „znaleźć”. Dostałam list od matki.

Nie wiem, w jaki sposób spotkanie z wróżką pomogło jej znaleźć miejsce mojego pobytu. Świat nie funkcjonuje w przyjemny i logiczny sposób. Wróżki na pewno nie powiedziałyby, jak mnie znaleźć, ale niektórzy ludzie owszem, tylko niekoniecznie akurat teraz. Myślę, że mnie szukała. Trudno było mnie znaleźć na obcym terenie i w otoczeniu

zupełnie nowych przedmiotów – moje własne są tylko laska i kilka drobiazgów, a te, które mogła zlokalizować, powinny już tracić więź ze mną. Jednak kiedy otworzyłam umysł, żeby przywołać wróżkę, jednocześnie ściągnęłam uwagę matki. Zapewne w tej chwili ktoś z jakichś powodów podał jej mój adres, a może sama go odkryła. Co za różnica. Zawsze można wytłumaczyć wszystko zbiegiem okoliczności, który przeczy działaniu magii. Magia nie działa jednak tak, jak opisane jest to w wielu książkach, ale właśnie dzięki tworzeniu zbiegów okoliczności. Oto, jak się rzeczy mają. To tak, jakby strzeliło się palcami i pojawiła się róża, ale ona pojawiła się dlatego, że ktoś lecący samolotem upuścił ją w odpowiednim czasie i dokładnie takim miejscu, żeby wpadła wprost do twojej ręki. Prawdziwa osoba, prawdziwy samolot i prawdziwa róża – co nie znaczy, że przyczyną, dla której róża pojawiła się w twojej dłoni, nie była magia.

Dlatego zawsze miałam problem z magią. Chciałam, żeby działała... magicznie. Spodziewałam się, że efekt będzie taki jak w książkach. Jeżeli już, to należałoby raczej za punkt wyjścia wziąć *Jesteśmy snem* Le Guin, a nie bajki o czarach. Myślałyśmy, że fabryka brykietów antracytowych na naszych oczach rozpadnie się w gruzy, kiedy tak naprawdę decyzja o jej zamknięciu zapadła w Londynie wiele tygodni wcześniej.

Tylko że nie zapadłaby, gdybyśmy nie wrzuciły tych kwiatków do jeziora. Łatwiej byłoby to zrozumieć, gdyby magia działała jak w bajkach. I łatwiej odrzucić takie wytłumaczenie, szczególnie jeśli jest się sceptykiem, bo zawsze można znaleźć racjonalne przyczyny. Magia działa poprzez rzeczy i zjawiska świata realnego, i zawsze można zanegować jej istnienie.

List od matki w pewnym sensie też taki jest. Zawiera rozmaite złośliwości, których nie zauważy jednak nikt poza mną. Proponuje, że jeśli odpiszę, przyśle mi zdjęcia Mor. Twierdzi, że za mną tęskni, ale teraz kolej ojca, żeby się mną zajął. Mam ochotę ją udusić. Kopertę swoim schludnym pismem zaadresowała do Morwenny Markova, co oznacza, że wie, jakie nazwisko tu noszę.

Boję się. Jednak chciałabym dostać te zdjęcia, no i jestem prawie pewna, że znajduję się poza jej zasięgiem.

*Sobota, 22 września 1979*

Dziś pada.

Poszłam do miasta – Oswestry to nędzne miasteczko – i kupiłam szampon dla Sharon, która w soboty nie może obracać pieniędzmi, bo jest żydówką. Znalazłam bibliotekę, ale była już zamknięta. Co to za biblioteka, skoro w soboty czynna jest tylko do południa? Doprawdy, to takie angielskie. Nie ma księgarni, lecz w sklepie WHSmitha<sup>7</sup> mają trochę książek – głównie bestsellery, ale lepsze to niż nic.

Wróciłam i resztę wolnego popołudnia spędziłam w szkolnej bibliotece. Zaszokował mnie *The Charioteer*. Wcześniej nie docierało do mnie, że mężczyźni, którzy w powieściach Mary Renault o starożytnej Grecji zakochują się w sobie, to homoseksualiści, ale teraz już to wiem. Czytałam tę książkę ukradkiem, jakby w obawie, że ktoś mi ją zabierze, gdy dowie się, co czytam. Zdumiewa mnie jej obecność w szkolnej bibliotece. Zastanawiam się, czy jestem pierwszą osobą od 1959 roku, czyli od daty jej zakupu, która ją przeczytała?

*Niedziela, 23 września 1979*

W niedzielne popołudnia piszemy listy do domu. Ja pisałam do ojca, Daniela, dość długie listy o książkach, kończące się krótkim wyrażeniem nadziei, że on i ciotki mają się dobrze. Odpisywał mi w podobnym stylu i przysłał paczkę z jedyną książką, której tak naprawdę nie potrzebowałam – trytomowym wydaniem *Władcy Pierścieni* w twardej oprawie. To, które miałam w miękkiej, dostałam w prezencie od cioci Teg. Przysłał mi też *Jeźdźców smoków*, zawierających *W poszukiwaniu Weyr* i opis tego, co się zdarzyło bezpośrednio potem, *Miasto iluzji* Le Guin i opowiadania Larry'ego Nivena *The Flight of the Horse*. Są niezłe, ale nie tak dobre jak *Pierścień* albo *A Gift from Earth*.

Dziś układałam list do matki. Napisałam, że mam się dobrze i podobają mi się lekcje. Podałam, jakie mam stopnie i punktację w klasie. Jak mój dom radzi sobie w hokeju i *lacrosse*. Tak naprawdę to oparłam się na liście do rodziców, który moja irlandzka przyjaciółka Deirdre pracowicie kleciła tuż obok. W zamian pozwoliłam Deirdre,

której nigdy nie nazywam Drętwikiem, przepisać tłumaczenie z łaciny. Jest miłą dziewczyną – niezbyt bystrą i często używa słów niezgodnie z ich znaczeniem, ale to dobra duszyczka. Myślę, że zgodziłaby się, abym skopiowała list bez żadnych korzyści w zamian.

*Wtorek, 25 września 1979*

Mój list bardzo szybko przyniósł rezultaty. Matka, tak jak obiecała, przysłała mi fotografię, która przedstawia jedną z nas na plaży, zajętą budowaniem zamku z piasku. Mor siedzi plecami do aparatu i uklepuje piasek. Ja patrzę prosto w obiektyw, czy może na trzymającą aparat babcię, ale widać tylko zarys mojej sylwetki, bo „wnętrze” starannie wypalono.

*Środa, 26 września 1979*

Szkoła – jak zwykle. Mam najlepsze oceny ze wszystkich przedmiotów poza matematyką, też jak zwykle. Przeszłam się w stronę rowu, żeby poszukać wróżek, ale żadnej nie zobaczyłam. Wiązy nadal umierają. Czytam *Z milczącej planety*, lecz nie ma to nic wspólnego z **Narnią**. Dostałam kolejny koszmarne list. Mam skurcze żołądka.

*Sobota, 29 września 1979*

Z magią nigdy nic nie wiadomo. Nie można mieć pewności, czy rzeczywiście coś się działo, czy tak nam się jedynie wydaje. W każdym razie nie powinnam zajmować się niczym takim, bo to tylko ściągnie jej uwagę.

Mor i ja w letnie dni, kiedy nie padało, bawiłyśmy się na dworze. Udawałyśmy rycerzy broniących murów Camelotu w ostatnim desperackim wysiłku. Wyruszałyśmy na wyprawy. Prowadziłyśmy długie rozmowy z wrózkami, chociaż wiadomo było, że wypowiadamy się za obie strony. W tych wspomnieniach można byłoby z łatwością pominąć wróżki, ale nie Mor. Nie potrafię opowiadać o swoim dzieciństwie, bo nie mogę mówić „ja” wtedy, gdy powinno być „my”, a jeśli będę mówiła „my”, zamiast o tym, o czym chciałam powiedzieć, będę musiała opowiadać, jak to się stało, że moja siostra nie żyje. Tego

właśnie lata odkryłam tę zależność. Dlatego nie wdaję się w opowiadania o sobie.

Wędrowaliśmy którąś z *dramroads*, rozmawiając, śpiewając i udając różne rzeczy, a kiedy zbliżyliśmy się do którychś ruin, podkradałyśmy się cicho, jakbyśmy mogły w ten sposób zaskoczyć wróżki. Czasem był tam ten, którego nazwałyśmy Glorfindelem, i zerkał na nas zza zrujnowanych ścian, a wtedy ścigaliśmy się radośnie. Kiedy indziej wróżki chciały, żebyśmy coś dla nich zrobiły. Mają ogromną wiedzę, ale w realnym świecie nie mogą wiele zdziałać.

We *Władcy Pierścieni* mówi się, że elfy osłabły i żyją w ukryciu. Nie wiem, czy Tolkien znalazł wróżki. Lubiłam sobie wyobrazać, że tak. Że znał je, a one opowiadały mu wszystkie te historie, które spisywał, prawdziwe opowieści. Wróżki nie bardzo umieją kłamać. Tyle że nie mówią językami, które znał. Mówią po walijsku. I na ogół nie wyglądają też tak bardzo ludzko jak jego elfy. Nigdy nie opowiadały nam historii, takich prawdziwych. Zakładały, że same wszystko wiemy, że jesteśmy częścią wszystkiego, tak jak one.

Aż do końca znajomość z nimi nie niosła niczego złego. A tego, co zdarzyło się na koniec, prawdopodobnie nie rozumiały. Chociaż nie, rozumiały. Przekazały to jasno. To my nie zrozumialiśmy, o co chodzi.

Chciałabym, żeby magia objawiała się w bardziej dramatyczny sposób.

*Niedziela, 30 września 1979*

Napisałam dziś do cioci Teg.

Moja rodzina jest wielka i stopnie pokrewieństwa są bardzo zawile. Jest zupełnie normalna. Tylko że... nie. Gdy tylko pomyślę, że miałabym opisać to wszystko komuś, nawet życzliwemu, kto nie ma o nas bladego pojęcia, od razu ogarnia mnie zniechęcenie.

Moja babcia nie miała braci ani sióstr, po śmierci matki wychowała ją ciocia Syl. Zresztą to nawet bardziej skomplikowane, powinnam zacząć o jedno pokolenie wcześniej. Cadwalader i Marion „Mamcia” Teris sprowadzili się do Aberdare z zachodniej Walii, gdzie została większość rodziny. Cadwalader pracował w kopalni, a Mamcia



prowadziła prywatną szkółkę elementarną dla młodych dam. Mieli pięcioro dzieci: Sylwię, Susannah, Sarah, Shulamith i Sidneya. Trochę mi było żal biednej Shulamith, ale tak im wyszło, skoro już rozpoczęli serię imion na jedną literę i mieli tyle dziewczynek.

Sylvia nigdy nie wyszła za mąż i wychowywała dzieci rodzeństwa. Susannah poślubiła łajdaka. Był górnikiem i ją bił. Uciekła od niego, zabierając córki. W tamtych czasach hańbą była ucieczka od męża, a nie bicie żony, więc zostawiła dziewczynki, Gwendolen i Olwen, u cioci Syl, a sama pojechała do Londynu na służbę. Ciocia Gwennie wyrosła na okropną kobietę, wyszła za wuja Teda, miała z nim dwie córki i pięcioro wnucząt, które – jeśli wierzyć temu, co o nich opowiadała – były takimi ideałami, że można je było tylko znienawidzić. Ciocia Olwen została pielęgniarką i w latach trzydziestych XX wieku zamieszkała z inną pielęgniarką, ciocią Ethel. Żyły jak małżeństwo i wszyscy tak je traktowali.

Sarah poślubiła duchownego Augustusa Thomasa. Szczebel wyżej na drabinie społecznej. Poznali się, kiedy był wikarym u świętego Fagana – w naszym miejscowym kościele. Pobrali się, gdy dostał posadę na półwyspie Gower, niedaleko Swansea. Zabrał tam Sarah i mieli syna, także Augustusa, którego wszyscy nazywali Gus. Po śmierci Sarah ojciec przywiózł go do cioci Syl. Wujek Gus był bohaterem wojennym. Ożenił się z angielską pielęgniarką o imieniu Harriet, która nie lubiła nas wszystkich. Gus był ulubionym kuzynem mojej babci, uważała, że widuje go za rzadko.

Shulamith wyszła za Matthew Evansa, górnika. Była matką mojej babci, przed zamążpójściem pracowała jako nauczycielka, tak jak jej matka. Nie można było legalnie być nauczycielką po wyjściu za mąż, a najwyżej prowadzić prywatną szkółkę we własnym domu. Shulamith miała najpierw dziecko, które zmarło, a potem moją babcię Rebekę. Później umarła.

Sidney prowadził w miasteczku sklep bławatny, w końcu został burmistrzem. Ożenił się z kobietą noszącą imię Florence, która zmarła, rodząc ciocię Flossie. Ciocia Flossie miała trójkę dzieci, a potem jej mąż umarł na dżumę, którą zaraził się od szczura. Flossie wróciła do nauczania, a dzieci oddała cioci Syl na wychowanie – nowe pokolenie,

tak że mój kuzyn Pip, urodzony w 1958 roku, starszy ode mnie tylko o sześć lat, był ostatnim z chowanych przez Sylwię dzieci, podczas gdy pierwsze, ciocia Gwennie, miała podówczas sześćdziesiątkę – urodziła się w 1898 roku.

Można by pomyśleć, że strasznie dużo tam było śmierci. Niby racja, ale to były czasy wiktoriańskie, nieszczególnie warunki sanitarne i nie mieli antybiotyków, a teoria zarazków dopiero została sformułowana. Chociaż musieli być dość chorowici, bo wystarczy porównać ich z rodziną Phelpsów, jest różnica. O nich napiszę innym razem. Ciocia Florrie, siostra mojego dziadka, zwała wszystko na edukację, jaką odebrali Terisowie. Nie bardzo wiem, jak edukacja miałaby zabijać – zresztą ciocia Syl, równie wykształcona jak reszta, przekroczyła osiemdziesiątkę. Pamiętam ją.

Spisane wygląda to wszystko bardziej zawile, niż jest w rzeczywistości. Może powinnam narysować diagram? Jednak to bez znaczenia. Nie musicie pamiętać, kim byli ci wszyscy ludzie. Chciałam tylko powiedzieć, że kiedy należy się do tak dużej rodziny i zna się wszystkich i ich dzieje, nawet te, które miały miejsce na długo przedtem, zanim się urodziłam, i każdy wie, kim jestem i zna moją historię, to nie jestem po prostu jakąś Mor, a „Mor od Luke’a i Becky” albo „wnuczką Luke’a Phelpsów”. No i kiedy jesteś w potrzebie, zawsze ktoś się znajdzie. Nie muszą to być nawet rodzice ani dziadkowie, ale w obliczu katastrofy, gdy potrzebujesz wsparcia, zawsze pojawi się ktoś, kto się tobą zaopiekuje, tak jak robiła to ciocia Syl. Co prawda umarła jeszcze przed moją babcią, i kiedy bardzo potrzebowałam pomocy, ta rodzinna siatka zawiodła, i zamiast odbić się od niej jak na trampolinie, spadłam na twardą ziemię. Rodzina nie dopuszczała bowiem do siebie myśli, że z moją matką jest coś nie tak, a musieliby uznać ten fakt, żeby przyjść mi z pomocą. Kiedy, chcąc od niej uciec, zgłosiłam się do opieki społecznej, rodzina nie mogła już nic zrobić, bo dla pracowników tejże opieki ciocia, którą zna się całe życie, jest nikim w porównaniu z ojcem, którego się nigdy w życiu nie spotkało.

On też ma rodzinę.

*Wtorek, 2 października 1979*

*Warm Worlds and Otherwise* Jamesa Tiptree juniora<sup>8</sup> dorównuje *Wszystkim stronom świata*. Le Guin nadal jest lepsza, ale nie tak jednoznacznie, jak mi się wydawało. Pozostałe dwie książki w dzisiejszej paczce od ojca są Żelaznego. Jeszcze nie zaczęłam ich czytać. *Stwory światła i ciemności* były strasznie dziwne.

*Czwartek, 4 października 1979*

*Dziwięciu książąt Amberu* i *Karabiny Avalonu* są absolutnie olśniewające. Od dwóch dni czytam je bez przerwy. Koncept Cieni jest nadzwyczajny, Atutów też, ale najlepszy Corwin narrator. Muszę poczytać więcej Żelaznego.

Dziś przyszedł list od cioci Teg. Ulżyło jej, że mam się dobrze. Włożyła do koperty banknot funtowy. W rodzinie zaszło mnóstwo zmian. Kuzyn Arwel ma nową pracę w British Rail w Nottingham. Ciocia Olwen czeka na operację katarakty. Kuzynka Sylvie będzie miała kolejne dziecko, a Gaił jeszcze nie skończyła dwóch lat! Wuj Rhodri się żeni. W liście nie było nic o mojej matce, zresztą nie spodziewałam się, że będzie inaczej. Ja również omijałam ten temat. Nie napisałam też, że zrezygnowałam z plastyki na rzecz chemii. Ciocia uczy plastyki, mogłaby nie zrozumieć, dlaczego tak zrobiłam. Chemia, fizyka i łacina to trzy moje ulubione przedmioty, chociaż najlepsze stopnie mam jak zwykle z nudnej literatury angielskiej. Czytamy *Naszego wspólnego przyjaciela* Dickensa, którego po cichu nazywam *Naszym wspólnym nieprzyjacielem*. Można by wziąć ten tytuł i napisać całą powieść na nowo, czyniąc Rogue Riderhooda tytułowym bohaterem.

*Piątek, 5 października 1979*

Ojciec mojego dziadka był Francuzem. Przyjechał z Rennes w Bretanii, a jego matka była Induską. Miał bardzo ciemną skórę, mój dziadek i jego siostry też – wszyscy ciemnowłosi i ciemnoocy, opalali się mocniej niż prawdziwi Europejczycy. Moja matka ma tak samo. Dziadkowi nie podobało się, że opalamy się na tak ciemno. Alexandre Rennes zmieni! nazwisko na Phelps, kiedy poślubił moją prababkę

Annabelle Phelps, bo taki postawiła warunek zgody na małżeństwo. Pracował w kopalniach, a ona urodziła siedmioro dzieci, z których pięcioro przeżyło. Sama miała siedmioro rodzeństwa, dożyła dziewięćdziesięciu trzech lat i przez całe życie tyranizowała wszystkich wokół. Umarła rok przed moim urodzeniem, ale karmiono mnie opowieściami o niej.

Ponieważ Alexander był Francuzem, w domu mówiono po angielsku, inaczej niż w rodzinie mojej babci, gdzie w użyciu był język walijski. Pięcioro dzieci założyło rodziny i miało własne dzieci.

Najstarszy chłopiec, Alexander, ożenił się w przededniu pierwszej wojny światowej i poszedł w kamasze, zostawiając młodą brzemienną żonę. Nigdy nie wrócił z okopów, przyszedł za to telegram, w którym oznajmiano o jego zaginięciu w czasie działań wojennych. Zona, moja ciocia Bessie, zamieszkała z teściami, urodziła dziecko – wujka Johna – i ogólnie była przez wszystkich, łącznie z ciocią Florrie, traktowana jak darmowa służąca mojej prababki. Kilka lat później, w 1941 roku, w Aberdare wysiadła z autobusu młoda kobieta z dwoma poważnymi chłopcami – moimi wujkami Malcolmem i Duncanem. Udała się do domu mojej prababki i oznajmiła, że jest wdową po jej synu Alexandrze. Nie umarł, tylko pozostał w armii i wyjechał do Indii, nie kłopotząc się rozwodem z ciocią Bessie.

Jego druga żona, Lilian, była Angielką, dorastała w Indiach i miała trochę własnych pieniędzy. Nawykła do życia w ciepłym klimacie i posiadania służących. Moi pradziadkowie przyjęli ją – niektórzy uważali, że to bardzo porządnie z ich strony, zważywszy na okoliczności – ale jej trudno się z nimi żyło. Po jakimś czasie dogadała się z ciocią Bessie, która miała małą wdowią rentę, i okazało się, że stać je na wspólny domek. Kiedy się urodziłam, ten skandal już dawno przebrzmiał – wiedziałam, że obie są wdowami po tym samym mężczyźnie, ale co z tego? W końcu i tak nie żył. Obie wdowy zgadzały się ze sobą bardzo dobrze. Wojnę spędziły, robiąc na drutach skarpety dla żołnierzy, a po wojnie w pokoju od frontu otworzyły sklepik, w którym sprzedawały wełnę i swoje własne wyroby. Pachniało tam dziwnie, zwierzęciem, co usiłowały zamaskować, rozstawiając misy z suszoną lawendą z ogródka cioci Florrie. Było to pierwsze potpourri,

jakie widziałam w życiu.

Mój dziadek miał trzy siostry, z których wszystkie powychodziły za mąż i urodziły dzieci. Jedna z nich, ciocia Maudie, zhańbiła się, ponieważ poślubiła katolika, wyjechała z nim do Anglii, tam mieli jedenaścioro dzieci, z których najmłodsze było upośledzone, a potem jeszcze adoptowali czwórkę, w tym dwoje z Afryki. Nie widziałam w tym niczego szokującego, skoro ciocia mogła o nie wszystkie należycie zadbać. Początkowo była ulubioną siostrą mojego dziadka, ale później już się tylko kłócili. Była bardzo podobna do ich matki. Nie rozumiała, co jest skandalicznego w byciu katolikiem, szczególnie w zestawieniu z bigamią, którą wszyscy wybaczyli zmarłemu Alexandrowi, czy lesbijskim związkiem cioci Olwen, o którym się nie mówiło, ale który powszechnie akceptowano.

Ciocia Bronwen miała trzech synów i córkę, a jej mąż pracował w kopalni. Ciocia Florrie mieszkała niedaleko nas – babcia często prosiła ją o opiekę nad dziećmi. Mąż babci, górnik, zmarł podczas wojny. Miała dwóch chłopców: wujka Clema, który trafił do więzienia za fałszerstwo, i wujka Sama, który prawie nie bywał w domu. Któregoś razu zobaczyła w domu diabła, przepędziła go na górę modlitewnikiem i zamknęła w pakamerze. Potem poprosiła dziadka, by zamurował drzwi do tej pakamery, żeby diabeł nie mógł uciec. Wiele lat później, po jej śmierci, rozebrano mur i weszliśmy do środka, umierając z ciekawości. Znaleźliśmy tam prasę drukarską, którą dziadek wyrzucił, ale zabraliśmy sobie trochę niewypełnionych wizytówek i ołowianych czcionek.

Mój dziadek Lulce był najmłodszy z rodzeństwa. Ożenił się z babcią Becky i mieli dwoje dzieci: Elizabeth i Tegan. Moja matka Liz wyszła za mojego ojca i urodziła nas dwie. Ciocia Teg nigdy nie wyszła za mąż, bo zawsze była bardzo zajęta pomaganiem w wychowywaniu nas. Była dla nas bardziej jak starsza siostra niż ciotka.

Tęsknię za nią bardzo, za dziadkiem też.

*Sobota, 6 października 1979*

Dotarłam do miasta, zanim zamknięto bibliotekę, i próbowałam się do niej zapisać. Nie udało się. Byłam nieprawdopodobnie opanowana,

nie rozplakałam się ani nawet nie podniosłam głosu. Wyjaśniono mi, że potrzebny jest podpis rodzica i zaświadczenie o miejscu zamieszkania. Powiedziałam, że jestem z Arlinghurst – tak jakby nie można było tego poznać po mundurku. Kiedy wychodzimy poza teren szkoły, musimy mieć na sobie granatowy bezrękawnik, granatowy blezer, szkolny płaszcz przeciwdeszczowy (kiedy pada, ale pada prawie zawsze, tylko dziś świeciło słońce) i szkolne nakrycie głowy – latem słomkowy kapelusz, zimą берет. Kapelusz jest dla mnie rodzajem kary, przy każdym ruchu zsuwa mi się z głowy.

Bibliotekarz, całkiem młody, stwierdził, że skoro uczę się w Arlinghurst, powinnam korzystać ze szkolnej biblioteki. Wyjaśniłam, że tak robię, ale jej zbiory nie są dostatecznie bogate, by zaspokoić moje potrzeby. Podniósł na mnie wzrok, poprawił okulary i przez chwilę łudziłam się, że wygrałam.

– Wymagamy podpisu rodzica na tym formularzu i listu od szkolnej bibliotekarki, w którym będzie napisane, że musisz korzystać z większej biblioteki – powiedział.

Za jego plecami widziałam długie regały pełne książek. Nie pozwolił mi nawet wejść, żebym mogła je przejrzeć.

Na plus liczę, że znalazłam też księgarnię i kawałek bardziej dzikiego terenu. Handlowa część Oswestry składa się z dwóch ulic kończących się wejściem na targ. Biblioteka, typowy wiktoriański budynek użyteczności publicznej, stoi niedaleko. Poprzednim razem tylko tyle widziałam – autobus zatrzymuje się u stóp wzgórza, a biblioteka jest na szczycie. Z góry na lewo biegnie dróżka, pomyślałam, że pewnie prowadzi do przystanku autobusowego. Zawiodła mnie jednak między domy prywatne i już myślałam, że będę musiała nią zawrócić, kiedy za zakrętem moim oczom ukazał się okolony drzewami staw, po którym pływały kaczki krzyżówki i białe łabędzie, a po drugiej stronie dróżki stało kilka sklepów, między innymi księgarnia.

Kupiłam *Tritona* Samuela Delany'ego. Nie wiem, czy ojciec ma tę książkę i nie obchodzi mnie to. Kosztowała osiemdziesiąt pięć pensów. Pani prowadząca księgarnię była bardzo miła. Nie czyta SF, lecz stara się mieć przyzwoity wybór książek z tego gatunku. Nie jest aż tak bogaty jak w księgarni Learsa w Cardiff, ale i tak niezły. Zamierzam

poprosić ojca o kieszonkowe, żebym mogła kupować książki. Oraz o podpisanie bibliotecznego formularza. Jestem przekonana, że się zgodzi. Co do panny Carroll, nie jestem już taka pewna, czy napisze stosowny list.

Obok księgarni znajduje się sklepik z używanymi rzeczami, gdzie mają trzy półki książek, starych i trochę obszarpanych. Kupiłam za dziesięć pensów *I Capture the Castle*<sup>9</sup> Dodie Smith. Lubię jej książki o dalmatyńczykach. Nie wiedziałam, że napisała też powieść historyczną. Zachowam ją na czas, kiedy będę miała ochotę na opisy oblężenia<sup>10</sup>.

Zostało mi pięć pensów. Nie mieli niczego w tej cenie. Trzecim sklepikiem z rzędu była piekarnia połączona z kawiarnią. Weszłam tam, bo Sharon prosiła mnie, żebym kupiła słodkie bułeczki. W szkole tak się robi – kupuje się bułeczki samej albo prosi się kogoś o przysługę. Potem oddaje się torebkę do kuchni z instrukcją, dla kogo bułeczki są przeznaczone, a po lunchu w niedzielę są wydawane komu trzeba. Zasada jest taka, że trzeba kupić przynajmniej dwie, nie można jednej, tylko dla siebie. Lubiane dziewczyny dostają co tydzień mnóstwo bułeczek różnego rodzaju. Ja zwykle nie mam ich w ogóle. Deirdre nie ma pieniędzy, a Sharon jest żydówką. Jednak w tym tygodniu Sharon stawia, bo jest fajną dziewczyną. Z jej strony to szczególnie miłe, bo sama nie może ich jeść. Żydzi muszą mieć specjalnie przygotowane jedzenie. To, co ona jada, wygląda znacznie lepiej niż żarcie ze szkolnej stołówki. Przywożone jest na tackach. Ciekawe, czy też mogłabym je dostawać, gdybym powiedziała, że jestem żydówką? A gdyby się okazało, że nie jestem dostatecznie żydowska, i jeszcze bym sobie zaszkodziła? Najpierw powinnam porozmawiać o tym z Sharon. Tak czy siak, Sharon prosiła mnie, żebym kupiła słodkie bułeczki dla siebie, Deirdre i Karen, która też jest jej przyjaciółką. Kupiłam bułeczki, które kosztowały po dziesięć pensów za sztukę albo trzydzieści pięć za cztery. Więc wzięłam cztery, dokładając swoją pięciopensówkę. Bułeczki były z miodem, jeszcze ciepłe, prosto z pieca. Poszłam nad staw i zjadłam jedną. Była absolutnie przepyszna.

Nad stawem stoi ławka obrośnięta trawą, a nad taflą wody pochylają się wierzby. Liście na zwieszonych gałązkach wyraźnie żółkną. Uważam, że nazwa „wierzba płacząca” jest właściwa. Wierzby

uwielbiają wodę, a olchy jej nie znoszą. Za bagniskiem Groggin biegnie droga zwana Heol y Gwern, czyli Olchowa Droga, bo ludzie obsadzili ją olchami, żeby była sucha. Prawdopodobnie byli to ludzie neolitu. W każdym razie z całą pewnością przed Rzymianami. Historia doliny mną wstrząsnęła. Nie wiem, czy kiedy wrócę, będę potrafiła patrzeć na wszystko tak samo jak przedtem.

Siedziałam na ławce pod wierzbą, jadłam bułeczkę i czytałam *Tritona*. To prawda, że na świecie jest wiele strasznych rzeczy, ale są też wspaniałe książki. Kiedy dorosnę, chciałabym napisać coś, co ktoś inny chciałby czytać, siedząc na ławce w niezbyt ciepły dzień, i zapomnieć w tym momencie, gdzie się znajduje i która jest godzina, i zatopić się bardziej w świecie książki niż we własnych myślach. Chciałabym pisać tak jak Delany, Heinlein czy Le Guin.

Ledwie zdążyłam na autobus. Widziałam go, jak jedzie u stóp wzgórza, i nawet chciałam podbiec, żeby zdążyć na przystanek. I wtedy przypomniało mi się, co czułam, kiedy jeszcze biegałam szybciej niż wiatr. Zapragnęłam pochylić się i pędzić przed siebie wielkimi susami. Prawie zrobiłam pierwszy długi krok, jednak w tej samej chwili poczułam przeszywający ból nogi, jakby ktoś mnie w nią dźgnął. Kierowca autobusu zobaczył mnie, poznał mundurek i poczekał. W środku było wiele uczennic z mojej szkoły, większość jednak z innych klas. Prawie wszystkie podejrzewają, a w każdym razie tak plotkują, że chodzę o lasce, bo moja matka uprawia czary i wbija szpilki w lalkę wudu. Usiadłam osobno, ale zaraz przysiadła się do mnie Gill Scofield, z którą chodzę na lekcje chemii.

– Co takiego robiłaś, że się spóźniłaś? – spytała.

Wyjaśniłam, że się zaczytałam.

– A nie spotkałaś się z jakimś chłopcem?

– Nie!

– Nie udawaj takiego niewiniątka, większość dziewcząt jadących tym autobusem właśnie to robiła. W każdym razie więcej niż połowa.

Obejrzałam się. Wiele dziewcząt wyglądało spódniczki mundurków, a ich wargi były podejrzenie czerwone.

– Straszny obciach – stwierdziłam.

Gili ryknęła śmiechem.



– Chcę zostać naukowcem – zwierzyła mi się.  
– Naukowcem?  
– Tak. Prawdziwym. Parę dni temu czytałam o Lavoisierze, wiesz?  
– Odkrył tlen – powiedziałam. – Razem z Priestleyem.  
– Był Francuzem, a przy tym arystokratą, mariażem. Zgilotynowali go podczas rewolucji francuskiej. Powiedział, że po odcięciu głowy będzie mrugał oczami, dopóki zachowa świadomość. Mrugnął siedemnaście razy. To dopiero był wyczyn – szczebiotała.

Dziwaczka. Ale sympatyczna.

*Niedziela, 7 października 1979*

Skończyłam *Tritona*. Niesamowity. Chociaż im dłużej się zastanawiam, tym mniej rozumiem, dlaczego Bron okłamał Audri.

Dzisiejszy czas na pisanie listów poświęciłam układaniu życzeń dla kuzynki Arwel Parry i gratulacji dla wujka Rhodriego. Dlaczego Bron okłamał Audri?

*Poniedziałek, 8 października 1979*

Właściwie Babcia i Dziadek nigdy nie mówili o seksie. Musieli to robić, bo nie byłoby na świecie cioci Teg ani mojej matki, ale nie wydaje mi się, żeby zrobili to więcej niż dwa razy. Poza tym weźmy pod uwagę, co się mówi o seksie w szkole i w kościele. W Śródziemiu nie ma seksu, nie ma prawie nic o miłości, aż czasem myślę, że świat byłby bez tego lepszy. Arwena jest uosobieniem przyzwoitości, naczyniem do produkcji przyszłych półelfów, królów Gondoru i Arnonu, nagrodą dla zwycięzcy. Lepiej byłoby dla niego, gdyby poślubił Eowinę, która ostatecznie sama była bohaterką, a Numenorejczyków zostawił na wymarcie. Tak więc seks to zło konieczne, trzeba robić dzieci i tyle. Normalka.

A jeśli przyjrzeć się tym dziewczętom w autobusie albo mojej matce i jej facetom, albo dziewczętom, które zakradają się nocą do łóżek innych, no cóż, *ach y fi*\*(*Ach y fi* – walijskie wyrażenie oznaczające niesmak (przyp. tłum.))

Z drugiej strony jednak ja też odczuwam co nieco, jeśli chodzi o

seks. *Triton*, książki Heinleina, i *The Charioteer* podsunęły mi myśl, że właściwie seks jest czymś całkiem zwyczajnym, a to społeczeństwo go demonizuje i obrzydza. Cała ta historia ze zmianą płci w *Tritonie* sugeruje, że istnieje coś w rodzaju spektrum seksualności. Większość ludzi znajduje się gdzieś pośrodku, czując odpowiednio pociąg do mężczyzn czy kobiet, a pozostali trzymają się jednego z krańców. Ja jestem na jednym brzegu, a Ralph i Laurie na drugim. Jedną z rzeczy, za które lubię science fiction, jest to, że zmusza do myślenia, przyglądania się wszystkiemu z różnych punktów widzenia, o których inaczej by się nawet nie pomyślało.

Od dziś zamierzam pozytywnie odnosić do seksu.

*Sroda, 10 października 1979*

Gdyby szkoła postawiła sobie za cel całkowite odseparowanie nas od magii, nie mogłaby osiągnąć tego lepiej niż dzięki aktualnej organizacji naszego życia. Zastanawiam się, czy nie taki właśnie był czyjś pierwotny zamysł. Jestem przekonana, że nikt tu nie ma o magii najbledszego pojęcia, ale Arlinghurst działa w ten sposób od ponad stu lat.

Niczego nie gotujemy, jesteśmy całkowicie odcięte od przyrządzania posiłków, które są niewiarygodnie paskudne. Wczoraj na przykład na obiad podano nam obsmażane plastry mielonki z puszki, zupełnie pozbawione smaku puree z ziemniaków, rozgotowaną kapustę, a na deser budyń z połówką orzecha włoskiego pośrodku – jedną salaterkę na sześć osób. Nazywa się to hawajski przysmak. Coś podobnego dostajemy przynajmniej raz w miesiącu pod nazwą hawajska niespodzianka, i jest to budyń z połówką wiśni w syropie. Nie lubię ani wiśni w syropie, ani orzechów włoskich, więc jestem podczas deseru dosyć łubiana, bo nie przyłączam się do walki o nie. Budyniu też nie lubię, ale czasem jestem na tyle głodna, że go zjadam. Trudno byłoby znaleźć gorsze czy bardziej nienaturalne jedzenie, nawet bardzo się starając. Gdy jesz jabłko, czujesz łączność z jabłonią. Mając przed sobą salaterkę budyniu z połówką wiśni w syropie, nie czujesz łączności z niczym.

Pozostając przy temacie jedzenia – nie mamy własnych talerzy, noży, widelców ani kubków. Tak jak większość rzeczy, których używamy, są one ogólnego użytku, przydzielane losowo i jednorazowo. Nie ma najmniejszej szansy, by cokolwiek zostało przepojone naszą esencją, by ożyło pod wpływem uczuć. Żaden przedmiot nie jest tu świadomy siebie, żadne krzesło ani szklanka. Nikt nie może przywiązać się do niczego.

W domu poruszałam się wśród przedmiotów, które znałam i wiedziałam mniej więcej, do kogo należą. Fotel Dziadka nie lubił, żeby siadał na nim ktoś inny – prawie tak samo, jak sam Dziadek. Bluzki i swetry Babci układały się tak, żeby ukryć brak jednej piersi. Pantofle mojej matki aż wibrowały świadomością. Zabawki same szukały nas, dzieci. W kuchni leżał nóż do obierania ziemniaków, którego Babcia nie mogła używać. Był dość zwyczajny, z brązowym trzonkiem, ale raz się nim skaleczyła i od tej pory pożądał jej łowi. Kiedy grzebałam w szufladzie kuchennego stołu, czułam, jak się tam czai. Po jej śmierci ta świadomość powoli zanikła. Leżały tam też łyżeczki do kawy, rzadko używane, maleńkie – prezent ślubny. Były srebrne i uważały się za szczególne, lepsze od reszty zastawy.

Żaden z tych przedmiotów nie robił nic sam z siebie. Łyżeczki do kawy nie mieszały w filiżankach, jeśli nikt ich nie trzymał. Nie prowadziły ze szczypcami do cukru rozmów o tym, które z nich jest najbardziej cenione (zawsze nam się wydawało, że lada chwila mogą się odezwać). Przypuszczam, że wszystko, czym się zajmowały, dotyczyło sfery psychicznej. Świadczyły o przeszłości, łączyły wszystko, były jak poszczególne nitki w gobelinie. Tu, w szkole, nie ma gobelinu, każde z nas żyje oddzielnie.

Kolejny list. Nie otworzyłam go. Zwróciłam na niego uwagę tylko dlatego, że cały aż pulsuje znaczeniem – złośliwym znaczeniem. Wszystko wokół niego wydaje się mroczne.

*Czwartek, 11 października 1979*

Panna Carroll bez wahania zgodziła się napisać list polecający do biblioteki miejskiej.

– Widziałam, że z braku czegoś lepszego wzięłaś się do Arthura Ransome’a – zauważyła.

Tak, naprawdę lubię powieści Arthura Ransome’a. Nie powiedziałabym, że czytam je „z braku czegoś lepszego”. Oczywiście przeczytałam je wszystkie lata temu, ale zawsze z przyjemnością do nich wracam. Jest coś pociągającego w książkach dla dzieci, w których nie ma nic o seksie i zawsze szczęśliwie się kończą – takich, jakie pisali Ransome<sup>11</sup>, Streatfeild<sup>12</sup> i im podobni. Nie ma w nich skomplikowanej intrygi i z góry wiadomo, o czym będą – są to zdrowe, przyjemne opowiadki o dzieciach, które pływają łódkami, tańczą w balecie czy coś w tym rodzaju, odnoszą niewielkie zwycięstwa i spotykają je niezbyt groźne przygody, ale ostatecznie wszystko dobrze się kończy. Krzepiąca lektura, szczególnie po Czechowie. Cieszę się, że nie jestem Rosjanką.

Uśmiechnęłam się tylko, bo przede wszystkim chciałam jak najszybciej zdobyć legitymację biblioteczną. Jeśli *on* zaraz odeśle mi formularz, dostanę ją już w ten weekend. Nie powinnam mówić o nim *on*, ale trudno mi wymyślić coś w zamian. Jak mówić o ojcu, którego się dopiero poznało? „Tata”? Śmieszne. Tyle że trochę dziwnie byłoby nazywać go Danielem, chociaż to jego prawdziwe imię.

*Piątek, 12 października 1979*

List od ojca przyszedł z następną pocztą, w kopercie znajdowało się dziesięć funtów (!) i podpisany formularz. Napisał, że mam sobie za to kupić książki, ale postanowiłam, że trochę przeznaczę na bułeczki.

Rozmawiałam z Sharon o żydowskim jedzeniu. Z jego powodu dziewczyny czasem z niej kpiły, a ona sama opowiadała o nim takie rzeczy, że nawet trochę się jej bały, więc, co całkiem logiczne, nie chciała zdradzać zbyt wielu szczegółów. Musiałam jej opowiedzieć o żydowskim ojcu mojego ojca. Stwierdziła, że to wcale nie znaczy, iż jestem Żydówką, bo nie można być Żydem tylko częściowo, a poza tym matka musi być Żydówką. Powiedziała, że gdybym chciała zostać żydówką, musiałabym się nawrócić na judaizm.

Pamiętam, jak kiedyś do kościoła przyszedł misjonarz, który opowiadał o nawracaniu pogan. Niektórzy z nich udawali, że przyjęli

nową wiarę, żeby dostać jedzenie, a potem przy pierwszych kłopotach wracali do swoich pogańskich bogów. Nazywał ich ryżowymi chrześcijanami. Myślę, że mogłabym być ryżową żydówką.

Co prawda Dziadek, gdyby się o tym dowiedział, dostałby ataku. Matka z całą pewnością doniosłaby mu o tym natychmiast, w nadziei, że to spowoduje u niego kolejny udar.

*Sobota, 13 października 1979*

W ostatnim tygodniu pogoda zmieniła się całkowicie. Poprzednia sobota była ładna i słoneczna, jakby odchodzące lato oglądało się przez ramię na nadchodzącą jesień. Dzisiaj jest mokro i wietrznie, jesień pędzi niecierpliwie w stronę zimy. Można się poślizgnąć na opadłych liściach. Oswestry wyglądało jeszcze mniej zachęcająco niż zwykle. Teraz, kiedy Gili mi o tym napomknęła, widziałam wyraźnie, jak dziewczyny podają sobie zabronioną szminkę i chichoczą. Przypominały mi Susan z *Ostatniej bitwy*. Wyobrażałam sobie, że spotykam C.S. Lewisa, chociaż wiem, że nie żyje. Lepiej nie opowiadać, co wymyślałam, to zbyt krępujące.

Udałam się do biblioteki uzbrojona w list i podpisany formularz. Pogodna bibliotekarka przywitała mnie przyjaźnie – ona pewnie pozwoliłaby mi się zapisać bez zbędnej biurokracji; w ogóle nie przyglądała się papierom. Dostałam zestaw ośmiu kart, dzięki którym będę mogła wypożyczyć po osiem książek, kiedy tylko zechcę – w każdym razie w każdą sobotę, w którą zdołam dotrzeć do miasta przed południem. Bibliotekarka powiedziała mi też, że gdybym potrzebowała czegoś, czego nie mają, wypożyczenia międzybiblioteczne dla osób poniżej szesnastego roku życia są dostępne gratis. Mogę więc zamówić, cokolwiek będę chciała przeczytać, i to dla mnie sprowadzą. Muszę tylko znać autora i tytuł. Zaczęłam od książek Mary Renault wymienionych w *The Charioteer* – tych, o których wcześniej nie słyszałam. Zrobię sobie listę pozycji, o których piszą na początku innych książek, i przyniosę ją następnym razem. Bibliotekarka stwierdziła, że mogą sprowadzić wszystko, co zostało kiedykolwiek wydane w Wielkiej Brytanii, nawet jeśli nakład jest już wyczerpany. Zaproponowała, że

będą zawiadamiali mnie o przyjsciu ksiazek poczta, ale powiedzialam, zeby zaoszczedzili na znaczkach, bo po prostu bede sie pojawiala co tydzien i odbierala wszystko, co tylko zdazy dotrzec.

System wypozyzczen miedybibliotecznych uwazam za najwyzsze osiagniecie cywilizacyjne.

Biblioteki to cudowne miejsca. Sa nawet lepsze od ksiegarni. Ksiegarnie zarabiaja na sprzedazy ksiazek, a biblioteki wypozyczaja je z dobroci serca.

Spedzilam rozkoszna godzine wsród polek, na ktorych, tak jak w szkolnej bibliotece, mozna znalezc kilka istnych klejnotow, ale tylko kilka. Poza tym ksiazki SF wymieszane sa ze wszystkimi innymi gatunkami, tak ze szukanie zajmuje wiecej czasu. Bylam juz obciazona osmioma ksiazkami, a deszcz zacinal mi prosto w twarz, wiec zastanawialam sie, czy wrócic prosto do szkoly i w zacisznej szkolnej bibliotece zabrac sie do czytania. Chcialam tez jednak zajrzec do ksiegarni, a osiem ksiazek to niby duzo (i swoje wazy!), ale raczej za malo na caly tydzien. Zwykle czytam wczesnie rano – jesli obudze sie przed dzwonkiem – potem przez trzy godziny przeznaczone na obowiazkowe zajecia sportowe, podczas szczegolnie nudnych lekcji, w czasie odrabiania lekcji, kiedy juz skoncze, potem jeszcze w czasie wolnym przed kolacja, no i dodatkowo przez pol godziny w lozku, na co pozwalaja nam przed zgaszeniem swiatla. Czytam mniej wiecej dwie ksiazki dziennie.

Powedorowalam wiec powoli w dol, do ksiegarni. Wiatr smagal wierzbowymi galazkami tafle stawu. Plywala po nim wiecezosc zoltych liści, ktore juz opadly. Nie bylo widać zadnego labedzia. Po drugiej stronie stawu rosló wiecej drzew.

Kupilam dwie ksiazki. Chcialabym wiedziec, na jak dlugo ma mi wystarczyc te dziesiec funtow. Na ogol ksiazka kosztuje siedemdziesiat piec pensow<sup>13</sup>, grubsza nieco wiecej. Uciekajac, zostawilam mnostwo ksiazek. Moglabym je sobie odkupic, ale chce tez miec nowe pozycje do czytania. Lubię wracac do starszych lektur. Kupilam nowy zbior opowiadań Tiptree z przedmowa Le Guin – wiec ona tez go lubi! Fajnie, kiedy pisarze cenia sie nawzajem. Moze sa przyjaciolmi, jak Tolkien i Lewis. W ksiegarni mieli nowa ksiazke Humphreya Carpentera, w

twardej oprawie, poświęconą Inklingom<sup>14</sup>; Carpenter napisał wcześniej biografię Tolkiena<sup>15</sup>. Zamówię ją w bibliotece.

Po wyjściu z księgarni przejrzałam też półki w antykwariacie. Tam także kupiłam parę rzeczy. Miałam już tyle książek, że ledwie mogłam się poruszać, a noga oczywiście okropnie mi dokuczała. Zawsze tak jest, kiedy pada. Nie prosiłam, żeby zastąpiono mi nogę czymś w rodzaju zardzewiałego kurka na dachu, no, ale chyba nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie chciał. Mogłabym poświęcić więcej. Byłam przygotowana na śmierć – Mor umarła. Powinnam potraktować moje kalectwo jak ranę wojenną, coś jak blizny starych wiarusów. Frodo stracił palec i wszelką możliwość osiągnięcia osobistego szczęścia. Tolkien doskonale wiedział, co się dzieje później, po zakończeniu. Tak właśnie wygląda „po zakończeniu”, Shire jest zniszczony wojną i teraz trzeba się zastanowić, jak dalej żyć, bo przecież nie tak miało wszystko wyglądać po chwalebnym ostatnim boju. Ocaliłam świat, a w każdym razie tak mi się wydawało, no i patrzcie: oto świat, w którym istnieją zachody słońca i wypożyczanie międzybiblioteczne. Świat, który nie troszczy się o mnie bardziej niż Shire o Froda. To nie ma zresztą żadnego znaczenia. Moja matka nie jest mroczną królową, którą kochają zrozpaczeni poddani. Żyje, jak najbardziej, ale wikła się w sieci swojej złej woli jak pająk w swoją pajęczynę. Ja od niej uciekłam. I nigdy więcej nie skrzywdzi już Mor.

Weszłam do piekarni, usiadłam przy jednym ze stolików pod oknem, zjadłam kornwalijski pierożek, bułeczkę z miodem i bawiłam się czajniczkiem z herbatą. Nie lubię herbaty, a kawa jest jeszcze gorsza – pachnie ładnie, ale smakuje paskudnie. Piję tylko wodę, chociaż jeżeli nie ma nic innego, mogę się napić lemoniady. Wolę jednak wodę. Czajniczkiem z herbatą można manipulować i nikt nie wie, czy już skończyłam, szczególnie jeśli nic nie wypięłam, więc można przy nim posiedzieć, poczytać i trochę odpocząć.

Tym się właśnie zajmowałam, a potem kupiłam cztery bułeczki z miodem na wynos, tym razem za własne pieniądze. Jedną dla Deirdre, jedną dla Sharon – chociaż ona oczywiście nie będzie mogła jej zjeść, więc tę też dostanę – jedną dla siebie i jedną dla Gili. Tydzień temu dostałam bułeczkę od Sharon, a w tym ona dostanie ode mnie. To

bardziej symbol niż prawdziwa bułeczka, chociaż te prawdziwe są pyszne. Nie kupiłam żadnej dla Karen, która woła na mnie Zdychający Kangur<sup>16</sup>, czego nienawidzę bardziej niż innych przezwisk. Komuszka brzmi prawie pieszczotliwie, Taffy narzuca się, bo pochodzę z Walii, ale Połamaniec albo Zdychający Kangur świadczą o nienawiści.

Zapytałam dziewczynę z piekarni o staw.

– Czy to jakiś park?

– Park, kochana? Nie, to skraj majątku.

– Ale tam stoi ławka, parkowa.

– Rada miejska kazała ją tam postawić, żeby ludzie mogli sobie posiedzieć przy drodze, która należy do rady, więc można to uznać za park, ale nie taki porządny, z kwiatami. To, co widzisz z tyłu, te wszystkie drzewa, to część majątku, a gdy tam pójdziesz, szybko znajdziesz tabliczkę „Wstęp wzbroniony”, bo hodują tam bażanty. Na wiosnę można usłyszeć, jak tokują.

A więc to jest majątek ziemski, z wiejskim dworem, łowczymi i tak dalej, utrzymywany w stanie półdzikim dla bażantów. Założę się, że pełno tam wrózek.

*Niedziela, 14 października 1979*

Po lunchu zwrócono mi uwagę i dostałam upomnienie, moje pierwsze. Najwyraźniej nie obdarowuje się bułeczkami dziewcząt, które nie należą do tego samego domu czy klasy, chyba że są spokrewnione. Gili, mimo że chodzimy razem na zajęcia z chemii, nie należy ani do mojego domu, ani do tej samej klasy, więc nie powinnam się z nią przyjaźnić, a kupowanie jej bułeczki wygląda bardzo podejrzanie, możliwe, że wskazuje na związek lesbijski. Przemowa była utrzymana w takim tonie, że mogłam wywnioskować, iż Gili może być lesbijką. No i dobrze. Nie mam z tym problemu. Sama nie jestem les, ale w tych sprawach zdecydowanie popieram Heinleina i Delany'ego.

Nawet Deirdre i Sharon uważają, że nie powinnam była dawać Gili bułeczki. Deirdre próbowała mnie usprawiedliwiać, powiedziała, że nie rozumiem tego, bo jestem tu za krótko, a może nauka chemii trochę miesza mi w głowie.



Nigdy nie zrozumieję tego, co się tutaj wyprawia.

*Poniedziałek, 15 października 1979*

Znów nie odpisałam. Ale ona ciągle do mnie pisze i przysyła fotografie. Dostaję jedną lub dwie raz w tygodniu. Tak bardzo brakuje mi Mor, że otwieram listy i nie zawsze potrafię powstrzymać się od podczytywania. Zabieram je do biblioteki, bo nie zniosłabym, gdyby wszyscy widzieli, jak je czytam. Dzisiaj Lorraine Pargeter była paskudnie przeziębiona. Weszła do biblioteki i zobaczyła, jak przyglądam się jednemu z podziurawionych zdjęć. Lorraine jest dużą, grubokościstą, niezbyt rozgarniętą blondyną, a poza tym kapitanem drużyny hokejowej naszej klasy i łącznikiem ataku pierwszego domu w drużynie rugby. Owszem, przezywa mnie i szczypie, ale też powstrzymuje inne od podstawiania mi nogi, kiedy wychodzę spod prysznic, więc nie żywię do niej szczególnej urazy. Dzisiaj ma bardzo czerwony nos i wygląda na okropnie nieszczęśliwą, bo nie może brać udziału w grze. Słyszałam, jak pytała nauczycielkę, czy mogłaby się ciepło ubrać i chociaż popatrzeć, jak grają.

– Moiwenno, co tam masz? – zapytała.

Nie chciałam, żeby wiedziała, że to coś dla mnie ważnego, a tak by na pewno pomyślała, gdybym spróbowała ukryć zdjęcie, więc jej podrzuciłam. Sięgnęła po nie i mu się przyjrzała. Była to fotografia nas obu, kiedy odbierałyśmy nagrody na szkolnym konkursie przemówień, tylko że w moim miejscu oczywiście była wypalona dziura.

– Moja matka to czarownica – rzekłam niedbale.

Lorraine sapnęła przerażona i upuściła zdjęcie.

– To wudu? – spytała szeptem.

Sama się nad tym zastanawiałam. Nie wiem, jak działają takie rzeczy, spróbujcie tylko coś znaleźć na ten temat. Co to znaczy, jeśli wypali się czyjaś podobiznę z fotografii? Co może z tego wyniknąć? Sięgnęłam po mój drewniany amulet, ale oczywiście nie miałam go przy sobie, bo nie mogę nosić czegoś takiego do mundurka. Mam w kieszeni kamyk, i to jego dotknęłam. Nie wiem, czy to pomaga, z całą pewnością dodaje otuchy. Dotknęłam też drewnianego biurka, wypolerowanego

przez czas i setki rąk.

– Coś w tym rodzaju – odrzekłam cicho. – Wypala mnie ze zdjęć, jednak chyba mi to nie szkodzi.

– Ale przecież jesteś na tej fotce – zaprotestowała Lorraine dostatecznie głośno, żeby panna Carroll się na nas obejrzała.

Lorraine naturalnie nie wie o Mor. Nic nie mówiłam, bo, po pierwsze, to sprawa bardzo osobista, po drugie, nie znoszę współczucia, a po trzecie, tym bardziej nie zniosłabym kpin. Ludzie, którzy kpią sobie z Mor, narażają się na wybuch agresji z mojej strony.

– Naprawdę? – powiedziałam i sięgnęłam po zdjęcie. – Jeszcze się dobrze nie przyjrzałam. Zwykle mnie wypala, ale ja jestem pod ochroną. To byłoby okropne, gdyby zaczęła coś robić moim przyjaciółom.

Lorraine sapnęła z przestrachu i przeszła do dalszej części biblioteki, udając, że czyta *O czym szumią wierzby*. Przez resztę dnia zasada „niech się boją, byle byli posłuszni” działała doskonale, ale Deirdre i Sharon też trzymały się na uboczu i poczułam się samotna.

*Wtorek, 16 października 1979*

Wiecie, że pojęcie „klasa”, „odpowiedni poziom”, to coś w rodzaju magii? Nie ma niczego takiego, co można by dokładnie zdefiniować, przy próbie analizowania znika to „coś”, ale jest przecież realne, wpływa na zachowanie ludzi i jest przyczyną wielu wydarzeń.

Sharon prawdopodobnie ma więcej pieniędzy niż inne dziewczęta w naszej klasie. Chodzimy do piątej młodszej, tutaj to nie ma żadnego znaczenia, co mnie wkurza. Najniższa jest trzecia starsza. Teoretycznie powinna być tu też podstawówka z klasą pierwszą, do której chodzą siedmiolatki. Ale nie ma czegoś takiego, chociaż wprowadzono tę absurdalną numerację. Kiedy dochodzi się do klasy szóstej, młodszej i starszej, wpada się w ten sam system, który obowiązuje na terenie reszty kraju, gdzie są podstawówki z klasami od pierwszej do czwartej i szkoły średnie – od pierwszej do szóstej. W Arlinghurst, jak zauważyliście, są klasy od pierwszej do szóstej, jak w zwykłej szkole średniej, tylko numery są tak głupio przypisane.

Tale dokładnie nasza klasa to młodsza piąta C. Są też A i B, ale nie

ma podziału na grupy mniej lub bardziej zaawansowane, uchowaj Boże. Chociaż tak naprawdę jest, bo Gili i reszta uczęszczających na lekcje chemii to klasa A, i dziewczyny są zdecydowanie bystrzejsze. Biorąc pod uwagę oceny, powinnam chodzić do A, ale tu nie przenosi się nikogo aż do końca semestru. Bibliotekarka, panna Carroll, powiedziała mi, że zostałabym przeniesiona do A od Bożego Narodzenia, gdyby nie to, że zakłóciłam plan zajęć, przez co mam zostać tam, gdzie jestem, razem z tępakami, aż do września. Mówiła to takim tonem, jakbym miała wyciągnąć z tego stosowne wnioski, ale cieszę się, że wywalczyłam sobie możliwość nauki chemii. Szkoda, że nie udało się również z biologią.

System domów jest zorganizowany zupełnie inaczej niż klas, które układają się poziomo, domy zaś pionowo. Dziewczęta ze wszystkich trzech Idas każdego roku należą do czterech domów. Domy rywalizują ze sobą o nagrody w zawodach – prawdziwe srebrne puchary, trzymane w gablocie. Domy noszą nazwiska wiktoriańskich poetów. Ja jestem u Scotta. Pozostałe to Keats, Tennyson i Wordsworth. Nie ma Shelleya ani Byrona – przypuszczam, że z powodu ich niezbyt szacownej reputacji. Babcia lubiła wszystkich tych poetów z wyjątkiem, o ironio, Scotta. System Idas reguluje zajęcia lekcyjne, system domów wszystko inne – szczególnie zajęcia sportowe, ale poza tym również punkty, które się zdobywa albo traci za zachowanie. Mamy dbać o pozycję naszych domów i opiekować się koleżankami w ramach domu, niezależnie od tego, do której klasy chodzą. Nie muszę chyba mówić, że mi to wszystko dokładnie zwisa. To granfalon w najczystszej postaci – jestem nieskończenie wdzięczna Vonnegutowi za wymyślenie tego terminu.

Mówiłam o naszej klasie, młodszej piątej C. To dziewczęta, które najlepiej znam. Rodzina Sharon jest najbogatsza. Dziewczyna wyjeżdża na wakacje za granicę częściej niż reszta, jej ojciec jest chirurgiem, mają ogromny dom i wielki samochód. Jednak pozycję w klasie ma dość niską, bo to Żydówka, czyli obca, no i wchodzi w grę kolejne nienamagalne, działające jak magia kryterium: nie ma kucyka, choć rodzice mogliby sobie na niego pozwolić. Mają własny basen, lecz nie kucyka, bo hołdują innym priorytetom. Sharon w Boże Narodzenie jeździ na narty, ale do Norwegii, bo rodzice nie bywają w Niemczech

ani w Szwajcarii.

Rodzice Julie nie mają dużo pieniędzy. Mundurki donasza po siostrze. Jeżdżą starym samochodem. Jednak siostra jest przewodniczącą samorządu uczniowskiego, matka była gospodynią klasową i zdobyła puchar w tenisie dla Wordswortha, który był jej domem. Umieściły Julie w Wordsworcie właśnie dlatego, że należały do niego jej matka, ciotki i siostra. W Sali Sportów stoi w gablocie puchar matki Julie i jej czarno-biała fotografia z tabliczką informującą: WIELM. MONICA WENTWORTH.

Dziadek Julie jest wicehrabią. Julie nie jest „wielm.”, ale w klasie plasuje się na najwyższej pozycji z powodu osiągnięć matki. Zresztą nie tylko – to kombinacja „wielm.”, pucharu i szkolnej tradycji. A sama Julie nie jest najbystrzejsza, tylko dobra w sporcie, co jest o wiele ważniejsze.

Do starszej czwartej klasy chodzi taka tłusta chichotka, lady Sarah. Jej ojciec jest earlem. Przypuszczam, że Julie uznałaby jej autorytet, chociaż nie jestem pewna. Klasa, poziom, to nie tylko czysty snobizm, zalicza się do tego mnóstwo rzeczy. Wszyscy się tym straszliwie przejmują. Jedno z pierwszych pytań, jakie zadały mi dziewczyny, brzmiało: „Jakim samochodem jeździ twój ojciec?”. „Czarnym” nie było dobrą odpowiedzią. Nie mogły uwierzyć, że nie wiem. Nie powiedziałam, że widziałam auto ze dwa razy, a poza tym nie bardzo lubię samochody. Okazało się, że to bentley (zapytałam w liście), czyli marka najwyraźniej dopuszczalna. Tylko co to je obchodzi? Usiłują zaklasyfikować każdego bardzo szczegółowo. Oczywiście szybko się zorientowały, że jestem nikim – nie mam kucyka, tytułu, a na dokładkę pochodzę z Walii. Trochę lepiej wypadłam z powodu domu, w którym mieszka ojciec, bo dla nich liczą się głównie ojcowie. Rodzice niektórych są rozwiedzeni – Deirdre tak ma, biedaczka – ale nawet jeśli któraś mieszka tylko z matką, to i tak najważniejszy jest ojciec.

„Klasa”, „poziom”, to pojęcia całkowicie nieuchwytnie – wpływ, jaki wywierają, nie podlega naukowej analizie. Nie są niczym realnym, ale mają wpływ na wszystko i dają moc. No widzicie, zupełnie jak magia.

*Środa, 17 października 1979*

Kiedy dorosnę i będę sławna, nigdy się nie przyznam, że ukończyłam Arlinghurst. Będę udawała, że w ogóle nie słyszałam o takim miejscu. Gdyby ktoś pytał, gdzie zdobywałam wykształcenie, zmienię temat.

Gdzieś są, muszą być ludzie tacy jak ja. Mój karass istnieje. Wiem, że tak jest.

*Czwartek, 18 października 1979*

W tej szkole można łatwo zostać komunistą. Przeczytałam dziś *Manifest komunistyczny* – jest bardzo krótki. To coś takiego jak życie na Anarres. Mogłabym w każdej chwili wybrać tamten świat.

*Piątek, 19 października 1979*

Kochałam Mor, ale jej nie doceniałam. Nigdy tak naprawdę nie uprzytomniłam sobie, jak to cudownie zawsze mieć przy sobie kogoś, z kim można porozmawiać, kto rozumie, o czym mówisz, bawi się z tobą w to, na co masz ochotę.

Już tylko tydzień do końca semestru.

*Sobota, 20 października 1979*

Błogosławię system wypożyczeń międzybibliotecznych. Znaleźli dla mnie *Purposes of Love* i *The Last of the Wine* Mary Renault!

Odniosłam osiem książek pożyczonych w zeszłym tygodniu. Dostałam pięć innych, napisanych przez autorów, których znam, i *Maga*. O autorze tej ostatniej (Fowles) nigdy nie słyszałam, ale hej, to książka o czarodzieju!

Zamówiłam dwadzieścia osiem następnych tytułów, spisanych z wykazów na stronach tytułowych. Bibliotekarz, tym razem mężczyzna, wyglądał na trochę zaskoczonego, ale nie protestował.

Lało jak z cebra i niemal wszystkie liście opadły już z drzew. Znow weszłam do piekarni–kafejki, bo inne dziewczęta tam nie chodzą,

wolą prawdziwe kawiarnie w mieście. Potem poszłam popatrzeć na wodę. Łabędź mnie osyczał. Buty grzęzły w błocie na brzegu stawu, ale weszłam pod drzewa, szukając wrózek. Była jedna, może dwie, trudne do wypatrzenia; nie miały nastroju do rozmowy, a szkoda, bo w tym tygodniu dostałam tylko jeden list – od ojca.

*Niedziela, 21 października 1979*

James Tip tree junior to kobieta! O rany!

Nigdy bym się nie domyśliła. Do licha, Robert Silverberg też się wygłupił. Chociaż założę się, że go to nie obeszło. Gdybym to ja napisała *Umierając żyjemy*, nie przejmowałabym się potem, nawet gdybym zrobiła z siebie idiotkę. To może najbardziej przygnębiająca na świecie książka, w jednym rzędzie z *Hardym* i *Ajschylosem*, ale jest również niesłychanie błyskotliwie napisana. Opowiadania z tego tomu Tiptree są też dobre, chociaż nie dorównują *Miłość to plan, plan to śmierć*. Przypuszczam, że udawała mężczyznę, żeby zdobyć szacunek, ale Le Guin tego nie robiła, a i tak była szanowana. Dostała Nagrodę Hugo. Wydaje mi się, że Tiptree w pewien sposób poszła na łatwiznę. Jednak jeśli uświadomić sobie, jak jej bohaterowie uwielbiają udawanie i przebieranie się, może ona ma tak samo? Wydaje mi się, że wszyscy pisarze używają swoich postaci jako masek. Ona nałożyła tylko kolejną warstwę, męskie nazwisko. Gdybym to ja napisała *Miłość to plan, plan to śmierć*, to może też bym nie chciała, żeby ludzie wiedzieli, gdzie mieszkam.

Dziś tylko ja nie dostałam bułeczki – nie żeby mi na tym szczególnie zależało. Nawet Deirdre dostała jedną od Karen. Deirdre patrzy na mnie dziwnie, jakby się nad czymś zastanawiała, coś okropnego. Znacznie lepiej rozumiem teraz to, dlaczego Tyberiusz polegał na Sejanie. I dlaczego został dziwakiem. Kiedy zostawiają cię w spokoju, tak jak mnie teraz, nie jest tak fajnie, jak mi się wcześniej wydawało. Czy właśnie tak ludzie przechodzą na stronę zła? Tego nie chcę.

Napisałam do cioci Teg, starając się, żeby list był pogodny. Napisałam też do ojca, mając nadzieję, że może uda mi się go namówić,

by mnie do niej zawiózł, i może też do Dziadka do szpitala. To jedyni bliscy, jacy mi pozostali. *On* pewnie by nie chciał ich widzieć, ale mógłby poczekać w samochodzie. Byłoby naprawdę miło zobaczyć ludzi, którzy mnie lubią. Jeszcze pięć dni do końca semestru i wyrwę się stąd na tydzień.

*Poniedziałek, 22 października 1979*

Dziś na chemii Gili usiadła obok mnie. Bardzo dzielnie, zważywszy na to, jak zachowywała się reszta dziewczyn.

– Nie uważasz mnie za trędowną wudu? – zapytałam ją wprost, pod koniec lekcji.

– Mam ścisły umysł – odparła. – Nie wierzę w takie bzdury. A poza tym wiem, że naraziłaś się, posyłając mi bułeczkę.

Była już pora lunchu, więc poszłyśmy razem do stołówki. Nie obchodzi mnie, co pomyślą inne. Powiedziała, że w ogóle nie czytuje beletrystyki, ale pożycz mi zbiór esejów Asimova *The Left Hand of the Electron*. Ma trzech braci, wszyscy są starsi od niej. Najstarszy jest na Oksfordzie. Wszyscy też mają ścisłe umysły. Lubię ją. Przy niej odpoczywam.

*Mag* jest dziwaczny. Nie wiem, czy mi się podoba, ale nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do lektury, i cały czas o nim myślę. Nie jest to książka o magii, ale wyczuwa się podobną atmosferę. Dziwnie mi się czyta, bo bohater cały czas wędruje kilometrami po wyspie pachnącej tymiankiem, tak jak robiłyśmy to my. Chętnie szłyśmy przez wiele kilometrów po *dramroads*, do Llwydcoed albo do Cwmdare. Zwykle podjeżdżałyśmy autobusem do Penderyn, potem chodziłyśmy po wzgórzach przez wiele godzin. Uwielbiałam widoki ze szczytów. Kładłyśmy się w trawie i wypatrywałyśmy na niebie skowronków. Zbierałyśmy kłaczki wełny pozostawione przez owce, rozczesywałyśmy i oddawałyśmy wrózkom.

*Wtorek, 23 października 1979*

Z moją nogą jest dziś bardzo źle. Są dni, kiedy mogę mniej więcej chodzić, a w inne jest fatalnie. Pewnie mogłabym te pierwsze nazwać

dniami, kiedy schody są niewygodą, a pozostałe dniami, kiedy schody są torturą. Dzisiejszy zdecydowanie należy do tego drugiego rodzaju. Dostałam kolejny list, niech to szlag. Powinam je palić czy coś w tym rodzaju. Niemal promieniują złą energią. Widzę je kątem oka, chociaż może to ból wyczynia ze mną dziwne rzeczy. W piątek koniec semestru. Ojciec zabierze mnie o szóstej. Nie powiedział dokąd, ale w każdym razie daleko stąd. Nie mogę zabrać ze sobą tych listów, chociaż oczywiście nie mogę też ich zostawić.

Nie bardzo wiem, jak kończy się *Mag*. Zakończenie jest nawet bardziej niepewne niż *Tritona*. Kto pisze ostatnie zdanie po łacinie, której prawie nikt nie rozumie? To książka z biblioteki, ale delikatnie dopisałam ołówkiem tłumaczenie:

*Jutro będzie miłość dla niekochanych i miłość dla kochanka.*

Więc Alison chyba w końcu go pokocha, tylko nie wiem, jaki z tego pożytek. Przedtem to nie wystarczyło. Pragnął jej tak naprawdę tylko wtedy, gdy myślał, że umarła.

Nie chciałam się znaleźć w ostatnim rozdziale, w Londynie, kiedy Nicholas chce wrócić do tajemnicy, czymkolwiek ona jest. Nie powinnam była odzywać się do tamtej wróżki. Niech kto inny zrobi coś z holenderską chorobą wiązów, to nie moja sprawa. Skończyłam z ratowaniem świata, i tak nigdy nie spodziewałam się, że będzie mi za to choć trochę wdzięczny. Ten głupi ból świdruje monotonnie moje nerwy i zaczynam rozumieć Nicholasa aż za dobrze. Tylko nie chciałam być tak żałosna, jak on.

*Czwartek, 25 października 1979*

Po raz pierwszy od wieków nie padało, a moja noga zachowywała się nieco lepiej, więc podczas wolnej półgodziny po odrabianiu pracy domowej wyszłam na dwór. Powędrowałam na skraj boiska, nad brzeg rowu, gdzie wcześniej widziałam wróżkę, i w małym ognisku spaliłam wszystkie listy. Było już prawie ciemno, ogień zapłonął od razu, od jednej zapalki, i palił się bardzo jasno. Pewnie to z powodu papieru fotograficznego, który częściowo spaliła, a teraz tęsknił za ogniem. „Złość często sama siebie złością niszczy”<sup>17</sup>, jak to ujął Gandalf.



„Często” nie znaczy „zawsze”. Nie można polegać na tej zasadzie, chociaż bywa słuszna.

Kiedy listy znalazły się w ogniu, poczułam się znacznie lepiej. Pojawiło się kilka wrózek, tańczyły wokół płomieni tak, jak to zawsze robią. Nazywałyśmy je salamandrami albo igneidami. Mają zdumiewające barwy – błękit migocze i staje się pomarańczowy. Większość z nich zachowywała się tak, jakby mnie nie widziały, albo jakbym ja nie widziała ich, ale jedna spoglądała na mnie, w dodatku jakoś tak z ukosa. Gdy spostrzegła, że patrzę, zrobiła się żółta, w takim odcieniu jak cętki na korze wiązu, więc domyśliłam się, że wie, o co wtedy pytałam.

– Co mogę zrobić? – zapytałam żałośnie, pomimo wszystkiego, co pisałam wczoraj o Nicholasie.

Kiedy się odezwały, wszystkie zniknęły, ale po chwili wróciły. Nie są takie same jak wróżki dookoła naszego domu. Może dlatego, że nie ma tu ruin, w których mogłyby zamieszkać. Wróżki zawsze sprawiają wrażenie, że wolą miejsca odzyskane przez przyrodę. Na lekcji historii omawialiśmy ostatnio temat związany z ogradzaniem pól. W całym kraju istniały wspólne, dzikie tereny, takie jak Common Ake, gdzie chłopcy mogli wypasać trzodę i zbierać drewno i jagody. Ziemi te nie należały do nikogo konkretnego, ale do wszystkich. Założę się, że roiło się tam od wrózek. Potem wielcy właściciele ziemscy nakłaniali ludzi, żeby ogradzali kawałki ziemi i urządzali na nich schludne małe farmy. Chłopcy nie zdawali sobie sprawy, jak ciężko im będzie bez wspólnych gruntów, a potem było już za późno. Tereny wiejskie powinny mieć takie pasma dzikich gruntów, bez nich giną. Tutejszy teren jest pod pewnymi względami bardziej martwy niż wielkie miasta. Rów i drzewa są tu tylko dlatego, że przylegają do szkolnego gruntu, a drzewa za księgarnią rosną na skraju majątku.

Wróżki nie mówiły do mnie, nie wypowiedziały nawet kilku słów tak jak ta, którą widziałam wcześniej na drzewie. Jednak ta żółta wciąż ostrożnie na mnie zerkiała, więc czułam, że mnie rozumie. Czy raczej coś rozumiała. Nie wiem na pewno co.

Wróżki takie są. Nawet te, które dobrze znałyśmy, którym nadałyśmy imiona i które z nami rozmawiały, czasem zaczynały

zachowywać się dziwnie.

Znów wszystkie zniknęły, a listy zamieniły się w popiół, spłonęły szybko. Ruth Campbell przyłapała mnie i dała mi dziesięć punktów karnych za rozpalenie ognia. Dziesięć! Potrzeba aż trzech punktów dla domu, żeby anulować jeden punkt karny, co jest moim zdaniem zdecydowanie nie w porządku. Tylko że w ciągu semestru zarobiłam czterdzieści punktów dla domu – za pierwsze miejsce w klasie i za dobre oceny. A dostałam jedenaście punktów karnych, czyli skasowałam sobie trzydzieści trzy. To głupi system i mam go w nosie, ale uczciwie oceniając: czy można go uważać za sprawiedliwy?

Najdziwniejsze, że Ruth była znacznie bardziej zdenerwowana niż ja. Jest gospodynią klasy, a jednocześnie należy do Scotta, więc dając mi dziesięć punktów karnych, zaszkodziła własnemu domowi. Przejęła się tym bardziej niż ja. Jeśli się dostanie dziesięć punktów karnych, w najbliższą sobotę ma się szlaban i nie można jechać do miasta, ale teraz to się nie liczy, bo w tym tygodniu kończy się semestr. I tak nic mi za to nie grozi, a mam wystarczająco dużo zdobytych punktów, żeby zniwelować karne, jednak lepiej się postarać, żeby nikt mnie więcej na niczym nie przyłapał.

I tak nie zdołałabym spalić szkoły. Ogienek był malutki, pod kontrolą, miałam wieloletnią wprawę w rozpalaniu małych ognisk. Wiedziałam, co robię. A nawet gdybym nie wiedziała, znajdowałam się daleko od zabudowań, grunt był rozmiękły od ciągłych deszczów, a rów pełen wody. Wokół leżało mnóstwo mokrych liści, które mogłabym nagarnąć, gdyby zaistniało najmniejsze niebezpieczeństwo – a nie zaistniało. Przyjęłam punkty karne, bo nie życzyłam sobie, żeby sprawa trafiła przed oblicze nauczyciela. Lepiej niech w tym nie myszkują. Ruth skonfiskowała mi zapalki.

To wielka ulga, że listy zostały unicestwione. Bez nich jest mi o wiele lżej.

*Piątek, 26 października 1979*

Przez cały dzień w szkole panowało prawie namacalne podniecenie. Każda z nas chce się stąd wyrwać. Dziewczęta rozmawiały

o planach na ten tydzień, przechwalając się aż do znudzenia. Sharon wyjeżdża dziś rano, szczęściara, bo Żydzi nie mogą podróżować w piątek w nocy ani w sobotę. A jeśli jednak dokądś pojedą? Pewnie narażają się na cały ciąg nieszczęść.

Kilka dziewczyn wyjechało zaraz po zakończeniu popołudniowych zajęć. Pozostałe wyglądały przez okna w bibliotece, starając się zobaczyć marki podjeżdżających samochodów i co mają na sobie matki odbierające swoje córki. Po Deirdre przyjechała starsza siostra w białej mini. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek zostało jej to zapomniane. Matki, jak się okazuje, powinny mieć na sobie burberry i głowy owinięte jedwabnymi szalami. Burberry to uznana marka nieprzemakalnego płaszcza.

Nikt mnie nie zapytał, w co ubiera się moja matka, bo nikt ze mną nie rozmawia. Ale to dobrze. Matka wkłada co trzecią sztukę odzieży ze swojej garderoby według jakiegoś dziwnego rytuału, który tylko ona sama rozumie. Nie wiem, czy robi tak, bo to czynność magiczna, czy jest po prostu szalona. Czasami wygląda jak facet, a kiedy indziej zupełnie normalnie. Normalna bywa przeważnie wtedy, kiedy to potrzebne – na przykład w sądzie. Gdy widziałam ją tam ostatnio, wyglądała skromnie i szacownie. Dawno temu, kiedy prowadziła przedszkole, zawsze sprawiała wrażenie rozsądnej nauczycielki – no, ale wtedy Babcia jeszcze żyła i mogła ją utrzymywać w ryzach. Czasem wybierała się na zakupy w ślubnej sukni albo nosiła zimowy płaszcz w lipcu lub coś lekkiego w styczniu. Włosy ma długie i czarne, ale nawet uczesane przypominają gniazdo węży. Gdyby włożyła burberry i jedwabny szal, wyglądałaby jak w przebraniu, jak w szmacie, którą wytarto ołtarz po złożeniu ofiary.

Ojciec pojawił się w gromadzie innych rodziców i nikt nie robił uwag na jego temat. Wyglądał jak zwykle. Obawiam się, że utrwalił mi się nawyk zerkania na niego z ukosa. Nie wiem dlaczego, bo to absurd, skoro przez cały czas pisaliśmy do siebie jak normalni ludzie. Zawiózł mnie do Old Hall.

– Zostaniemy tu na noc, a jutro zabiorę cię do mojego ojca – oznajmił. Reflektory oświetlały drogę daleko przed nami. Widziałam króliki uciekające na pobocze i ażurowe szkielety gałęzi podświetlane na

moment, po czym znikające w ciemnościach. – Zatrzymamy się w hotelu. Mieszkałaś kiedyś w hotelu?

– Każdego lata – odparłam. – Wyjeżdżałyśmy do Pembrokeshire i mieszkaliśmy w hotelu przez dwa tygodnie. Zawsze w tym samym.

Wspominając tamte czasy, poczułam ucisk w gardle. Doskonale się wtedy bawiliśmy. Dziadek woził nas na różne plaże, do zamków i dolmenów. Babcia snuła opowieści z dawnych czasów. Była nauczycielką, jak wszyscy w rodzinie, chociaż ja twardo postanowiłam, że nie podtrzymam tradycji. Uwielbiała wakacje, nie musiała wtedy gotować, a obie z ciotką Teg mogły się zrelaksować i zaśmiewać do łez. Czasem zjawiała się moja matka. Przesiadywała w kawiarniach, gdzie paliła papierosy i jadła dziwaczne potrawy. Kiedy nie przyjeżdżała, było zdecydowanie lepiej. Jednak w Pembrokeshire łatwiej dawało się jej unikać, było jej jakoś mniej. Mor i ja miałyśmy własne zabawy, a w hotelu zawsze były inne dzieci, które mogłyśmy wciągać do udziału w grach i organizowania rozrywki dla rodziców.

– Jedzenie było tam dobre? – spytał.

– Cudowne – odparłam. – Jadaliśmy specjalne dania, takie jak melon i makrela.

Pyszności, w domu nigdy tego nie było.

– No cóż, tam, dokąd jedziemy, też będzie dobre jedzenie – obiecał. – A jakie jest w szkole?

– Ohydne! – Rozśmieszyłam go opisem. – Jest jakaś szansa, żebyśmy mogli pojechać do Południowej Walii?

– Nie mogę cię tam zawieźć. Ale gdybyś chciała pojechać pociągiem, na jakieś dwa dni, nie widzę przeszkód.

Nie byłam pewna, czy chcę, bo jadąc pociągiem, byłabym w nim uwięziona, a poza tym byłaby tam ona – gdyby chciała mnie pochwycić, fizycznie, nie wiedziałabym, co zrobić. Chociaż być może nie zbliżyłaby się do mnie. Dość łatwo daje się jej unikać. Musiałabym tylko nie myśleć o magii.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Old Hall, ciotki siedziały w saloniku. Nie jest to pokój do przyjmowania wytwornych gości, lecz miejsce, gdzie można spokojnie porozmawiać. Co prawda niewiele mówiły. Pocałowałam je, potem zawadziłam o biblioteczkę Daniela i

udałam się do łóżka z *Końcem Wieczności* pod pachą.

*Sobota, 27 października 1979*

Nie miałam pojęcia, że Londyn jest taki wielki. Ciągnie się bez końca. Jakby podkradał się do ciebie i zanim się obejrzysz, był już wszędzie dokoła. Ma puste miejsca na peryferiach, które po trochu są zabudowywane.

Ojciec mojego ojca ma na imię Sam. Bardzo śmiesznie wymawia słowa. Zastanawiam się, czy przezywają go Komuchem? Mieszka w części Londynu zwanej Mile End, nosi mykę, ale poza tym ani trochę nie wygląda na Żyda. Włosy – a nadal ma ich mnóstwo, chociaż jest stary – ma zupełnie białe. Nosi haftowaną kamizelkę, bardzo piękną, ale trochę poprzecieraną. Jest strasznie stary.

Jadąc samochodem, przez całą drogę rozmawialiśmy o książkach. Ojciec nie powiedział nic o Samie poza tym, że do niego jedziemy. Myślałam o hotelu i o Londynie, więc był to rodzaj niespodzianki, kiedy podjechaliśmy pod dom. Ojciec zatrąbił rytmicznie klaksonem, drzwi się otworzyły i stanął w nich Sam. Mój ojciec przedstawił nas sobie na chodniku, Sam uściskał i mnie, i jego. Z początku czułam niepokój, bo nie jest podobny do nikogo ze znanych mi osób, a najmniej do Dziadka. Jeśli chodzi o mojego ojca i jego siostry, łatwo jest trzymać ich na dystans, a nawet myśleć o nich z dystansem – chyba dlatego, że są Anglikami. Ale Sam w najmniejszym stopniu nie jest angielski i tak po prostu, w jednej chwili zaakceptował mnie. Przy nich trojgu cały czas czuję się niepewnie, jakbym przechodziła okres próbny.

Sam wprowadził nas do środka i przedstawił mnie gospodyni jako swoją wnuczkę. Powiedziała, że widzi rodzinne podobieństwo.

– Morwenna odziedziczyła wszystko po mojej rodzinie – przyznał.  
– Popatrz na jej karnację i włosy. Wygląda jak moja siostra Rivka, *zichrona livracha*.

Nie rozumiałam, więc przetłumaczył:

– To znaczy „błogosławiona jej pamięć”. W ten sposób, nie przerywając rozmowy, można dać do zrozumienia, że mówimy o kimś, kto nie żyje.

Zapytałam, w jakim to języku i jak to się pisze. Okazało się, że po hebrajsku. Sam powiada, że żydzi zawsze modlą się po hebrajsku. Może któregoś dnia będę potrafiła powiedzieć „moja siostra Mor, *zichrona livracha*” – tak po prostu.

Sam zabrał nas na górę do swojego pokoiku. Musi być dziwnie, tak mieszkać na górze w czyimś domu. Widać, że ma mało pieniędzy. W pokoju stoi łóżko, umywalnia i jedno krzesło, a książki piętrzą się wszędzie. Jest tam też toaletka, na której oprócz stert książek stoją elektryczny samowar i szklanki. Jest i kot, tłusty i rudo-biały, nazywa się Przewodniczący Mao, czy może Przewodniczący Miau. Rozłożył się na połowie łóżka, ale kiedy usiadłam na skraju, wszedł mi na kolana. Sam powiada – kazał mi mówić do siebie po imieniu – że znaczy to, iż mnie lubi, a nie wszystkich ludzi darzy sympatią. Pogłaskałam go delikatnie i nie podrapał mnie po minucie tak, jak to robi Persimmon cioci Teg. Zwinął się w kłębek i zasnął.

Sam zaparzył herbatę dla mnie i dla siebie. Ojciec dostał whisky. Strasznie dużo pije, teraz też zszedł do hotelowego baru, żeby się napić. I dużo pali. Byłoby niesprawiedliwe, gdybym powiedziała, że ma same złe nawyki, w końcu pomógł mi wyrwać się od matki i płaci za moją szkołę. Chociaż nie można powiedzieć, że chciał mnie mieć. Herbata była w szklankach, a te w metalowych koszyczkach. Sam nie dodał do niej mleka ani cukru, przez co była o wiele smaczniejsza. Miała przyjemny aromat. Zaskoczyło mnie to, bo na ogół nie lubię herbaty i zwykle piję przez uprzejmość. Wodę nalał z elektrycznego samowara, który podobno utrzymuje właściwą temperaturę.

Po dłuższej chwili, patrząc na książki, zauważyłam na wierzchu jednej ze stert *Manifest komunistyczny*. Chyba wydałam jakiś dźwięk, bo obaj na mnie spojrzeli.

– Właśnie zauważyłam, że masz *Manifest komunistyczny* – wyjaśniłam.

Sam się roześmiał.

– Pożyczył mi go dobry przyjaciel, doktor Schechter.

– Właśnie niedawno go czytałam.

Znowu się roześmiał.

– Piękny sen, ale nie da się go wprowadzić w życie. Popatrz tylko,

co się teraz dzieje w Rosji albo w Polsce. Marks to jak Platon, miał marzenia nie do zrealizowania, przynajmniej dopóki ludzie pozostaną ludźmi. Doktor Schechter nie potrafi tego zrozumieć.

– O Platonie też czytałam – przyznałam się. Oczywiście była o nim mowa w *The Last of the Wine*, o Sokratesie też.

– Czytałaś o Platonie? A samego Platona?

Pokręciłam głową.

– Powinnaś go czytać i zawsze dyskutować z jego tezami – stwierdził. – Chyba mam tu gdzieś coś Platona po angielsku.

Zaczął przekładać sterty książek, a ojciec mu pomagał. Też bym się włączyła, ale nie mogłam się ruszyć, mając na kolanach śpiącego Przewodniczącego Miau. Sam znalazł Platona po grecku, po polsku i po niemiecku, a jak mogłam się zorientować po tym, co mamrotał, grzebiąc w książkach, umiał czytać we wszystkich tych językach i oczywiście po hebrajsku. Chociaż jego angielszczyzna jest trochę dziwna i specyficznym wymawiana, a sam mieszka w małym wynajmowanym pokoiku, jest człowiekiem wykształconym. Przyglądałam się, jak ojciec pomaga mu przerzucać książki i spostrzegłam, że bardzo się lubią, chociaż tego nie okazują.

– Ach, mam – powiedział Sam. – *Uczta* po angielsku, dobre na początek.

Był to cienki czarny tomik klasyki Penguina.

– Jeśli mi się spodoba, mogę sobie zamówić więcej w bibliotece – pochwaliłam się.

– Zrób to. Nie bądź taka jak Daniel, czyta tylko beletrystykę i nie ma czasu na prawdziwe książki. Ze mną jest odwrotnie. Nie mam czasu na literaturę piękną.

– Mam w szkole taką przyjaciółkę – rzekłam. – Czyta artykuły naukowe dla przyjemności.

Okazało się, że Sam czytał niektóre szkice Asimova, a oprócz tego ma jego książkę o Biblii!

– Książka o Biblii napisana przez żydowskiego ateistę, oczywiście musiałem ją mieć. – Uśmiechnął się.

Kiedy się ściemniło, ojciec poderwał się i stwierdził, że koniecznie musi zabrać nas na obiad. Poszliśmy do pobliskiego lokalu, gdzie

jedliśmy placuszki zwane blinami, z wędzonym łososiem i kremowym serkiem, bardzo smaczne, chyba najpyszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam. Potem były wspaniałe pierogi nadziewane serem i ziemniakami, które byłyby najsmaczniejsze, gdybyśmy wcześniej nie jedli słonego łososa. A potem jeszcze naleśniki z dżemem. Wszyscy znali Sama i podchodzili, żeby się przywitać i przedstawić. Z początku wydawało mi się to trochę krępujące, ale szybko przywykłam, bo Sam zachowywał się tak, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Widziałam, że traktuje tych ludzi jak rodzinę, należeli do wspólnoty.

Lubię Sama. Niechętnie się z nim pożegnałam. Zapisałam sobie jego adres i dałam mu swój, szkolny. Chciałam z nim porozmawiać o tym, jak to jest być Żydem i co mówiła Sharon, i o moich przemyśleniach na temat bycia „ryżowym żydem” – ale nie przy moim ojcu, bo czułam się niezręcznie. Z Samem łatwiej się rozmawia. Przede wszystkim nie muszę być mu wdzięczna, a on nie ma poczucia winy wobec mnie.

Zajechaliśmy do hotelu. Nie dorównuje temu, w którym mieszkaliśmy w Pembrokeshire. Jest bezosobowy. Zajmujemy wspólny pokój, czego się nie spodziewałam, ale ponieważ ojciec od razu zszedł na dół do baru, mogłam być sama. Tej nocy cofamy zegary, można pospać godzinę dłużej!

*Uczta* jest wspaniała. Przypomina *The Last of the Wine*, chociaż akcja rozgrywa się oczywiście wcześniej, kiedy Alkibiades był młody. To musiały być wspaniałe czasy.

*Niedziela, 28 października 1979*

Jestem w pociągu, długim Intercity z Londynu do Cardiff. Pędzi po szynach z równą prędkością, zarówno przez tereny wiejskie, jak i miasta. Siedzę w kącie wagonu i nikt nie /wraca na mnie uwagi. Jest wagon–kawiarnia, gdzie można dostać paskudne kanapki i okropne napoje gazowane albo kawę. Kupiłam sobie kitkata i jem go bardzo powoli. Pada deszcz, poprzez co tereny wiejskie wyglądają czyściej, a miasta brudniej.

Fantastycznie jest mieć na sobie własne ubranie. Wczoraj też je



miałam, ale nie zwracałam na to uwagi aż tak bardzo jak dziś. Siedzę sobie sama, wyglądam przez okno i fajnie się czuję w dzinsach i tolkienowskim podkoszulku zamiast ohydneho mundurka.

Zabawne, piszę pismem lustrzanym, żeby nikt inny nie mógł tego przeczytać, ale chciałabym następny fragment zaszyfrować podwójnie, tak na wszelki wypadek – pisać nie tylko od prawej do lewej, ale też do góry nogami. Notes jest zamykany na zameczek. Mam szczęście, że potrafię posługiwać się lustrzanką, po prostu używając lewej ręki. Mam w tym taką wprawę, że piszę niemal tak szybko jak prawą ręką.

No tak.

Ubiegłej nocy, kiedy już skończyłam pisać, poczytałam sobie trochę (*World of Ptavvs* Nivena), a potem zgasiałam światło. Usnęłam, ale później *on*, mój ojciec – naprawdę powinnam mówić o nim Daniel, tak ma przecież na imię i tak nazywa go Sam – Daniel przyszedł, zapalił światło i mnie obudził. Był pijany. Płakał. Próbował wejść do mojego łóżka i mnie pocałować. Musiałam go odepchnąć.

Wiem, mówiłam, że nie mam nic przeciwko uprawianiu seksu.

Z jednej strony miło pomyśleć, że ktoś mnie pragnie. Dotykanie też jest miłe. No i seks także, a chociaż w szkole nie ma żadnej prywatności, to poprzedniej nocy miałam okazję. (Jak dużo czasu to zajmuje? Masturbacja to pięć, góra dziesięć minut. W książkach nigdy nie jest napisane, jak długo to trwa. Bron i Spike robili to godzinami, no, ale to był ekshibicjonizm). Wiem z *Time Enough for Love*<sup>18</sup>, gdzie wszystko jest dokładnie opisane, że kazirodztwo niekoniecznie musi być czymś złym – w końcu nie czuję, że jest moją rodziną. Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym chciała to robić z Dziadkiem, uch! Uch!!! Ale z nim, z Danielem, to naprawdę tylko kwestia pokrewieństwa, bo poza tym jesteśmy zupełnie sobie obcy. No i jest coś takiego jak antykoncepcja – wolałabym ją stosować w każdym przypadku. Mam dopiero piętnaście lat, więc to nielegalne, nie warto iść za to do więzienia. Jednak wydawało mi się, że on mnie pragnie, a czy ktoś inny by mnie chciał, taką połamaną? Nie chcę być zdeprawowana, chociaż pewnie już jestem. Tak czy siak, powiedziałam „nie”, zanim sobie to wszystko przemyślałam, bo był pijany i żaloszny. Odepchnęłam go, a on poszedł spać na drugie łóżko i głośno chrapał. A ja leżałam i

rozmyślałam o Heinleinie i opowiadaniu Sturgeona z *Niebezpiecznych wizji*. Czy gdyby wszyscy mężczyźni byli braćmi, pozwoliłbyś' któremuś' ożenić się z twoją siostrą?. Świetny tytuł.

Rano zachowywał się, jakby nic nie zaszło. Znów nie patrzyliśmy na siebie, jedliśmy w hotelowym bufecie niedosmażony bekon i zimne jajka sadzone. Dał mi pieniądze na pociąg i dodatkowe dziesięć funtów na książki. Nawet jeśli część z nich przeznaczę na jedzenie i autobus, powinnam i tak kupić przynajmniej z dziesięć książek. W kwestii pieniędzy zachowuje się bardzo dziwnie, czasem jakby nie miał ich w ogóle, a kiedy indziej wręcza mi je, ot tak. Muszę wrócić do Shrewsbury w najbliższą sobotę, bo w niedzielę wieczorem mam być z powrotem w szkole. To i tak tydzień, cały tydzień wolności. Daniel spotka się ze mną na stacji w Shrewsbury. A ciocia Teg wyjdzie po mnie w Cardiff, dzisiaj. Dzwoniłam do niej z Paddington. Tymczasem znajduję się pomiędzy, pomiędzy wszystkim, pomiędzy światami, jem kitkata i piszę. Lubię pociągi.

*Poniedziałek, 29 października 1979*

Przerwa międzysemestralna wypada tu inaczej niż w Arlinghurst, tutaj wolny mieli zeszły tydzień. Typowe. Więc ciocia Teg prowadzi lekcje, a wszyscy moi przyjaciele są w szkole. Dojechałam wczoraj wieczorem, zjadłam pieróg z serem cioci Teg i zasnęłam zaraz po późnym obiedzie.

Dzisiaj poszłam do Cardiff i kupowałam książki. U Learsa mają amerykańskie wydania. W Chapter & Verse jest miło i zawsze tam wpadam, ale nie mają wydawnictw importowanych. Mnóstwo tu antykwariatów. Jeden znajduje się w Castle Arcade, jeden na Hayes i jeszcze jeden przy Kasynie, w którym na zapleczu można dostać pornografię. Wydaje mi się, że jestem jedyną osobą, która kupuje tam książki w pomieszczeniu od frontu. Zawsze patrzą na mnie podejrzliwie, jakbym chciała przemknąć na to ich głupie zaplecze i kupować tę głupią pornografię. A może wcale nie chcą sprzedawać normalnych książek od frontu, bo musieliby uzupełniać towar? Znalazłam *The Best from Galaxy* tom IV za dziesięć pensów, z opowiadaniem *Zelaznego*<sup>19</sup>.

Wieczorem poszliśmy zobaczyć się z Dziadkiem. Wyszedł już ze szpitala i mieszka w domu opieki, który nazywa się Fedw Hir. Wszyscy poza nim są tam praktycznie wariatami. Jeden facet siedzi i bez przerwy mówi „bla, bla, bla”. Drugi co jakiś czas krzyczy. To najbardziej przygnębiające, straszne miejsce, jakie w życiu widziałam, pełne starców o zapadniętych policzkach i otepiałych spojrzeniach, którzy siedzą na łóżkach ubrani w piżamy i wyglądają, jakby znajdowali się w przedsionku śmierci. Dziadek należy do tych lepiej się trzymających. Ma sparaliżowaną jedną stronę ciała, ale drugą za to silną i może mówić. Umysł pracuje w porządku, chociaż skóra przybrała chorobliwy odcień. Włosy, odkąd pamiętam, zawsze miał siwe, ale teraz są zupełnie białe, z jednym pasmem barwy skwaśniałego mleka.

Może mówić, chociaż nie ma za dużo do powiedzenia. Ma jednak nadzieję, że wkrótce wróci do domu, ale ciocia Teg tak nie myśli, aczkolwiek ma zamiar zabrać go na Boże Narodzenie. Chce, żebym i ja przyjechała, na co powiedziałam, że owszem, ale pod warunkiem, że nie będę musiała widzieć się z matką. Nie wiem, jak nam się uda to zorganizować. Dziadek był zachwycony, że mnie widzi, i chciał wiedzieć wszystko – jak mi się powodzi i co robię – ale oczywiście nie było łatwo opowiadać. Dawno zabronił wspominać o Danielu, od czasu, kiedy ten porzucił moją matkę. Więc oczywiście nie mogłam nic o nim powiedzieć. Mówiłam tylko o szkole, starając się omijać niemiłe tematy – jak tam jest okropnie i jak wszyscy mnie nienawidzą. Za to chwaliłam się ocenami i opowiadałam o bibliotece. Chciał wiedzieć, czy stan mojej nogi się poprawia – powiedziałam, że owszem.

Ale oczywiście tak nie jest. W sumie to nic takiego. Boli, lecz mogę chodzić. Jestem mobilna. A on tu utknął, chociaż ciocia Teg mówi, że ma zabiegi fizjoterapeutyczne.

Kiedy wychodziłyśmy, ciocia, która przychodzi tu często, powiedziała „dobranoc” mężczyznom, których zna, ale oni albo nie odpowiadali, albo wyli lub się jękali. Nie mogłam pozbyć się wspomnień o Samie, który jest w podobnym wieku co oni, widziałam, jak krząta się w swoim ciepłym pokoiku, wśród stosów książek, przy elektrycznym samowarze. On jest człowiekiem, a ci tutaj to tylko ludzkie odpady.

– Musimy zabrać stąd Dziadka – stwierdziłam.  
– Owszem, tylko że to nie takie proste. Sam nie da sobie rady. Mogę odwiedzać go w weekendy, ale potrzebowałby na stałe pielęgniarki. A prywatnie to kosztuje. Mają nadzieję, że może uda mu się przydzielić jedną na wiosnę.  
– Mogłabym z nim mieszkać i mu pomagać – powiedziałam, i przez chwilę pomysł wisiał w powietrzu jak gwiazdka nadziei.  
– Musisz chodzić do szkoły. A zresztą nie mogłabyś mu pomagać w przemieszczaniu się. Opiera się całym ciężarem na osobie, która go podtrzymuje.  
Ma rację. Ugięłabym się, moja noga nie dałaby rady nas unieść i oboje wylądowalibyśmy na podłodze.  
Powinnam do niego pisać. Przecież mogę wysłać miłe, optymistyczne listy. Ciocia Teg leż może je czytać, mieliby o czym rozmawiać podczas odwiedzin. Musimy go stąd zabrać. Koniecznie. To niewiarygodnie ponure miejsce. A ja myślałam, że w szkole jest źle.

*Worek, 30 października 1979*

Wyruszyłam dziś w dolinę czerwono-białym autobusem. Było interesująco. Jechaliśmy starą drogą aż do końca, wąskimi uliczkami z tarasowo rozmieszczonymi domkami, przez Pontypridd, i przez całą drogę widziałam okropne hałdy i wysypiska kopalniane, i brzydkie domki stojące ciasno obok siebie, a ponad tym wszystkim wzgórze. Kiedy dojechałam do Aberdare, wysiadłam i powędrowałam w głąb *cwm* ((wymawia się kuum) – po walijsku „dolina” (przyp. tłum.)) do ruin, które nazywałyśmy Osgiliath. Nie wiem, co tu wcześniej było. Drzewa były nagie, a na ziemi leżał dywan mokrych liści. Akurat nie padało, całe szczęście, bo kiedy już tam dotarłam; koniecznie musiałam usiąść. Nie pamiętałam, że to tak daleko. A raczej pamiętałam, że to około kilometra od przystanku autobusowego, ale teraz to było dla mnie daleko.

Nie szukałam wróżek, w każdym razie nie nastawiałam się specjalnie na spotkanie z nimi. Chciałam tylko się tam znaleźć. Jednak wróżki były. Między innymi Glorfindel. Czekały na mnie.

Chciałabym móc opisać naszą rozmowę jak u Tolkiena, z elfami: „Długo cię oczekiwaliśmy, Mori, i tęskniliśmy za tobą, daremnie szukaliśmy cię wśród drzew i pałaców. Wieści nas doszły z odległego kraju, że wciąż kroczysz po świecie, oddzielona od swej bliźniaczki, więc czekaliśmy na ciebie w nadziei aż do dziś, kiedy wietrzyk przyniósł nam wieść o twoim przybyciu. Bądź powitana wśród nas, albowiem wielka jest nasza potrzeba”. Jednak oczywiście nie tak się to odbyło. Czasami Mor i ja odgrywałyśmy sceny dialogowe z wróżkami, mówiłam w podobnym stylu to, co one powinny powiedzieć. Ta przemowa oddaje sens wypowiedzi Glorfindela, a raczej tego, co chciał rzec, tylko że obyło się prawie bez słów, a te nieliczne były walijskie i miały zupełnie inny charakter.

Glorfindel jest piękny. Wygląda jak młodzieniec dziewiętnasto- lub dwudziestoletni, ma ciemne włosy i szare oczy. Nosi płaszcz z liści, który wiruje wokół niego, tylko że to wcale nie jest płaszcz. Nie mógłby go zdjąć.

Wrózki są bardzo mądre. Czy raczej – dużo wiedzą. Mają ogromne doświadczenie. Rozumieją działanie magii lepiej niż ktokolwiek inny. Dlatego gdyby moja matka zdołała nad nimi zapanować, doszłoby do wielkiej katastrofy. Użyłaby tej wiedzy dla zdobycia władzy. Nie mogłyby temu zapobiec. Nie wiem, jak by się to odbiło na realnym świecie. Ale nie sądzę, żeby stała się naprawdę mroczną królową, nie dosłownie. Jednak chociaż nie może w ten sposób osiągnąć swoich celów, próbuje czegoś innego. Powinnam się była tego spodziewać.

Glorfindel chce, żebym jutro poszła przez Ithilien do labiryntu Minosa. Twierdzi, że przyjdą tam umarli. Jutro Halloween. Powiedział, że będę potrzebowała dębowych liści i muszę zrobić drzwi dla nich, dla tych umarłych. W ten sposób „ona” nie zdoła nad nimi zapanować. Wrózki dużo wiedzą, ale niewiele mogą zdziałać, nie potrafią tak naprawdę oddziaływać na nasz świat ani wpływać na różne rzeczy. Muszą szukać ludzi, którzy to za nie robią, w tym przypadku mnie. Glorfindel twierdzi, że i tak wiele osiągnął, ściągając mnie tu w tym tygodniu. Nie wiedział, gdzie jestem, dopóki nie odezwałam się do wróżki nad rowem, i nie mógł do mnie dotrzeć aż do momentu, gdy spaliłam listy. Potem tak wpłynął na zdarzenia, żeby sprowadziły mnie

do niego. (Spowodował zmianę szkolnego rozkładu zajęć? We wszystkich szkołach? Pomoc Daniela? Sprawił, że nabrałam dziś ochoty na wyprawę do *cwm*? Czasami nienawidzę magii).

Powiedział, że pójdzie łatwo, nie tak jak ostatnim razem. Bez ryzyka. Jedyna trudność polega na tym, że będę musiała dotrzeć tam o zmierzchu. Spodziewałam się problemów, ale kiedy skłamałam cioci Teg, że chcę iść na podwieczorek do Moiry, koleżanki z podstawówki, zaproponowała, że wpadnie po mnie o siódmej i zabierze do Fedw Hir, znów do biednego starego Dziadka.

Czytam *The Spell Sword*<sup>20</sup> Marion Zimmer Bradley. Fajne, jak na razie.

*Środa, 31 października 1979*

Ledwie się udało, chociaż nie tak, jak przypuszczałam.

Po pierwsze, był to baaardzo długi spacer. Kiedy szłam, nie było koło mnie ani jednej wróżki. Nienawidzą bólu. Wiem o tym od początku, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego tak mają. Nawet podrapane kolano czy skręcona kostka potrafią sprawić, że uciekają w popłochu. Silny ból pulsujący w mojej nodze przy każdym kroku musiał je odstraszyć i odpędzić na wiele kilometrów. Dobrze, że wyruszyłam wcześniej. Kiedy już znalazłam się na miejscu, ból powoli minął. Labirynt króla Minosa jest na samej górze, na Graig. To jedna z najwyższej położonych ruin, bardzo stara huta i kopalnia rudy, niezbyt głęboka i w większości zasypana. To, co z niej zostało, rzeczywiście wygląda jak labirynt, a w każdym razie jest to plątanina korytarzy. Trzeba wędrować między ścianami, a chociaż żadna nie sięga wyżej niż do ramion, idzie się jak przez labirynt. Miejsce, gdzie było wejście do kopalni, znajduje się w samym centrum, jest lekko zagłębione, prowadzi do niego rodzaj szerszej alejki. Usiadłam na murku, oparłam obok łaskę i odpoczywałam. Mżyło, więc nie mogłam czytać, chociaż oczywiście zabrałam ze sobą książkę. Był to *Babel-17* Delany'ego, czytałam go w autobusie. Przyniosłam też dębowe liście, zbierałam je po drodze przez gęsto zalesione Ithilien. Glorfindel nie powiedział, ile ma ich być, więc przez calusieńką drogę upychałam je do torby. Dęby nie zrzucają liści

przez całą zimę, jak mallorny, więc łatwo je znaleźć.

Włożyłam szkolny płaszcz, bo nie mam innego. Uciekając, żadnego nie zabrałam. Szkolny ma naszytą tarczę Arlinghurst z różą i mottem DUM SPIRO, SPERO, które nawet mi się podoba: „Póki życia, póty nadziei”. (Słyszałam, jak ktoś żartem twierdził, że szkoła zdecydowała o zmianie motta na „Słyszę, widzę, uczę się”, w tłumaczeniu *Audio, video, disco*). Myślałam nad tym przez dłuższą chwilę. Będąc daleko od szkoły, lubię jej motto. Za to kiedy w niej jestem, czuję, że muszę nienawidzić wszystkiego, co się z nią wiąże, żeby się nie poddawać. Kiedy tak siedziałam, szkoła wydawała mi się bardzo odległa, niezależnie od obowiązkowego płaszcza. Krajobraz Dolin ma w sobie coś takiego, że wszystko inne wydaje się dalekie i niewarte uwagi.

Po jakimś czasie pokazało się blade słońce. Chmury pędziły po niebie. Spoglądałam w dolinę z punktu niemal tak wysokiego, jak ich pułap. Nie rośnie tam wiele drzew, tylko dwie mikre jarzębiny tuż przy wejściu do kopalni. Po niebie krążyły stadka ptaków, prawdopodobnie chciały się zdecydować, w jakim kierunku lecieć. W promieniach słońca pojawiły się wróżki zerkające na mnie zza ścian, a na końcu przybył Glorfindel.

Nie ma idealnego sposobu na zapisanie dialogu z wróżką. Albo ubieram go w stosowne słowa, czyli tak naprawdę go wymyślam, albo usiłuję przedstawić coś, co tylko częściowo zawiera wyrazy, zresztą bardzo nieliczne. A jeśli zapisuję go tak jak wczoraj, kłamię. Podaję to, co chciałabym, żeby zostało powiedziane, podczas gdy padło zaledwie parę słów, za to przepłynęło mnóstwo emocji. Jak mam o tym pisać? Może Delany by potrafił.

Zresztą i tak niewiele rozmawialiśmy. Glorfindel siedział obok i prawie mogłam go wyczuć. Potem czułam go zupełnie realnie, co było naprawdę niezwykle, aż wreszcie miałam odczucia natury seksualnej. Wiem, to nie do pomyślenia, przecież to wróżka. Pozostałe przysunęły się bliżej, co mnie zaniepokoiło, a wtedy Glorfindel stał się tak niematerialny jak zwykle, chociaż wciąż siedział tuż obok.

Przypomniałam sobie, że znam opowieści o kobietach, które uprawiały seks z wróżkami, i zawsze kończyło się to ciążą. Przyjrzałam

się Glorfindelowi, i owszem, jest piękny, i... bezwzględnie męski, i... patrzy na mnie z głębokim uczuciem, i, owszem, chciałabym – ale gdyby to miało oznaczać... nie. W żadnym wypadku! Nawet jeśli wszyscy normalni mężczyźni, których spotykam, patrzą na mnie jak na psie mięso. Zresztą z Glorfindelem to byłoby poniekąd kazirodztwo. Albo i gorzej.

– Nietknięta? – zapytał, czy coś w tym rodzaju, nigdy nie jestem do końca pewna, co to słowo oznacza. Jednak wiedziałam, o co mu chodzi.

– Jak na razie, przeganiałam wszystkich, którzy próbowali – powiedziałam nieco gwałtowniej, niż zamierzałam, chociaż to szczerą prawdą. Jednak Daniela nie trzeba było jakoś szczególnie przeganiać. – Pamiętasz Karla?

– Martwy – stwierdził z pełną satysfakcją stanowczością.

Karl nie żyje. Był policjantem, wyjechał do Irlandii Północnej, bo tam lepiej płacili, i trafił na bombę. Można to ująć inaczej: zapytałam Glorfindela, jak się go pozbyć, a potem ukradłam jego grzebień i utopiłam w trzęsawisku Croggin. Działo się to, kiedy Karl mieszkał z moją matką. Przyszedł do mojego pokoju, usiadł zbyt blisko i próbował mnie dotykać. Ugryzłam go mocno, a on mnie uderzył, ale się wycofał. Wiedziałam, że na tym się nie skończy. Miałam wtedy dopiero czternaście lat. Wrzucenie czyjegoś grzebienia do trzęsawiska to nie morderstwo. Kiedy wyjechał, wydawało mi się, że tym samym sprawa została załatwiona.

Glorfindel patrzył tylko na mnie. Wiedziałam, że jest moim przyjacielem na tyle, na ile może nim być wróżka. Wiele z nich nie troszczy się o ludzi ani nawet o resztę świata, a te, którym zależy, też nie są w niczym podobne do ludzi. Nie wiem, co dla niego znaczyło budzące się między nami pożądanie. Naprawdę nie ma na imię Glorfindel, w ogóle nie ma imienia. Nie jest człowiekiem. Czulałam to bardzo wyraźnie.

Słońce osuwało się za wzgórze, na którym siedzieliśmy, ale jeszcze nie zaszło, sąsiednia dolina wciąż była zalana dziennym światłem. Chociaż przypuszczam, że zawsze jest taka kolejna dolina, gdzieś w innej części świata, aż do przejścia jednego dnia w kolejny.



Nasze cienie były już bardzo długie. Glorfindel wstał i kazał mi rozsypać spiralnie liście w labiryncie, kończąc przy jarzębinach. Zrobiłam, co chciał, a potem znów usiadłam i czekałam. Zapadał zmrok. Nie byłam pewna, czy zobaczę cokolwiek, czy może będzie tak, jak już się zdarzało; że zrobiłam, co mi kazano, a nie miało to żadnego sensu, i nie wiedziałam, czy w ogóle i jak zadziało. Niebo blakło aż do momentu, gdy wszystko straciło kolory, chociaż nie zapadła jeszcze ciemność. Zaczęłam rozmyślać o tym, jak okropnie będzie wracać w tych warunkach.

Nadeszli z doliny, o zmierzchu, wzdłuż *dramroad*. Przypuszczam, że byli duchami, procesją zmarłych. Nie było wśród nich bladych królów i dziewic, szli tylko spracowani mężczyźni i kobiety. Zupełnie zwyczajni ludzie, tyle że martwi. Nie dałoby się pomylić ich z żywymi. Nie byli przezroczyści, tylko wyprani z barw i jakby niezupełnie materialni. Jednego z mężczyzn rozpoznałam. To on siedział w Fedw Hir niedaleko Dziadka i bełkotał. Teraz kroczył sprężysto, twarz miał poważną i spokojną, były od niego godność i poczucie celu. Schylił się i podniósł ze ścieżki jeden z przyniesionych przeze mnie liści, po czym przechodząc między pniami dwóch drzew, podał go komuś jak bilet w kinie. Nie widziałam tego kogoś, w ogóle nie widziałam tam niczego prócz ciemności.

Niektórzy kręcili się wokół przejścia – doszli tak daleko, a nie mogli wejść z powodu czegoś, co zrobiła moja matka. Kiedy zobaczyli, jak stary mężczyzna podaje liść, zaczęli je podnosić i przechodzili po kolei. Szli ochoczo i z godnością, nie odzywali się, wchodzili pojedynczo między drzewa i znikali w ciemności. Nie wiem, czy wnikali pod ziemię, czy we wzgórze, czy przechodzili do innego świata, a może przedostawali się tam, gdzie czekała ich przeprawa przez Acheron albo jeszcze gdzieś indziej. Widziałam otyłą kobietę i młodego *mężj* czynę z hełmem motocyklowym, którzy najwyraźniej szli razem. Umarli widzieli siebie nawzajem, ale wydawało się, że nie widzą ani mnie, ani wrózek, które tłoczyły się po obu stronach ścieżki. Motocyklista gestem pokazał kobiecie, żeby szła pierwsza, co też zrobiła z pełną powagą, jakby wchodzili do kościoła.

A wtedy spostrzegłam Mor. Nie spodziewałam się tego. Szła sobie,

nie przejmując się niczym, z liściem w rękę, jakby grała ważną rolę w przedstawieniu. Wykrzyknęłam jej imię, a ona odwróciła się i uśmiechnęła, ucieszona tak bardzo, że o mało nie pękło mi serce. Wyciągnęłam do niej rękę, ona swoją do mnie, ale tak naprawdę Mor tam nie było. Tak samo jest z wrózkami, a teraz było nawet gorzej. Rozejrzała się przestraszona i wtedy zobaczyła wróżki unoszące się nad ścieżką.

– Puść ją – szepnął mi do ucha Glorfindel, a jego ciepły oddech rozwiął mi włosy.

Nie przytrzymałam jej, chociaż tego chciałam. Nasze dłonie wyciągały się ku sobie, lecz nie mogły się zetknąć, niemal czułam fizyczny kontakt, powietrze świeciło fioletowo. Był to jedyny widzialny kolor. Normalnie nie dałoby się go zobaczyć, ale przez ostatni rok musiał ciągnąć się za mną jak zerwana pajęczyna.

– Wstrzymasz albo umrzesz – powiedział mi do ucha.

Zrozumiałam go, chciał powiedzieć, że mogę zatrzymać ją tutaj, co jednak będzie miało złe skutki – wierzyłam mu, chociaż tego nie rozumiałam – albo przejdę razem z nią przez drzwi do świata zmarłych. Równało się to samobójstwu. Tyle że nie potrafiłam jej puścić. Tak trudno było żyć bez niej, ten rok był koszmar. Cały czas chciałam umrzeć, gdyby to było konieczne, by do niej dołączyć.

– W połowie – odezwał się znów Glorfindel, i nie miał na myśli tego, że bez siostry jestem w połowie martwa, ani że ona jest w połowie drogi na drugą stronę. Chciał powiedzieć, że jestem w połowie czytania *Babel-17* i jeśli przejdę z Mor, nigdy się nie dowiem, co było dalej.

Bywają dziwniejsze powody, żeby pozostać wśród żywych.

Są książki. Jest ciocia Teg i Dziadek. I Sam, i Gili. Jest wypożyczanie międzybiblioteczne. Są książki, w których można zanurzyć się bez reszty. Odległa nadzieja na przyszły karass. I Glorfindel, który naprawdę się o mnie troszczy, na tyle, na ile wróżka potrafi troszczyć się o cokolwiek.

Puściłam. Niechętnie, ale to zrobiłam. Mor trzymała mnie mocno, więc nic to nie dało. Jeśli chciałam nadal żyć, musiałam ją odepchnąć, zerwać jakąkolwiek więź, choć ona płakała, wołała moje imię i trzymała się mnie tak mocno, jak mogła. To najtrudniejsza rzecz, jaką

kiedykolwiek musiałam zrobić, było gorzej, niż kiedy umarła. Gorzej, niż gdy mnie od niej odciągnęli, włożyli jej ciało do karetki i pozwolili jechać z nią nie mnie, tylko matce, która bez przerwy się uśmiechała. Gorzej, niż kiedy ciocia Teg powiedziała mi, że moja siostra nie żyje.

Mor zawsze była dzielniejsza niż ja, bardziej praktyczna, miłsza. Była lepszą połówką nas dwóch.

Teraz bała się, samotna, opuszczona i martwa, a ja musiałam ją odepchnąć. Zmieniała się, czepiała się mnie jak bluszcz, jak wodorosty, oplatała mackami, przylepiała jak muł z bagniska, nie dawała się strząsnąć. Nie mogłam się jej pozbyć, a chociaż się zmieniała, przez cały czas wiedziałam, że to wciąż jest Mor. Czułam, że to ona. Bałam się. Nie chciałam jej zranić. W końcu stanęłam mocno na chorej nodze. Przerażliwy ból przerwał więź, tak jak odstraszał wróżki. Moje żywe „ja” mogło odczuwać ból, tak samo jak mogło zbierać dębowe liście i zanieść je na wzgórze.

Wtedy odeszła, a w każdym razie próbowała, lecz zmierzch już zmienił się w mrok i nie mogła przekroczyć drzwi, bo już ich tam nie było. Stała wśród drzew i znów wyglądała jak dawniej, taka młoda i zagubiona, aż o mało nie wyciągnęłam do niej ręki. A potem zniknęła w mgnieniu oka, tak jak to robią wróżki.

Droga powrotna była bardzo długa, samotna, w ciemnościach. Z każdym krokiem obawiałam się, że spotkam matkę, która przyjdzie sprawdzić, dlaczego jej plan zagarnięcia ich wszystkich się nie powiódł. Mogła tego próbować ze względu na Mor, teraz to zrozumiałam, bo Mor była jej córką z krwi i kości. Cały czas miałam świadomość, że nie mogę biec, a matka może. Mor wydawała się odleglejsza niż kiedykolwiek. Wszystkie wróżki oczywiście uciekły. Nawet *Babel-17*, który miałam w torbie, wydawał się bardzo odległy. Jednak ciocia Teg czekała przy samochodzie, a Dziadek w Fedw Hir tak się cieszył na mój widok, że gdybym odeszła, pewnie pękłoby mu serce. Łóżko, na którym leżał bełkoczący mężczyzna, było puste, jego ciało już zabrano. Miał szczęście, że mógł odejść tej nocy. Ludzie, którzy umierają w listopadzie, muszą czekać cały rok. Jak Mor. Co się z nią stało? Czy będzie musiała czekać do przyszłego roku?

*Czwartek, 1 listopada 1979*

Im dłużej o tym wszystkim myślę, tym mniej rozumiem, co się wydarzyło. Czy w każdej dolinie znajduje się takie przejście? A co z ludźmi, którzy umierają na równinach? Czy przejście jest stare, starsze niż kopalnia, czy raczej kopalnia doprowadziła do jego powstania tam, gdzie wcześniej było gładkie zbocze? Dokąd oni poszli? Czy to naprawdę byli oni, prawdziwi, wszyscy? A co z Mor? Gdzie teraz jest? Może jednak matka ją dopadła? Czy wróżki jej pomogą? A jarzębiny? Nigdy nie słyszałam, żeby jarzębina była drzewem śmierci – to już raczej cisy, takie, które sadzą na cmentarzach. No i dębowe liście, zeschnięte, złociste dębowe liście. Jeden został mi w torbie. To nie znaczy, że dla kogoś zabrakło. Mor trzymała jeden, a kiedy odchodziłam, wiele jeszcze szeleściło na ścieżce, zaniiosłam ich więcej, niż było potrzeba. Wydawało mi się, że wysypałam wszystkie, ale jeden schował się pod okładką *Babel-17*. Co za dziwna książka! Czy język rzeczywiście kształtuje sposób, w jaki myślimy? Tak po prostu?

Dzisiaj mam tylko same pytania.

Byłam wykończona, a noga nie nadawała się do użytku, więc zostałam w domu i przez cały dzień czytałam. Ugotowałam obiad dla cioci Teg, żeby zjadła coś, kiedy wróci ze szkoły – pieczarki z pieca z cebulką, serem i śmietaną, ziemniaki w mundurkach, też z serem, i zielony groszek. Powiedziała, że to bardzo miło z mojej strony i że mężczyźni codziennie tak mają, jeśli w domu czeka na nich żona, ale ona nie potrzebuje męża, który oczekiwałby od niej obsługi, ale żony, która robiłaby to dla niej. Przyjemnie było gotować prawdziwe jedzenie. Jest w tym coś łączącego nas z naturą. Nie robiłam niczego magicznego, poza zwykłymi czarami, dzięki którym wielkie, płaskie kapelusze pieczarek oraz surowe ziemniaki przeobrażają się w coś absolutnie pysznego. Po prostu ugotowałam obiad. Zastanawiam się jednak, na ile gotowanie dla innej osoby jest czynnością magiczną, bardziej, niż mi się dotąd wydawało. Sądzę, że tak może być. Przybory kuchenne cioci Teg nie bardzo mnie lubią, tak jak Persimmon. Noże i obieraczki nie ranią mnie, ale zachowują się w moich rękach niezdarnie. Wiedzą, że nie

jestem osobą, która powinna ich używać.

Jest taka powieść fantasy Heinleina, *Szlak chwały*. To dopiero coś! Zastanawiam się, czy Daniel ją ma? Jeśli nie, istnieje przecież błogosławione wypożyczenie międzybiblioteczne.

*Piątek, 2 listopada 1979*

Dziś znowu pojechałam autobusem do Aberdare. Nie znalazłam żadnego śladu po Mor ani wrózkach, chociaż przez cały czas miałam wrażenie, że gdy tylko zaczynam ich szukać, znikają, by pojawić się miejscach, gdzie nie mogę ich znaleźć. To taka zabawa, oczywiście, ale nie chcę brać w niej udziału. Pragnę odpowiedzi, powinnam też wiedzieć, czy naprawdę niemożliwe jest nakłonienie ich do odpowiadania wprost, nawet jeśli czegoś ode mnie potrzebują, a teraz najwyraźniej tak nie jest.

Poszłam do domu Dziadka. Nadal mam klucz. Bardzo ciężko obrócić go w zamku i miałam problem z dostaniem się do środka. Ciocia Teg utrzymuje go w czystości, ale pomimo to pachniało kurzem i opuszczeniem. To bardzo mały domek, wciśnięty między dwa inne. Kiedy mieszkała w nim ciocia Florie, nie było łazienki, wanna stała w kuchni, a toaletą był *ty bach*, wychodek na dworzu. Tak było i za życia moich pradziadków. Dziadek, kiedy tu zamieszkał, założył porządny wodociąg i kanalizację. Lubiłam kąpać się w kuchni, przy piecu węglowym. Było tam zaskakująco przytulnie. Jednak nie znosiłam spacerów do wychodka, szczególnie nocą.

Dziadek sprowadził się tu po śmierci Mor, żeby uciec od mojej matki. Wszyscy od niej uciekają. Oficjalnie nigdy tu nie mieszkałam, tylko z nią. Bywało, że rzeczywiście spędzałam z nią trochę czasu, jeśli nalegała, ale przebywałam głównie tutaj, dopóki Dziadek był zdrowy. Miałam własną sypialnię, a w niej łóżko z domu i niebieską skrzynię. Większość moich książek i ubrań została w domu matki, ale znalazłam tu wełniany sweter Mor, moje drelichowe szorty z naszytym lwem i numer *Destinies*<sup>21</sup>. To amerykański almanach science fiction, który wygląda jak paperback, można go dostać u Learsa i go uwielbiam. W poniedziałek kupiłam nowy numer, kwietniowo–czerwcowy. Odłożyłam

go na powrotną podróż pociągiem.

Zostawiłam trochę książek. Wiem, że nie będę miała do nich dostępu aż do Bożego Narodzenia, ale ich stosy zaczynają się już piętrzyć, a poza tym jestem przekonana, że i tak w najbliższym czasie nie będę chciała czytać ich jeszcze raz. W szkole nie mam na nie miejsca. Tak czy siak, nawet gdyby mi ich brakowało, to lepiej, że będą tutaj. Jeśli Dziadkowi poprawi się na tyle, żeby mógł opuścić Fedw Mir i wrócić do domu, ja też będę mogła tu wrócić. Danielowi niezbyt na mnie zależy, jestem pewna, że nie miałby nic przeciwko temu. Czuję się, jakbym nigdzie nie mieszkała i wkurza mnie to. Świadomość, że na parapecie mojej sypialni leży ułożonych w porządku alfabetycznym osiem książek, jest pocieszająca. To też magia, magiczny łącznik. Matka nic może tu się dostać, a nawet gdyby mogła, to przecież tylko książki. Nie da się uprawiać magii za pomocą książek, chyba że to bardzo szczególne egzemplarze. Gdyby mogła dzięki nim coś zrobić, to przecież ma moją biblioteczkę. U niej jest o wiele za dużo moich rzeczy, ale nie mam sposobu, żeby je stamtąd zabrać.

Jeśli znowu ją pokonam, a mam wrażenie, że to się może udać, czy wtedy będzie próbowała się mścić? Ostatnim razem tak nie było. To wszystko mnie dołuje, szczególnie że nie mogę znaleźć Glorfindela i zadać mu tych dziewięciu milionów pytań, które mnie gnębią.

Frontowe drzwi nie dały się zamknąć. Zamknęłam je więc od środka i wyszłam tylnymi, a potem wrzuciłam klucz od tych ostatnich przez otwór na listy. Powiedziałam o tym cioci Teg, która w najbliższym czasie tam wejdzie.

Widziałam się z Moirą, Leah i Nasreen dziś po południu, po szkole. Pytały mnie, jakie jest Arlinghurst. Niewiele mówiłam, tylko mało ważne rzeczy. Leah ma chłopaka, Andrew. Kiedy wszyscy byliśmy mali, był taki dobry z rachunków. Przypomniałam im o tym, a Moira stwierdziła, że niektórzy z nas wciąż są mali. Akurat ma etap przyspieszonego wzrostu. Ciekawe, czy mnie też to spotka. Odkąd skończyłam dwanaście lat, przez cały czas jestem tego samego wzrostu. Wtedy byliśmy najwyższe w klasie, ale teraz prawie wszyscy mnie przerośli. Przekazały mi ploteczki. Dorcas, która zawsze była najlepsza z francuskiego i walijskiego, i której rodzice wyznają którąś z tych

zwariowanych religii, są Adwentystami Dnia Siódmego, czy coś w tym rodzaju, zaszła w ciążę. Sue wyjechała, bo jej rodzice przenoszą się do Anglii. Słuchając tego, czułam się, jakbym wróciła do normalnego świata, ale jednocześnie dość dziwnie, jakbym tylko udawała.

Jutro wracam do Shrewsbury, akurat wtedy, kiedy one będą miały wolne i mogłybyśmy razem czymś się zająć.

*Sobota, 3 listopada 1979*

Pociąg jadący z Crewe jest o wiele mniejszy niż ten z Londynu. Ma korytarz i małe przedziały po osiem miejsc, coś w rodzaju ławek umieszczonych naprzeciwko siebie. Na górze jest siatka na bagaż, a na ścianach wiszą czarno-białe fotografie różnych miejscowości – w moim przedziale jest to Newton Abbott, o którym nigdy nie słyszałam. Zastanawiam się, gdzie to jest. Wygląda na mile miejsce. Przez większość drogi miałam cały przedział tylko dla siebie, chociaż w Abergavenny wsiadła pani w średnim wieku z dwójką dzieci, by następnie wysiąść w Hereford. Nie przeszkadzali mi specjalnie. Przez większość czasu wyglądałam przez okno lub czytałam, najpierw *Destinies*, a potem napoczęłam *Callahan's Crosstime Saloon*<sup>22</sup> Spidera Robinsona, który też kupiłam u Learsa.

Pociąg jedzie wzdłuż walijskiej granicy. Kiedy już wydostanie się z Cardiff i Newport, pędzi wśród wzgórz i pól, a potem przejeżdża przez granicę. Słońce pojawiało się i znikło za chmurami, jak to jesienią, a powietrze nasączone było tym popołudniowym dziwnym światłem, które nadaje otoczeniu pozór świata podwodnego. Chmury tworzyły łąty cienia na wzgórzach, a tam, gdzie padały promienie słońca, wydawało się, że od trawy bije blask, przy którym można nawet czytać. Z okien pociągu widać Sugarloaf, bardzo się wyróżnia spośród innych wzgórz. Czasem jeździłyśmy do Abergavenny i śpiewałyśmy w samochodzie piosenkę: „Jedziemy przez wzgórza do Abergavenny, z nadzieją na piękną pogodę”. Ten widok sprawia, że robi mi się ciepło na sercu, nawet jeśli patrzę tylko na stację kolejową i wzgórza za nią. Kiedy będę pisała do Dziadka, wspomnę, że tędy przejeżdżałam. Za Abergavenny pociąg gdzieś tam przejeżdża granicę z Anglią, bo Hereford jest już po

angielskiej stronie, Ludlow też. Ludlow to małe targowe miasteczko. Z pociągu wygląda bardzo podobnie do Oswestry, tylko jest tam trochę cieplej.

Ostatnia stacja przed Shrewsbury to Church Stretton. Do mojego wagonu wsiadło tam mnóstwo ludzi i mój zaciszny kącik, gdzie było mi tak wygodnie przez całą drogę, zrobił się trochę zatłoczony. Nastrój też mi się popsuł. Aż do tego momentu cieszyłam się podróżą i jakoś nie myślałam o tym, dokąd zmierzam.

Daniel nie czekał na mnie na stacji w Shrewsbury. Spodziewałam się, że będzie stał na peronie, ale go nie zobaczyłam. Minęłam barierkę i wyszłam na parking. Wpadłam na pomysł, żeby wsiąść do autobusu, lecz nie miałam bladego pojęcia, do którego i w jakim kierunku. W Dolinach znam rozkład jazdy autobusów i wiem, którymi najlepiej jechać. Czerwono—białe jeżdżą do Cardiff, a bordowe to linie lokalne. Łatwo myśleć o *dramroads* i o tym, jak różne rzeczy pasują do siebie, ale nigdy dotąd nie pomyślałam, że dobrze by było orientować się w komunikacji autobusowej tutaj. Teraz stałam i czułam, że utknęłam. Miałam torbę z osobistymi rzeczami i drugą pełną książek, więc nie byłam przesadnie obciążona, ale też nic było to tak zupełnie nic.

Z dziesięciofuntowego banknotu zostały mi jeszcze dwa funty i dziesięć pensów. (Wydaje się, że to niewiele, lecz kupiłam mnóstwo książek). Wróciłam na stację do kiosku WHSmitha i poprosiłam o mapę Shrewsbury i okolic wydaną przez Ordnance Survey. (Zawsze mi się wydawało, że w nazwie jest „Ordnance”, ale nie. „Ordnance”. Śmieszne słowo i śmieszne pojęcie. Dawniej zajmowali się wymierzaniem całego kraju na potrzeby wojskowej logistyki, a teraz po prostu sprzedawali wszystkim mapy. No cóż, nie planowałam inwazji). Wróciłam na parking i usiadłam na ławce. Znalazłam na mapie Micklęham, gdzie stoi Old Hall, i doszłam do wniosku, że autobus do Wolverhampton zapewne przejeżdża w pobliżu, a wtedy wreszcie pojawił się Daniel. Zobaczyłam, jak podjeżdża swoim czarnym bentleyem. Z poczuciem ulgi złożyłam mapę i schowałam; ale zdążył ją zobaczyć.

– Widzę, że kupiłaś mapę – zauważył.

– Mapy są bardzo interesujące, naprawdę – odparłam, trochę zakłopotana, chociaż to on powinien czuć się niezręcznie, skoro się



spóźnił.

Wsiadłam do samochodu. Daniel wyrzucił peta przez okno i dopiero mszył. Nie powinien tego robić, nawet na parkingu. To paskudny nawyk. Mógł zaproszyć ogień. Patrzyłam na niego z dezaprobatą.

Myślę, że kupię sobie tyle map Ordnance Survey, ile tylko znajdę. Są podzielone na logiczne kwadraty. –Mogłabym zebrać komplet i mieć cały kraj na mapie. Wtedy zawsze znalazłabym drogę i wiedziałabym, jak położone są miejscowości względem siebie. Co prawda nie miałabym z tych map wiele pożytku, gdyby leżały w domu, podczas gdy ja byłabym gdzieś indziej. Musiałabym po prostu dobrze zorganizować każdy wyjazd i wkładać do torby mapę miejscowości, do której się udaję, i może jeszcze mapy okolic.

W Shrewsbury kupiliśmy dla mnie nowy mundurek. To miasteczko, nie miasto. Wydaje się zbudowane w całości z różowego kamienia.

Zajechaliśmy do Old Hall na ciepły podwieczorek. Na zwykły jest zazwyczaj herbata, ciasteczka, drożdżowe bułeczki i małe kanapki, a na ciepły coś bardziej konkretnego i na ogół na gorąco. Tym razem było to gorące danie z makaronu, sera i szynki, ale wszystko pozostałe było na zimno. Kanapki z tuńczykiem i ogórkiem, z szynką i natką pietruszki oraz z serem i piklami. Bardzo mi smakowały. Bułeczki natomiast były suche jak pustynia Kalahari. Kiedy próbowałam posmarować je masłem, rozpadały się na okruchy. Piekłam lepsze, gdy miałam zaledwie cztery lata. Nie powiedziałam tego głośno, ale może następnym razem poproszę którąś z ciotek (wciąż nie potrafię ich odróżnić), żeby mogła sama je upiec. Wydaje mi się, że nie będą miały nic przeciwko temu.

Mówiły wyłącznie o szkole i spodziewały się, że dostarczę im świeżych wieści o nauczycielach i osiągnięciach poszczególnych domów. Same należały do Scotta, wszystkie trzy, i bardziej je to wszystko obchodziło niż mnie. Nie rozumiem ich ani trochę. Są dorosłe, mają własny dom – całkiem porządny. Jednak niczym się nie zajmują. Nie czytają, nie pracują, niczego nie produkują. Organizują wyprzedaże staroci na rzecz kościoła. Babcia też to robiła, ale jednocześnie uczyła na pełnym etacie. Utrzymują w domu porządek, ale zajęć jest niewiele dla

trzech osób. Płacą mojemu ojcu za zarządzanie majątkiem i finansami, więc tym też się nie zajmują. Są bogate, w każdym razie myślę, że dostatecznie bogate, ale nie jeżdżą nigdzie, ani nie robią nic, po prostu siedzą, jedzą okropne bułeczki i rozmawiają ze szczerym entuzjazmem o czasach, kiedy Scott zdobył puchar. Nie jestem pewna, w jakim są wieku, ale urodziły się przed rokiem 1940, więc mają przynajmniej po czterdzieści lat, i wciąż jeszcze przejmują się głupim domem, do którego należały, będąc w szkole. Nie udawały na mój użytek. Potrafię wyczuć każdy fałsz. Ze sobą też dużo o tym rozmawiały. Dlaczego tu zostały? I dlaczego żadna nie wyszła za mąż? Może nienawidzą dzieci? Z całą pewnością uważają mnie za dopust boży, ale przecież gdyby chciały, mogłyby mieć własne miłe, doskonale wychowane angielskie dzieci, zawsze idealnie uprzejme.

Daniel ma *Szlak chwały* oraz *Waldo and Magie Inc.* – obie to powieści fantasy Heinleina. Pożyczył mi też *Zaklęty miecz* Poula Andersona. Ciągle jeszcze czytam opowiadania o Callahanie, które są zdumiewająco ładne; niezbyt podobne do *Telempaty*, ale podobają mi się.

Jutro idziemy do kościoła, potem jemy z ciotkami lunch, a następnie wracam do szkoły, niech to szlag.

*Poniedziałek, 5 listopada 1979*

Pamiętam, jak w labiryncie szkoła wydawała mi się bardzo odległym miejscem, ale gdy tylko wróciłam, tak w nią wsiąkałam, jakbym nigdy nie wyjeżdżała.

Zabawne, jak mało znaczące wydają mi się zdarzenia z pierwszego semestru. Przerwa trwała tylko tydzień, ale w porównaniu do tygodnia w szkole tyle się w tym czasie działo, że równie dobrze mógł to być rok. Jednak kiedy zostałam o to zapytana dziś rano podczas francuskiego, w ramach konwersacji, potrafiłam tylko powiedzieć: *Je visite mon grandpère dans Londres et je visite mon autre grandpère dans Pays de Galles*. Wizyty u dwóch dziadków, i to wszystko. Madame skwitowała moją odpowiedź uwagą, że powinno być *en*, a nie *dans*. Zanurzam się w szkole jak w ciepłej wodzie, która zamyka mi się nad głową. Nawet

gdybym mogła opowiedzieć o Halloween, Glorfindelu i umarłych, nie zrobiłabym tego.

*Szlak chwały* głęboko mnie rozczarował. Nie znoszę tej książki. Rzuciłam ją i wzięłam się do pożyczonych od Gili esejów Asimova – tak bardzo jej nienawidzę. Uwielbiam Heinleina, ale on najwyraźniej nie czuje fantazy. Wyjątkowo głupia. Nikt, słysząc „och, Scar”, nie zrozumie tego jako „Oscar”, to zupełnie nieprawdopodobne. Jest prawie tak niedobra, jak jej okładka, a to już o czymś świadczy, bo na jej widok panna Carroll uniosła brwi. Zabawne, że *Triton*, który jest cały o seksie i socjologii, ma na okładce eksplodujący statek kosmiczny, a *Szlak chwały*, w którym seks jest tylko tu i ówdzie wspomniany, a tak naprawdę jest głupią przygodówką, ma okładkę epatującą seksem.

Zorganizowano jakiś konkurs poetycki. Wydaje się, że wszyscy uważają, że bezwzględnie go wygram.

Brakuje mi gór. Wcześniej tak za nimi nie tęskniłam, najwyżej myślałam, jak nieciekawie płasko jest tutaj. Teraz jednak odwiedziłam dom, miałam je dookoła przez krótki czas, więc tęsknię za nimi intensywnie, bardziej niż za żywymi członkami rodziny, bardziej niż za możliwością zamknięcia drzwi w toalecie. Tutaj tak naprawdę nie jest zupełnie płasko, teren jest nieco pagórkowaty, a przy dobrej pogodzie widzę w oddali góry Północnej Walii. Jednak brakuje mi ich bardzo.

*Worek, 6 listopada 1979*

Ubiegłej nocy mieliśmy fajerwerki i ognisko. Widziałam gromadzące się ogniowe wróżki. Nikt inny ich nie zauważył. Można je zobaczyć, jeśli się w nie wierzy, dlatego zdarza się to głównie dzieciom. Tacy ludzie jak ja po prostu nie przestają ich widzieć. Dla mnie byłoby szaleństwem przestać w nie wierzyć. Jednak wielu dzieciom się to zdarza w miarę dorastania, nawet jeśli wcześniej\*je widziały. Nie jestem już dzieckiem, chociaż jeszcze nie całkiem dorosłam. I nie mogę się doczekać, kiedy to wreszcie nastąpi.

Jednak mój kuzyn Geraint, który jest starszy ode mnie o cztery lata, widział wróżki, kiedy bawił się z nami w *cmn*. Miał wtedy jedenaście czy dwanaście lat, a my siedem lub osiem. Powiedziałyśmy

mu, że powinien zamknąć oczy, a kiedy je otworzy, zobaczy wróżki, i tak się stało. Był bardzo zdziwiony. Nie mógł z nimi rozmawiać, bo mówił wyłącznie po angielsku, ale tłumaczyłyśmy to, co on mówił i co mówiły one. Musiałyśmy jednak mieć po osiem lat, bo pamiętam, że swobodnie tłumaczyłyśmy to, co mówiły, na najczystszy „tolkienowski”, a *Władcy Pierścieni* nie czytałyśmy przed ósmym rokiem życia. W tym okresie zawsze szukałyśmy kogoś jeszcze do wspólnej zabawy, szczególnie chłopca, bo opisane w książkach drużyny, które wyruszają do innych światów, mają skład mieszany. Wydawało nam się, że wróżki zabiorą nas do Narnii albo Elidoru<sup>23</sup>. Geraint sprawiał wrażenie dobrego kandydata. Widział wróżki i był nimi zachwycony. Podobały mu się, zresztą z wzajemnością. Tyle że on mieszka w Burgess Hill, niedaleko Brighton, w Aberdare spędzał tylko wakacje, a następnego lata już nie widział wróżek – powiedział, że jest za duży, żeby się w to bawić – to, co się działo rok wcześniej, zapamiętał jako zabawę, podczas której jedynie udawaliśmy, że widzimy wróżki. Chciał już tylko grać w piłkę nożną. Uciekłyśmy i zostawiłyśmy go w ogrodzie z jego głupią piłką. Byłyśmy niepokieszone, ale przynajmniej nie powiedział dorosłym, że zostawiłyśmy go samego; przy obiedzie opowiadał, że fajnie spędził dzień, kopiąc piłkę. Biedny Geraint.

Dziś rano dostałam list, którego oczywiście nie otworzyłam, a drugi od Sama. Pytał, jak mi się podobał Platon i czy znalazłam więcej jego dzieł. Píše dokładnie tak, jak mówi. Odpiszę mu w niedzielę. W szkolnej bibliotece nie ma Platona. Pytałam o to pannę Carroll i powiedziała mi, że w szkole nie uczy się greki, więc nie ma na niego zapotrzebowania. Będę miała problem z wypożyczaniem międzybibliotecznym, bo nie znam nazwisk tłumaczy ani nawet tytułów. Chociaż oczywiście mogę zamówić przynajmniej pozycje wymienione w *Uczcie*, i tak właśnie zrobię.

Penguin to najlepsze wydawnictwo, jeśli chodzi o spisy tytułów danego autora, nawet jeśli samo ich nie wydaje. Na sobotę mam długą listę pozycji do zamówienia, bo w *Prądach czasu* podano spis książek Roberta Silverberga. Zamierzam też zamówić *Beyond the Tomorrow Mountains*. Sylvia Engdahl<sup>24</sup> napisała wspaniałą powieść pod tytułem

*Heritage of the Star*, wydana przez Puffina, który jest imprintem Penguina. Opowiada o ludziach hołdujących wielu przesądom i uważających niektóre technologie za magię, uciskanych przez Uczonych i Techników, a każdy, kto myśli nie tak, jak jest to przyjęte, nazywany jest Heretykiem. A naprawdę są kolonistami na obcej planecie i nie wiedzą o tym – coś wspaniałego. W tej powieści uciskani wierzą w legendę, według której kiedyś dostąpią poznania Prawdy, a ta odmieni ich życie, a wtedy będą mogli udać się do Kraju Poza Górami Jutra. Tom drugi ma właśnie taki tytuł, ale nigdzie go nie widziałam, chociaż szukam od dłuższego czasu.

Konkurs poetycki ma zasięg ogólnokrajowy. Wszystkie uczennice Arlinghurst muszą napisać wiersz, potem w każdej klasie wybierany jest najlepszy i te wybrane wysyłane są dalej. Nie chce mi się wierzyć, że mogę wygrać, jak uważają inni. No dobrze, patrząc realnie – mogę wygrać w młodszej piątej C, a może nawet w ramach wszystkich klas piątych, bo poziom tu mamy nie najwyższy. Ale wygrać ze wszystkimi piętnastolatkami z całego kraju? Mowy nie ma. Najlepsza w szkole dostanie w nagrodę pięćdziesiąt punktów dla domu. Wszystkie dziewczyny podniecają się tym jak diabli. Najlepsze sto wierszy z całego kraju będzie wydane książkowo, a zwycięzca otrzyma sto funtów i maszynę do pisania. Chciałabym ją mieć. Nie umiem co prawda pisać na maszynie, ale materiały wysyłane do czasopism muszą mieć formę maszynopisu.

Podczas lunchu Deirdre przysunęła się do mnie ukradkiem i usiadła na sąsiednim krześle jakby przypadkowo, lecz wyszło to tak niezręcznie, że mnóstwo osób zauważyło, co robi. Wyglądała na przestraszoną, biedactwo, ale zdeterminowaną.

– Mama powiedziała mi, że powinnam się ciebie trzymać – szepnęła.

– Miło z jej strony – skwitowałam spokojnie.

– Pomożesz mi przy wierszu? – poprosiła.

Więc mam jej w czasie przeznaczonym na odrabianie pracy domowej pomóc napisać wiersz, co prawdopodobnie znaczy, że mam go dla niej napisać. Swojego jeszcze nawet zaczęłam, ale do piątku jest jeszcze mnóstwo czasu.

*Czwartek, 7 listopada 1979*

Napisałam wiersz dla Deirdre i byłam z niego zadowolona. Jednak wczoraj, kiedy czytałam *Waldo and Magie Inc.* (to dwie niepowiązane novelle w jednym tomie), nadeszła panna Carroll ze stosem tomików poezji współczesnej i zaproponowała, żebym je przejrzała.

Wygląda na to, że od czasów Chestertona poezja się rozwinęła. Kto mógł o tym wiedzieć? Z pewnością nie Babcia ani nikt we wszystkich szkołach, do których chodziłam. U Delany'ego trafiłam na jedną strofę z poematu Ardena, a nazwiska T.S. Eliota w ogóle nie znałam, Teda Hughesa też nie. Eliot tak mnie wciągnął, że spóźniłam się na łacinę i dostałam upomnienie. Zemściłam się, przetłumaczywszy Horacego w stylu Eliota, a łacinniczka nic na to nie mogła powiedzieć, bo przekład był jednocześnie bardzo dokładny.

Napisałam wiersz na konkurs. Nie jestem tak do końca przekonana, że to dobił wiersz. Opanowałam szkołę Chestertona, naprawdę, ale nie bardzo miałam czas, żeby dobrze poznać ten nowszy styl. Wiersz jest o wojnie nuklearnej, umierających na holenderską chorobę wiążach i o tym, że powinniśmy ruszać w kosmos, dopóki jeszcze możemy.

Najwyraźniej istnieje długi poemat T.S. Eliota o tytule *Cztery kwartety*, jednak nie jest dostępny w szkole. Oczywiście zamówię go w sobotę. Zgodnie z tym, co mówi panna Carroll, kiedy T.S. Eliot pisał *Jałową ziemię*, pracował w banku, bo z poezji nie da się żyć.

*Wtedy się po morskich salach przechadzali,  
Przez wodnice w brunatne glony uwieńczeni,  
Aż zbudziły nas ludzkie głosy, i toniemy...*<sup>25</sup>

*Piątek, 9 listopada 1979*

Kiedy jesienią wszystkie drzewa wyglądają jak martwe, nie wydaje się już tak straszliwe, że wiązy umierają.

Kolejny list. Będę musiała znowu je spalić. Prawie chciałam wiedzieć, czy napisała cokolwiek o tym, co zrobiłam. Miałabym

potwierdzenie. Chociaż i tak wiem, że zadziałało.

Oddałam wiersz. Panna Lewes przeczytała go, ale nic nie powiedziała. Oceniać ma panna Gilbert, która uczy angielskiego w szóstej klasie.

Mam nadzieję, że jutro w bibliotece będzie na mnie czekało trochę książek, bo skończyłam już prawie wszystkie, które mam. Czytam od nowa *Dziewięciu książąt Amberu*.

Wciąż śni mi się Mor. Tonie, a ja nie mogę jej uratować. Popycham ją przed samochód, zamiast odciągnąć na bok. Auto uderza w nas obie. Przypomina mi o tym zdarzeniu każdy krok, który stawiam, ale w snach jest inaczej. Śni mi się, że chowam ją żywcem pośrodku labiryntu, sypię na nią ziemię, która wsypuje się jej we włosy, podczas gdy Mor walczy, żeby się wydostać.

Dziś minął rok. Starłam się o tym nie myśleć, ale świadomość tego wciąż dopada mnie znienacka.

*Sobota, 10 listopada 1979*

Jazda autobusem do miasta i perspektywa znalezienia się w bibliotece napełniały mnie zachwytem. Szare, mokre ulice wydawały się prawie ładne, chociaż nie do końca. Padała drobna mżawka, niebo wisiało nisko.

Bibliotekarz, tym razem mężczyzna, był trochę zaskoczony liczbą książek, które chciałam zamówić, jednak dał mi kupkę blankietów i kazał samej je wypełnić. Czekало na mnie mnóstwo książek! A potem poszłam do księgarni i kupiłam *Cztery kwartety*, *Crow* Teda Hughesa i *Smoczego śpiewaka* Anne McCaffrey. Oprócz tego jeszcze pudełko zapalek.

Nie wzięłam powieści pod tytułem *Jad lorda Foula* Stephena Donaldsona, którą na okładce bezczelnie porównano do „Tolkiena w najlepszym wydaniu”. Wydawca zapewnia na tylnej stronie okładki, że cytat ten pochodzi z „Washington Post”, gazety, której opinie odtąd będą mnie zniechęcać do książek polecanych przez ich recenzentów. Jak śmieli? I do tego co za bezczelność wydawcy! Nie da się niczego porównać z Tolkienem, chyba że „w porównaniu z Tolkienem w

najlepszym wydaniu mamy tutaj do czynienia z paskudztwem”. Chcę powiedzieć, że dotyczy to nawet tak świetnych książek jak *Czarnoksiężnik z Archipelagu*. Przypuszczam, że *Jad lorda Foula* (okropny tytuł, brzmi jak książka o Conanie) jest raczej na poziomie Tolkiena w najgorszym wydaniu, na przykład początku *Silmarilliona*.

*Władca Pierścieni* jest czymś doskonałym. Cały ten świat, to, jak czytelnik się w nim pogrąża, cała ta podróż. Nie jest to opis rzeczywistego świata, więc tym bardziej zdumiewa, że ktoś to stworzył. Czytanie tej książki zmienia wszystko. Pamiętam, jak skończyłam czytać *Hobbita* i wręczyłam Mor, mówiąc: „Przeczytaj. Jest dobra. Nie ma tu gdzieś więcej tego?”. I pamiętam, jak znalazłam ciąg dalszy – wykradłam go z pokoju matki. Kiedy drzwi były akurat otwarte, światło z przedpokoju padło na półki z literami R, S i T. Zawsze bałyśmy się tam wchodzić, bo mogła się kryć w ciemnościach i nas złapać. Raz tak zrobiła, kiedy Mor odkładała *The Crystal Cave*<sup>26</sup>. Gdy brałyśmy którąś z jej książek, pozostałe przesuwaliśmy zwykle tak, żeby nie było widać, iż coś ubyło. Ale jednotomowy *Władca Pierścieni* był tak gruby, że nie dało się tego zrobić. Bałam się bardzo, że zauważy. O mało nie zrezygnowałam. Ona jednak albo nie zauważyła, albo jej nie zależało – pewnie była zajęta jednym ze swoich chłopaków.

Wracam do Tolkiena i tego, czym jest jego trylogia.

Kiedy się ją czyta, jest tak, jakby się tam było. Jakby się znalazło magiczne źródło na pustyni. Jest tam wszystko. (Oprócz pożądania, stwierdził Daniel. Ale za to jest Smoczy Język).

To oaza dla ducha. Zawsze mogę zagłębić się w Śródziemiu i być szczęśliwa.

Jak można porównać cokolwiek do tej trylogii? Nie mogę uwierzyć, że Stephen Donaldson jest aż tak arogancki i bezczelny.

*Niedziela, 11 listopada 1979*

Wymknęłam się przez okno sypialni w środku nocy, zrobiłam krąg i spaliłam w nim listy. Nikt mnie nie widział. Krąg zrobiłam z rzeczy, które leżały dookoła – liści, patyków i kamieni, dołożyłam liść dębowy, mój kawałek drewna i kamyk z kieszeni, pochodzący z plaży w Amroth.



Czułam, że to działa, tak jakbym znalazła się pod parasolem. Najpierw przeczytałam listy. Chciałam wiedzieć, co w nich było. Mogłam się nie fatygować. O tym, co zrobiłam, napisała tylko: „zawsze byłaś tą bardziej podobną do mnie” – no cóż, równie dobrze można powiedzieć, że bałwan jest bardziej podobny do chmury niż do kawałka węgla, ale i tak nie jest to żadne podobieństwo. Złożyłam je w piramidkę i podpaliłam. Nie oglądałam zdjęć, ale widziałam, że tam były.

Rozgrzebałam popiół, żeby absolutnie nic nie zostało. Potem zabrałam swój kamyk i uniosłam w kierunku światła księżyca (w trzeciej kwadrze, nie wiem, czy to dobrze) i próbowałam zrobić z niego amulet chroniący przed złymi snami. Nie wiem, czy mi się udało. Zabrałam też dębowy liść i moje drewno.

Wpełzłam z powrotem przez okno i wróciłam do łóżka. Wszystkie dziewczęta spały. Światło księżyca padało na twarz Lorraine, sprawiając, że wyglądała na przedziwnie piękną i odległą, jakby umarła, jakby leżała tak martwa od stuleci albo była marmurowym posągami na własnym grobowcu.

Wciąż trapiła mnie myśl, że jeśli nadal będzie przysyłała mi listy, będę musiała wciąż je palić. Późną nocą można zrobić to bezpieczniej, biorąc pod uwagę szkolny regulamin, niż kiedy dookoła kręcą się ludzie.

Deirdre dała mi bułeczkę, lukrowaną, kupioną w sklepie Fine Fare, lepka i słodka. Sprzedają je w paczuszkach po sześć, więc podarowała je wielu dziewczętom, ale spodobał mi się ten gest. Miło nie być tak do końca pariasem.

Napisałam do Daniela o Callahanie i o arogancji Stephena Donaldsona. Do Sama – o Platonie i o tym, że zamówiłam więcej jego książek, a oprócz tego o *The Last of the Wine*, bo nawet jeśli nie lubi powieści, akurat ta mogłaby mu się spodobać. Napisałam do Dziadka o tym, jak przejeżdżałam przez Abergavenny, i jak tęsknię za wzgórzami, i o tym, jak dużo grają tu w piłkę i jak bym to lubiła, gdybym mogła biegać. Całym ciałem „pamiętam” bieganie. Pamięć kinetyczna, tak to się chyba nazywa. Troszkę skłamałam, że podobałaby mi się gra w piłkę. Lubię siedzieć w bibliotece i nienawidzę tego, że te rozgrywki są takie ważne dla dziewczyn, chociaż to przecież błażostka. Cieszyło mnie rzucanie piłką, bieganie i łapanie jej, ale nie ekscytowanie się wynikami.

Co ja mam takiego z Anne McCaffrey, że zawsze trafiam najpierw na drugi tom? *Smoczy śpiewak* to ciąg dalszy książki zatytułowanej *Śpiew smokowi* I tak ją przeczytałam. Jest dziwnie płytka w porównaniu z pozostałymi. Ona właściwie nie opowiada o Pernie<sup>27</sup>, który służy tylko za tło akcji. Chciałabym mieć ognistą jaszczurkę. Albo smoka. Pikowałabym na błękitnej smoczycy, która ziałaby ogniem i spaliła szkołę na popiół.

*Poniedziałek, 12 listopada 1979*

Wiersz Deirdre był najlepszy na poziomie szkoły.

Chociaż to ja go napisałam, jestem wstrząśnięta. Wszyscy myśleli, że wygram, sama też się tego spodziewałam. Co jest nie tak z moim wierszem? Podejrzewam, że panna Gilbert jest tradycjonalistką. Nikt nic nie powiedział, gratulowałam Deirdre razem ze wszystkimi, ale czułam się publicznie upokorzona. (Jednak z drugiej strony, przecież to ja go napisałam, i przynajmniej Deirdre o tym wie).

*Wtorek, 13 listopada 1979*

Deirdre zaraz po odrobieniu prac domowych wyciągnęła mnie na dwór, gdzie mogłyśmy spokojnie porozmawiać. Rozplakała się i zaczęła bełkotać coś bez sensu. Sądzę, że chciała powiedzieć, iż nie powinnam była dawać jej swojej najlepszej pracy. No w zasadzie nie dałam. Ona jednak myśli, że tak zrobiłam, bo ten wiersz zajął pierwsze miejsce. Ona po raz pierwszy wygrała jakiś konkurs. Nie wydaje mi się, żeby kiedyś zdobyła bodaj jeden punkt dla domu, chyba że za wyniki sportowe. Zapewniłam ją, że zasłużyła na nagrodę. Przy śniadaniu siedziała obok mnie i szlachetnie oddała mi kielbasę, którą przyjąłam – nie dlatego, żeby jej nie obrazić, byłam po prostu głodna.

Wordsworth jest z niej bardzo dumny. Sandra Mortimer, kapitan domu, ruda dziewczyna, która zawsze ma zaczerwienione i załzawione oczy, osobiście odezwała się do Deirdre, a ta o mało nie zemdląca z wrażenia.

Czytam *The Shockwave Rider* Brunnera. jest bardzo dobra, ale nie dorównuje *Stand on Zanzibar*<sup>28</sup>. Zastanawiam się, jak to jest napisać

arcydzieło i wiedzieć, że już nigdy nie stworzy się niczego równie dobrego?

*Środa, 14 listopada 1979*

Oto prawdziwa i kompletna historia o tym, jak tego ranka Deirdre i ja zarobiłyśmy punkty karne.

Byłyśmy pod prysznicem. Jest to długie koryto wyłożone płytkami, nad którym umieszczono kilkanaście głowic, a z nich pod słabym ciśnieniem płynie woda o różnej temperaturze. Wolałabym normalną wannę. Ciepła woda, czyli taka, która nie jest lodowata, bywa tam między siódmą a ósmą rano oraz między siódmą a ósmą wieczorem. Obok sali gimnastycznej też są prysznice, z których obowiązkowo trzeba korzystać po meczu, ale tam leci wyłącznie zimna woda i dziewczyny tylko pod nią przebiegają, żeby spłukać błoto. Porządne mycie odbywa się z samego rana albo wieczorem. Istny raj dla lesbijek, tyle podrygujących kobiecych kształtów.

Dziś rano było tam chyba z piętnaście dziewcząt, walczących o ograniczony dostęp do wody. Deirdre i ja miałyśmy dla siebie jeden prysznic, a dzięki mojemu statusowi trędowatej nikt nam nie przeszkadzał. Shagger rzucała w naszym kierunku spojrzenia, jakby żałowała, że mnie unika. Kiedy wyszłam na chwilę spod natrysku, żeby polać głowę szamponem, Deirdre stwierdziła ze śmiechem: „Rosną ci piersi!”.

– Wcale nie! – zaprotestowałam odruchowo. Potem spojrzałam w dół i zobaczyłam, że rzeczywiście coś w tym jest. Piersi kielkowały mi od bardzo dawna, choć bez większego rezultatu. Matka ma niewiele większe, więc myślałam, że moje będą takie same, ale teraz jakoś bardziej się uwypukliły. Wiele innych dziewcząt ma już całkiem spoty biust. Co do włosów łonowych (moje były znacznie ciemniejsze niż te na głowie), praktycznie się nie wyróżniałam, podobnie było z miesiączkami – prawie wszystkie już je miały, ja od dwóch lat. Dawniej bałam się, że przez jedno i drugie mogę stracić zdolność widzenia wróżek, ale moje obawy okazały się bezpodstawne mimo tego, co C.S. Lewis sądził na temat dojrzewania.

– Będiesz potrzebowała stanika – stwierdziła Deirdre.

– Wcale nie – powtórzyłam bez przekonania.

Wypchnęłam ją spod prysznic i spłukałam włosy. Szampon spływał po mnie, a ja przyglądałam się swoim piersiom.

– Hej, Dee, nie uważasz, że mają śmieszny kształt?

Śmiała się tak bardzo, że nie mogła złapać tchu. Dziewczyny zaczęły się oglądać, ciekawe, co jest powodem tego ataku śmiechu.

– Nie, naprawdę – powiedziałam cicho, ale gwałtownie.

– Są gruszkowate, nie tak jak u innych.

Popatrzyłam dookoła – żadna z dziewcząt nie miała piersi w takim kształcie jak moje.

– Są w porządku – pocieszyła mnie Deirdre.

– Hej, co was tak rozśmieszyło? – spytała Lorraine.

– Komuszka właśnie powiedziała niezły dowcip – odparła Deirdre.

Niektóre z dziewcząt skończyły się myć, poowijały w ręczniki i zaczęły śpiewać *Jake the Peg*<sup>29</sup>. Popatrzyłam na nie spode łba, ale bez efektu, bo po twarzy spływała mi woda.

Nadal stałyśmy obie pod prysznicem.

– Są w porządku – szepnęła. – Wyglądają dziwnie, bo patrzysz na nie z góry. Gdybyś mogła zobaczyć je z takiej pozycji, jak widzisz piersi innych dziewczyn, dostrzegłabyś, że wyglądają tak samo.

– W lustrze, cholera – mruknęłam. Czasami dobrze jest użyć jakiegoś wyrazu z listy słów nieaprobowanych w tej szkole.

Jedyne lustro wisi nad szeregiem umywalek w pomieszczeniu z toaletami, myjemy tam zęby i czeszymy włosy. To długi pas luster, oświetlony od góry.

– Chodźmy – powiedziałam.

Deirdre zachichotała i złapała ręcznik, a ja chwyciłam swój i owinęłam się nim jak peleryną. Schowałam mydło i szampon do kosmetyczki, bo inaczej któraś by je zaraz ukradła albo wylała całą zawartość butelki do ścieku, jak to się stało z żelem pod prysznic, który zostawiłam w pierwszym tygodniu pobytu tutaj.

Przeszłyśmy do toalet, tuż obok pomieszczenia z prysznicami. Nikogo tu nie było, co łatwo ustaliłyśmy, bo kabiny nie miały drzwi. Odłożyłam kosmetyczkę i zawinęłam ręcznik na głowie jak turban. To

przydatna umiejętność, której nauczyła mnie Sharon. Jeśli porządnie podłoży się brzeg, ręcznik trzyma się i nie spada. Sharon ma długie kędzierzawe włosy, a w ten sposób może nad nimi zapanować. Tak więc ja miałam ręcznik na głowie, a Deirdre na ramionach. Poza tym byliśmy nagie.

Od razu się okazało, że lustro nic mi nie pomoże. Odbijały się w nim nasze twarze i szyje, ale nic poniżej.

– Może gdybyśmy na czymś stanęły. – Deidre się rozejrzała.

– Nie ma niczego takiego – stwierdziłam. – Chyba że staniemy na deskach sedesowych, ale wtedy będziemy za wysoko.

– Spróbujmy – powiedziała.

Zamknęłyśmy klapy na dwóch sedesach i wgramoliłyśmy się na nie. Oczywiście było za wysoko, więc próbowałyśmy kucać – zupełnie nagie i rozchichotane, bo strasznie nas to śmieszyło. I wtedy weszła jedna z gospodyń klasowych, żeby sprawdzić, co się dzieje.

*Czwartek, 15 listopada 1979*

Albo ochrona przed koszmarami nie działa, albo to nie ona je zsyła, tylko zwyczajnie wypływają z mojej podświadomości.

Ubiegłej nocy śniło mi się, że matka zamierza nas rozdzielić. Chce przenieść się do Colchester w Essex i zabrać ze sobą Mor, bo uważa ją za bardziej posłuszną, a ja nigdy nie robię tego, co mi się każe.

Krzyczałam, że nie powinny wyjeżdżać. Protestowałyśmy obie, a ona ciągnęła Mor za sobą. Płakałam i czepiałam się jej. W pewnym sensie była to odwrotność tego, co zdarzyło się w labiryncie. Starłam się zatrzymać Mor, a matka ją odciągała. Mor przemieniała się w rozmaite stwory, a ja musiałam ją utrzymać. Nie mogłam znieść myśli o rozstaniu. Zamierzałam poskarżyć się wszystkim, całej rodzinie, wytłumaczyć im, że to nie do pomyślenia i nie powinni na to pozwolić. Tolerują tyle dziwactw mojej matki, bo nie chcą stawić czoła jej szaleństwu, myślałam. Mor beczała i chwytala się mnie, i wtedy się obudziłam. Przez chwilę czułam ogromną ulgę, że to tylko sen, ale zaraz uświadomiłam sobie, że rzeczywistość jest znacznie gorsza. Z Colchester można wrócić. (Nie mam pojęcia, dlaczego akurat z

Colchester). Nie wiem, jak to jest być martwą.

Czytam *Imperialną Ziemię* Arthura C. Clarke'a. Zawiera tyle fajnych zwrotów akcji, bardzo fantastycznonaukowych. To nie *Koniec dzieciństwa* ani *Odyseja kosmiczna 2001*, ale dziś akurat tego mi potrzeba. Są dwie książki Clarke'a, na które nigdy nie udało mi się trafić, dodałam je do listy z tego tygodnia.

Ciekawe, czy w kosmosie będą wróżki? W uniwersum Clarke'a wydaje się to bardziej prawdopodobne niż u Heinleina, chociaż obaj piszą twardą SF. Zastanawiam się, czy to dlatego, że Clarke jest Brytyjczykiem? Mniejsza o kosmos, ale czy w Ameryce mają wróżki? A jeśli tak, to czy mówią one po walijsku, tam i na całym świecie?

*Piątek, 16 listopada 1979*

Dziś rano przyszedł kolejny list. Nie otworzyłam go i nie zamierzam tego zrobić.

Podczas modlitwy, pod koniec wyznania wiary, Deirdre powiedziała „zmartchwywanie” zamiast „zmartwychwstanie”. Kiedy o tym myślałam, zastanowiłam się nad formułą „ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny” i jak ona ma się do tego, czego doświadczyłam w Halloween. Z jednej strony, o ile bardziej prawdopodobne jest zmartwychwstanie, jeśli zmarli przechodzą przez dolinę i zstępują w głąb wzgórza. Ale z drugiej – gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla religii? Dla Jezusa? Widziałam tam wróżki, ale nie było żadnych świętych ani niczego takiego. Dotąd, odmawiając Skład Apostolski, nie zastanawiałam się nad jego treścią.

Prawdę mówiąc, od śmierci Mor, czyli prawie od roku, jestem raczej wściekła na Boga. Nic nie zrobił, żeby nam pomóc. Chociaż przypuszczam, że z tym jest jak z magią – nie da się stwierdzić, czy coś się dzięki niej stało, a jeśli tak, to dlaczego, nie wspominając o dość tajemniczych metodach jej działania. Gdybym to ja była wszechmocna i wszechłaskawa, nie byłabym aż tak cholernie niewysłowiona. Babcia mawiała, że nigdy nie wiadomo, co jest najlepsze dla właściwego obrotu spraw. Kiedy jeszcze żyła, też w to wierzyłam, ale kiedy umarła, i Mor także, straciłam tę pewność. Nie przestałam wierzyć w Boga, tylko nie

bardzo jestem skłonna czcić kogoś, kto chce, żebym nie miała wątpliwości, iż wszechświat kręci się dokładnie tak, jak powinien. Bo je mam. Wydaje mi się, że powinnam coś zrobić w jego sprawie, bo zdarzają się rzeczy wymagające natychmiastowego działania, jak na przykład to, że Rosjanie i Amerykanie mogą w każdej chwili wysadzić nasz świat w powietrze, no i jeszcze sprawy holenderskiej choroby wiązów, głodu w Afryce, że nie wspomnę o mojej matce. Gdybym zostawiła wszechświat na łasce Boga, w ubiegłym roku matka zagarnęłaby całkiem spory jego kawałek. A jeśli boży plan zawiera nas, wróżki, śmierć Mor i moje kalectwo, to cóż, będąc istotą wszechmocną i wszechwiedzącą, potrafiłabym wykombinować lepszy. Pioruny z jasnego nieba nigdy nie wychodzą z mody.

Czytałam *Zaczarowany miecz* Andersona i czasami wydaje mi się, że takich bogów łatwiej byłoby czcić. Nie wspominając o tym, że są bardziej ludzcy. Częściej wtrącają się w porządek świata. Bardziej niż wróżki. (Czym są wróżki? Skąd się wzięły?).

Nie chciałabym jednak przyprawić Dziadka o kolejny wylew, więc nadal chodzę do kościoła i na szkolne modlitwy, przyjmuję komunię, chociaż nie wiem, jak to wszystko do siebie pasuje. Jakoś nie wyobrażam sobie, żebym mogła o tym porozmawiać z proboszczem.

Jeśli chodzi o wróżki, to nie jest kwestia wiary. One po prostu są. Mogą nas nie zauważać, ale my możemy zwrócić na siebie ich uwagę i z nimi dyskutować. Wiedzą całe mnóstwo rzeczy o magii i jak jest urządzony świat, i popierają wtrącanie się w bieg rzeczy. Mogłabym trochę zająć się magią. Potrafię wymyślić rozmaite pożyteczne działania. Mogłabym opracować lepszy czar chroniący przed złymi snami. A poza tym naprawdę chciałabym należeć do jakiegoś karassu.

*Sobota, 17 listopada 1979*

W bibliotece czekało na mnie siedem książek. Ciekawe, co by zrobili, gdyby było ich więcej niż osiem? Dziś dyżurowała bibliotekarka. Pozwoliła mi samej wypełnić formularze wypożyczeń międzybibliotecznych. Jeśli nadal będę zamawiała po pięćdziesiąt i więcej książek na tydzień, w którąś sobotę może się zdarzyć, że pojawi

się ich więcej niż osiem. Zastanawiam się, czy udałoby mi się dostać pozwolenie na wyprawę do miasta w dzień powszedni. Niektóre z dziewcząt jeżdżą na lekcje muzyki. Może mogłabym podjąć naukę gry na jakimś instrumencie, żeby przy okazji wpadać do biblioteki, chociaż z muzyką tak dobrze mi nie idzie, raczej nie dałoby się wprowadzić takiego planu w życie. Ciekawe, czy są jeszcze jakieś inne zajęcia nadobowiązkowe, dzięki którym mogłabym jeździć do miasta. Może spytam pannę Carroll.

Nie miałam pieniędzy, ale i tak poszłam drogą obok księgarni. Po przeciwnej stronie ulicy odkryłam lasek zwany Lasem Kłusowników – tak jest na mapie – udałam się tam, żeby spalić list, który wczoraj dostałam. Zagłębiłam się w zarośla i nakreśliłam krąg. Nikt mnie nie widział poza dwiema obojętnymi wróżkami. Nie czytałam tego listu. Nawet go nie otworzyłam. Ponieważ był tylko jeden, nie rozpalałam ognia, po prostu podpaliłam róg koperty i rzuciłam ją na ziemię. Omal nie spaliłam przy tym włosów, bo zajął się ogniem szybciej, niż zdążyłam pomyśleć, więc raczej nie będę więcej próbowała tego sposobu.

Było zimno, ale nie padało, po raz pierwszy od dawna znalazłam się poza terenem szkoły i nie mokłam. Próbowałam posiedzieć na ławce, na której kiedyś chłonełam *Tritona*, i poczytać *Rodzimy się z umarłymi*, ale wiatr był zbyt zimny. Chłód nie przeszkadza mi aż tak bardzo, gorzej, że dni są takie krótkie. Zrobiło się ciemno, zanim nadeszła pora powrotu do szkoły.

Rozejrzałam się po księgarni i wypatrzyłam kilka pozycji, które kupię, kiedy znowu będę miała trochę pieniędzy, a jeśli nie, zamówię je w bibliotece. Na przykład powieść dla dorosłych Alana Garnera *Red Shift*. Ciekawe, o czym to jest? Ma dziwną okładkę z zarysem przysadzistej wieży i rozbłyskującym światłem, z czego nic nie wynika. Jeśli powiem Danielowi, że mam zamiar ją kupić, prawdopodobnie przyśle mi więcej pieniędzy, chyba że te dziesięć funtów ma mi wystarczyć aż do Bożego Narodzenia. Dobra, jeśli napiszę mu, że chcę mieć tę książkę i okaże się, że rzeczywiście miało mi na tyle wystarczyć, może mi to napisać wprost, a wtedy po prostu ją zamówię.

Później, ponieważ zrobiło się ciemno, a nie chciałam jeszcze



wracać, lecz nie miałam pieniędzy, żeby posiedzieć w kawiarni, udając, że piję herbatę, obejrzałam inne sklepy w mieście. Weszłam do Woolwortha i podprowadziłam opakowanie talku i twixa. W domu była dziewczyna imieniem Carrie, która robiła to od dawna i pokazała mi, jak się do tego zabrać. To całkiem łatwe, dopóki zachowuje się spokoj. Wtedy nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nie przywłaszczyłabym książki, no nie, raczej wzięłabym sobie książkę od Woolwortha, gdyby je tam mieli, ale nie ukradłabym w księgarni, no, chyba że byłabym w rozpaczliwej sytuacji.

Poszłam do C&A i obejrzałam biustonosze. Nie przymierzyłam żadnego. Są droższe, niż się spodziewałam, a dobranie rozmiaru jest skomplikowane. Ciocia Teg by mi doradziła.

W sklepie WHSmitha zobaczyłam Gili przeglądającą płyty. Mnie płyty w ogóle nie interesują, tak naprawdę moje „zainteresowanie” muzyką pop wiąże się z tym, o czym rozmawialiśmy: o pogardliwym traktowaniu, dzięki któremu można zyskać zainteresowanie chłopców. Podeszłam jednak, żeby się przywitać. Oglądała płytę *Anarchy in the U.K.* zespołu o nazwie Sex Pistols. Płyta miała bardzo brzydką okładkę, ale jestem żywo zainteresowana anarchizmem z powodu *Wydziedziczonych*. Wydaje mi się, że życie na Anarres byłoby znacznie sprawiedliwsze, Gili stwierdziła, że jej by się tam nie podobało, bo gdyby rodzice nie mieli pieniędzy, nie obejmowałyby ich żadne przywileje. Odparłam, że wszyscy mieliby takie same. Nie zdradziłam jednak, że moja rodzina nie jest aż tak bogata. Za to zapytałam, dlaczego mamy otrzymać lepsze wykształcenie niż ktoś, kogo nie stać na Arlinghurst?

Gili kupiła tę płytę, chociaż nie będzie mogła jej przesłuchać przed Bożym Narodzeniem, więc nie wiem, jaki w tym sens.

W drodze powrotnej rozmawialiśmy o Leonardzie. Wychodzi na to, że oprócz tego, iż namalował Monę Lisę, był też uczonym, zaprojektował helikopter, badał skamieniałości i prowadził dzienniki. Gili ma książkę z biografiami uczonych, zaproponowała, że mi ją pożyczy. To nie jest moja ulubiona dziedzina, ale miło z jej strony. Ona jest trochę... no nie wiem. Nie jest głupia, co uważam za krzepiące, i nie boi się ze mną rozmawiać, lecz czasami bywa zbyt impulsywna, co mnie

zniechęca. Ciągle mi się wydaje, że czegoś ode mnie oczekuje.

Podzieliłam się twixem z Deirdre. Nie powiedziałam jej, że go podprowadziłam.

*Niedziela, 18 listopada 1979*

Wysłałam list do Dziadka. Kiedy będę miała jakieś pieniądze, kupię dla niego kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia. Pisałam o moich stopniach (najwyższe aż do znudzenia, z wyjątkiem matematyki, jak zwykle) i o pogodzie. Napisałam także do Daniela, głównie o *Imperialnej Ziemi* i *The Shockwave Rider*, ale wspomniałam też o Garnerze. Chciałabym dostawać kieszonkowe, tak jak większość dziewcząt, ponieważ wtedy wiedziałabym dokładnie, jak się nim rzucić. Napisałam też do cioci Teg w sprawie biustonosza, bardzo uważając, żeby nie zabrzmiało to jak prośba o pieniądze, wręcz poprosiłam, aby ich nie przysyłała, a tylko pomogła rozeznaczyć się w systemie rozmiarów, które składają się z liczb i liter. Pewnie mogłabym zapytać Deirdre albo nawet Gili, ale wolałabym tego nie robić.

Dziś nie było bułeczek.

*Wtorek, 20 listopada 1979*

Przyszła paczka od Daniela, a w niej *Miasto Simaka* i *Diuna* Franka Herberta – ale ani jedno, ani drugie na pierwszy rzut oka nie wygląda zachęcająco. Wspaniale jest mieć dużo książek do przeczytania. Poza tym znowu było tam dziesięć funtów. Nie wiem, czy zamierza przysyłać mi dziesięć funtów za każdym razem, kiedy wspomnę, że chcę kupić książkę. Niby to dobrze, ale to takie niepewne źródło. Rozmawiałam o tym z Deirdre, chociaż trudno było ją skłonić do mówienia, bo pieniądze i kieszonkowe należą do tematów tabu, o których powinnyśmy rozmawiać wyłącznie ogólnikowo. Kiedy jednak już zaczęła mówić, nie mogła przestać.

– Dostaję po dwa funty za każdym razem, gdy tu wracam. Mama powiada, że nie potrzebuję pieniędzy, bo mam tutaj wszystko zapewnione, ale to głupie gadanie. Musiałas zauważyć, że zawsze pożyczam od ciebie mydło. Trzeba kupować mydło i szampon i tym

podobne, no i jest szkolny sklepik, gdzie nawet za jabłko musisz przecież zapłacić. A jeśli nigdy nie kupujesz bułeczek, wszyscy mają cię za skąpiradło, albo, co gorsza, wiedzą, że jesteś biedna i traktują cię z góry. W poprzednim semestrze Karen kupiła mi bułeczkę i powiedziała: „Wiem, że nie będziesz mogła się zrewanżować, ale nie martw się tym”. Było to takie upokarzające. Dlatego kupiłam bułeczki zaraz w pierwszym tygodniu nowego semestru.

Ja też dostałam jedną, więc oczywiście to zauważyłam.

– Mnie nie musisz się rewanżować – powiedziałam. – Chociaż oczywiście bardzo przyjemnie jest je jeść.

– Większość dziewcząt dostaje funta tygodniowo, a niektóre po dwa. Nie wiem, jak to będzie, jeśli nastąpi zmiana banknotów funtowych na monety, bo dostają je w listach. Żadna nie mówi, ile dokładnie dostaje, bo to prostackie.

Prostackiem jest opowiadanie, ile dostaje się pieniędzy, ale marka samochodu ojca, stanowisko w pracy, wielkość domu i futro matki to stałe tematy rozmów. Nawet nie wiedziałam, że futra są rozmaite, i nie dzieliłam ich na lepsze i gorsze. Za pierwszym razem, kiedy mnie o to zapytały, rzuciłam na chybił trafił, że z lisów, co brzmiało dość przekonująco, chociaż Josie spytała, czy chodzi o srebrne lisy, czy zwykłe, rude. Z tonu pytania wynikało, że srebrne są lepsze, więc nie wahałam się z odpowiedzią. Oczywiście moja matka w ogóle nie ma futra, a gdyby je miała, prawdopodobnie by się nad nim okropnie znęcała. Tak czy siak uważam, że futro to coś złego i nie kryłam się ze swoim zdaniem. Powiedziałam, że nigdy nie będę miała czegoś takiego, bo zabijanie zwierząt dla futer to rzecz zła. Nie jestem wegetarianką, uważam, że zabijanie zwierząt w celach konsumpcyjnych jest w porządku, ale to zupełnie coś innego. One też nas zjadają. Tylko że nie ma potrzeby nosić futra tylko po to, żeby się nim pochwalić.

Do Bożego Narodzenia jest jeszcze pięć tygodni, więc jeśli podzielę te dziesięć funtów po dwa na tydzień, powinno mi wystarczyć. Chociaż mogłabym jeszcze w ten weekend kupić biustonosz, bo teraz, kiedy już wiem, że mam piersi, nie mogę ich nie zauważać jak dawniej i byłoby fajnie mieć coś w rodzaju upręży, żeby mi nie wchodziły w paradę.

*Środa, 21 listopada 1979*

List.

Nie otworzyłam go, ale nawet samo dotknięcie koperty spowodowało ból w nodze, dziś było z nią bardzo źle.

Rano, siedząc w bibliotece, skończyłam *Prądy czasu* i nie miałam przy sobie nic innego, więc zamierzałam wziąć coś z półek. Panna Carroll była bardzo zajęta katalogowaniem nowej dostawy, przeważnie nonfiction, a ja siedziałam w swoim stałym kąciku, gdzie po dwóch stronach mam boazerię, a przed sobą regał z książkami. Czasami siadam trochę dalej, bo stamtąd mogę wyglądać przez okno, ale dziś nie było tam nic wartego oglądania, niebo zaciągnięte chmurami i nieustający deszcz.

Właśnie miałam wstać i podejść do półek, kiedy zbliżyła się do mnie panna Carroll.

– Pamiętam, że pytałaś o Platona – powiedziała i położyła przede mną nowiutkie wydanie *Państwa Platona* z Everyman's Library<sup>30</sup>.

Na stoliku obok zostawiła też mimochodem dwie inne książki: intrygującą *Córkę czasu* Josephine Tey i *An Old Captivity* Nevila Shute, którą oczywiście czytałam, to ta o Leifie Ericksonie.

*Państwo* nie jest takie fajne jak *Uczta*. Składa się z samych długich przemów, nikt tu nie wpada pijany, żeby zalecać się do Sokratesa. Ale jest bardzo ciekawe. Wciąż jednak myślę, że to by nie zadziało, dokładnie tak jak mówił Sam. Ludzka natura zawsze robi swoje. Ludzie zachowują się tak, jak się zachowują, bo są ludźmi. A jeśli Sokrates uważa, że dziesięciolecie będzie dla niego niezapisaną tabliczką, żeby mógł go ukształtować, to chyba wiele czasu upłynęło, odkąd miał dziesięć lat! Wpuście mnie i Mor do Państwa, a przewrócimy je do góry nogami w pięć minut. Trzeba by zaczynać od niemowląt, jak w *Nowym wspaniałym świecie*, który, jak to teraz widzę, powstał pod wpływem Platona. Można napisać wspaniałą historię o dwojgu ludziach żyjących w Państwie Platona, którzy zakochują się w sobie i psują cały zamysł. Zakochiwanie się byłoby tam perwersją. Jak dla Lauriego i Ralpha<sup>31</sup> bycie pedałami. Jeśli mam mieć utopię, to wolę Trytona albo

Anarres. Wiecie, co uwielbiałabym czytać? Dialog między Bronem, Szevekiem i Sokratesem. Sokratesowi też by się podobał. Założę się, że lubił towarzystwo ludzi, z którymi można dyskutować. Łatwo się tego domyślić, przynajmniej na podstawie *Ucztę*.

Kiedy po południu wróciłam do biblioteki i znów zajęłam swoje miejsce, zauważyłam, że Shute i Tey wciąż leżą tam, gdzie rano. Panna Carroll przeważnie nie rusza moich rzeczy, a jeśli to robi, mówi mi, gdzie je przełożyła albo oddaje mi do ręki. Te książki jednak położyła tam sama. Zaczęłam czytać Tey – bo chyba były przeznaczone dla mnie. Pewnie zauważyła, że dziś trudno mi się poruszać i przyniosła je, żebym miała coś pod ręką. Z całą pewnością *Ucztę* zamówiła specjalnie dla mnie. Mam wrażenie, że jestem jedyną osobą, która korzysta z biblioteki zgodnie z przeznaczeniem. No nie, niektóre dziewczęta z szóstej klasy szukają tu materiałów do referatów. Widziałam, jak to robią. Jednak przypuszczam, że panna Carroll musiała zauważyć, ile czasu spędzam na czytaniu, i chciała być dla mnie miła.

Ja też powinnam coś dla niej zrobić. Dziewczyny czasem kupują bułeczki dla nauczycieli. Czy panna Carroll zalicza się do nauczycieli? A może powinnam wymyślić dla niej prezent na Boże Narodzenie?

*Czwartek, 22 listopada 1979*

Z moją nogą nadal nie najlepiej. Zastanawiam się, czy powinnam znów pójść do lekarza. Pielęgniarka może wypisać receptę na środki przeciwbólowe, mogłabym wybrać się do niej. Tyle że gabinet znajduje się dwa ciągi schodów w dół, a potem jeszcze jeden w górę.

Kto by pomyślał, że Ryszard III wcale nie zabił w Tower swoich bratanków?

Dostałam list od cioci Teg pełen nowin. Rozumiem już system oznaczania rozmiarów biustonoszy, chociaż gdybym się zmierzyła, nadal bym niewiele wiedziała. Może powinnam po prostu przymierzyć parę mniej więcej pasujących rozmiarów, a potem uściślić, o który chodzi.

*Piątek, 23 listopada 1979*

Wczoraj pod koniec dnia poszłam do pielęgniarki. Dała mi środek przeciwbólowy i powiedziała, że powinnam iść do doktora. Zamówiła dla mnie wizytę. Biorąc pod uwagę wszystko, nie widzę w tym sensu, ale nie sprzeczałam się z nią.

Poprosiłam Gili, żeby wrzuciła list do kuchennego pojemnika na śmieci. Wyrzucane na wierzch resztki, fusy i wszystko inne osłabiają jego działanie, a niedługo zostanie usunięty wraz z całą zawartością pojemnika. Najpierw poprosiłam o to Deirdre, ale nie dotknęłaby go za nic na świecie. Bardzo rozsądnie z jej strony.

Nic dziwnego, że wróżki uciekają przed bólem. Lubią rozrywki, a ból jest potwornie nudny.

Jutro będę musiała być w formie, żeby móc pojechać do biblioteki.

*Sobota, 24 listopada 1979*

Czekały na mnie tylko trzy książki. Zabrałam je i kupiłam kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia dla Dziadka, a potem od razu wróciłam do szkoły. *Red Shift* i biustonosz będą musiały poczekać do następnego weekendu.

Czasem nie mam pewności, czy tak do końca jestem człowiekiem.

To znaczy wiem, że jestem. Nie powinnam sądzić, że moja matka jest niezdolna do spania z wróżkami – nie, to nie tak. „Spać z wróżkami” znaczy być martwym. Nie powinnam sądzić, że jest niezdolna do uprawiania seksu z wróżkami, ale gdyby zrobiła to, z pewnością by się tym pochwaliła. Poza tym Daniel jest podobny do nas, Sam tak powiedział. Zresztą dzieci wróżek w pieśniach i opowiadaniach zawsze są wielkimi bohaterami – chociaż nie wiem, co stało się z dzieckiem Janet spłodzonym z Tam Linem<sup>32</sup>. Earendil i Elwinga to co innego. Nie, nie o to mi chodzi.

Chciałam powiedzieć, że kiedy przyglądam się ludziom, innym dziewczętom w szkole, i widzę, jakie są, co je uszczęśliwia i czego pragną, nie czuję przynależności do tego samego gatunku. A czasami – czasami mi na tym nie zależy. Czuję się związana z bardzo nielicznymi osobami. Bywa, że tylko książki wydają się warte dalszego życia, tak jak w Halloween, kiedy chciałam żyć, bo nie dokończyłam *Babel-17*. Z

pewnością to nie jest normalne. Bardziej zależy mi na bohaterach książek niż na ludziach, z którymi stykam się na co dzień. Czasem Deirdre wkurza mnie tak bardzo, że chciałabym zrobić jej coś paskudnego, nazwać ją Drętwiakiem jak wszystkie inne albo wrzasnąć, że jest głupia. Nie robię tego z czystego egoizmu, bo ona jest praktycznie jedyną osobą, która ze mną rozmawia. Jest co prawda Gili, ale przy niej czasem przechodzą mnie dreszcze. Komu nie marzy się zostanie wybranym przez smoka jeźdźcem? Kto nie chciałby być Paulem Atrydą?

*Niedziela, 25 listopada 1979*

Odpisałam z wdzięcznością cioci Teg. Pytała, czy przyjadę na Święta, więc zapytałam o to listownie Daniela. Spodziewam się, że nie będzie miał nic przeciwko temu, w ten sposób zejdę mu z oczu. Napisałam też długi list do Sama o *Państwie*. I kartkę do Dziadka – jest ładna, ze słoniem leżącym w łóżku, z termometrem wystającym mu u nasady trąby.

Brakuje mi Dziadka. Nie o to chodzi, że mamy sobie dużo do powiedzenia, jak z Samem – on stanowi po prostu ważną część mojego życia. Jest w nie wpasowany. Dziadek i Babcia wychowali nas, a przecież nie musieli, mogliśmy zostać z naszą matką, ale nigdy by tego nie zrobili.

Dziadek uczył nas rozpoznawania drzew, a Babcia poezji. On znał wszystkie gatunki drzew i kwiatów, nauczył nas odróżniać je najpierw według kształtu liści, a potem pączków i kory, tak żebyśmy mogły zidentyfikować je również zimą. Uczył nas też robienia plecionek z trawy i gręplowania wełny. Babcia nie była aż tak związana z naturą, chociaż chętnie cytowała: „Pocałunek słońca łaskawy, radosna ptasząt pieśń, bliżej serca bożego w ogrodzie niż gdziekolwiek indziej na ziemi się jest”<sup>33</sup>. Chodziło jej jednak bardziej o wiersz niż o ogród. Uczyła nas gotowania i recytowania z pamięci poezji po angielsku i walijsku.

Na swój sposób stanowili zabawną parę. W niewielu sprawach zgadzali się ze sobą. Często irytowali się nawzajem. Nie mieli nawet wielu wspólnych zainteresowań. Poznali się przy organizowaniu

amatorskiego przedstawienia, ona kochała sztuki teatralne, a on uwielbiał występować na scenie. A jednak się kochali. Trzeba było słyszeć, jak mówiła: „Och, Luke!”, tonem pełnym irytacji i ciepłych uczuć zarazem.

Wydaje mi się, że czuła się dość ograniczona warunkami, w jakich przyszło jej żyć. Była nauczycielką, matką i babcią. Chyba wolałaby mieć więcej kontaktów z poezją, w taki czy inny sposób. Zachęcała mnie do pisania wierszy. Ciekawa jestem, co pomyślałaby o T.S. Eliocie.

*Poniedziałek, 26 listopada 1979*

Obudziłam się w nocy – to już nie był sen. Ocknęłam się i nie mogłam poruszyć, byłam całkowicie sparaliżowana, a ona znajdowała się w pokoju, tuż nade mną, wiedziałam, że tu jest. Próbowałam krzyknąć i kogoś obudzić, ale nie mogłam wydobyć głosu. Czułam, jak zbliża się do mojej twarzy. Nie byłam w stanie się poruszyć ani odezwać, nie miałam nic, czego bym mogła użyć przeciwko niej. Zaczęłam recytować w myślach litanię przeciwko strachowi z *Diuny*: „Strach to mała śmierć, strach zabija duszę”, i wtedy zniknęła i znów mogłam się ruszać. Wstałam z łóżka i poszłam napić się wody. Ręka trzęsła mi się tak bardzo, że wylałam sobie na koszulę pół szklanki.

Jeśli potrafi się tu dostać, następnym razem może mnie zabić.

Tutejsze wróżki nie chcą ze mną rozmawiać, a nie mogę napisać do Glorfindela albo Tytanii z pytaniem, jak ją powstrzymać. Nawet jeśli Daniel pozwoli mi pojechać tam na święta, to przede mną jeszcze miesiąc, no, prawie.

Mam dwa kamyczki, których użyłam do ułożenia części kręgu przy okazji ostatniego palenia listów. Ułożyłam je na parapetach. Wydaje mi się, że kiedy ona znów spróbuje się tu dostać, kamyki stworzą kamienne bariery i zagrodzą jej drogę – okna zleją się w jedno ze ścianą. Tak naprawdę powinien to być szereg kamyków albo linia usypana z piasku czy coś w tym rodzaju. Ale problem jest taki, że w tym samym pokoju śpi jedenaście innych dziewczyn. Może będą widziały tylko drobne kamyczki i nie przyjdzie im do głowy czegoś z nimi zrobić,



ale każdej nocy przed pójściem spać będę musiała sprawdzać, czy wszystko jest w porządku, i prędy czy później któraś to zauważy. Pewnie mogłabym im o wszystkim powiedzieć, ale straszenie ich już zadziało aż za bardzo.

Nie potrafiła się przedostać przez szkło witrażowe, cokolwiek to oznacza.

Będę musiała zebrać trochę materiałów i zająć się prawdziwą magią ochronną, nawet bez uprzednich rozmów z wrózkami. Boję się tego trochę, ale nie bardziej niż możliwości, że ona znów wejdzie do pokoju, kiedy będę spała, i mnie unieruchomi. Wtedy, mimo usilnych starań, nie panowałam nad swoim ciałem.

*Wtorek, 27 listopada 1979*

Zabawne, jak trudno skupić się na czytaniu w poczekalni u lekarza. Z jednej strony niczego bardziej nie pragnę, jak pogрузić się w lekturze, ale z drugiej wciąż nasłuchuję, czy nie wywołują mojego nazwiska, więc rozprasza mnie każdy dźwięk. Wszyscy dookoła są chorzy – przygnębiające. Wszędzie rozłożone są ulotki dotyczące antykoncepcji i rozmaitych chorób. Ściany mają kolor zielonkawej żółci. Jest też ulotka o tym, że trzeba badać sobie wzrok. Może powinnam to zrobić.

Wyglądam przez okno i robię w głowie listę wszystkiego, co widzę:

- ▶ dwóch obdartusów;
- ▶ jeden mężczyzna z psem, pięknym owczarkiem w doskonałej kondycji;
- ▶ sześcioro rowerzystów;
- ▶ dwanaście pulchnych gospodyń domowych z dziewiętnaściorgiem dzieci;
- ▶ czworo dzieci w wieku szkolnym, bez opiekunów;
- ▶ cztery młode pary;
- ▶ jedno niemowlę w wózku spacerowym, pchanym przez kobietę w sukience w kolorze ni to brudnofioletawym, ni to ciemnobrązowym;
- ▶ jeden niechlujny stary facet w dzinsach – co mu przyszło do głowy? Dzinsy są dla młodych;

- ▶ jeden mężczyzna parkujący motocykl;
  - ▶ miliony samochodów;
  - ▶ dwóch biznesmenów;
  - ▶ jeden taksówkarz;
  - ▶ jeden mężczyzna z wąsami i jego żona;
  - ▶ dwie blondynki w podobnych zielonych płaszczach, które przeszły dwa razy – w tę i z powrotem; może to siostry?
  - ▶ bliźniaki w średnim wieku (nie znoszę patrzeć na bliźniaki, chociaż nie ma w tym żadnego sensu);
  - ▶ jeden nadęty mężczyzna w smokingu (w porze lunchu?);
  - ▶ jeden mężczyzna w różowej koszuli (różowej!);
  - ▶ skin trzymający w ręku kufel ze smokiem (zatrzymał się tuż przy oknie, mogłam się dokładnie przyjrzeć);
  - ▶ jedna bizneswoman w kostiumie w drobne prążki, z aktówką (Wyglądała na bardzo zadbaną. Czy chciałabym być nią? Nie, ale większość z tych kobiet, które dziś widziałam, tak);
  - ▶ sześcioro nastolatków w strojach gimnastycznych, ścigających się;
  - ▶ osiem wróbli;
  - ▶ dwanaście gołębi;
  - ▶ jeden biegający samopas czarno–biały pies, prawdopodobnie z domieszką teriera, który podniósł nogę koło motocykla, potem pobiegł beztrudnie dalej, obwąchując wszystko po drodze; może chciałabym nim być;
  - ▶ ludzie, którzy na mnie spojrzeli;
  - ▶ jeden mężczyzna w drelichowej koszuli, który mi pomachał.
- Na ogół ludzie są mało spostrzegawczy. Zabawne.

Kiedy w końcu nadeszła moja kolej, doktor był bardzo opryskliwy. Nie miał dla mnie dużo czasu. Powiedział, że da mi skierowanie do szpitala na oddział ortopedyczny i prześle tam moje zdjęcia rentgenowskie. Musiałam czekać tak długo otoczona smarkającymi dziećmi i zgrzybiałymi staruszkami, żeby zyskać dwie minuty uwagi lekarza? I po to opuściłam zajęcia z fizyki?

Tak czy siak, kupiłam sobie dwa jabłka i butelkę szamponu, a przed powrotem zajrzałam do biblioteki, gdzie udało mi się zwrócić trzy

książki i wypożyczyć kolejne cztery, więc cała ta wyprawa do miasta ostatecznie okazała się sukcesem.

Czekając na autobus do szkoły, rozmyślałam o magii. Chciałam, żeby nadjechał, a nie byłam pewna, kiedy powinien się pojawić. Gdybym sięgnęła po magię, wyobraziła sobie autobus wyjeżdżający z za rogu – nie zmaterializowałabym go, ot tak sobie, znikąd. Autobus jest gdzieś na trasie. Jeżdżą dwa w ciągu godziny i gdyby jeden z nich miał przyjechać dokładnie wtedy, kiedy chcę, musiałby wyruszyć w drogę odpowiednio wcześniej, ludzie by wsiadali i wysiadali w określonym czasie, i dojeżdżali do celu kiedy indziej. Żeby przyjechał teraz, musiałabym zmienić to wszystko, nawet godziny, kiedy ci ludzie zwykle rano wstawają, a możliwe, że cały rozkład jazdy od momentu, gdy został zaplanowany, tak że ludzie łapałoby go o innej porze – codziennie, od miesięcy – a wszystko po to, żebym dzisiaj nie musiała długo czekać. Kto wie, jakie różnice powstałyby na całym świecie, a to tylko przyspieszenie przyjazdu autobusu o parę minut. Nie wiem, jak wróżki ośmielają się robić cokolwiek magicznego. Jak ktokolwiek może mieć w tej sprawie dostateczną wiedzę.

Magią nie zdziała się wszystkiego. Glory nie mógł wyleczyć Dziadka z raka, chociaż chciał i my tego chcieliśmy. Potrafi cofnąć się w czasie, ale nie może sprawić, by Mor znowu była żywa. Pamiętam, jak umarła, a ciocia Teg mi o tym powiedziała. Pomyślałam wtedy, że ona o tym wie, i ja też, a inni ludzie mówią jeszcze innym ludziom, informacja o tym rozchodzi się jak kręgi na wodzie i nie da się tego zdarzenia cofnąć bez zmiany wszystkiego, co na nie wpłynęło. To nie jest tak, jakby się spadło z drzewa, kiedy nie widzi tego nikt oprócz wróżek.

*Środa, 28 listopada 1979*

Zeszłej nocy Gili wślizgnęła się do naszej sypialni, żeby przynieść mi książkę o uczonych. Usiadła na moim łóżku, a kiedy rozmawiałyśmy, oparła rękę tuż za mną, niby przypadkowo, ale widziałam, jak starannie wybiera miejsce, no i przez cały czas na mnie patrzyła. Poderwałam się i powiedziałam, że powinna już iść, ale potem Sharon spojrzała na mnie

bardzo dziwnie, więc sędzę, że widziała. Czy zrobiłam coś, co mogło zachęcić Gili? Albo sprawić wrażenie, że jestem nią zainteresowana w taki sposób? Bardzo niezręczna sytuacja, zwłaszcza że Gili należy do tych niewielu osób, które się do mnie odzywają. Wydaje mi się, że powinnam z nią o tym porozmawiać, ale przecież nie w sypialni! I obawiam się, że jeśli powiem, że chcę z nią pogadać na osobności, uzna to za zachętę i będzie cierpiała, kiedy się okaże, że mnie chodzi o coś innego.

W powieści *I Capture the Castle*, która okazała się zupełnie inna, niż się spodziewałam, jest taki fragment o tym, jak bohaterka zakochuje się w jednym mężczyźnie, a drugi zakochuje się w niej, i ona myśli, że może mogłaby z nim być, ale jednocześnie wie, że to się nie uda i nie ma co zaczynać, bo przecież nie chce go zranić. Mniej więcej podobnie czuję się w tej sytuacji z Gili. Uczciwie, nie wiem, czy byłoby inaczej, gdyby chodziło o przyjaciela, który jest chłopcem. Powiem to Gili, kiedy tylko będę miała okazję. Może w sobotę albo jutro po zajęciach z chemii?

Jeden z kamyków został strącony z parapetu, ale położyłam go z powrotem. To tymczasowe rozwiązanie, ale jak na razie skutkuje. Nie było nowych wizyt.

*Czwartek, 29 listopada 1979*

Miałam przerażające sny. Naprawdę muszę coś z tym zrobić. Nie da się tak żyć. Zrobię to dziś w nocy, jeśli nie będzie padało.

Dlaczego nie jestem taka jak inni ludzie?

Patrzę na Deirdre – jakie jej życie jest spokojne. A może tylko takie się wydaje? Podeszła na przerwie i odciągnęła mnie na bok.

– Malinka mówiła, że widziała, jak Gili się do ciebie przystawia.

Popatrzyła na mnie z ciekawością.

– Malinka mogła widzieć, ale ja nie jestem zainteresowana Gili i mam zamiar jej to powiedzieć – odparłam.

– To niemoralne – stwierdziła z przekonaniem.

– Nie wydaje mi się, żeby było niemoralne, jeśli obie strony tego chcą, ale w tym przypadku akurat ja nie chcę.

Deirdre miała niepewną minę, najwyraźniej nie wiedziała, co o tym myśleć, i się wycofała, ale później poczęstowała mnie miętówką, żeby mi okazać, iż wszystko między nami w porządku. Powinnam jej kupić bułeczkę na niedzielę.

Nie miałam możliwości porozmawiać z Gili po zajęciach z chemii. Chyba mnie unika. Może wcale nie będziemy musiały poruszać tego tematu.

*Piątek, 30 listopada 1979*

Wstałam w środku nocy i zajęłam się magią. Zeszłam po wiązanie na sam dół, odnalazłam krąg, który zrobiłam zeszłym razem, i go uzupełniłam. Księżyc pokazywał się co jakiś czas między chmurami. Tym razem nie rozpalałam ognia.

Nie chcę pisać o tym, co robiłam. Mam przesądne przekonanie, że byłoby to niewłaściwe, nie powinnam była pisać nawet tego, co już napisałam. A może powinnam, ale nie tylko od prawej do lewej, ale też do góry nogami i po łacinie? Wydaje mi się, że wiem, dlaczego ludzie nie piszą prawdziwych magicznych ksiąg. Za trudno jest dobierać słowa, kiedy się wszystko samemu wymyśliło. Wciąż czułam, że nie do końca wiem, co robię. Improvizowałam jak szalona. Było zupełnie inaczej, niż gdyby ktoś mi powiedział, co mam robić, i byłabym pewna, że skutek będzie właściwy. Księżyc zawsze był moim przyjacielem. Dobrze chociaż to.

Przedtem zawsze ktoś nam mówił, co należy zrobić. Glorfindel powiedział nam, że trzeba wrzucić kwiatki do wody, a potem mnie samej, że mam utopić grzebień w bagnie. Stałam w tym moim kręgu i czułam się strasznie zielona, jakbym tylko się bawiła i cała ta magia nie miała prawa zadziałać. Magia to coś bardzo dziwnego. Wciąż spoglądałam między gołymi gałęziami na tarczę księżyca wyglądającą zza chmur i czekałam, aż się na chwilę całkiem odsłoni. Ułożyłam sobie coś w rodzaju inkantacji, co przynajmniej pomogło mi osiągnąć odpowiedni stan umysłu.

Używałam tego, co pamiętałam, tego, co wymyśliłam, że będzie potrzebne, i tego, co mi się wydawało, że może pasować do sytuacji.

Staralam się stworzyć magię ochronną i znaleźć swój karass. Miałam jabłka – trzymałam je razem przez kilka dni, żeby przywykły do siebie, pomimo że nie pochodziły z tego samego drzewa, a potem zjadłam jedno, żeby stało się częścią mnie, i teraz użyłam drugiego. Jabłka stanowią łączność z jabłonią, światem oswojonych i rosnących rzeczy, z Edenem, z ogrodem Hesperyd, z Iduną i Eris. Kiedyś, jeszcze w podstawówce, trzymałam jabłko w biurku, aż zrobiło się przejrzałe, zmiękło, zbrązowiło i zmieniło się w słodko pachnący woreczek płynu, a wyrzuciłam je dopiero wtedy, kiedy zaczęło pleśnieć. To silna więź. W starożytnej Persji, a teraz jeszcze na niektórych terenach Indii, praktykują „niebiańskie pogrzeby”, podczas których umieszczają ciała zmarłych na specjalnych platformach, gdzie gniją na oczach wszystkich i są pożerane przez padlinożerne ptaki. To musi być silna magia, ale chyba strasznie jest patrzeć, jak ciało kogoś, kogo się znało, rozpada się na kawałki. Kremacja może i nie jest magiczna, ale przynajmniej czysta.

Tak czy siak, nacięłam też palec i użyłam krwi, bo chociaż wiem, że to niebezpieczne, jednak niewątpliwie tkwi w tym źródło wielkiej mocy<sup>34</sup>.

Wysoko na drzewie zobaczyłam wróżkę, która tutaj pierwsza do mnie przemówiła. Wśród gałęzi błyszczały też oczy innych, ale nie rozpoznałam żadnej z nich i się nie odzywały. Nie wiem, jak się z nimi zaprzyjaźnić i zdobyć ich zaufanie. Różnią się od naszych wróżek, są nieoswojone i bardziej oddalone od ludzi.

Nawet wtedy, gdy miałam wrażenie, że jestem jak porzucony bagaż, nawet w Halloween nie czułam się aż tak bardzo niepełnowartościowa jak tej nocy. Było tak, jakby odcięto mi ramię, a będąc przyzwyczajona do podnoszenia przedmiotów oburącz, musiałam bardzo się wysilać, żeby robić to jedną ręką – tylko że chodziło o magię. A jednak nie próbowałam się uzdrowić, nawet o tym nie pomyślałam aż do tej chwili. Ani o uzdrowieniu mojej nogi. Ciekawe, czy mogłoby mi się udać? Mam poczucie, że byłoby to bardzo niebezpieczne, że nawet próbowanie tego, co właśnie robiłam, może się źle skończyć, usiłowanie znalezienia swojego karassu. Może nie powinnam robić nic więcej poza wykorzystaniem magii ochronnej, której rzeczywiście potrzebowałam. Praktykowanie magii w celu osiągnięcia czegoś dla siebie nie jest

bezpieczne. Powiedział mi o tym Glorfindel. Większości tego, co chcę mieć, nie mogę dostać przed upływem iluś lat, jeśli w ogóle je zdobędę. Jednak karass nie powinien do nich należeć, prawda? A może jednak próba znalezienia go może być zbyt niebezpieczna?

Oczywiście nie można stwierdzić, że magia zadziałała. To wieczny z nią kłopot. Jeden z wielu.

Dziś jestem wyczerpana. O mało nie zasnęłam na angielskim nad Dickensem, który i tak jest raczej usypiający. Ziewam bez ustanku. Jednak może dzisiejszej nocy będę spała bez koszmarów. Zobaczymy.

*Sobota, 1 grudnia 1979*

Dziś w bibliotece rozmawiałam z bibliotekarzem.

– Zamówiłaś *Beyond the Tomorrow Mountains*? – spytał.

Skinęłam głową.

– Nigdy nie było wydania brytyjskiego, więc obawiam się, że nie możemy tego dla ciebie zdobyć.

– Aha – powiedziałam rozczarowana. – Tak czy inaczej, dziękuję.

– Zauważyłem, że zamawiasz dużo książek w ramach wypożyczenia międzybibliotecznego – rzekł.

– Powiedziała... pani bibliotekarka powiedziała, że można – wyjąkałam. – Że to za darmo, bo nie mam skończonych szesnastu lat.

– Oczywiście, że można, zamawiaj tyle książek, ile chcesz, i sprowadzimy je dla ciebie.

Odprężyłam się i uśmiechnęłam do niego.

– Zauważyłem tylko, że większość z nich to SF, i zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś dołączyć do naszego klubu miłośników SF. Spotykamy się we wtorki.

Karass, pomyślałam. Magia zadziałała. Oczy wypełniły mi się łzami i przez chwilę nie mogłam mówić.

– Nie wiem, czy pozwolą mi przyjeżdżać tu ze szkoły – powiedziałam skrzepowana. – O której godzinie zaczynacie?

– O szóstej, i zwykle siedzimy do około ósmej, tutaj, w bibliotece. Zdaje się, że dziewczęta z Arlinghurst, które chcą brać udział w zajęciach pozaszkolnych lub działalności edukacyjnej, muszą mieć

zgodę podpisaną przez jedno z rodziców i nauczyciela lub szkolnego bibliotekarza.

– Dostałam zgodę na korzystanie z biblioteki – powiedziałam.

– To prawda.

Uśmiechnął się. Trochę łysieje na czubku głowy, ale nie jest bardzo stary i ma ładny uśmiech.

– No i to bardzo edukacyjna działalność – dodałam.

– Z całą pewnością – zgodził się. – Nie wiem, czy możesz zdobyć podpisy do najbliższego wtorku, kiedy będziemy dyskutowali o Le Guin, ale tydzień później będziemy rozmawiali o Robercie Silverbergu, którego, jak zauważyłem, lubisz.

Wzięłam ulotkę informacyjną, zebrałam książki, a potem poszłam do kawiarni tak szczęśliwa, że chciało mi się śpiewać. Karass, a w każdym razie jego zaczątek! Och, mam nadzieję, że uda mi się przyjechać już w ten wtorek! Nie zamawiałam Le Guin w bibliotece, bo już przeczytałam wszystkie jej książki, a w każdym razie tak mi się wydaje. Mam mnóstwo do powiedzenia na temat jej twórczości. Karass! Istny poemat! Mogłabym śpiewać z radości.

*Niedziela, 2 grudnia 1979*

Panna Carroll podpisała mój formularz ze zgodą na opuszczanie szkoły na spotkania klubu literackiego! Powiedziała, że będę musiała odrabiać pracę domową z wyprzedzeniem, ale to żaden kłopot. Stwierdziła, że zważywszy na moje stopnie, nie będzie z tym problemu, ale lepiej, żebym nie opuszczała się w nauce z powodu spotkań klubowych. Zapewniłam ją, że na pewno tak się nie stanie. Spytała, czy podobała mi się Tey i odpowiedziałam, że bardzo, co jest prawdą.

Carpenter w książce o Inklingach pisze, że Lewis wymyśli! Aslana jako Jezusa. Niby to widzę, ale czuję się rozczarowana, jakby to była alegoria. Nic dziwnego, że Tolkien był o to zły. Też bym była. Czuję się oszukana, bo przedtem tego nie zauważałam. Czasami jestem taka głupia, no, ale Asian zawsze był silną osobowością. Nie wiem, co myśleć o Jezusie, ale wiem, co myślę o Aslanie.

Napisałam do Dziadka i cioci Teg o klubie literackim. I do



Daniela, błagając go, żeby podpisał zgodę. Jestem prawie pewna, że to zrobi. Wspomniałam też o tym połączeniu pojęć Aslan/Jezus, bo jestem ciekawa, co on o tym sądzi. Przypomniałam też, że chciałabym na święta pojechać do domu. A Dziadkowi napisałam, że postaram się przyjechać.

W końcu odbyłam rozmowę z Gili. Lalo jak z cebra, więc tego popołudnia zamiast sportów odbywały się tańce w głównej sali. Potem Gili zwlekała, zamiast od razu iść się przebrać, a ja właśnie wyszłam z pokoju odrabiania pracy domowej, gdzie pisałam listy. Nie powiedziała nic szczególnego, ja odezwałam się pierwsza.

– Gili, nie wiem, czy nie mam niewłaściwych skojarzeń, ale chciałam powiedzieć, że lubię cię jako przyjaciółkę, jednak nie jestem zainteresowana fizycznym związkiem z tobą.

– Mówiłaś, że nie interesują cię chłopcy – przypomniała mi.

– To nie znaczy, że interesują mnie dziewczęta – odrzekłam. – Wprawdzie większość ludzi jest zainteresowana płcią własną lub przeciwną, czy oboma, ale ja raczej nie. Przepraszam, najwyraźniej jestem po prostu nietypowa.

Ta rozmowa odbyła się w drzwiach do pokoju odrabiania prac domowych, więc zaraz nadeszła któraś z dziewcząt i chciała przejść, więc Gili tylko pomachała mi i pobiegła się przebrać. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Niektóre rzeczy tak się komplikują!

*Poniedziałek, 3 grudnia 1979*

Dostałam list od Daniela z kolejnymi dziesięcioma funtami. Napisał, że chcą, żebym na Boże Narodzenie pojawiła się w Old Hall, ale potem mogę pojechać na kilka dni do Południowej Walii. Też mi coś. Po co im tam jestem potrzebna? Wołałabym od razu jechać, pomóc cioci Teg w opiece nad Dziadkiem, szczególnie jeśli rzeczywiście będzie mógł wrócić do domu na ten dzień. W Old Hall ciotki były raczej powściągliwe w okazywaniu mi uczuć, wyjąwszy chęć pozbycia się mnie najszybciej, jak tylko się da. Co do Daniela, nie wiem, co o nim sądzić. Jestem mu wdzięczna, że zabrał mnie z domu dziecka, ale szkoła nie jest o wiele lepsza. Wydaje się, że skoro nie miał dotąd żadnych

więzi rodzinnych, teraz chciałby je mieć. Tylko że jestem przekonana, że i on, i jego siostry lepiej się będą czuli, jeśli mnie tam nie będzie. No i co, u licha, miałabym dać im w prezencie? Nie może to być tylko jakieś pudełko czekoladek, bo to przecież Boże Narodzenie. To będzie potwornie męczące. No ale dobra, ostatecznie mogę przecież potem jechać do Południowej Walii.

*Wtorek, 4 grudnia 1979*

Oczywiście nie dostałam listu od Daniela z podpisaną zgodą. Nie można się było tego spodziewać, skoro poczta miała za ledwie czas, żeby dostarczyć mu formularz. Jednak to mój karass, choć dzisiejsze spotkanie odbędzie się beze mnie. Będą rozmawiali o *Wydzieziczonych*, więc trudno mi się nie wkurzać. Oczywiście spotkania odbywały się w każdy wtorek przez cały czas, odkąd tu jestem, ale przedtem o tym nie wiedziałam, a teraz już wiem. No, chyba że spowodowała je magia, a nie tylko nakłoniła bibliotekarza do tego, żeby mnie zaprosił. Im głębiej zastanawiam się nad magią, nad tym, jak działa i jaki ma wpływ na wszystko, tym głębiej jestem przekonana, że nie powinnam się nią parać.

Szkoła jest dziś szczególnie męcząca. Przywykłam, że dziewczyny mnie przezywają, ale niektóre zaczęły wyśpiewywać *Jake the Peg* za każdym razem, kiedy tylko przechodzę obok, albo tylko nucić, gdy w pobliżu są nauczyciele. Chcą mnie rozzłościć, więc po prostu je ignoruję, co łatwiej wychodzi na zewnątrz niż w środku. To samo robią Deirdre, tylko piosenką jest *Danny Boy* i czasami udaje im się doprowadzić ją do łez. Najokropniejsze jest to, że Deirdre jest taka stereotypowa – Irlandka, i na dodatek niezbyt bystra. Karen dała jej gryzą batonika z muesli, a ona stwierdziła, że smakuje jak nieupieczone świąteczne drzewko. Oczywiście miała na myśli świąteczne ciasto, bo ten batonik tak mniej więcej smakuje, ale teraz każda dowcipkuje na temat irlandzkich zwyczajów, że niby tam pieką świąteczne drzewka. Kiedy o tym usłyszałam, musiałam się roześmiać, bo to zabrzmiało wręcz surrealistycznie. Ona sama się też z tego śmiała. Nie było w tym żadnej złośliwości. Jednak przeciąganie w czasie docinków jest

złośliwe, i oczywiście robią to, ponieważ widzą, że jest jej przykro. Muszę być czujna, żeby nie zauważyły, że dotyczą mnie wygłupy z *Jake the Peg*.

Nadal nie potrafię wybaczyć Lewisowi tej jego alegorii. Rozumiem doskonale, dlaczego Tolkien we wstępie napisał, że nie znosi naciąganych skojarzeń. Nie można wziąć czegoś i na siłę udawać, że to coś innego. To znaczy można, ale nie należy przeginać. Myślenie o Narnii jak o przekształconym Piśmie Świętym jakoś ją umniejsza. Chyba już nie będę mogła czytać tych książek, nie myśląc w ten sposób. Wyjątkowo irytujące! Carpenter zresztą twierdzi, że Lewis napisał parę książek o chrześcijaństwie – to znaczy wprost o nim. Może powinnam do nich zajrzeć. Muszę stwierdzić, że w kwestii religii mam okropnie mieszane uczucia. A same lekcje religii w niczym nie pomagają. Męczymy teksty o podróżach misyjnych świętego Pawia, pomału przebijam się przez Biblię. Zawiera kilka niezłych historii upchniętych pomiędzy całym tym nudziarstwem. Tylko że to w większości historia, a nie teologia. Jestem bardzo ciekawa, czy Lewis gdziekolwiek pisał coś o wrózkach – w *Księciu Kaspianie* jest o menadach, zawsze przypominały mi wróżki. W bibliotece mają tu tylko Trylogię międzyplanetarną, ale w miejskiej zobaczę, czy jest *Chrześcijaństwo po prostu*, a jeśli nie, to w końcu po to jest wypożyczanie międzybiblioteczne.

Właśnie kiedy o tym pisałam, podeszła do mnie panna Carroll.

– Czy twój ojciec podpisał zgodę na udział w spotkaniach klubu literackiego? – spytała.

– Jeszcze nie – odparłam. – Na pewno to zrobi, ale nie było na to dosyć czasu.

– Jeśli chcesz, mogę cię tam dziś zabrać. Jeżeli będę z tobą przez cały czas, *in loco parentis*, wszystko będzie w porządku. Tak samo zabieramy dziewczęta do teatru. Rozmawiałam z panną Eblis i powiedziała, że możemy iść. – Uśmiechnęła się do mnie.

– A pani chce tam iść? – zapytałam.

Nie potrafię się opanować, czasem bywam taka niezręczna w kontaktach z ludźmi, którzy są dla mnie mili. Nie dlatego, że chcę być wredna, tylko czasem szybciej coś powiem, niż pomyślę.

– Powinno być ciekawie – odrzekła.

– Czyta pani SF?

– Staram się orientować w tym, co przychodzi do biblioteki, żebym mogła polecać książki czytelnikom. Oczywiście, że czytałam trochę SF. Nie jest to mój ulubiony gatunek, jak w twoim przypadku, ale przeczytałam parę tytułów. Nawet trochę Ursuli K. Le Guin, choćby *Czarnoksiężnika z Archipelagu*.

– I podobał się pani?

– Uważam, że jest doskonały. – Panna Carroll usiadła przy stoliku naprzeciwko mnie i spojrzała pytająco. – O co chodzi? Nie spodziewałam się, że będziesz mnie przepytowała pod kątem tego, czy nadaję się do klubu literackiego. Myślałam, że się ucieszysz.

– Cieszę się – zapewniłam ją. – Dziękuję pani bardzo. Naprawdę chcę tam iść. Tylko nie przywykłam do... to znaczy, nie mogę uwierzyć, że rezygnuje pani dla mnie z własnych planów na wieczór.

Jest całkiem młoda. Pewnie ma chłopaka, a w każdym razie gdzieś mieszka, coś sobie gotuje, lubi spokojnie poczytać. Uczciwie przyznam, że trudno mi wyobrazić sobie jej życie poza szkołą. Jakiegokolwiek ono jest, dziś mogłaby się zajmować swoimi sprawami, a zamiast tego wybiera się do klubu literackiego, bo ja chcę tam iść. Dlaczego to robi? Nie wiedziałam, że magia działa aż tak skutecznie. Trochę to przerażające.

– To będzie ciekawe doświadczenie – powiedziała. – Dobrze będzie się przyjrzeć, jak coś takiego organizuje się w miejskiej bibliotece. A poza tym lubię słuchać o książkach. Może tutaj też moglibyśmy założyć taki klub. Niektóre ze starszych dziewcząt zapewne byłyby zainteresowane. A zresztą – pochyliła się ku mnie i zniżyła głos, chociaż jak zwykle byłyśmy w bibliotece same – najważniejszą rzeczą, jaką nam mówią na studiach bibliotekarskich, jest to, że zawsze musimy brać pod uwagę potrzeby czytelników i dbać o ich zadowolenie. Ty zdecydowanie jesteś moją najlepszą czytelniczką, no i jedną z nielicznych, które w ogóle korzystają z biblioteki, więc ważne jest, żebym dbała o twoje zadowolenie.

Roześmiałam się.

– Dziękuję – powiedziałam. – Dziękuję pani bardzo. Więc idę dziś do klubu! Panna Carroll przyjdzie po mnie po kolacji.

*Środa, 5 grudnia 1979*

Oczywiście nie od razu uznali mnie za członka ich karassu i nie powitali mnie kordialnie. Trudno byłoby oczekiwać aż tak dużo. Jednak i tak było wspaniale.

Tak się bałam, że się spóźnimy, że w końcu przyszliśmy za wcześnie. Kiedy dotarliśmy, bibliotekę właśnie zamykano. Bibliotekarz wyglądał na zaskoczonego, kiedy zobaczył, że nadchodzę z panną Carroll.

– Ach, panna Markova – powiedział, i to był absolutnie pierwszy raz, kiedy ktoś mnie tak nazwał. Czasem mówiono do mnie „panna Phelps”, ale nigdy „panna Markova”. Dziwnie to zabrzmiało. – Jednak udało ci się przyjść.

– To jest panna Carroll, szkolna bibliotekarka. A to... – zacięłam się.

– Greg Mansell, ale proszę mówić mi Greg.

– No to ja jestem Alison – powiedziała ku mojemu zaskoczeniu panna Carroll.

Uścisnęli sobie dłonie. Jakoś nigdy nie pomyślałam, że ona musi mieć imię, pewnie dlatego, że istnieje imię Carol.

Wiedziałam, że teraz ja powinnam podać swoje imię, że na to czekają, ale język utknął mi w ustach i nie mogłam wykrztusić słowa. Oczywiście nie zapomniałam swojego imienia, tylko nie byłam pewna, jakiej użyć formy.

– Mori – powiedziałam po zbyt długiej przerwie. – Przyjaciele nazywają mnie Mori.

A potem przyszło dwóch innych ludzi, faceci w średnim wieku, jeden był wysoki i nazywał się Brian, a drugi niski i krępy, Keith. Greg wyjął klucz i wpuścił nas do pokoju na tyłach biblioteki.

Bibliotekę zbudowano jakieś sto lat temu, w stylu wiktoriańskim, z cegły, z kamiennymi obramowaniami okien. Pokój spotkań był kiedyś czytelnią, ale teraz czytelnię przeniesiono na górę, a pokój zamknięto. Ma boazerię mniej więcej do wysokości łokcia stojącego człowieka, a ściany powyżej pomalowane są kremową farbą. Na jednej z nich jest

mnóstwo okien, ale nie widziałam, co jest na zewnątrz, bo było ciemno. Na przeciwległej ścianie wisi wielki i mroczny wiktoriański obraz, przedstawiający ludzi czytających w bibliotece, których widać od tyłu, siedzących przy małych stolikach wśród rzędów półek. Ten pokój jest inaczej urządony – pośrodku stoi jeden stary długi stół, a wokół niego drewniane krzesła. Na przeciwległych końcach prostokątnego pomieszczenia stoją dwa popiersia – jedno Kartezjusza, którego wcześniej nie widziałam, ale ma wspaniałą twarz, a drugie – tak, Platona!

Usiadłam przy stole twarzą do obrazu i plecami do okna, a panna Carroll obok mnie. Mężczyźni, którzy oczywiście się znali, rozmawiali na stojąco. Przyszło jeszcze kilku, niektórzy byli młodszy, ale wszyscy niewiele poniżej trzydziestki. Potem weszło dwóch chłopców w fioletowych blezerach miejscowej szkoły ogólnokształcącej. Mieli pewnie po szesnaście czy siedemnaście lat. Zdążyłam pomyśleć, że chyba nie przyjdzie żadna kobieta, kiedy do pokoju wpadła siwa, korpulentna pani. Usiadła u szczytu stołu. Przyniosła wielką stertę książek Ursuli K. Le Guin, same wydania o twardych oprawach i położyła je obok siebie. Pozostali, widząc to, zaczęli zajmować miejsca. Żałowałam, że nie przyniosłam swoich egzemplarzy, ale oczywiście nie miałam tu żadnych oprócz ukochanego drugiego tomu *Wszystkich stron świata*. Pozostałe moje książki wciąż są u matki, ale mogę je sobie odkupić.

Panna Carroll nieco nerwowo patrzyła na stertę tomów.

– Czytałaś je wszystkie? – spytała po cichu.

Przyjrzałam się im i owszem, czytałam, z wyjątkiem jednej, *Oka czapli*.

– Wszystkie oprócz jednej – powiedziałam. – I jeszcze inną, której tu nie ma: *Słom las znaczy świat*.

– Naprawdę czytasz mnóstwo SF – stwierdziła.

Siwowłosa kobieta odetchnęła głęboko, jakby zamierzała zacząć mówić, ale właśnie wtedy drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł chłopiec, a właściwie młody mężczyzna. Najwspanialszy facet, jakiego kiedykolwiek widziałam, o przydługich blond włosach powiewających wokół głowy i nieprawdopodobnie błękitnych oczach o głębokim

spojrzeniu – chociaż nie od razu to zauważyłam – i niedbałych ruchach.

– Przepraszam za spóźnienie, Harriet – powiedział, obdarzając kobietę olśniewającym uśmiechem. – Dętka mi pękła.

Wydawało się okrutnym żartem bogów, że tak wspaniała istota jeździ rowerem. Usiadł dokładnie naprzeciwko mnie, tak blisko, że widziałam krople deszczu na jego włosach. Musi mieć osiemnaście albo dziewiętnaście lat. Ciekawe, dlaczego nie jest na uniwersytecie? Z wyglądu przypomina lwa albo młodego Aleksandra Wielkiego.

– Właśnie zamierzałam zacząć, więc właściwie się nie spóźniłeś – odparła Harriet, rewanżując się uśmiechem.

Harriet! Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo o tym imieniu. Przez chwilę wyobrażałam sobie, że to Harriet Vane<sup>35</sup>, bo jest w mniej więcej odpowiednim wieku, tyle że wtedy należałoby się do niej zwracać „lady Wimsey”, zresztą to postać fikcyjna.

Drzwi znów otworzyły się z hukiem i weszła nastoletnia dziewczyna. Miała na sobie fioletowy blezer, którego kolor okropnie gryzł się z jej rudymi włosami. Usiadła z chłopcami w blezerach, którzy, jak to teraz zauważyłam, zarezerwowali między sobą miejsce dla niej. Poczulałam... niezupełnie zazdrość, ale coś w rodzaju ukłucia.

A potem Harriet zaczęła opowiadać o Le Guin. Mówiła około piętnastu czy dwudziestu minut. Potem wszyscy inni też zaczęli się wypowiadać. Gadałam o wiele więcej, niż powinnam. Wiedziałam o tym przez cały czas. Po prostu nie mogłam się powstrzymać. Nikomu nie przerywałam, co byłoby niedopuszczalne, ale czasem trudno było innym dojść do głosu. Panna Carroll w ogóle się nie odzywała.

Wspaniały chłopak poczynił kilka celnych uwag o *Jesteśmy snem*. Jeden z mężczyzn, chyba Keith, porównał tę książkę do powieści Philipa K. Dicka, co jest nonsensem, a wspaniały chłopak wytknął mu, że chociaż istnieją pewne drobne podobieństwa, to nie można porównywać Le Guin do Dicka, bo jej postacie są bardzo podobne do prawdziwych ludzi, a Dicka nie – powiedziałabym dokładnie to samo. Najwyraźniej powstał film według tej powieści, ale nikt go nie oglądał.

Wspaniały chłopak stwierdził też, że być może Le Guin w *Wydzieńczonych* tak dobrze opisuje procesy zachodzące podczas badań naukowych, chociaż sama nie jest naukowcem, bo rozumie, że

kreatywność w rozmaitych dziedzinach funkcjonuje na podobnych zasadach. On i Brian zgodzili się, że opis badań naukowych jest bez zarzutu, a cała reszta potwierdziła, więc wszyscy muszą mieć coś wspólnego z nauką. Nie chciałam o to pytać. I tak już gadałam za dużo. Wciąż myślałam o rzeczach, o których chciałam powiedzieć i o które spytać, ale wydawało mi się, że za dużo mówię i powinnam dopuścić innych do głosu. A potem myślałam o sprawach, które po prostu musiałam z siebie wyrzucić, no to mówiłam. Mam nadzieję, że nie zanudziłam wszystkich na śmierć.

Wspaniały chłopak – następnym razem muszę się dowiedzieć, jak ma na imię! – wpatrywał się we mnie, kiedy mówiłam. Bardzo mnie to onieśmielało.

Zresztą najbardziej ciekawą myśl przedstawił jeden z chłopców w fioletowych blezerach. Powiedziałam, że światy Le Guin wydają się takie realne, bo ludzie je zamieszkujący są prawdziwi, a on odparł, że owszem, ale ludzie są prawdziwi, bo są tacy, jak ich ukształtowały światy, w których żyją. Gdyby Ged dorastał na Anarres albo Szevek w Ziemiomorzu, nie byłiby tymi samymi ludźmi, bo otoczenie kształtuje osobowość, co oczywiście dobrze widać w mainstreamowej literaturze, ale rzadko zdarza się w SF. To prawda i bardzo ciekawe spostrzeżenie, ale nie mogłam się powstrzymać, żeby znowu nie wyskoczyć, i zauważyłam, że tak samo jest w *Jesteśmy snem* i wszędzie w rozmaitych światach, a następnie zadałam pytanie, czy szary człowiek w świecie szarych ludzi musi być bezwzględnie inny niż ciemnoskóry w świecie ludzi o mieszanych kolorach.

Nie pamiętam, kiedy wcześniej spędziłam czas tak przyjemnie. Gdyby nie to, że trapiła mnie myśl, że za dużo gadam, powiedziałabym, że spotkanie było sukcesem. Jest coś takiego, często się z tym spotykam. Kiedy się odzywam, ludzie początkowo jakby mnie nie słyszeli, jakby nie potrafili uwierzyć, że mówię. Potem zaczynają zwracać uwagę na to, co słyszą, i nie myślą o tym, że mówi nastolatka, a za to zaczynają wierzyć, że warto mnie posłuchać. W przypadku uczestników tego spotkania cały ten proces wymagał o wiele mniej wysiłku niż zazwyczaj. Chyba już za drugim razem, kiedy otworzyłam usta, wyglądali tak, jakby naprawdę poświęcali mi uwagę, zamiast traktować pobłaźliwie.



Spodobało mi się to.

Potem Keith zapytał, kto idzie do pubu. Wspaniały chłopak poszedł, i Harriet, i Greg, ale nastolatki w fioletowych blezerach nie, i ja oczywiście też nie, bo musiałam wracać do szkoły. Wszyscy powiedzieli mi „dobranoc”, ale ja znów poczułam się niezręcznie i tylko wybąkałam „dobranoc” i „mam nadzieję, że zobaczymy się za tydzień”.

Panna Carroll zamieniła parę słów z Gregiem, a potem wsiadłyśmy do jej samochodu i pojechałyśmy do szkoły.

– Nie masz wiele okazji, żeby porozmawiać o sprawach, które dużo dla ciebie znaczą, prawda? – spytała.

Zapatrzyłam się w noc i w ciemność. Pomiędzy miejskim oświetlonym obszarem a szkołą nie ma nic, co by rzucało światło, poza farmami tu i ówdzie, a przez to reflektory samochodu sprawiają wrażenie intruzów. Widziałam myszy, króliki i od czasu do czasu wróżki, jak uciekały w bok, kiedy padało na nie światło.

– Nie – odpowiedziałam. – Nieczęsto mam okazję, żeby w ogóle z kimś rozmawiać.

– Arlinghurst to na swój sposób bardzo dobra szkoła – stwierdziła.

– Nie dla takich jak ja – odparłam.

– Ostatni autobus, który przejeżdża obok szkoły, wyrusza o ósmej piętnaście. Dziś skończyli bliżej dziewiątej. Zapytałam Grega, jak bibliotekarz bibliotekarza, czy mógłby odwozić cię za każdym razem, i powiedział, że tak. Jeśli tylko znajdziesz się w łóżku w porze gaszenia światła, wszystko powinno być w porządku.

– To bardzo miło z jego strony. W ogóle wspaniale, że mnie zaprosił. Nie sądzi pani, że mówiłam za dużo?

Panna Carroll się roześmiała. Samochód przejechał między wiązami wprost na podjazd przed szkołą.

– Może odrobinę. Ale wszyscy wydawali się bardzo zainteresowani tym, co miałaś do powiedzenia. Nie martwiłabym się o to na twoim miejscu.

Ale ja i tak się martwię.

*Czwartek, 6 grudnia 1979*

Dni robią się okropnie krótkie. Wydaje się, że cały czas panuje mrok. Nawet po dziewiątej jest jeszcze ciemno, przez co rano muszę zostawać w budynku. Miałam zwyczaj wymykać się na moment przed śniadaniem, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Nie spacerowałam, tylko wychodziłam na dwór drzwiami koło szatni, oddychałam głęboko przez dłuższą chwilę i wracałam w chaos towarzyszący śniadaniu. Na pierwszy posiłek dostajemy chleb z margaryną bez ograniczeń, smażoną za długo angielską jajecznicę i pomidory z puszki, których nie jadam. W niedziele i od czasu do czasu w któryś powszedni dzień jemy też kiełbaski, istna ambrozja. Nauczyciele nie asystują przy naszym śniadaniu, więc dziewczęta gadają tak głośno, jak tylko się da, żeby przekrzyczeć pozostałe. Brzmią jak banda zwierzaków, tylko bardziej piskliwie. Czasami stoję przy szatni i słyszę ten rejwach na drugim końcu korytarza, niczym w osiemnastowiecznych domach wariatów, do których ludzie przychodzili dla rozrywki, żeby usłyszeć, jak wyją szaleńcy.

Ciemno jest także, kiedy kończą się zajęcia. Lampy są włączone, słońce dawno zaszło. Na niebie czai się jeszcze odrobina światła, ale nie ma wątpliwości, że to już noc, a nie dzień. Lubię odchodzić kawałek od budynku, a potem odwrócić się i patrzeć na oświetlone okna, które o zmierzchu wydają się pomarańczowe. Przypomina mi to, jak wracałyśmy z Babcią i Mor do domu ze szkoły w pewien szczególny dzień przed Bożym Narodzeniem, każda z nas trzymała Babcię za rękę. Możliwe, że jej szkoła zaczęła ferie dzień przed naszą, więc przyszła po nas. Byłyśmy jeszcze bardzo małe, miałyśmy chyba sześć lat. Pamiętam, jak trzymałam rękę Babci i oglądałam się na oświetlone okna, a niebo było jeszcze nie do końca ciemne.

Kiedy to wspominam, ogarnia mnie melancholia, ale jednocześnie budzi się tamto poczucie bezpieczeństwa i podniecenie. Pamięć jest jak wielka sterta dywanów, w mojej głowie piętrzą się jeden na drugim i na ogół nie zwracam uwagi na poszczególne warstwy, ale jeśli chcę, mogę się cofnąć i chodzić po jednym z nich, pamiętać. Oczywiście nie jestem „tam” i „wtedy”, nie tak, jak elf mógłby przenieść się w przeszłość. Jednak jeśli przypomnę sobie, że byłam wtedy smutna albo wściekła, albo rozżalona, odrobina tych uczuć do mnie wraca. Naturalnie to samo

dotyczy poczucia szczęścia, jednak boję się, że mogę wyczerpać te wspomnienia, jeśli będę zanurzać się w nich zbyt często. Jeśli tak się stanie, to kiedy będę już stara, wszystkie złe wspomnienia pozostaną ostre i wyraźne, bo odpycham je od siebie, a te dobre zbledną. Nie będę tak dokładnie pamiętała tamtego dnia z Babcią, już zaciera się w mojej pamięci, będę mogła tylko wspominać krótkie zimowe dni tutaj, w szkole, i jak wychodziłam sama, i oglądałam się na oświetlone okna.

Mam dosyć ciemności. Wiem, że cykl roczny to część życia. Lubię pory roku i prawie wszystkie sezonowe owoce. Jabłka muszą już być zebrane i spodziewam się, że w sklepie pani Lewis są jaskrawopomarańczowe mandarynki owinięte w fascynujące fioletowe bibułki z hiszpańskimi napisami. (Ach, gdybym mogła powąchać mandarynkę! Może uda mi się w sobotę). Tyle że zacznym nienawidzić tej mrocznej pory roku. Nie wolno mi wychodzić w porze lunchu, a to jedyne chwile, kiedy jest względnie jasno, nawet jeśli jak zwykle niebo jest zasnuwane chmurami i pada deszcz.

Dni w końcu zaczną stawać się coraz dłuższe. Przyjdzie wiosna. Tylko że trzeba czekać na nią strasznie długo.

*Piątek, 7 grudnia 1979*

Przyszedł list od ojca z pozwoleniem na uczestnictwo w spotkaniach klubowych. Najwyższy czas! Za tydzień będę mogła się tam wybrać normalnie.

Myślałam o klubie i zastanawiałam się, kto z jego członków należy tak naprawdę do mojego karassu. Wspaniały chłopak? (Muszę się dowiedzieć, jak ma na imię!). Patrzył na mnie poważnie pięknymi oczami. I nawet jeśli nie ma racji w podstawowych kwestiach, jest gotów mnie wysłuchać. Czuję lekki dreszcz, kiedy myślę o nim, o tym, jak na mnie patrzy. A co z trójką we fioletowych blezerach, w moim wieku? (Też muszę dowiedzieć się, jakie są ich imiona, ale to nie jest aż tak pilne). Z całą pewnością chciałabym poznać ich lepiej, przecież interesują się książkami. Następnym razem spróbuję z nimi porozmawiać. Harriet? Nie nawiązałam z nią bliższego kontaktu, ale jest bardzo inteligentna. Brian? Keith? No, nie wiem. Pozostali, z którymi

nawet się sobie nie przedstawiliśmy? Za wcześnie, żeby coś orzekać. Greg? Możliwe. Panna Carroll? (Alison...).

Pisząc jej imię, podniosłam na nią wzrok. Krząta się przy swoim biurku, przyklejając nalepki na grzbietach książek. Mówiła tak dużo o dbaniu o zadowolenie czytelników, ale do klubu zabrała mnie dzięki magii. Wiem, że tak było, i od tego robi mi się odrobinę niedobrze. Magia działa na to, co i tak już jest, więc prawdopodobnie już przedtem trochę mnie lubiła, w każdym razie zwróciła na mnie uwagę. Zamówiła dla mnie *Państwo*. Ale przecież magia może mieć wpływ na zdarzenia poprzedzające jej użycie. Może sprawić, że przedtem zaistniały. Gdybym nie odprawiła magicznego obrzędu, być może nie zamówiłaby wcześniej Platona. Nie wiem, czy naprawdę mnie lubi, czy to tylko magia ją do tego skłania. Jeśli nie lubi mnie naprawdę, to jak ja mogę lubić ją? Czy to może cokolwiek znaczyć?

No i oczywiście to samo dotyczy pozostałych. Czy chodzi o prawdziwy karass, jeśli użyłam magii, żeby go znaleźć? To jak z autobusem przyjeżdżającym wcześniej – wszyscy ci ludzie, wszystkie dni, wszystkie linie życia zmienione, i po to tylko, żeby autobus pojawił się wtedy, kiedy chcę. Jeszcze większe znaczenie ma zmuszanie ludzi z klubu, żeby mnie polubili. Żeby byli moim karassem.

Nie przemyślałam tego dostatecznie. Myślałam o karassie w zbyt abstrakcyjny sposób, zamiast więcej o ludziach, o manipulowaniu nimi. Nawet ich wcześniej nie znałam, a jednak robiłam im to.

Czy tak właśnie zaczynała? Moja matka Liz?

Chciałabym móc porozmawiać o tym z Glorfindelem albo z kimś innym, kto by rozumiał, o co mi chodzi. Nie wiem, czy on by zrozumiał, ale to dość prawdopodobne. Nie wiem, dlaczego tutejsze wróżki są taicie nieprzyjazne, a raczej obojętne. Powinny już trochę do mnie przywyknąć. Kiedy pojedę na święta do domu, znajdę go i porozmawiam z nim choćby nie wiem co.

Czy używanie magii jest nieuchronnie złe? Jeśli używa jej się dla własnej korzyści? Czy wobec tego mam pozostać bezbronna, kiedy ona używa jej przeciwko mnie? Czy też tylko użycie magii w sprawie karassu było złe, a sprokurowanie sobie ochrony jest w porządku? A może – to wieczna pułapka, jeśli chodzi o magię – to wszystko i tak

miało się zdarzyć, i tylko wydaje mi się, że sprawiła to magia? Nie, przyjrzyjmy się rozmieszczeniu zdarzeń w czasie. Moja magia, użyta po to, by mieć karass, prawdopodobnie spowodowała powstanie całego tego klubu literackiego (który spotyka się od miesięcy). Nigdy nie widziałam niczego, co wskazywałoby na jego istnienie, a przecież chodzę do biblioteki cały czas. Może ci ludzie w ogóle nie istnieli? Może Harriet – która jest najstarsza – może jej rodzice wcale nie planowali jej narodzin, może jej całe życie, sześćdziesiąt lat czy więcej, zaistniało tylko dlatego, żeby mógł powstać klub miłośników SF i żebym ja mogła mieć karass, i żebyśmy mogli siedzieć tam i omawiać *Jesteśmy snem*, idealną książkę w związku z tymi rozmyślaniami, i spierać się, czy jest podobna do twórczości Dicka.

Do licha, mam nadzieję, że to wszystko nie jest jak u Dicka. Paskudna myśl.

Nie chcę być taka jak ona, moja matka.

Nie będę już więcej używała magii albo użyję jej tylko po to, żeby chronić siebie, innych ludzi, cały świat. Lepiej być jak George Orr, niż pozwolić jej wygrać. Nie wiem, co ona robi. Nie miałam więcej koszmarów, nie przychodzą też zatrute listy. Trochę mnie to martwi, bo może ma jakieś gorsze plany.

Tak naprawdę ona chce przede wszystkim stać się mroczną królową. Nie wiem, jak miałyby się to udać, ale to jest jej cel. (Czytała *Władcę Pierścieni* i nie wiem, czy w trakcie lektury identyfikowała się ze wszystkimi złymi istotami i miała nadzieję, że ci dobrzy nie oprą się jej zakusom. Wiem, że czytała, bo kiedy ja czytałam go po raz pierwszy, był to jej egzemplarz. To dowodzi, że samo czytanie nie wystarcza. W końcu diabeł potrafi cytować *Pismo Święte*). Ona chce, żeby wszyscy ją kochali i cierpieli. To dość obłąkany cel, ale tego właśnie pragnie. Ja natomiast nie chcę czegoś takiego. Po co? Wystarczająco przykro jest myśleć, że może zmusiłam pannę Carroll, żeby mnie polubiła (właśnie przerwała ustawianie książek na półkach i uśmiechnęła się do mnie, bo zobaczyła, że na nią patrzę).

Jak ktokolwiek mógłby chcieć żyć w świecie marionetek?

Miałyśmy rację, chcąc ją powstrzymać, warto było dla tego umrzeć albo żyć jako kaleka. Gdyby osiągnęła swój cel, zawsze byśmy

ją kochały, i wszyscy inni ludzie też. Myślałam, że wiem, jakie to było ważne, ale dotąd nie do końca zdawałam sobie z tego sprawę.

Stosowanie magii jest moralnie nie do obrony.

Zamierzałam napisać, że chciałam wiedzieć o tym, zanim coś zrobię, ale tak naprawdę – wiedziałam. Wiedziałam, co się stało, kiedy wrzuciłam grzebień do bagniska. Wiedziałam, co się stanie, jeśli przywołam wcześniej autobus. Wiedziałam o niej. Powinnam była zrobić użytek z tej wiedzy.

*Sobota, 8 grudnia 1979*

Dziś rano Grega nie było w bibliotece, czekały na mnie tylko trzy zamówione książki, średnio ciekawe. Byłam trochę rozczarowana. Powędrowałam do księgarni. Zwisające nisko niebo pluło lodowatym deszczem, takim, że wydaje się, iż pada ze wszystkich kierunków. Żadna parasolka nie pomoże na coś takiego, a zresztą i tak nie mogłabym jej używać, mając laskę w jednej ręce, a torbę w drugiej. Kiedy schodziłam ze wzgórza w stronę księgarni i stawu, wiatr zaciął mi prosto w twarz. Cały czas próbował mi zdmuchnąć kapelusz. Nie był to rodzaj deszczu, który może cieszyć, trzeba było po prostu zmrużyć oczy i cierpliwie znosić to paskudztwo.

W księgarni była rudowłosa dziewczyna. Przeglądała książki dla dzieci. Zobaczyła mnie, gdy tylko weszłam, bo drzwi z hukiem zatrzęsły się pod wpływem wiatru, więc oczywiście spojrzała w moją stronę. Miała na ramieniu wielką płócienną torbę, a w rękach mnóstwo reklamówek.

– Cześć – powiedziała i zrobiła krok w moim kierunku.  
– Widziałam cię w klubie, ale nie załapałam twojego imienia.  
– Ja twojego też nie – odparłam, próbując uśmiechnąć się przyjaźnie i nie myśleć o tym, co magia mogła z nią zrobić i z jej światem, żeby ona mogła mnie polubić.

Czułam, że na mnie patrzy i zastanawiałam się, co o mnie myśli. W czarnym płaszczu nie wydawała się już tak okropna jak w fioletowym blezerze. Włosy nadal miała rude i rozczochrane, ale wyglądały tylko trochę nieporządnie, a nie jak eksplozja w fabryce farb.

- Jestem Janine – przedstawiła się.
- A ja Mori.
- Fajne imię. Zdrobnienie od czego?
- Morwenna.

Roześmiała się.

- Trochę długie. Walijskie?
- Owszem. Znaczy „załamująca się fala”.

Tak naprawdę znaczy „białe morze”, ale musi o to chodzić – morze pokrywa się białą pianą, kiedy fala się załamuje. Stałyśmy przez chwilę w milczeniu.

– Robię świąteczne zakupy – odezwała się po chwili. – Już tylko dwa tygodnie.

– Jeszcze niczego nie kupiłam! – zorientowałam się nagle.

– Kupujesz wszystkim książki?

– Większość mojej rodziny by ich nie doceniła – odparła.

– Ale pomyślałam, że może Dianę spodoba się trylogia o Ziemiomorzu, tyle o niej wczoraj mówiliśmy.

– Nie masz jej jeszcze? – spytałam.

– Nie, czytałam ją w bibliotece dla dzieci. Poza tym musiałam ustalić zasadę, że moich rzeczy się nie rusza, więc skoro udało mi się wbić im to do głów, nie zamierzam teraz zacząć pożyczać im książek.

– Mogłabym kupić książkę ojcu – powiedziałam. Oczywiście muszę coś dla niego znaleźć. Tylko że trudno stwierdzić, czego on jeszcze nie ma.

– A co lubi? – spytała Janine.

– Och, SF – odparłam.

– Po nim to masz, że ją lubisz?

– Nie, poznałam go całkiem niedawno, czytałam już ją od wieków.

– Poznałaś go... – zaczęła, urwała i spojrzała w bok. Przełożyła reklamówki do drugiej ręki i kiedy znowu się odezwała, w jej głosie brzmiała udawana lekkość. – A, masz na myśli rozwód?

– Tak – potwierdziłam, chociaż tak naprawdę rozwód jest dopiero w toku. Daniel zniknął, nie zwracając sobie głowy formalnościami.

– Fajnie, że lubi SF – stwierdziła Janine dyplomatycznie.

– Pewnie. Mamy o czym rozmawiać. Strasznie dziwnie jest

spotkać kogoś, kto jest jednocześnie twoim ojcem i zupełnie obcym człowiekiem.

Pierwszy raz komuś o tym powiedziałam.

– Musiałaś być całkiem mała.

– Byłam niemowlęciem.

– Moi rodzice się rozwodzą – powiedziała bardzo cicho, patrząc nie na mnie, tylko na półki. – To coś okropnego. Cały czas się kłócili, a teraz tata mieszka u babci, a mama płacze do zupy.

– Może się pogodzą... – odrzekłam niezręcznie.

– Mam taką nadzieję. Tata zgodził się wrócić na Boże Narodzenie. Może kiedy poczuje, jak to jest być wśród rodziny, widzieć nas wszystkich, przeżywać razem święta, uświadomi sobie, że jednak kocha ją, a nie Doreen.

– Kto to jest Doreen?

– Dziewczyna, która pracuje przy dystrybutorach paliwa w jego warsztacie – wyjaśniła Janine. – Jego dziewczyna. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata.

– Może rzeczywiście zdecyduje się wrócić – pocieszyłam ją. – Słuchaj, a może pójdziemy obok, usiądziemy sobie i napijemy się herbaty? Potem tu wrócimy i kupimy książki?

– Dobrze – zgodziła się Janine.

Siedziałyśmy przy oknie, tam gdzie zwykle zajmuję miejsce. W soboty rano nikogo tam nie ma, nie wiem, jak ten interes się kręci. Zamówiłam herbatę, miodowe bułeczki dla nas obu i jeszcze dwie na Wynos, dla mnie i Deirdre na jutro.

– Jak się dowiedziałaś o klubie? – zapytałam.

– Pete mi o nim powiedział. To ten ciemnowłosy chłopiec, na pewno go widziałaś. Był moim chłopakiem, tak jakby, ale zerwaliśmy, chociaż nadal jesteśmy przyjaciółmi.

Nalała sobie herbaty i posłodziła.

– Czy teraz chodzisz z tym drugim?

Janine parsknęła.

– Z Hugh? Chyba żartujesz. Jest niższy ode mnie i ma zaledwie piętnaście lat. Jest dopiero w czwartej klasie.

– A ty ile masz? – spytałam.



– Szesnaście. A ty?

– Och, ja też mam dopiero piętnaście i jestem w klasie, która w normalnej szkole byłaby czwarta, ale w Arlinghurst nazywa się młodsza piąta.

Skupiłam się na herbacie, wyszła mi jak gorąca woda. Nie jest zła taka słaba.

– Myślałam, że jesteś starsza – powiedziała Janine. – Jak na piętnaście lat, dużo czytałaś.

– To moje główne zajęcie – odparłam. – Czy to Pete zaraził cię SF?

– Tak, chociaż zawsze lubiłam podobne książki. On pożyczał mi swoje, zresztą nadal to robi, i zabrał mnie do klubu. Mama powiada, że SF jest dla dzieci i chłopców, ale nie ma racji. Próbowałam namówić ją do przeczytania *Lewej ręki ciemności*, ale ona mało czyta, a kiedy już, to woli romanse. Właśnie kupiłam jej jeden, nazywa się *The Kissing Gate*. Będzie jej pasować. – Westchnęła.

– Ile was jest? – zapytałam.

– Muszę kupić prezenty dla szesnastu osób. Trzy siostry, mama, tata, czworo dziadków, dwie ciocie, jeden wujek i czworo kuzynów, w tym jedno niemowlę. Kupiłam mu misia. A jak u ciebie?

Zawahałam się.

– W tym roku jest zupełnie inaczej. Mój Dziadek, ciocia Teg, jeszcze jedna ciocia, troje kuzynów, ojciec, pewnie jego siostry. Nie mam pojęcia, co im kupić.

– A co z mamą? – spytała.

– Nie zamierzam jej niczego kupować – odparłam gwałtownie.

– A, to tak – mruknęła, chociaż nie mam pojęcia, co sobie wyobraziła.

– No i jest jeszcze Sam – przypomniałam sobie. – Tylko że on jest żydem, więc nie wiem, czy prezent z okazji świąt będzie całkiem na miejscu.

– Kto to jest Sam? – spytała Janine z buzią pełną bułeczki.

– Ojciec mojego ojca – wyjaśniłam.

– No to jest twoim dziadkiem – stwierdziła.

– No tak jakby – przyznałam.

- To jesteś Żydówką?
- Nie. Żeby być Żydem, trzeba mieć matkę Żydówkę.
- Nie wydaje mi się, żeby żydzi obchodzili Boże Narodzenie.

Może lepiej będzie, jeśli kupisz mu coś naprawdę fajnego na urodziny – poradziła.

Skinęłam głową.

– Powinam też kupić coś dla panny Carroll, bo jest dla mnie naprawdę miła, zabrała mnie do klubu i specjalnie sprowadza dla mnie książki.

– To z nią byłaś na spotkaniu? Mało się odzywała. Kto to jest?

– To szkolna bibliotekarka. Nie będzie ze mną przychodziła, mogę przyjeżdżać autobusem, a Greg będzie mnie odwoził.

Janine nadal żuła bułeczkę.

– To wobec tego dla Grega też powinnaś coś kupić – uznała. – Jest fajny. Lubi ciemną czekoladę. Mogłabyś dać mu pudełko Black Magic<sup>36</sup> czy coś w tym rodzaju.

– Rzeczywiście, nie wydaje mi się, żeby książka była odpowiednim prezentem dla bibliotekarza – przyznałam.

– To jak wozić węgiel do Newcastle. – Roześmiała się. – Tej twojej pannie Carroll też chyba powinnaś kupić czekoladki. Pewnie masz mnóstwo pieniędzy.

– W tej chwili, owszem – przyznałam, po czym zorientowałam się, co Janine ma na myśli. – Tak w ogóle to nie. Chodzę do Arlinghurst, ale to nie znaczy, że jestem bogata. Wręcz przeciwnie. Mój ojciec płaci za szkołę, a raczej jego siostry. One owszem, są majątne, i do tego straszne z nich snobki, tak mi się wydaje. Moja rodzina, ta prawdziwa, jest z Południowej Walii i wszyscy są nauczycielami.

– To dlaczego twoje ciocie posłały cię do Arlinghurst?

– W ogóle nie czuję, żeby krewni ojca byli moją rodziną. Dziwnie brzmi, kiedy mówisz o nich „ciocie”, albo o Samie „dziadek”. –

Ugryzłam bułeczkę i poczułam miód, spływający mi na język. – Płacą za szkołę, żeby pozbyć się mnie z domu, jak sądzę. Wiedzą, że Daniel musi się mną zajmować, a w ten sposób mogą mnie rzadko widywać. Jednak chcą, żebym była u nich na Boże Narodzenie, w ogóle tego nie rozumiem. Mogłabym od razu pojechać do cioci Teg. Ale one się nie

zgadzają.

– Nigdy nie myślałam, że szkoły z internatem to sposób na pozbycie się kogoś – odrzekła Janine, zlizując miód z warg.

– No, ale tak jest – powiedziałam. – Nienawidzę tego miejsca, lecz nie mam wyboru.

– Mogłabyś rzucić szkołę w przyszłym roku, kiedy skończysz szesnaście lat. Znalazłabyś sobie jakąś pracę.

– Myślałam o tym. Ale chcę dostać się na uniwersytet, muszę najpierw zdobyć porządne wykształcenie.

Wzruszyła ramionami.

– Mogłabyś uczyć się do egzaminów zaocznie. Wini tak robi.

– Kto to jest Wim? – spytałam.

– To ten długowłosy drań, który we wtorek siedział naprzeciwko ciebie. Wyrzucili go ze szkoły, naszej szkoły, Fitzalan, więc teraz pracuje w szpitalu i przygotowuje się do egzaminu w college’u.

– Jest draniem? – spytałam, rozczarowana. Taki wspaniały chłopak? Niemożliwe.

Ściszyła głos, chociaż w pobliżu nikogo nie było.

– Owszem, jest. Widziałam, że na niego patrzysz, i zgodzę się, że jest przyjemny dla oka, ale to cwany łobuz. Wyrzucili go ze szkoły, bo zrobił dziewczynie dziecko i podobno musiała mieć aborcję. To był powód, dla którego zerwałam z Pete’em, bo nadal przyjaźni się z Wimem po tym wszystkim, i jeszcze twierdzi, że to była wina Ruthie. To ta dziewczyna, co zaszła, Ruthie Brackett.

– Jaka jest?

– Dosyć miła. Nie taka bystra jak Wim, nie interesuje jej poezja, książki, tego rodzaju rzeczy. Nie znam jej dobrze. No ale wiem, że jeśli dziewczyna zachodzi w ciążę, to nie jest wyłącznie jej wina.

– Racja – przyznałam. Skończyłam bułeczkę nie wiadomo kiedy. – Uważam, że postąpiłaś rozsądnie, zrywając z Pete’em z takiego powodu.

– Nadal jesteśmy przyjaciółmi – zaznaczyła szybko. – Tyle że nie mogłam z nim chodzić, skoro ma takie poglądy.

– Ile lat ma Wim? – spytałam.

– Siedemnaście. Urodziny ma w marcu, wtedy skończy osiemnaście. Trzymaj się od niego z daleka.

– Jasne. Chociaż i tak raczej na mnie nie spojrzysz – dodałam.

– Może myślisz, że nie masz pojęcia o całej sprawie. Żadna z dziewcząt, które wiedzą, nie zamierza spędzić z nim ani chwili. Zresztą przyglądał ci się w zeszłym tygodniu. Jesteś całkiem niezła. Gdybyś pozwoliła włosom trochę podrosnąć i spróbowała użyć nieco mascary, wyglądałabyś całkiem ładnie. Ale nie dla Wima!

Chciałam z niej zażartować, ale przypomniałam sobie o magii i że być może niechcący sprawiłam, iż to wszystko potoczyło się tak, żeby powstało miejsce dla mnie. Bułeczka zmieniła się w moim żołądku w kawał żelaza, nie mogłam wypowiedzieć słowa.

Janine niczego nie zauważyła.

– Chodź, pomogę ci wybrać niektóre prezenty, jeśli chcesz – zaproponowała.

Wróciłyśmy do księgarni, a potem poszłyśmy pod górę do małego sklepu, gdzie kupiłam ładne indyjskie szale z jedwabiu dla Anthei, Dorothy i Frederiki, każdy w innym kolorze, szlafrok ze smokiem dla cioci Teg i mały przycisk do papieru, z brązu, w kształcie słonia, dla Dziadka. Potem poszłyśmy do British Home Stores i Janine pomogła mi wybrać biustonosz – zna się na tym. Mogłam kupić jakiś ze szwami, z koronki, ale udało nam się znaleźć bardziej sportowy, gładkie miseczki i bez falbanek. Sportowy, kupa śmiechu. Janine nie pytała, dlaczego chodzę o lasce, ani słowa, tak jakby to było zupełnie normalne. Nie wiem, czy to takt, czy magia, czy tylko obojętność.

Musiałam się pospieszyć, żeby złapać autobus. Była w nim Gili, ale siedziała z tyłu i nie podeszła do mnie ani nie zagadała.

Niezależnie od magii, której działania nie da się już zmienić, chociaż martwi mnie to niepomnie, lubię Janine. Było mi tak, jakbym robiła zakupy z dawną przyjaciółką, tylko jeszcze fajniej, bo Janine czytała wiele z tego co ja. Chciałaby zostać wybrana przez smoka. Powiedziała, że zobaczymy się w klubie, a jeśli chcę, możemy spotkać się w sobotę za tydzień i dokończyć zakupy. Strasznie miło spędzić popołudnie z kimś, kto dla odmiany nie jest głupkiem. Wróciwszy do sypialni, żeby schować rzeczy do szafki, usłyszałam chóralne „Drętwiak, Drętwiak, kapu–kap!” i zobaczyłam biedną Deirdre, jak ucieka, zakrywając rękami twarz.

Oczywiście poszłam za nią, ale nie mogłam się powstrzymać od porównywania jej z Janine.

Szkoda, że Wim jest taki.

*Niedziela, 9 grudnia 1979*

Gdyby Kościół – gdyby religia – gdyby Jezus, Asian... Jednak nie sądzę, żeby... W pewien sposób to prawda, ale wielowarstwowo, a nie dosłownie. W niczym mi nie pomogą. Gdyby było inaczej, mogłabym po prostu pójść z tym do wikariusza i powiedzieć: „Wielebny Prisie, proszę zrobić coś z moją matką!”. Aon by zapytał: „Co, co takiego? O co chodzi? Jesteś Maureen czy ta druga? Jak się miewa twoja babcia?”. Wziąłby pastorał – no nie, nie ma pastorału, nie jest biskupem – może chwyciłby laskę administratora i poszedł wypędzać demony. Trudno to sobie wyobrazić.

Przyszło mi do głowy coś jeszcze gorszego w związku z magią. A jeśli wszystko, co robię, co mówię, co piszę, absolutnie wszystko, co ma związek ze mną (i z Mor także), jest skutkiem magii, którą odprawi ktoś w przyszłości? Najgorzej by było, gdyby zrobiła to moja matka, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne, bo dużo z tego, co działałyśmy, było skierowane bezpośrednio na cel, jakim jest jej powstrzymanie. A gdyby ktoś w przyszłości, w której ona wygrała i jest Mroczną Królową Liz, gdyby ten ktoś odprawił magię, żeby skłonić nas do walki z nią i w ten sposób naprawić ich świat? Temu akurat nie byłabym tak bardzo przeciwna, chociaż nie podoba mi się myśl o byciu czyjąś marionetką, podobnie jak to, że właściwie robię to samo, zmieniam innych ludzi w marionetki.

Napisałam do Dziadka i cioci Teg, że nie mogę przyjechać na same święta, ale będę zaraz po Boxing Day<sup>37</sup>, bo wtedy ruszają pociągi. Wysłałam też list do Daniela; pisałam głównie o klubie literackim i o czym tam mówiliśmy.

*Poniedziałek, 10 grudnia 1979*

Sprawdziany. Dziś rano był z chemii, a po południu z angielskiego. Nie miałam tyle czasu co zwykle na bibliotekę, teraz piszę

w czasie przeznaczonym na prace domowe. Jakoś tak zapomniałam o sprawdzianach, czy raczej pamiętałam o nich i się do nich uczyłam, ale wydawało mi się, że mam jeszcze dużo czasu. Nieważne. Napisać wzór chemiczny i gadać bez końca o Dickensie mogę, nawet śpiąc.

*Wtorek, 11 grudnia 1979*

Sprawdziany z matematyki i francuskiego.

*Środa, 12 grudnia 1979*

Wczoraj wieczorem, po obiedzie, zameldowałam, że wychodzę do klubu literackiego, pokazując pozwolenia, i wsiadłam do autobusu jadącego do miasta. Dziwnie było podróżować samej po zmroku. W autobusie było oprócz mnie tylko dwoje ludzi, gruba kobieta w zielonym płaszczu i stary mężczyzna w płóciennej czapce. Zwykle, kiedy wsiadam, autobus jest pełen dziewcząt z Arlinghurst. Czułam, że rzucam się w oczy w mundurku i głupim berecie. Wyruszyłam trochę później niż w zeszłym tygodniu, ale dojechałam, zanim na dobre zaczęli. Janine była na miejscu przede mną. Weszła do środka zaraz po mnie i usiadłyśmy razem. Pojawili się chłopcy, Pete i Hugh, i się do nas przyłączyli.

Przyszli ci sami ludzie co zeszłym razem, z wyjątkiem Wima. Myślałam, że może się spóźni, ale w ogóle się nie pokazał.

Spotkanie prowadził Brian. Chciał rozmawiać o tym, jak bogata jest twórczość Silverberga. To prawda, ale powiedzmy sobie, że część to zwykła chałtura. Nieźle się czyta, lecz nie można na poważnie stawiać *Stepsons of Terra* obok *Umierając żyjemy*. Hugh nie czytał przedtem Silverberga, a teraz jest świeżo po lekturze *Prądów czasu* i *Revolt on Alpha C*, które przeczytał specjalnie na nasze spotkanie.

– Zawsze mówicie: „powinieneś przeczytać to” i „powinieneś przeczytać tamto”, ale mogłem przeczytać tylko to, co stało na półce – powiedział. – A sądząc według losowej próbki, którą na tej półce znalazłem, nie będę sobie zawracał nim głowy.

Ja tam lubię *Prądy czasu*. Mam słabość do podróży w czasie. Jedną z pierwszych książek SF, jaką przeczytałam, była właśnie o tym –

*Strażnicy czasu*<sup>38</sup> Poula Andersona. (Ostatecznie alfabetycznie Anderson bywa pierwszy). Jednak rozumiałam, co Brian chciał powiedzieć. Wszyscy zgodzili się, że Silverberg jest nierówny i mówili o jego najlepszych książkach, a potem Keith wspomniał *Zamknięty świat* i gadaliśmy bez końca o problemie przeludnienia w tej powieści, a potem o *Stand on Zanzibar* i *Przestrzeni! Przestrzeni!* i czy to rzeczywiście prawdziwy problem. I czy bardziej przekonujące jest podejście Brunnera, który widzi w tym ogromne zagrożenie, czy raczej wizja Silverberga, przedstawiająca możliwość, że w przeludnionym świecie da się nieźle żyć. Rozpętała się dyskusja na całego! Brian nie sprowadzał nas na główny temat, tak jak Harriet w zeszłym tygodniu, a najzabawniejsze było to, że właśnie Harriet najbardziej zbaczała z tematu i odbijała na boki.

Próbowałam nie gadać za dużo, ale i tak chyba mi się nie udało.

– Spotykamy się za tydzień? – zapytał Greg. – Czy dajemy sobie spokój aż do po Bożym Narodzeniu?

– Powinniśmy się spotkać, i może pogadamy o Bożym Narodzeniu? – zaproponowała Harriet.

– SF dotycząca Bożego Narodzenia? – zdziwił się Greg. – Są takie książki?

– *Ciemność rusza do boju* – powiedział Hugh. – To fantasy, i na dokładkę dla dzieci, ale jest cała o Bożym Narodzeniu.

– No dobrze, chcesz poprowadzić dyskusję na ten temat? – spytał Greg.

Wszyscy spojrzeli na Hugh i w tym momencie uprzytomniłam sobie, że traktują go jak najbardziej poważnie, mimo że ma dopiero piętnaście lat. Nie tylko pozwalali mu przychodzić na spotkania, ale też uważali, że może poprowadzić jedno z nich. Tak samo traktują mnie, nie patrzą na mnie jak na tresowanego niedźwiedzia, tylko słuchają, co mam do powiedzenia.

– Nie jestem pewien, czy starczy materiału na całe spotkanie – przyznał Hugh. – Ale w końcu to jest łącznie pięć tomów.

– Jeśli wcześniej niż zwykle skończy nam się temat, zawsze możemy przenieść się do pubu – stwierdziła Harriet.

– Myślę, że to dobry pomysł. Nie rozmawialiśmy o fantasy dla

dzieci, odkąd wzięliśmy się do Narnii – zauważył Greg.

– Pewnie jest mnóstwo książek o Świętym Mikołaju – powiedziałam i wszyscy jęknęli.

– To najgorsze, co może być – odrzekł Keith.

– Tolkien nie znosił Narnii – odezwał się drobny ciemnowłosy mężczyzna. – Twierdził, że jest eklektyczna, pełna wewnętrznych sprzeczności. Mity o Świętym Mikołaju, o Bachusie, do tego szkoły z internatem i wszystko razem wymieszane jak świąteczny pudding z rodzynkami i skórką pomarańczową, a czasami ktoś łamie sobie ząb na srebrnej sześciopensówce.

Wzięłam udział w ogólnym wybuchu śmiechu, a potem już był czas, żeby wracać.

Mysłałam, że sam na sam z Gregiem mnie onieśmieli, ale tak nie było. Rozmawialiśmy o *Umierając żyjemy*, której to książki nie omówiliśmy porządnie na spotkaniu. Greg stwierdził, że największe wrażenie wywiera sposób, w jaki Silverberg potraktował ideę, którą zawsze uważano za błogosławieństwo, ponieważ przedstawił ją jako największe przekleństwo.

*Piątek, 14 grudnia 1979*

Sprawdziany w środę i wczoraj. Aż do dzisiaj nie miałam czasu, żeby skończyć opisywanie wtorkowego wieczoru.

*Sobota, 15 grudnia 1979*

Spotkałam się z Janine tak, jak się umówiliśmy. Hugh też tam był. Z początku sprawiał wrażenie trochę skrępowanego. Bez fioletowego blezera wyglądał bardziej jak ludzka istota. Szkoda, że w soboty nie mogę nosić prywatnego ubrania. Zresztą nie tylko w soboty. Mundurek przez siedem dni w tygodniu trochę trąci więzieniem.

– Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli się do was przyłączę – powiedział Hugh, co zabrzmiało trochę jak wypowiedź postaci z książki, a trochę jakby wcześniej ćwiczył to zdanie.

Janine i Hugh – a także Pete, Greg i wszyscy członkowie klubu z wyjątkiem Harriet – mają lokalną wymowę, jak cała reszta Shropshire.



Nie jest szczególnie dźwięczna, ale wszystko jest lepsze niż snobistyczne tony, jakich muszę słuchać przez cały czas w szkole.

– Ależ nie – odparłam. – Chociaż wybieramy się tylko na zakupy.

W bibliotece dostałam sześć książek, wszystkie w twardych oprawach i dosyć ciężkie, co stanowiło niejaki utrudnienie w naszej wyprawie. Nie mogłam ich zostawić w bibliotece, bo oczywiście zamykana jest w południe. Z westchnieniem włożyłam je do torby, a wtedy Hugh zaproponował, że będzie ją niósł.

– Nie – warknęłam nieuprzejmie i przycisnęłam ją mocno do siebie. – Zawsze chodzę z tą torbą, jest moja i źle się bez niej czuję – wyjaśniłam.

Janine spojrzała na mnie z ukosa.

– Może Hugh poniesie książki z biblioteki w reklamówce?

– W porządku – zgodziłam się. – To znaczy, to bardzo miło z twojej strony, Hugh.

Zarumienił się. Ma jasne włosy i piegowatą twarz, widać na niej najłżejszy rumieniec. Janine i ja zignorowałyśmy to. Przełożyłam książki do reklamówki, którą podała mi Janine, a Hugh niósł je, jakby ważyły tyle co piórko, a nie pół tony. Skierowaliśmy się na dół do księgarni, tak jakoś odruchowo, jakby nasze stopy same chciały tam iść. Zrobiłam odpowiednią uwagę.

– Bibliotropizm – orzekł Hugh. – Słoneczniki to rośliny heliotropiczne, zgodnie ze swoją naturą zwracają się w stronę światła słonecznego. Nasza natura kieruje nas w stronę księgarni.

Kupiłam dla Daniela *The Mote in God's Eye*<sup>39</sup>. Nie wiem, czy ją ma, ale i tak chcę ją przeczytać. Chciałam kupić *Ciemność msza do boju*<sup>40</sup> do przeczytania przed wtorkiem, ale Janine zaproponowała, że mi ją pożyczy. Poszliśmy na bułeczki, ale nie rozmawialiśmy o sprawach osobistych, prawdopodobnie dlatego, że był z nami Hugh. Mówiliśmy o czytaniu książek dla dzieci, kiedy już nie jest się dzieckiem, i co o tym pisali Lewis i Tolkien, a także o tym, jaki Hugh był zakłopotany, kiedy wspomniał o jednej z nich w klubie i jak się zdumiał, że Greg uznał ją za dobry temat następnego spotkania.

– To będzie pierwszy raz, kiedy poprowadzisz spotkanie? – spytałam.

– Tak. Pete robił to dwa razy, Janine raz, a Wim kilka razy.

– O czym mówiłaś? – zapytała Janine.

– O Pernie. Wiesz, że niedługo wyjdzie trzecia książka? Będzie miała tytuł *Biały smok*. Nie mogę się doczekać.

– Lubisz je? – zwróciłam się do Hugh.

Wyglądał na zmieszanego.

– Tak jakby – powiedział. – *W pogoni za smokiem* są fragmenty, które mi przeszkadzają. Ale uwielbiam ten świat i smoki.

– Może to rodzaj książek, które przemawiają głównie do dziewcząt? – wysunęłam przypuszczenie.

– Nie, Pete też je uwielbia – rzekła Janine.

Zamieszała herbatę, zupełnie bez potrzeby.

– Powinniście się z powrotem zejść – stwierdził Hugh. – To głupie, że zerwaliście z powodu czegoś, co Wim zrobił, a może wcale nie zrobił.

– Zrobił – powiedziała Janine.

– Nie mamy wszystkich dowodów – upierał się Hugh.

– Wim nie chce o tym rozmawiać, więc znamy jedynie wersję Ruthie, a i to nie bezpośrednio od niej, tylko to, co podobno powiedziała Andrei. To tylko pogłoski. A ty i Pete...

Janine miała wściekłą minę, więc przerwałam ten wywód:

– O jakich książkach mówił Pete? Mam na myśli te, które były tematem prowadzonych przez niego spotkań.

– O cyklu Andersona o Flandrym i o Larrym Nivenie – powiedziała Janine.

– A Wim o Dicku i Delanym – dodał Hugh.

Delany! Omówili już Delany’ego, beze mnie, i oczywiście musiał to zrobić Wim.

– Wydaje mi się, że lepiej, kiedy omawiamy jedną książkę albo cykl. W ten sposób można przeczytać je przed spotkaniem, a nie pakować się w taką sytuację jak ostatnio Hugh – orzekła Janine.

Hugh pokręcił głową.

– Zgodzę się, że wtedy jest łatwiej i można się skupić na temacie, ale jednocześnie fajnie jest dyskutować o całej twórczości autora. Niektórym bardziej to pasuje.

Dla Deirdre kupiłam zestaw z mydłem, szamponem i puchatą myjką, wszystko to w kolorze pierwiosnka, pakiecik przewiązany wstążeczką. Nie wiem, czy coś od niej dostanę, ale kiepsko jej szło na sprawdzianach, a poza tym będzie to użyteczny prezent. Obejrzałam u Woolwortha czekolady Black Magie i postanowiłam raczej kupić dla Grega i panny Carroll po pudełku czekoladek Continental u Thomtona. Są lepsze. Dla Sama wybrałam torebkę toffi, na wszelki wypadek, gdybyśmy mieli się spotkać. Jeśli tak się nie stanie, dam je Dziadkowi razem ze słoniem.

Potem poszliśmy do Janine. Był to zwyczajny domek, jeden z takich, gdzie mieszka osoba, której ojciec jest właścicielem warsztatu samochodowego – nowoczesnego, o ścianach wyłożonych małymi kamyczkami, z trawnikiem od frontu, pośrodku którego rosło małe drzewko. Niezwykle było to, że opierała się o nie wróżka. Z wyjątkiem skrzydeł wyglądała jak pies. Spojrzała na mnie prawie bezczelnie i zniknęła. Pozostali najwyraźniej w ogóle jej nie zauważyli.

Salonik wydawał się strasznie ciasny, pełen sióstr Janine, choć było ich tylko trzy. Bawiły się lalkami Barbie i zajmowały całą kanapę i oba krzesła. Kredens i półkę nad kominkiem wypełniały bibeloty. Matka była w kuchni, również zaśmieconej i zabałaganionej.

– Zabiorę Mori i Hugh do siebie na górę, dobrze? – zapytała Janine.

– W porządku – odezwała się matka, ledwie podnosząc wzrok znad deski do prasowania.

Ma gładkie jasnorude włosy, zupełnie inne niż jaskrawy gąszcz na głowie Janine. Siostry też są jasnorude.

Weszliśmy na górę. Drzwi pokoju Janine mają tabliczkę: „Prywatne, nie wchodzić, to do ciebie!”. Otworzyła je i przytrzymała, dając nam do zrozumienia, że nas to nie dotyczy. Pokój zdecydowanie kontrastował z resztą domu. Wszędzie ściany oklejono pretensjonalnymi tapetami, a jej pokój był pomalowany na kolor bladozielony. Nie było w nim bibelotów, maskotek ani zabawek, tylko łóżko, na którym leżał jeden wyblakły, jednooki, pluszowy pies, i regał z książkami, ustawionymi równiutko w porządku alfabetycznym. Stało też jedno krzesło, drewniane, proste, pomalowane na zielono w ciemniejszym niż

ściany odcieniu, tym samym co listwy przypodłogowe. Okno można było zasłonić żaluzją w bardzo podobnym kolorze. Na małym nocnym stoliku koło łóżka stała dosyć niepewnie wielka, czarna, biurowa maszyna do pisania.

– Sama się tu urządziłaś? – spytałam.

– Jasne, że tak – odparła Janine, siadając na łóżku.

Hugh zajął krzesło, a ja po chwili dosiadłam się na łóżko.

– Tak naprawdę wszystko pomógł mi pomalować tata. Ale projektowałam sama. Chciałam, żeby było tu inaczej niż gdzie indziej.

– Chciałabym mieć taki pokój – powiedziałam.

To prawda, tylko może niekoniecznie zielony. Tak naprawdę chciałabym mieć coś w rodzaju wyłożonego boazerią gabinetu, mniej więcej takiego, jaki ma Daniel.

– Fajnie jest móc zamknąć drzwi i nie wpuszczać nikogo do środka – stwierdziła Janine.

– No jasne – przyznałam.

– Spisz w ogólnej sypialni? – zapytała.

– Owszem, ale nie urządzamy sobie uczt o północy ani innych rozrywek, o których się czyta w książkach.

– Ja mam pokój razem z bratem – oznajmił Hugh.

– I jak?

– Jest zapalonym kibicem Manchesteru United. Jego połowa pokoju jest pełna piłkarskich akcesoriów, a po mojej są same książki – wyznał skrzepowany.

Janine zerwała się i odszukała *Ciemność rusza do boju*. Potem ona i Hugh zaczęli się spierać, czy powinnam przeczytać cały cykl, i czy nie zniechęcę się, jeśli zacznę od pierwszego tomu, bo jest raczej dla dzieci. Hugh nie sądził, żebym miała dość czasu, by przeczytać pięć książek do wtorku wieczorem.

– Zdążę – zapewniłam go. – Nie mam za dużo do roboty poza lekcjami i czytaniem. W Arlinghurst kładzie się duży nacisk na zajęcia sportowe, a ja oczywiście nie mogę brać w nich udziału, więc większość czasu spędzam w bibliotece, na czytaniu. Zwykle mam na to po kilka godzin dziennie. W ubiegłym tygodniu nie miałam tyle ze względu na sprawdziany, ale to już poza mną.

– W tych okolicznościach trochę kiepsko ze strony twojej rodziny, że posiali cię do Arlinghurst – stwierdził Hugh.

– Fakt – przyznałam.

– Co jest nie tak z twoją nogą? – spytał.

Normalnie nienawidzę takich pytań, ale on rzucił je, ot tak, po prostu, podczas rozmowy, jakby poruszał ten temat mimochodem, tak jak Janine chciała wiedzieć, czy śpię w ogólnej sypialni.

– Wypadek samochodowy – odparłam. – Zmiażdżyło mi biodro i miednicę. Teraz już nie jest tak źle. Nie boli przez cały czas.

– Poprawia się? – zapytał.

Powinłam była powiedzieć, że nie, wcale, albo że mam nadzieję, iż tak będzie, ale bez powodu napłynęły mi do oczu palące Izy i musiałam ukryć twarz w chusteczce. Janine zakrzętnęła się i zmieniła temat. A potem już była pora, żebym od niej wyszła.

Hugh odprowadzi! mnie na przystanek, wciąż taszcząc moje książki. Miałam jeszcze zakupy ze sobą i pożyczone od Janine książki Susan Cooper.

– Jeśli chodzi o Wima... – zaczął, gdy skręcaliśmy za róg przy KwikSave<sup>41</sup>.

Spojrzałam na niego pytająco. Bolała mnie noga, łóżko Janine było za niskie, żebym mogła na nim wygodnie siedzieć, a kiedy wstawałam, rozbolała mnie jeszcze bardziej.

– Nie wiemy, co się zdarzyło. Wim nigdy o tym nie mówi, w ogóle odmawia poruszania tego tematu. Widzę, że ludzie wydali na niego wyrok i... to mała miłościna. Reputacja to dziwna rzecz. To tak jak z psem: dasz mu niewłaściwe imię i równie dobrze możesz go od razu powiesić. Wiesz, że Wim rzucił szkołę?

– Wiem. Uczy się do egzaminów zaocznie. Janine mi powiedziała.

– Janine. Janine uważa, że jako feministka powinna na wszystko patrzeć z perspektywy kobiet. A mnie się wydaje, że jak dalece się da, należy wszystkich traktować jednakowo. Nie wiem, co się zdarzyło. Zdaję sobie sprawę, że tego nie wiem. Wiem tylko, że Wim nie traktuje siebie ulgowo.

Wyglądał niezwykle poważnie. Jest niższy ode mnie, odrobinę pulchny i ma piegi, więc łatwo go uznać za małego chłopca, który

wiecznie się wygłupia, ale to nieprawda, nie jest taki.

– Dlaczego tak cię to obchodzi? – spytałam.

Byliśmy już prawie na przystanku, lecz autobus jeszcze nie nadjechał. Gromada dziewcząt z Arlinghurst tłoczyła się w oczekiwaniu. Hugh usiadł na murku, a ja osunęłam się obok niego.

– Wim uratował mi życie – powiedział cicho. – Właściwie to moje zdrowe zmysły. Powstrzymał grupę chłopaków, którzy mnie bili, a potem, zamiast sobie pójść, został i ze mną rozmawiał. Pożyczył mi *Citizen of the Galaxy*<sup>42</sup>. Miałem wtedy dwanaście lat, a on piętnaście, ale traktował mnie jak ludzką istotę, a nie smarka. Myślę, że zasługuje na zastosowanie domniemania niewinności.

– Niezależnie od tego, co zrobił Ruthie?

– Nie, nie niezależnie od tego, co zrobił, ale w każdym razie dopóki nie dowiemy się, co takiego rzeczywiście zrobił.

– Wzruszył ramionami i znowu się zarumienił. –

Najprawdopodobniej, tak myślę, zrobili to oboje, za obopólną zgodą. Nie zadbali o antykoncepcję, a Ruthie się przestraszyła i wpadła w panikę. To nie jest coś, za co trzeba kogoś zsyłać do ostatniego kręgu piekieł.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Mój ojciec został zmuszony do poślubienia mojej matki, bo zaszła w ciążę, no i patrzcie tylko, co z tego wynikło. Na szczęście zza rogu wyjechał autobus i nie musiałam odpowiadać. Wzięłam od Hugh torbę i podeszłam do kolejki wsiadających.

– Do zobaczenia we wtorek – powiedziałam, wsiadając. Gili wsiadła przede mną. Odwróciła się i obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym najwyższej pogardy.

*Niedziela, 16 grudnia 1979*

Gdy nie myślę o nich jak o marionetkach, potrafię się z nimi całkiem dobrze bawić. Wczoraj w ogóle o tym nie myślałam. Wszystko to, co zaistniało dzięki magii, nie zaprzętało mojego umysłu, więc funkcjonowałam tak, jakby oboje w naturalny sposób byli częścią mojego karassu.

Dzisiaj jednak już nie potrafiłam myśleć w ten sposób.

Kiedy byłyśmy małe, ciocia Lilian kupiła nam lalkę, która naprawdę umiała mówić. Na imię miała Różyczka, a wyglądała dokładnie tak jak lalka, którą podobno chce mieć każda dziewczynka. Kiedy się ją położyło, zamykała oczy, a otwierała je, kiedy się ją podniosło. Miała śliczną buzię, zupełnie bez wyrazu, i białą sukienkę w pączki róży. Można było zdejmować i wkładać jej różowe pantofelki, a złote włosy czesać grzebieniem. Pośrodku klatki piersiowej miała sznurek, za który się pociągało, i wtedy mówiła. Umiała powiedzieć tylko dwa zdania: „Cześć, mam na imię Różyczka!” i „Pobawmy się w szkołę!”. Jeśli ciągnęło się sznurek powoli, mówiła niskim głosem, a kiedy szybko – piskliwie.

Kłopot z Różyczką i jej „prawdziwym mówieniem” polegał na tym, że pozostałe lalki mogły udawać, że mówią, co było lepsze. Nasza kolekcja lalek (którym w większości brakowało ręki lub nogi, albo w ogóle były raczej zwierzętami niż humanoidami) miewała epickie przygody, zdarzało im się ocaleć po wojnie nuklearnej albo ratować smoki przed złymi księżniczkami. Stara, obszarpana Pippa z jedną ręką i wystrzępionymi włosami (Mor obciąła je, kiedy lalka przebrała się za żołnierza) potrafiła stać nieugięcie i poprzysięgać zemstę złemu Psiemu Władcy (pluszowy pies miał wąsy, które można było podkrecać, więc często dostawał role złych facetów), a Różyczka nie mogła się z nią równać, skoro umiała powiedzieć tylko: „Pobawmy się w szkołę!”.

Nie chcę karassu złożonego z takich Różyczek.

To znaczy nie chcę również karassu z takimi jak Pippa, Pies i Jr, więc to niezbyt dobra analogia. (Nie tęsknię za swoimi zabawkami. I tak bym się nimi nie bawiła, mam piętnaście lat. Tęsknię raczej za dzieciństwem). Jr to był plastikowy chłopiec na motorze, jedna z niewielu figurek człowieka płci męskiej. Imię dostał dzięki opowiadaniu Warda Moore’a *Lot*<sup>43</sup>. Takie imię, dziwne i bez samogłosek, wydawało mi się zaskakujące i amerykańskie. Wymawialiśmy je Jirr. Byłam bardzo zawiedziona, przez całe kilka minut, kiedy dowiedziałam się, co naprawdę znaczy.

Kiedy Hugh wspomniał, że Wim prowadził spotkanie o Delanym, moją pierwszą myślą – chociaż nie zapisałam tego wczoraj, bo się jej

wstydziałam – było, że mogłabym odprawić magiczny rytuał, aby to jeszcze się nie stało. Żeby zdarzyło się dopiero teraz, kiedy mogę być przy tym obecna. Nie zrobiłam tego, nawet nie miałam takiego zamiaru, ale naszła mnie taka myśl. Gdybym to zrobiła, zmieniłabym ich w coś takiego jak Różyczka. Ryzykowałabym też, że stałoby się ze mną to, co stało się z Georgeem Orrem, bo do teraz istniały dwie możliwości: zrobiłam to albo nie. Tego nie wiedziałam na pewno. Tok zdarzeń mógł być taki samoistnie. A jeśli nie, albo gdybym zginęła razem z Mor, i tak mogliby mieć spotkanie o Delanym. Może magia sprawiła tylko, że dowiedziałam się o istnieniu grupy i ją odnalazłam. Nie potrafię stwierdzić, jak było. Nigdy nie zdołam się tego dowiedzieć. Łatwo zaprzeczyć temu, że magia naprawdę zadziałała. Gdybym odprawiła rytuał, potraktowałabym ich jak Różyczkę, czyli jakbym pociągała za sznurki. Nawet jeśli to by zadziałało. Tak naprawdę sędzę, że nie mogło, zaszłaby sytuacja, o której mówił Glory: zbyt wielu ludzi wywierałoby zbyt duży nacisk na rzeczywistość i nie dałoby się zmienić tego, co już się zdarzyło.

A jednak mogłam o tym choćby myśleć.

Nie chcę należeć do tych złych, naprawdę nie chcę. Najgorsze, co matka mogłaby mi zrobić, to sprawić, żebym była taka jak ona. Dlatego uciekłam. Dlatego dom dziecka był lepszy, i to, co mam teraz, też.

Niniejszym uroczyście przysięgam, że nigdy nie będę parała się magią dla własnej korzyści ani w żadnym innym celu, poza ochroną przed złem.

Morganna Rachel Phelps Markova, 16 grudnia 1979

*Poniedziałek, 17 grudnia 1979*

Nie zdawałam sobie sprawy, że skoro minął okres sprawdzianów, cały ten tydzień będzie przeznaczony na rozrywki. Na angielskim grałam w scrabble z Deirdre. Pobiłam ją o sześćset punktów, ale to żadne zwycięstwo. Gra byłaby uczciwa, gdybym grała z kimś, kto nie jest na bakier z ortografią i ma nieco bogatsze słownictwo. Ułożyłam „dolmen”, taki prehistoryczny grób. Zasugerowała nieśmiało, że może powinno się to pisać „dolina”. Więc potem grałyśmy już tylko w węże i



drabiny, no i wygrała.

Poza tym przez prawie cały dzień czytałam, na ogół w samym środku pandemium.

Jestem przy *Szarym Królu*.

Zainteresowało mnie pewne zdarzenie w *Ciemność rusza do boju* – tej powieści o Bożym Narodzeniu, która jest zdecydowanie najlepsza z cyklu – kiedy Will odprawia magiczny rytuał w kościele, a wikariusz pyta o magiczne krzyże. Mowa jest o tym, że używano ich jeszcze przed powstaniem chrześcijaństwa, a on odpowiada: „Ale nie przed Bogiem”. Magia na ogół została dość starannie potraktowana, chociaż ujęto ją konwencjonalnie, jej sedno to klasyczne przeciwstawienie Ciemności i Światła, można się jej nauczyć z grymuarów i umożliwia latanie, podróże w czasie i cokolwiek się zechce. Nie jest podobna do prawdziwej magii, no i znacznie prostsza do pojęcia. W książkach dla dzieci dotyczących magii wszystko jest zawsze czarno–białe, chociaż oczywiście nie u Tolkiena. Jednak to „nie przed Bogiem” dało mi dużo do myślenia.

*Wtorek, 18 grudnia 1979*

Mam swoje wyniki ze sprawdzianów z sesji zimowej 1979

Chemia: 96% – drugie miejsce

Literatura angielska: 94% – pierwsze miejsce

Angielski: 92% – pierwsze miejsce

Historia: 91% – pierwsze miejsce

Fizyka: 89% – pierwsze miejsce

Edukacja religijna: 89% – pierwsze miejsce

Łacina: 82% – pierwsze miejsce

Francuski: 79% – drugie miejsce

Matematyka: 54% – dziewiętnaste miejsce

Gimnastyka: zwolniona

Zajęcia sportowe: zwolniona

Taniec: zwolniona

Średnia: 85% – trzecie miejsce

Nie mam umysłu matematycznego, nigdy nie miałam. Tyle że w

ogóle zdałam. Bałam się, że dadzą mi zero za gimnastykę, sporty i taniec, i wliczą do średniej. Gili pobiła mnie w chemii. No i dobrze. A Claudine pokonała we francuskim, co nie jest dziwne, bo jej matka jest Francuzką. Ma doskonałą wymowę, reszta dziewcząt niekoniecznie. Powinni zlecić Claudine, żeby nas uczyła. Matematyka obniżyła mi średnią bardziej, niż się spodziewałam, więc Claudine i Karen są przede mną. Jednak poza tym wypadłam całkiem nieźle.

Chciałabym pokazać moje wyniki Babci. Dziadek będzie zadowolony, wszyscy będą zadowoleni, ale to nie to samo.

Dziś rano dostałam list od cioci Teg. Zmartwiła się bardzo, że nie przyjadę na Boże Narodzenie. No, ale to nie moja wina. Chciałabym pojechać do domu.

Deirdre, kiedy zobaczyła swoje wyniki, wypadła z pokoju. Pewnie są okropne. Malinka jest czwarta. Zniżyła się do pochlebstwa „dobra robota”, pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do mnie od bardzo dawna.

*Środa, 19 grudnia 1979*

Zeszłego wieczoru mieliśmy całkiem fajne spotkanie. Przyszli wszyscy. Hugh bardzo dobrze dał sobie radę z prowadzeniem, delikatnie naprowadzał na główny temat, kiedy ktoś z niego zbaczał. Rozmawialiśmy bardzo ciekawie o ulokowaniu akcji książek w czasie (pory roku) i konkretnych miejscach geograficznych. Greg był w Północnej Walii, na Drodze Cadfana, i powiadał, że Craig yr Aderyn wygląda dokładnie tak jak w książce. Wszyscy byli zgodni, że zakończenie *Silver on the Tree* to porażka i nikt by nie chciał, żeby mu tak zrobiono. Zabawne, że im młodszy czytelnik, tym bardziej go to wkurzało. Harriet prawie zgodziła się z autorką, że wymazanie pamięci dzieciom było konieczne, ale ja i Hugh wolelibyśmy umrzeć. Reszta miała zdanie zależne od wieku. Hugh jest super. Podobało mi się, że mogę się z kimś żywiłowo zgadzać. Harriet, która – jak mi się przez cały czas wydaje – zdecydowanie powinna być dorosłą Harriet Vane, przestała powtarzać: „Myślę, że tak było dla nich lepiej” i zbliżyła się do naszego punktu widzenia, konkludując: „... .ale rozumiem, że to wielka strata doświadczenia”.

Skończyliśmy wcześniej i poszliśmy wszyscy do pubu.

– Postawię ci sok pomarańczowy – oznajmił Greg.

Nie powiedziałam, że nie znoszę soków Britvica. Podziękowałam tylko. Kto powiedział, że nie umiem się zachować?

Pub nazywa się Pod Białym Jeleniem. Powiedziałam, że brzmi to bardzo po narnijsku. Rozmawialiśmy wcześniej trochę o Narnii, porównywaliśmy zakończenia, więc nie było to tak całkiem nie na temat. Naprawdę dziwne, że aż dwa cykle fantasy dla dzieci mają tak problematyczne zakończenie. Nie jest to cecha gatunku, bo wystarczy wziąć pod uwagę *Najdalszy brzegi*. Może to problem powieści o dzieciach z naszego świata, albo pisanych przez brytyjskich autorów – ale nie, jest przecież Garner. Nie napisał cyklu jako takiego, lecz nie ma żadnych problemów z zakończeniami! Co mi przypomniało, że nie wróciłam po *Red Shift*.

Pod Białym Jeleniem to stary pub, z belkowanym sufitem, mosiężnymi ozdobami z końskiej uprzęży, zwisającymi na rzemykach, i wielkim dębowym barem, na którym stoi kilka nalewaków do piwa beczkowego. Śmierdzi dymem, jak większość pubów, a tynk pomiędzy belkami, niegdyś biały, całkiem pożółkł. Dostałam sok pomarańczowy i dałam Gregowi czekoladki. Od razu otworzył pudełko i poczęstował wszystkich. Wzięłam trufkę wiedeńską, chociaż pewnie to niezbyt ładnie, skoro to prezent ode mnie. Była przepyszna.

Okazało się, że siedzę obok Wima. Przysięgam, że nie zrobiłam nic, żeby tak się stało! Z bliska też wygląda niepokojąco wspaniale. Nie chodzi tylko o długie blond włosy i intensywnie błękitne oczy, lecz o to, jak się trzyma i porusza. O wiele bardziej lubię Hugh, ale ten jest jak solidny pień drzewa, podczas gdy Wim to pokryte pąkami młode gałęzie kołyszące się na wietrze, albo jak rzadki motyl, który siada tuż obok ciebie i wstrzymujesz oddech, żeby go nie spłoszyć. To taki sam rodzaj zapierania tchu.

– Więc lubisz nie tylko Le Guin, ale i Susan Cooper? – zapytał.

– Wcześniej jej nie czytałam, aż do zeszłego tygodnia – odparłam.

– Pożyczyłam cały cykl od Janine, dziś jej oddałam.

– Przeczytałaś pięć tomów w ciągu tygodnia? – zdziwił się, ruchem głowy odrzucając włosy z oczu. – Musisz mieć mnóstwo

wolnego czasu.

– No mam – odparłam chłodno.

– Przepraszam. Nie znoszę, kiedy ludzie uważają, że czyta się książki dlatego, że nie ma się nic lepszego do roboty, a teraz sam coś takiego mówię.

Rozbawił mnie.

– A co może być lepszego do roboty? – zapytałam.

Roześmiał się. Ma przyjemny śmiech, laki naturalny. Wyobraziłam sobie, że wyczyniam te wszystkie głupstwa, jakie robią zakochane dziewczęta, typu zachowywanie ogryzka ołówka lub kawałka plastra – jak Harriet Smith w *Emmie* – albo całowanie fotografii przed snem, jak robi Malinka ze zdjęciem Harrisona Forda.

– A co z filmami? – zapytał i natychmiast całe towarzystwo rzuciło się w wir namiętnej dyskusji o *Gwiezdnych wojnach*.

Człowiek je albo uwielbia, albo nie znosi. Nie ma stanów pośrednich. Ja uważam, że fajnie było popatrzeć na roboty i statki kosmiczne, ale całość jest trochę dziecinna w porównaniu z porządną SF.

Chwilę później, kiedy wszyscy przestali wygłaszać prawdy oczywiste i namiętnie bronić swojego zdania, znów zwróciłam się do Wima:

– Słyszałam, że prowadziłeś spotkanie na temat twórczości Delany'ego.

– Lubisz go? – spytał. – Masz bardzo szerokie zainteresowania.

– Uwielbiam. – Byłam, zadowolona, że nie dodał: „jak na swój wiek”, ludzie często tak mówią. – Jest coś, co mnie zastanowiło w zakończeniu *Tritona*.

– Nie uważasz, że *Triton* miał być odpowiedzią na *Wydziedziczonych*? – przerwał mi.

Nie myślałam o tym wcześniej, ale zrozumiałam, o co mu chodzi.

– Bo *Wydziedziczeni* to niejednoznaczna utopia, a *Triton* to niejednoznaczna heterotopia? – zapytałam. – Wydaje mi się, że Delany przyjrzał się Anarres i zadał sobie pytanie: „Dlaczego tam musi być taka bieda, głód, czemu seks ma być aż tak ograniczany, jeśli inne rodzaje anarchii są możliwe?”. Co za fascynująca myśl. A jednocześnie jak

wspaniale pokazał złożoność wyborów z punktu widzenia kogoś, komu się to nie podoba.

– Nawet w raju znajdują się ludzie, którym się nie podoba  
– zauważył. – Bron zawsze szuka czegoś, czego nie może mieć, taka jego natura.

– Ale dlaczego Bron... – zaczęłam.

– Pora iść, Mori – wtrącił się Greg.

– Do zobaczenia po świętach – powiedział Wim, kiedy ostrożnie wstawałam.

Po drugiej stronie stolika Keith i Hussein nadal dyskutowali o księżniczce Lei.

*Czwartek, 20 grudnia 1979*

Nie mogę uwierzyć, że jutro opuszczam szkołę. Nagle wydaje się, że to strasznie szybko. Dziś rano musiałyśmy opróżnić szafki. Nie spodziewałam się tego. Oprócz torebki, torby na ramię i eleganckiej walizki, z którymi tu przybyłam, mam jeszcze sześć reklamówek z książkami i dwie ze świątecznymi prezentami. Musiałam zejść do pralni, po raz pierwszy, odkąd tu jestem. Szkoła zatrudnia kogoś na pełny etat do prania i prasowania naszych głupich mundurków. Zwykle dostarczane są do sypialń i układane w nogach łóżek. Nie myślałam o tym dotąd. Dziś jednak Deirdre nie miała swoich bluzek, a musimy wszystko zabrać do domów. Chciała, żebym z nią poszła, więc wyruszyłyśmy do pomieszczenia, gdzie stoi sześć drgających pralek, cztery ryczące suszarki i dziewczyna tylko rok czy dwa starsza od nas, która wyciąga ubrania z jednej maszyny i przerzuca je do innej. Na jej miejscu nienawidziłabym nas. Dzisiaj było tam gorąco – nie potrafię sobie wyobrazić, jak jest w czerwcu.

Deirdre jedzie na święta do Limerick. Jest taka miejscowość, naprawdę! Oczywiście, jak to powiedziała, nie potrafiłam się powstrzymać od: „Raz młoda dama z...”. Urwałam natychmiast gdy zobaczyłam wyraz jej twarzy.

Jestem gotowa wyruszyć, kiedy tylko Daniel po mnie przyjedzie, czyli jutro. Nie mogę się doczekać.

*Piątek, 21 grudnia 1979*

Dzisiejszego ranka zaczęliśmy od rozdawania nagród. Dostałam egzemplarz *Selected Poems* W.H. Audena za angielski, *Asimov's Guide to Science* za chemię, *History of the English Speaking People* Winstona Churchilla za historię. Ponieważ każda, która uzyskała ponad dziewięćdziesiąt procent, dostała książkę, uroczystość trochę się przeciągnęła. Podejrzewam, że panna Carroll maczała palce w doborze książek, co może oznaczać, że Churchill nie jest taki okropny, jak się wydaje. Potem rozdawano nagrody za osiągnięcia sportowe i trwało to jeszcze dłużej. Pozwolili mi siedzieć przez resztę uroczystości, co było miłe, ale ponieważ cała reszta stała, nie widziałam, co się dzieje – nie żebym specjalnie chciała. Nauczyciele ustawili się rzędem wzdłuż ścian, skąd byłam widoczna jak na dłoni, więc nie ośmieliłam się czytać. Obserwowałam wszystkie plecy w identycznych mundurkach i porównywałam wzrost, stopień wygniecenia spódnic i sposób, w jaki włosy opadały na łopatki. Zaskakujące, jak różnie wyglądają te wszystkie na pozór jednakowe plecy. Dziewczętom w pierwszym rzędzie dałam dobre oceny za postawę i schludność, w myślach uporządkowałam je według wzrostu i koloru włosów.

Scott wygrał puchar niewielką przewagą nad Wordsworthem. Powinnam bardzo się tym ekscytować, ale jak dla mnie ma to taki sam sens, co szeregowanie ludzi według koloru włosów.

Później poszłam do biblioteki, żeby dać pannie Carroll czekoladki. Wydawała się bardzo wzruszona. Dała mi coś starannie opakowanego – jestem pewna, że to książka.

Odnalazłam Deirdre i wręczyłam jej pudełko ze środkami do mycia. Nie zapakowałam go, bo nie pomyślałam o kupnie ozdobnego papieru, ale włożyłam je do ładnej torebki ze sklepu, w którym kupiłam szale i temu podobne rzeczy. Nie otworzyła jej, ale grzecznie mi podziękowała. Dała mi płaski, zapakowany prezent. Też wygląda na książkę. Zastanawiam się, co to, u licha, może być? Będę musiała ją przeczytać i powiedzieć, że mi się podobała, cokolwiek to jest.

A potem pozostało już tylko czekać na samochody. Niektóre

dziewczęta wyjadą dopiero wieczorem, biedne istoty. Po mnie Daniel przyjechał już o pierwszej, dostatecznie wcześniej. Wszystkie dziewczyny biegały dookoła i wrzeszczały jeszcze głośniejsze niż zwykle. Pomyślał, dając głowę, że znalazł się w domu wariatów.

Zawiózł mnie do Old Hall akurat na podwieczorek, czyli na bardzo suche paszteciki, prawie tak paskudne jak szkolne jedzenie. Ciotki były zachwycone, że Scott zdobył puchar. Otworzyły z tej okazji butelkę szampana. Wydał mi się okropny, a bąbelki wyszły mi nosem. Piłam go już na weselu kuzynki Nicoli i wtedy też mi nie smakował. Daniel zaproponował, że doleje mi soku pomarańczowego i robi w ten sposób drinka zwanego Buck's Fizz, ale odmówiłam. Jedyna rzecz gorsza od szampana to koszmarny sok pomarańczowy. Tak naprawdę lubię pić tylko wodę. Dlaczego ludziom to przeszkadza? Jest za darmo, prosto z kranu.

Dziś wypada zimowe przesilenie, najkrótszy dzień roku. Od jutra ciemność zacznie odrobinę odpuszczać. Nie zamierzam tego żałować.

Miło jest mieć drzwi, które można zamknąć i rozkoszować się odrobiną prywatności. Poszłam wcześniej do łóżka. Rozważałam, czy nie pomasturbować się, myśląc o Wimie, bo ten brak tchu, który mnie przy nim ogarnia, jest zdecydowanie natury seksualnej, ale ja i on – wydało mi się to niemożliwe do wyobrażenia. Zresztą pozostaje jeszcze ta sprawa z Ruthie, przeszkadzałyby mi niezależnie od przyjętego punktu widzenia. Więc tylko rozmyślałam o Lessie, F'larze i Nicholasie w morzu. Zabawne, że w *Tritonie* jest tyle seksu, a jednak to rzecz kompletnie wyprana z erotyzmu. No i – nadal porównuję te dwie książki – w *Wydziedziczonych* też jest seks, ale nie taki, który zapiera dech. Ciekawe dlaczego? Czy sposób, w jaki Fowles pisze o Nicholasie w morzu, jest aż tak różny od tego, jak Delany opisuje seks między Bronem i Spike w miejscu publicznym? Pewnie tak, ale nie wiem, na czym to polega.

*Sobota, 22 grudnia 1979*

Ciotki zabrały mnie na zakupy do Shrewsbury. Chciały, żebym kupiła coś ładnego dla Daniela. Powiedziałam im, że mam już *The Mote*

*in God's Eye*, ale tylko się roześmiały i zapewniły mnie, że będzie mu się podobało. Kupiły dla niego – w moim imieniu – grafitowoszarą marynarkę z mnóstwem kieszeni. Wygląda w jego stylu, ale uczciwie mówiąc, ja nigdy bym czegoś takiego nie kupiła, i on będzie o tym wiedział. Przynajmniej zdobyłam trochę papieru do pakowania. Zabrały mnie na lunch do lokalu w eleganckim domu towarowym Owen Owens. Jedzenie było zbyt długo gotowane i oślizgłe.

Kiedy wróciłyśmy do domu, zaproponowałam, że upiekę bułeczki, starając się być możliwie najbardziej uprzejma i pełna szacunku. Zdecydowanie nie chciały, żebym się tym zajmowała, widziałam wyraźnie, ale nie bardzo wiem dlaczego. Umiem piec i gotować od wielu lat, o wiele lepiej niż one. Nie mogą uważać, że to mi jakoś uwłacza, same przecież też to robią. Może nie chcą, żebym się rządziła w ich kuchni, ale przecież bym nie nabalaganiła.

Dziś prawie nie widziałam Daniela. Był bardzo zapracowany. Pożyczyłam od niego wielki stos książek i się przez nie przegryzam. Chciałabym, żeby oświetlenie było lepsze.

Nie wydaje mi się, że jestem taka jak inni ludzie. Mam na myśli najgłębszy, podstawowy poziom istnienia. Nie chodzi tylko o to, że stanowią połówkę bliźniąt, że dużo czytam i widuję wróżki. Jestem introwertyczką. Wydaje mi się, że w pewien niezwykły sposób potrafię stanąć z boku i obserwować zdarzenia, gdy się akurat rozgrywają. To umiejętność potrzebna przy uprawianiu magii. Chociaż, skoro nie zamierzam już zajmować się magią, mały z niej pożytek.

*Niedziela, 23 grudnia 1979*

Kościół. Gdy wstałam, ciotki obejrzały mnie, jakbym była eksponatem wystawowym, i jedna z nich zasugerowała, żebym włożyła coś elegantszego. Miałam na sobie granatową spódnicę, bladobłękitny tiszert i szkolny płaszcz. Nie było zimno, chociaż padało. Wydawało mi się, że mój ubiór jest w porządku. Tak czy inaczej, poddałam się, wróciłam na górę i włożyłam szary pulower. Moja garderoba składa się z niewielu rzeczy poza mundurkiem. Zostawiłam prawie wszystko, kiedy uciekłam.



W kościele było dość normalnie. To ładna stara, kamienna świątynia pod wezwaniem świętego Marka. Ma gotyckie luki i stoi w niej grobowiec krzyżowca, prawdopodobnie jednego z przodków rodziny, ale nie oglądałam go z bliska. Nabożeństwo było według obrządku anglikańskiego, tak jak się spodziewałam, kazanie normalne, adwentowe. Stała już szopka i śpiewano kolędy. Później wikariusz bardzo miło z nami rozmawiał, ciotki przedstawiły mnie jako córkę Daniela. Jego samego nie było. Ciekawe dlaczego?

Wrócił na lunch, na który podano rozpadającą się pieczeń wołową, przesolone ziemniaki i marchewkę. Chciałabym, żeby pozwoliły mi gotować. Mogę zrozumieć, że nie chcą, bym tak od razu przygotowała cały niedzielny obiad, ale mogłyby się zgodzić, żebym chociaż upiekła trochę bułeczek.

Jeszcze trzy dni. Jest tak paskudnie, jak w szkole. Nawet gorzej, bo nie ma klubu i biblioteki, w której można by się ukryć.

Po lunchu poszłam na spacer pomimo deszczu i bólu nogi, który dziś nie dolega mi aż tak bardzo, tylko ćmi, zamiast pulsować. Okolica przypomina otoczenie szkoły, nie jest to prawdziwa wieś, tylko farmy, pola i drogi, nie ma dzikich terenów, ruin ani żadnej wróżki w polu widzenia. Nie mam pojęcia, dlaczego ktokolwiek chce tu mieszkać.

*Poniedziałek, 24 grudnia 1979,  
Wigilia Bożego Narodzenia*

Rosjanie dokonali inwazji na Afganistan. Jest w tym coś straszliwie nieuchronnego. Czytałam tak dużo historii o trzeciej wojnie światowej, że czasami wydaje mi się, iż taka przyszłość jest nieunikniona i nie ma sensu martwić się o cokolwiek, bo i tak nie zdążę dorosnąć.

Daniel przyniósł do domu choinkę i ubraliśmy ją, chociaż entuzjizm, jaki przy tym wykazywaliśmy, był dość marny. Wszystkie dekoracje są bardzo stare i cenne, głównie ze szkła, bardzo piękne i bardzo magiczne. Prawie bałam się ich dotykać. Nawet światełka są zabytkowe – latarenki z weneckiego szkła, w które wstawiało się świeczki, teraz przerobione tak, że świecą w nich elektryczne

żaróweczki. Dwie z nich były przepalone, więc je wymieniłam. Brakuje mi naszych starych ozdób świątecznych, które ciocia Teg pewnie też właśnie rozwiesza. Robi to sama. Oby tylko pozwolono Dziadkowi wyjść do domu na ten dzień. Mam nadzieję, że ciocia uda się prosto ustawić choinkę. Zawsze był z tym kłopot! Zeszłego roku musiałyśmy przywiązać drzewko do drzwiczek od kredensu. Lepiej nie myśleć o zeszłym roku, najgorszym Bożym

Narodzeniu, jakie pamiętam. Oczywiście dobra strona jest taka, że jeśli nawet tegoroczne będzie okropne, nie może rywalizować z tamtym.

Nasze ozdoby też są w większości stare, chociaż niektóre nowsze, kupione już za naszego życia. Wykonane są głównie z plastiku, choć wróżka, którą umieszczamy na czubku, jest porcelanowa. Choinka w Old Hall nie ma wróżki, co wydaje się dziwne – na czubku osadzony jest Święty Mikołaj. Nasze dekoracje nie są dobrane stylem, chyba że jest to styl mieszany. Mamy mnóstwo lamety, ale nie w formie cieniutkich srebrnych nitki, tylko grubych pasm. Mam nadzieję, że ciocia Teg da radę wszystko zrobić sama. Mam też nadzieję, że moja matka nie zjawi się tam jutro jak zła wróżka na chrzcinach. Przynajmniej tutaj to się nie może zdarzyć.

Zapakowałam prezenty i położyłam je pod choinką. Mam ładny papier, ciemnoczerwony ze srebrnymi nitkami. Kiedy już wszyscy położyli prezenty, zapaliliśmy latareczki, a wtedy przepaliła się jeszcze jedna żaróweczka i musiałam ją wymienić. Potem znów zapaliliśmy światełka i podziwialiśmy efekt. Położyłam też pod choinką prezenty dla mnie od Deirdre i panny Carroll.

Boże Narodzenie to czas, kiedy ludzie powinni być w domu. O ile oczywiście mają domy, bo ja chyba nie mam. Jednak chciałabym być z Dziadkiem i ciocią Teg, z nimi czuję się jak w najprawdziwszym domu. Kiedy dorosnę, nigdy nie wyjadę na święta. Ludzie będą mogli mnie odwiedzać, jeśli będą chcieli, ale ja nigdzie się nie ruszę.

Na dole ktoś nastawił płytę z kolędami, słyszę je przez podłogę. Co ja tu robię?

Chociaż i tak w Afganistanie jest gorzej, z czołgami jeżdżącymi po ulicach.

*Wtorek, 25 grudnia 1979, Boże Narodzenie*

Ten zapis nie będzie wyglądał tak, jak podejrzewałam, nie będzie listą nudnych prezentów.

Obudziły mnie kolędy, z tej samej płyty, śpiewane przez chór katedralny. Są dosyć ładne, jak mi się wydaje, i przez chwilę odczułam ożywienie z powodu świątecznego dnia, pomimo że jestem tutaj. Zeszłam na dół i zjedliśmy śniadanie: zimne grzanki i gotowane jajka, jak codziennie. Nie rozumiem, dlaczego robią grzanki w taki sposób. Opiekają je w kuchni, po czym umieszczają w stojaku do grzanek i zanim zaczniemy je jeść, są już zimne, twarde i obrzydliwe. Grzanki powinno się smarować masłem jeszcze ciepłe.

Po śniadaniu poszliśmy do salonu i otworzyliśmy prezenty. Przestrzegają tu bardzo sztywnego rytuału kolejności rozpakowywania podarunków, zupełnie inaczej niż w mojej rodzinie. My zwykle otwieraliśmy po jednym prezencie każde po kolei, w kółku. Oni robią to tak, że jedna osoba otwiera wszystkie otrzymane upominki i dopiero potem następna rozpakowuje swoje. Byłam ostatnia, bo jestem najmłodsza.

Ciotki były dość zadowolone z szali, chociaż niezbyt dobrze dobrałam kolory i dwie zamieniły się, kiedy sądziły, że nie patrzę. Wciąż nie umiem ich rozróżnić. (Czy ja i Mor też byłyśmy tak bardzo do siebie podobne? Czy byłybyśmy nadal, mając po czterdzieści lat?). Ciotki ofiarowały sobie nawzajem abonamenty do manikiurzystki i fryzjera, tego rodzaju rzeczy. Daniel podziękował mi za *The Moth in the God's Eye* i za marynarkę. Siostry kupiły mu whisky jakiejś szczególnej marki i jeszcze coś z ubrania.

Miałam wielką kupę prezentów, o wiele więcej, niż się spodziewałam. Deirdre podarowała mi coś, o czym nigdy nie słyszałam, nazywa się to *Autostopem przez Galaktykę* i niewątpliwie jest to science fiction, a panna Carroll wybrała dla mnie

*Wydzieńczonych*, bo wiedziała, że to czytałam, ale nie mam własnego egzemplarza. Daniel ofiarował mi całą stertę książek i jeden z tych zamykanych na kluczyk notesów, bardzo przydatny. Od jego sióstr

dostałam różne części garderoby, w większości takie, że prędeż bym umarła, niż je włożyła, a poza tym pudełko neapolitanek<sup>44</sup>, które niewątpliwie zjem, oraz małe pudełko, o którym od pierwszego dotknięcia wiedziałam, że emanuje potężną magią. Nie zastanawiałam się nad tym, w końcu ozdoby na choinkę też były magiczne, a ciotki zdawały się tego nie zauważać. Ostrożnie otworzyłam pudełko – w środku znajdowały się trzy pary kolczyków, o których nawet bez dotykania mogłam powiedzieć, że zioną magią.

Pierwsza para to były proste srebrne kółka, druga – też kółka, ale każde z maleńkim diamencikiem, a trzecia – perły oprawione w srebro.

– Te z perłami należały do naszej matki – oznajmiła jedna z ciotek.  
– Chcemy, żebyś je miała.

– Nie mam przekłutych uszu – powiedziałam z udawanym żalem i oddałam pudełko.

– To prawdziwy prezent.

– Zabierzemy cię we wtorek rano do miasta i załatwimy to.

– Będziesz musiała najpierw nosić zwykłe kółka, stopniowo zmieniając je na pozostałe.

Uśmiechnęła się, wszystkie trzy miały identyczny uśmiech na twarzach bez wyrazu. Wyglądały jak wystawowe manekiny, które ożyły i chcą mnie złapać. Czasami miewam talu koszmar.

– Nie chcę przekłuwać sobie uszu – powiedziałam tak uprzejmie, a jednocześnie stanowczo, jak tylko umiałam, lecz wiem, że głos mi zadrzał.

Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale teraz stało się dla mnie oczywiste, że przekłucie uszu pozbawi mnie zdolności do uprawiania magii. Dziurki i kolczyki w nich zablokują moje tajemne moce. Uświadomiłam to sobie w taki sposób, w jaki dowiadywałam się wszystkiego o magii: nie umysłem, ale odczuciem w całym ciele, niemal erotycznym drzeniem. Upuściłam pudełko i zakryłam uszy rękami.

– Wszystkie nastolatki teraz to robią – powiedziała jedna z ciotek.

– Taka jest moda – dodała druga.

– Nie bądź głuptaskiem, to nie boli – zapewniła trzecia.

– Wy nie macie przekłutych uszu – wytknęłam im.

To prawda, nie miały, żadna z nich, bo oczywiście wiedziały to, co

ja, i uprawiały magię. Są czarownicami, muszą nimi być, i dotąd wykazywały się wielkim sprytem, a ja straszną głupotą, skoro nie odgadłam tego wcześniej. Powinnam była mieć podejrzenia już choćby z tego powodu, że było ich trzy, że nie pozwalały mi gotować, a co najistotniejsze, dlatego że mieszkają razem, niczym się nie zajmują i kontrolują Daniela. Nie zauważyłam tego wszystkiego, bo są takie bez wyrazu, uśmiechnięte i bardzo angielskie. Nie zwracałam na to uwagi, ponieważ myślałam, że naprawdę mają obsesję na punkcie zdobycia pucharu przez Scotta.

Musiały być przerażone, kiedy weszłam z Danielem do ich domu. Wysłały mnie więc do Arlinghurst, żebym trzymała się z dala od magii, nie tylko od nich. Nie podziałało tak dobrze, jak się spodziewały. Musiały się zorientować, kiedy odprawiałam magię w sprawie karassu, chociaż prawdopodobnie nie wiedziały dokładnie, co robię, a tylko że sięgam do zasobów magii. Teraz chciały zapanować nade mną ostatecznie, co osiągnęłyby dzięki kolczykom.

- Za naszych czasów nie było takiej mody – stwierdziła jedna.
- Teraz wszystkie dziewczęta robią to sobie...
- Będiesz prześlicznie wyglądała w perłach naszej matki. W ten sposób chcemy powitać cię w rodzinie.

Spojrzałam z rozpaczą na Daniela, który wydawał się zdziwiony. Był moją jedyną nadzieją. Jest ich trzy i są dorosłe, prawdopodobnie nie mają skrupułów w kwestii używania magii, nie bardziej niż moja matka. Cokolwiek ukryły w kolczykach, zrobiły to świadomie. Ta magia jest skierowana konkretnie przeciwko mnie, czułam to, tylko trzymając w ręku pudełko. W pewien sposób kontrolują Daniela, ale nie chcą, żeby o tym wiedział, więc wszystko, co się teraz rozgrywało, omijało go, nie docierało do niego.

- Nie pozwól im, żeby mnie zmusiły do przekłucia uszu! – zaapelowałam. Wiedziałam, że brzmi to histerycznie, ale byłam zdesperowana.

- Nie wydaje mi się, żeby Morwenna musiała mieć przekłute uszy, skoro tego nie chce – powiedział. – Można z tym poczekać rok czy dwa.
- Zamówiliśmy wizytę.
- Nie będzie mogła założyć kolczyków naszej matki.

– Chciałyśmy powitać ją w rodzinie.

Brzmiało to tak cholernie rozsądnie, dorośle i normalnie.

Wiedziałam, że ja za to wydaję się nierozsądna, dziecinna i zwariowana.

– Proszę – błagałam. Nadal zakrywałam dłońmi boki głowy. –  
Tylko nie moje uszy.

– Jest przerażona – przekonywał Daniel. – Kolczyki mogą poczekać. Nie potrzebuje ich teraz nosić.

– Zachęcasz ją tylko do nierozsądnego zachowania.

– Będą wyglądały prześlicznie, szczególnie teraz, kiedy jej włosy trochę podrosły.

– To boli tylko przez sekundę.

Daniel wydawał się zaskoczony. Jest słaby i nie przywykł do sprzeciwiania się siostróm. Nigdy tego nie robił. Zapanowały nad jego życiem, kiedy był młodszy, i prawdopodobnie manipulowały nim za pomocą magii przez cały ten czas. Co prawda sędzę, że robiły to dyskretnie i niebezpośrednio. Nie wiem dlaczego. Może nie chciały tak do końca zrobić z niego marionetki. Może chciały, żeby je kochał. Niewielu ludzi kocha czarownice. Popatrzcie tylko na moją matkę. Jej nikt nie kocha. One mają siebie nawzajem, ale czy to im wystarcza? Chlipałam i spoglądałam błagalnie na Daniela, bo tylko on stał pomiędzy nimi a mną.

– Z pewnością nie ma pośpiechu – rzekł.

– Ja nie chcę, nie chcę – wybąkałam. Chwyciłam książki i uciekłam na górę.

– Typowa nastolatkowa histeria bez powodu – stwierdziła jedna z ciotek.

– Danielu, musisz z nią postępować stanowczo.

– Za bardzo przywykła do samowoli.

Drzwi nie można było zamknąć na klucz, ale podparłam je krzesłem, żeby nikt nie mógł wejść. Przyszli na górę i prosili, żebym zeszła na świąteczny obiad, ale zostałam tam, gdzie byłam. Jedzenie i tak jest rozgotowane, trochę wysuszone. Nie wiem, co robić. Czy powinnam znowu uciec? Poprzednim razem mi się udało, no, prawie. Nie wiem, czego chcą. Wydają się dość normalne, ale takie samo wrażenie sprawia moja matka, jeśli się jej dobrze nie zna. Chcą nade

mną zapanować, powstrzymać mnie od używania magii. Nie chodzi mi o to, że chcę ją uprawiać – tak naprawdę przysięgłam, że już nie będę tego robiła, no, chyba że bym musiała przeciwdziałać czyjemuś nieszczęściu. Chcę nadal móc zapobiegać złym rzeczom. To, co one chcą zrobić, to krzywda. Okaleczenie. Wydawało mi się, że moja noga jest okaleczona, ale to nic w porównaniu z tym, co się stanie, jeśli założę te kolczyki. Nie będę mogła widzieć wróżek. Nie wiem, czy zdołają nade mną zapanować, ale otwory w uszach powstrzymają moją zdolność. Jeśli prawdą jest, że całe obecne pokolenie się temu poddaje, to znaczy, że współczesne kobiety nie potrafią widzieć wróżek. Sam pomysł nie brzmi najgorzej, to jak szczepienie, prawda? Małe ukłucie i szlag trafia całą naszą mistyczną stronę. Jednak to jest złe, bo podobnie jak szczepienia, działa tylko wtedy, gdy robią to wszyscy. One sobie tego nie robią i potem nikt nie będzie w stanie ich powstrzymać.

Zresztą, chociaż i tak większość ludzi nie widzi wróżek, bo nie wierzy w nie, dar widzenia nie jest rzeczą złą. Niektóre wróżki to najpiękniejsze zjawiska, jakie zdarzyło mi się oglądać.

Być może mogłabym uciec przez okno, chociaż nie rośnie tu wygodnie usytuowane drzewo, tak jak obok budynku szkoły. Albo mogłabym wyjść tylnymi drzwiami, nocą, kiedy wszyscy śpią. Mam mapę. Tylko że są święta i pociągi nie jeżdżą ani dziś, ani jutro. No i nie mam pieniędzy, wydałam wszystkie na prezenty. Zostały mi dwadzieścia cztery pensy. Daniel pewnie dalby mi więcej, ale nie chciałby słuchać niczego, co chciałabym powiedzieć przeciwko nim – prawdopodobnie całkiem dosłownie nie byłby w stanie tego usłyszeć. Poza tym jest oficjalnie moim ojcem i prawnym opiekunem. Kiedy uciekłam i umieszczono mnie w domu dziecka, odszukali go. Gdybym teraz uciekła, dokąd bym poszła? Nie mogę jechać do Dziadka, prawdopodobnie znów jest w szpitalu, a i tak nie pozwolono by mi z nim mieszkać, ani z ciocią Teg. Mogłabym spróbować się u niej zatrzymać, ale jej dom byłby pierwszym miejscem, które sprawdziłby Daniel. Reszta rodziny już wcześniej mnie zawiodła, wiedzieli wszystko o Liz, a jednak uważali, że powinnam u niej zostać. Zanim skończę szesnaście lat, będzie czerwiec, to za sześć miesięcy. Dokąd mam pójść sama, bez numeru polisy ubezpieczeniowej, na dokładkę wyglądając na

młodsza, niż jestem?

Muszę jakoś przetrwać resztę dzisiejszego dnia i jutrzejszy też, a potem mogę pojechać do Południowej Walii, żeby porozmawiać z ciocią Teg i Glorfindelem, a wtedy zobaczę, co dalej. Jeśli zostawią mnie w spokoju, dam sobie radę ze szkołą, przynajmniej w tym roku. Kiedy ma się skończone szesnaście lat, można być samodzielnym. Mogłabym zrobić to, o czym mówiła Janine, znaleźć pracę i zaocznie przygotowywać się do egzaminów, jak Wim. Mogłoby mi się udać.

Z pewnością robią wszystko w kuchni i w swoich pokojach, w tych częściach domu, których nie widziałam. Muszę trzymać się blisko Daniela. Uważa, że zachowuję się nieracjonalnie i histerycznie, ale jest wyrozumiały. Nie jest zły. Wydaje mi się, że w jakimś stopniu mnie lubi. Tam na dole jedzą i piją, zejść i powiem, że przepraszam za histeryczne zachowanie, ale myśl o przekłuciu uszu mnie przeraża, i jeśli obiecują nigdy więcej o tym nie wspominać, ja ze swej strony przyrzeknę, że nie będę wybiegała z pokoju i barykadowała się u siebie. Jeśli będzie trzeba, obiecuję, że wyjadę od razu i nie zobaczą mnie aż do czerwca. To ciotki płacą za szkołę, nie Daniel. Mogę przyrzec, że oddam im wszystko, kiedy tylko będę mogła.

Nie jestem do końca pewna, czy one wiedzą, że ja wiem – to znaczy czy zdają sobie sprawę, że to nie jest irracjonalny lęk. W obecności Daniela będą udawały, że się zgadzają. Daniel to ich słaby punkt. Zresztą i tak nic nie mogą zrobić aż do czwartku. Wdech, wydech. Schodzę.

*Środa, 26 grudnia 1979*

Ale, z drugiej strony, dlaczego sędzę, że są złe? Czemu tak zakładam? Może są dokładnie takie, na jakie wyglądają, tyle że mają w sobie trochę magii, i nie wiedzą o mnie niczego poza tym, co oczywiste. Może chcą tylko przerobić mnie na grzeczną i miłą bratanicę.

Wiem, że po zrobieniu tych dziurek oddalę się od magii. Jestem pewna, że o tym wiedzą, bo inaczej nie należałyby tak stanowczo, lecz przecież nie mam pewności, czy zdają sobie sprawę, że wiem o magii. Większość ludzi nie wie, dla nich to nie byłaby żadna strata. Chociaż...



chodzi przecież o dziewczynki, większość chłopców nie przekłuwa sobie uszu. Czy mężczyźni mogą uprawiać magię? Jestem przekonana, że tak, ale jakoś nie spotkałam żadnego, który by to robił. Skojarzenie ze szczepieniami: może ciotki myślą o tym w ten sposób, chcą zabezpieczyć mnie przed pokusą używania magii. Wydało mi się, że dzięki kolczykom będą mogły nade mną zapanować, ale może chodzi im o to, żebym stała się taka jak wszyscy ludzie. Mają udomowionego brata, być może chcą też mieć udomowioną bratanicę. Jeśli tak, prawdopodobnie zgodzą się, żebym wróciła do szkoły i nie spróbują niczego nowego przed końcem semestru, a może i przed Wielkanocą. Chcą, żebym była właśnie w tej szkole. Ona jest osłonięta przed magią, zauważyłam to od razu – i tak nic tam nie działałam.

Chcę wrócić do Arlinghurst – chociaż jest ogłupiające, jedzenie mają paskudne i nie ma w nim prywatności – bo zaczęłam tam budować swój karass. Należę do Idubu i do biblioteki, do obu bibliotek. Z całą resztą dam sobie radę. Już daję. Chcę zdać egzaminy najszybciej, jak tylko to możliwe. Chcę dostać się na uniwersytet i wreszcie poznać ludzi, z którymi można porozmawiać. Babcia powiedziała, że znajdę tam równych sobie, że warto się starać. Zawsze tak mówiła, kiedy zniechęcałam się z powodu matematyki i gramatyki łacińskiej. Niechbym zdała chociaż egzaminy najniższego stopnia, to przynajmniej będą jakieś kwalifikacje. Każdy, kto nie potrafi ich zdać, będzie uznany za idiotę i nie znajdzie pracy poza zajęciami dla idiotów. Jeśli jest się poetą, to nie ma znaczenia, do tego nie potrzeba szczególnych kwalifikacji, ale będę potrzebowała czegoś, z czego mogłabym się utrzymać, no i wolałabym, żeby nie była to nudna praca. Powinnam zdać egzaminy przynajmniej na najniższym poziomie. Muszę albo wrócić do Arlinghurst – co oznacza pozostawanie w talach stosunkach z ciotkami, żeby chciały płacić – albo znaleźć inną szkołę.

Wróćmy do wczorajszego dnia.

Zeszłam na dół i przeprosiłam za to, że wybiegłam z pokoju, chociaż raczej wykuśtykałam. Wyjaśniłam, że doceniam ich dobre chęci, ale perspektywa przekłuwania uszu bardzo mnie stresuje – musiały to zauważyć. Nie próbowały już więcej mnie nakłaniać, a pudełko z kolczykami zniknęło spomiędzy moich prezentów. Powiedziały, że

zapomnimy o wszystkim i podały mi zimnego indyka z nadzieją, który był przesuszony, ale nie taki zły. Potem graliśmy w monopol i jedna z nich wygrała, chociaż nie dawałam im forów.

Podczas zabawy wyraźnie było widać, że od dawna grywają w tę grę, wszyscy czworo. Mieli swoje ulubione pionki, które od razu przejmowali. Jeśli od czasu do czasu musiałam je przesuwac, czułam, że są naładowane magią sympatii i przyzwyczajenia. Potrafiłam odróżnić je od innych już na wstępie. Ciotki zawsze ubierają się tak samo, ale pionki, pies, samochód i cylinder rozpoznają je. To było dziwne, bo zasiedliśmy do gry jak normalna rodzina, tylko że ja do niej nie należałam, a nawet biorąc mnie pod uwagę, familia była niekompletna. Normalne rodziny składają się z różnych pokoleń, a oni są z jednego. W takich rodzinach są też małżeństwa – Daniel jest jedyny, który zawarł związek małżeński, i popatrzcie tylko, kogo sobie wybrał! Normalne rodziny nie składają się z czterdziestoletnich dzieci, które rządzą, chociaż nigdy nie dorosły. Chwilami podczas gry tak się sprzecjali, że czułam się jak najstarsza osoba przy stole.

Potem jedliśmy świąteczne ciasto, chociaż ja swój kawałek tylko kruszyłam na talerzu, bo dość oczywiste wydawało mi się, że użyto w nim magii, jako że jest to coś, co łączy się ze wszystkim. Zresztą i tak nie lubię ciasta z owocami z wyjątkiem tego, które piecze ciocia Bessie. Później poszłam z Danielem do jego gabinetu i rozmawialiśmy o książkach, które mi wysłał, szczególnie o *Diunie*. Arrakis to wspaniały świat. Taki prawdziwy, biorąc pod uwagę różnorodność kultur. W SF nieczęsto widzi się zderzenia kulturowe, to bardzo ciekawe. Paul, który udaje się na pustynię między Fremenów, zanurza się w całkiem innej cywilizacji. Daniel mówił o tym z ożywieniem, a chociaż nalał sobie szklankę whisky, sączył ją powoli. Oczywiście przez cały czas palił. Pytał, co czytam, i jak tam w klubie literackim, i co bym chciała pożyczyć. Ani razu nie powiedziałam: „Wiesz, że twoje siostry są czarownicami?”, a on nie zapytał: „A dlaczego tak się spłoszyłaś z powodu kolczyków?”. Choć nie wypowiedzieliśmy tego głośno, prawie to słyszałam.

Potem sprowadziłam rozmowę na temat Sama, najbardziej ludzkiego z ludzi. Raczej nie mogą na niego oddziaływać, może z

powodu jego wyznania? Dla Daniela Sam jest punktem oparcia, centrum stabilności. Im dłużej rozmawialiśmy, tym głębiej zastanawiałam się, do jakiego stopnia kontrolują Daniela, o czym nie może myśleć, a co skłania go do sięgania po butelkę. Mają udomowionego brata. Człowieka do zarządzania majątkiem. Pomyślałam wtedy, że chcą też mieć miłą bratanicę. Bo jeśli nie są złymi wiedźmami pragnącymi przejąć władzę nad światem – nie są tak szalone jak Liz – jeżeli są, założmy, takie, na jakie wyglądają, trzy kobiety, które żyjąc razem, nigdy do końca nie dorosły, a korzystają z odrobiny magii, żeby urządzić sobie życie tak, jak chcą – to ma to sens.

– Czy odwiedzimy Sama? – zapytałam.

– Nie ma na to czasu, skoro powiedziałaś cioci Teg, że przyjedziesz we wtorek – odrzekł.

– Możemy tak to zrobić jak ostatnim razem. Wpaść do niego jutro.

– Siostry nie chciałyby, żebym był poza domem w drugi dzień świąt – powiedział.

Zrozumiałam, że rzeczywiście tak jest. Mają pewnie własne rytuały związane z drugim dniem świąt, tak samo jak z pierwszym. Są jego siostrami i pracodawczyniami, przywiązały go do siebie za sprawą magii, jak mogłabym z nimi współzawodniczyć?

Widzę teraz wyraźnie, jaki jest Daniel. Żal mi go. Jest na tyle dobrym człowiekiem, na ile pozwala mu jego natura. Przecież nie może widzieć murów, które wokół niego zbudowały. Tak naprawdę nie ma nic dziwnego w tym, że poślubił moją matkę. Musiała to być kobieta mająca w sobie wystarczająco dużą magiczną moc, żeby go im odebrać. Magia i seks, możliwe też, że sprawę przesądziła ciąża, bo to bardzo silne powiązanie, ohyda. Nic dziwnego, że wszystkie trzy na fotografiach mają kwaśne miny. Zresztą odzyskanie własności nie zajęło im zbyt wiele czasu.

Dziś był słoneczny i mroźny dzień, wybraliśmy się razem na spacer po majątku. Wszystko wyglądało szalenie feudalnie. Nigdy nie widziałam niczego w tym stylu. Podziały klasowe, owszem, te są wszędzie, ale żeby kłaniać się nam jak państwu na włościach? Zjedliśmy lunch w małym starym pubie, zbudowanym dosłownie w zbiegu wzgórza, który nazywał się Pod Znakiem Kowala. Potrawy były

doskonale. Zjadłam stek i pasztet z cynaderek, który podano w misce, z ziemniakami i kruchą zimową sałatą. Najlepszy posiłek, jaki mi się trafił od wieków. W pubie było mnóstwo ludzi, którzy ich znali; wciąż podchodzili, żeby się przywitać. A kiedy wróciliśmy do domu, wiele z tych osób wpadło na paszteciki i herbatę. Ciotki pozwoliły mi roznosić te okrągłe pierożki. Odgrywałam miłą bratanicę tak dobrze, jak tylko potrafiłam, opowiadałam, że cieszy mnie szkoła i jestem na trzecim miejscu, jeśli chodzi o wyniki. Kilka kobiet też chodziło do Arlinghurst, ale tylko jedna zapytała o puchar. Zdałam sobie sprawę, że zawarcie znajomości z tymi wszystkim ludźmi przemawia na moją korzyść, bo to przyjaciele ciotek. Skoro mnie poznali, mnie, córkę Daniela, nie mogłabym nagle zniknąć, nie stawiając ciotek w trudnej sytuacji.

Kiedy już wszyscy poszli, zaoferowałam pomoc przy zmywaniu naczyń, ale mi nie pozwoliły. Są bardzo zdeterminowane, żeby trzymać mnie z dala od kuchni. Daniel poszedł do gabinetu, a ja na górę, niby do łóżka.

Jutro jadę do Cardiff, pociągiem. Mam nadzieję, że ciocia Teg odbierze mnie z dworca. Nie odpowiedziała na mój list. Jeśli jej nie będzie, wsiądę w autobus. Mam klucz do domku Dziadka. Muszę porozmawiać z Glorfindelem, chociaż uzyskanie bezpośrednich odpowiedzi od wrózek nie jest najłatwiejszym przedsięwzięciem na świecie. Jednak muszę spróbować.

*Czwartek, 27 grudnia 1979*

Jadę pociągiem, siedzę w kącie małego przedziału, który mam cały dla siebie, przynajmniej na razie. Okolica jest zaśnieżona, co wygląda tak, jakby wszystko było polukrowane. Słońce raz po raz wygląda zza chmur, pociąg pędzi, a kiedy skręca, widzę w oddali walijskie góry, coraz bliżej. Kocham ten pociąg. Siedząc w nim, czuję łączność z poprzednią podróżą i tą do Londynu także. Znajduję się pomiędzy, zawieszona, w ruchu do i od. Jest w tym magia, nie taka, którą można kształtować, ale taka, która po prostu jest i dodaje wszystkiemu barw i radości.

Nie pozwoliłam im porobić w mojej głowie dziur do zawieszania

biżuterii, a przez to odebrać sobie magii. Jestem wolna, przynajmniej na razie, dopóki pociąg przelatuje przez Church Stretton i Craven Arms, pozostawiając w tyle Shrewsbury. Do Cardiff jeszcze daleko. Jest o tym trochę we *Wszystkich stronach świata*, poszukam, kiedy będę miała książkę w ręku.

Jeśli istnieje łatwiejsza forma magii niż zmuszanie kogoś do robienia tego, co sam chce, przy użyciu rzeczy, które też tego chcą, to nie wiem, jaka ona może być. Kupują mu ubrania. I buty. Kieliszki i whisky. Są właścicielkami domu i mebli. On chce pić whisky, fotel chce, żeby na nim siedział, a kieliszek, żeby z niego pił. Oczywiście nic nie jest łatwiejsze niż nakłonienie go do wypicia tyle, żeby rano nie mógł wstać o takiej porze, żeby mnie zawieźć na stację. Jediną dziwną okolicznością jest to, że sama o tym nie pomyślałam. Jednak nie wiem, czy potrafiłabym go powstrzymać bez użycia magii, a nawet pomijając fakt, że to zły pomysł, nie zrobiłabym tego, chociaż one właśnie tak robią. Jeśli kocha je od zawsze, jest im wdzięczny, zrobią wszystko, żeby utrzymać ten stan rzeczy. Prawdopodobnie przez lata stosowały drobne magiczne sztuczki, nie po to, żeby zrobić mu krzywdę, ale żeby zatrzymać go przy sobie. Związywały go ze sobą pajęczymi nitkami magii, tak że jest z nimi, robi to, czego chcą, nie ma własnej woli. Musiałoby zdarzyć się coś potężnego, aby rozerwać ten kokon.

Biedny Daniel. Jedyne miejsce, gdzie jest wolny, to u Sama, wśród jego książek. Trudno używać książek do magii. Po pierwsze, jeżeli coś należy do masowej produkcji, jest nowe, trudniej znaleźć w tym indywidualną magiczną moc poza magią całości. Istnieje magia masowej produkcji, ale jest rozpostarta bardzo cienką warstwą i trudno ją utrzymać. Szczególnie jeśli chodzi o książki, bo jako przedmioty nie są tym, co jest w nich ważne, a magia operuje właśnie przedmiotami. (Nie powinnam była odprawiać tego rytuału w sprawie karassu, prawie nie wiedziałam, co robię. Im dłużej o tym myślę, tym dokładniej to widzę. Nie mogę szczerze żałować tego, co zrobiłam, bo ludzie, z którymi teraz mogę rozmawiać, są cenniejsi od rubinów i wszystkiego na świecie, ale wiem, że gdybym była mądrzejsza albo może mniej zdesperowana, nie zrobiłabym tego).

Anthea odwiozła mnie na stację. Wiem, że to była ona, bo mi

powiedziała, chociaż oczywiście bez trudu mogła skłamać. Bardzo łatwo oszukiwać otoczenie, kiedy się jest częścią wieloraczków. Powinnam coś o tym wiedzieć. (Ciekawe, czy Daniel naprawdę je rozróżnia. Powinnam go o to zapytać). Dwie zostały w domu, chyba po to, żeby mieć brata na oku.

– Daniel ma dziś lekkiego kaca – powiedziała jedna z uśmiechem, stawiając na stole stojak z obrzydliwie zimnymi grzankami. – Na stację zawiezie cię więc Anthea.

– Nie dam sobie przekłuć uszu – oznajmiłam, zakrywając je rękami.

– Nie, kochanie. Ale może będziesz rozsądniejsza, kiedy trochę dorośniesz.

W samochodzie Anthea nie poruszała tematu przekłuwania uszu. Paplałam radośnie o szkole, o Arlinghurst, o gospodyniach klasowych, o domach, i bardzo starałam się sprawiać wrażenie miłej bratanicy, jakbym zmieniła się w nią spontanicznie, bez potrzeby używania magii. Trudno mi to przychodziło, bo oczywiście nigdy wcześniej tego nie robiłam – prawdopodobnie powinnam była zaczynać stopniowo, wtedy byłabym bardziej wiarygodna. Samochód Anthei jest srebrny, średniej wielkości, nie wiem, jakiej marki, ale gdybym naprawdę była miłą bratanicą, sprawdziłabym to, żeby po powrocie do szkoły wziąć udział w ogólnym rankingu. Wnętrze ma obite skórą. Wóz jest o wiele nowszy niż auto Daniela. W osłonie przeciwsłonecznej po stronie pasażera jest lusterko. Jechałam już tym samochodem, kiedy byłyśmy na zakupach, ale wtedy siedziałam z tyłu. Wiem, że prowadzą na zmianę i zajmują siedzenie pasażera z przodu. Naprawdę są bardzo dziwnymi osobami. Mogą się zajmować czymkolwiek. Na przykład pracować nad lekiem na holenderską chorobę wiązu. Albo zwiedzać świat.

Kiedy dojechałyśmy do Shrewsbury, Anthea, zamiast podjechać pod dworzec, zaparkowała przed sklepem jubilerskim z tabliczką „Przekłuwanie uszu”.

– Jest akurat dosyć czasu przed przyjazdem pociągu – rzekła. – Wzięłam twoje kolczyki.

– Będę wrzeszczała – ostrzegłam. – Nie zaciągniesz mnie tam nawet siłą.

– Chciałabym, żebyś nie była takim głuptasem – powiedziała tym szczególnym tonem „więcej smutku niż gniewu”, którego używają dorośli.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie wiedziałam też, co ona wie o przyczynie moich protestów. Wydawało mi się, i nadal mi się wydaje, że lepiej mówić na te tematy jak najmniej. Gdybym zaczęła opowiadać o magii, nie tylko miałaby pewność, że wiem, ale też powód, żeby powiedzieć Danielowi, iż jestem nienormalna.

– Nie zgadzam się na przekłuwanie uszu – oznajmiłam tak stanowczo, jak tylko potrafiłam. Ścisnęłam trzymaną na kolanach torbę, to pomagało mi się skoncentrować. – Nie chcę być niegrzeczna, nie mam ochoty urządzić sceny na ulicy ani w sklepie, ale jeśli będę musiała, zrobię to.

Z tymi słowami położyłam rękę na klamce, gotowa wyskoczyć, gdyby zaszła taka potrzeba. W bagażniku była druga torba, z książkami i ubraniami, ale wszystko, czego naprawdę potrzebowałam, miałam w torbie na kolanach. Przykro by mi było stracić niektóre książki, ale w razie potrzeby można je odkupić. Heinlein powiada, że trzeba być przygotowanym na utratę bagażu. Ja byłam. Jasne, że nie mogłabym biec, nie dosłownie, ale pomyślałam, że jeśli wyskoczę i pokuśtykam ulicą, będzie musiała mnie gonić, a mogą tam być znajomi i to ją powstrzyma. Przechodziło tamtędy sporo ludzi, chociaż pora była wczesna. Gdyby doszło do przepychanek, cóż, ona była tym razem tylko jedna. A ja mam uszkodzoną nogę, ale dzięki temu dysponuję też laską.

Siedziałyśmy tak przez dłuższą chwilę, potem skrzywiła się, obróciła klucz w stacyjce i ruszyła. Weszłyśmy na dworzec, gdzie kupiła mi bilet w obie strony, a potem pocałowała w policzek i życzyła miłego spędzenia czasu. Nie poszła ze mną na peron. Wyglądała... no, nie wiem. Nie wydaje mi się, żeby często spotykała się ze sprzeciwem.

Magia nie jest zła sama w sobie, jednak wydaje się, że strasznie szkodzi ludziom.

*Piątek, 28 grudnia 1979*

Zanim pociąg dotarł do Cardiff, zaczęło padać i cały mój zachwyty

na widok oszronionych wzgórz utonął w potokach miejskiego deszczu. Cioci Teg nie było na dworcu. Pomyślałam, że pewnie jest zła na mnie za to, że nie przyjechałam pomóc przy świętach, i dlatego w ogóle nie chce mnie widzieć. Wyszłam z dworca i powędrowałam na przystanek autobusowy, ale uprzytomniłam sobie, że nadal mam tylko dwadzieścia cztery pensy – dwie dziesiątki i dwie dwupensówki – wielkie jak koła od wozu i równie nieprzydatne. Nie potrafiłam wymyślić niczego, co pomogłoby mi zdobyć więcej pieniędzy. Mam kilka funtów na rachunku, ale nie wzięłam książeczki. Mogłabym od kogoś pożyczyć, ale akurat nikogo znajomego nie było w Cardiff w porze lunchu, szczególnie że padał deszcz. A moja głupia noga znów musiała mnie rozboleć. Na szczęście, zanim zdecydowałam się na autostop, co zdarzyło mi tylko wtedy, gdy uciekłam z domu, zauważyłam pomarańczowy samochódziki cioci Teg wjeżdżający na parking. Pokuśtykałam ku niej, żeby zwrócić jej uwagę, zanim zapłaci za parkowanie. Ucieszyła się na mój widok i nie miała żadnych pretensji. Spodziewała się, że przyjadę następnym pociągiem. Prawdopodobnie załapałam się na wcześniejszy, bo Anthea zaplanowała, że wymusi na mnie przekłucie uszu.

Już drugi raz zdarzyło mi się, że wysiadłam z pociągu i nikt na mnie nie czekał, i uświadomiłam sobie, że sama nie dam sobie rady. Powinnam z tym skończyć. Powinnam lepiej gospodarować pieniędzmi, by zawsze mieć przy sobie więcej gotówki. Muszę trzymać w torbie jakąś kwotę na wszelki wypadek. Gdy podejmę pieniądze z konta, będę nosiła przy sobie przynajmniej pięć funtów. I może jeszcze funta w torebce, gdybym wydała tamte albo będę potrzebowała tylko trochę. Może zresztą powinnam oszczędzać na wypadek kolejnej ucieczki. Fajnie byłoby mieć życie na tyle uporządkowane, żeby ich nie potrzebować, ale powiedzmy sobie jasno: jeszcze nie teraz.

Ciocia Teg ma nowoczesne mieszkanie na schludnym nowym osiedlu. Zbudowano je jakieś dziesięć lat temu, tak mi się wydaje. Jest tam niewielki ciąg sklepów, w tym wspaniała piekarnia, a dalej trzypiętrowe bloki po sześć mieszkań, oddzielone trawnikami. Ciocia mieszka w środkowym. Nie jest to... chcę powiedzieć, że nie mogłabym tam żyć. Wszystko jest takie nowe, czyste, eleganckie i zupełnie bez



charakteru. Pokoje prostokątne, sufity niskie. Wydaje mi się, że ciocia Teg wybrała to miejsce, bo na takie mogła sobie wtedy pozwolić, no i samotna kobieta może czuć się tu bezpiecznie. A może chciała czegoś zupełnie odmiennego niż dom, nowoczesnie umeblowanego i pozbawionego magii. Zawsze kojarzyła magię, wróżki i temu podobne z moją matką, która jest od niej o cztery lata starsza. Ciocia nie chce mieć do czynienia z takimi rzeczami, tak samo jak z Liz. Mieszka na swoim, razem z piękną, niewiarygodnie rozpieszczoną kotką Persimmon. Zwierzątko wychodzi przez okno, zeskakuje na daszek nad frontowymi drzwiami, a potem na ziemię. Nie potrafi wrócić tą samą drogą, wchodzi po schodach i miauczy pod drzwiami.

Lubię to mieszkanie i jednocześnie go nie znoszę. Podziwiam, że jest takie czyste i uładzone, z miękkimi brązowymi kanapami marki Habitat (są dla mnie za niskie, szczególnie dzisiaj) i pomalowanymi na niebiesko stolikami. Rozumiem, że przenośny grill jest bardzo praktyczny. Kiedy go kupiła, niedługo po tym, jak umarła Babcia, byliśmy pod wielkim wrażeniem, jakie to nowoczesne urządzenie. Jednak tak naprawdę wolę stare meble, zagracone pomieszczenia i kominki, a podejrzewam, że ciocia Teg także, chociaż za nic się do tego nie przyzna.

„Mój” pokój jest mały, stoją w nim łóżko i półki z cioci książkami o sztuce. Na ścianie wiszą dwa niesamowite obrazy Hokusai, najwyraźniej ilustrują jakąś historię. Na jednym dwóch przestraszonych Japończyków walczy z gigantyczną ośmiornicą, na drugim ci sami mężczyźni ze śmiechem torują sobie drogę przez ogromną pajęczynę. Nie znam ich imion ani całej historii, ale bije z nich siła i leżąc, lubię patrzeć na nich i wyobrażać sobie ich przygody. Mor i ja opowiadałyśmy sobie różne historie z nimi w rolach głównych. Ciocia Teg kupiła obrazy w Bath, razem z brązowo–kremową marokańską derką, która wisi na ścianie w saloniku.

Leżę tu sobie i piszę, od czasu do czasu Persimmon woła pod drzwiami, żeby ją wpuścić. Jeśli nie otworzę, będzie się darła. Gdy wstanę i pokuśtykam do drzwi – każdy krok to małe zwycięstwo – wchodzi, patrzy na mnie lekceważąco, a potem odwraca się i wychodzi. To szylkretowa kotka z białym podbródkiem i brzuchem. Widzi wróżki

– w Aberdare, gdzie można je spotkać, ale oczywiście nie tutaj. Widziałam, jak na nie patrzy, z takim samym lekceważeniem jak na mnie, chociaż zachowuje czujność na wypadek, gdybyśmy chcieli coś zbroić. Ciocia Teg namalowała ją olejnymi farbami, jak leży przed marokańską derką – cudowne zestawienie kolorystyczne – najpiękniejsza i najłagodniejsza kotka na świecie. Lubi być głaskana, ale tylko przez trzydzieści sekund, potem rzuca się na pieszczącą ją rękę. Zarobiłam więcej ugryzień i zadrapań od Persimmon niż od wszystkich innych kotów świata razem wziętych, a ciocia Teg często ma podrapane nadgarstki. Ale uwielbia ją i przemawia do niej jak do dziecka. W tej chwili słyszę, jak grucha: „Kto jest najmilszą kicią? Kto jest najmilszą kicią na świecie?”. Kocica, przy swoim umaszczeniu i arystokratycznym zachowaniu, mogłaby się ubiegać o tytuł najpiękniejszej, ale na pewno nie „najmilszej” – musiałaby mieć lepsze maniery.

Jutro wybieramy się w odwiedziny do Dziadka. Nie jest tak, jak było w przerwie międzysemestralnej, ciocia Teg nie musi iść do szkoły. Nie będzie łatwo znaleźć czas na poszukiwanie wrózek, chociaż około Nowego Roku ciocia wyjeżdża na parę dni i wtedy będę miała na to szansę. Ciocia Teg nie jest stara, skończyła dopiero trzydzieści sześć lat. Ma faceta, co oboje utrzymują w tajemnicy. Tak naprawdę to tragiczna historia, trochę jak w *Dziwnych losach Janc Eyre*. On ma żonę wariatkę, z którą nie może się rozwieść, bo jest politykiem, a poza tym wie, że ma wobec niej obowiązki, bo ożenił się z nią, kiedy była młoda, ładna i błyszczała w towarzystwie. Ciocia Teg była w nim zakochana od dzieciństwa, pocałował ją w czasie przyjęcia z okazji jej dwudziestych pierwszych urodzin. Potem wyjechał na uniwersytet, poznał swoją przyszłą żonę wariatkę, która wtedy jeszcze nie była wariatką, ożenił się z nią i dopiero później zorientował się, że tak naprawdę cały czas kochał Teg, a wtedy było już jasne, że jego żona oszalała. Nie jestem pewna, czy ta wersja wydarzeń jest prawdziwa. Na przykład ojciec jego żony jest nie lada osobistością, która mogła mu pomóc uzyskać stanowisko w parlamencie. Zastanawiam się, czy nie chodzi mu głównie o własną karierę. Czy naprawdę ta kobieta by się załamała do końca, gdyby się rozwiodł i ożenił powtórnie? Chyba byłoby dla niej gorzej, gdyby wyszło na jaw, że jest związany z ciocią Teg. Co prawda ona sama

twierdzi, że jest szczęśliwa, bo lubi mieszkać tylko z Persimmon i woli spotykać się z nim co jakiś czas.

Zamierzam pomóc przy obiedzie. Nie wyobrażacie sobie, jaka to przyjemność myć pieczarki i ścierać ser na tarce, kiedy długo się tego nie robiło. A jedzenie, przygotowane samodzielnie lub z kimś bliskim, zawsze smakuje o wiele lepiej. Ciocia Teg robi najlepszego w świecie kalafiora z sosem serowym.

No i jak miło jest odprężyć się i pozwolić, żeby ktoś krzątał się wokół i cię rozpieszczał.

*Sobota, 29 grudnia 1979*

Do końca roku zostało już niewiele czasu. To dobrze. Wyjątkowo paskudny rok. Może 1980 będzie lepszy. Nowy rok. Nowa dekada. Dekada, w której dorosnę i będę mogła coś osiągnąć. Zastanawiam się, co przyniosą lata osiemdziesiąte? Pamiętam jeszcze powitanie roku 1970. Wyszłam wtedy do ogrodu i myślałam, że to będzie okrągły rok, zupełnie jakby powiewały żółte flagi, i powiedziałam o tym Mor, a ona się ze mną zgodziła, a potem biegaliśmy po ogrodzie z rozpostartymi ramionami, udając, że latamy. Rok 1980 brzmi jeszcze bardziej okrągło. I kasztanowo. Zabawne, że dźwięki składające się na słowa mogą mieć kolory. Nikt prócz Mor tego nie rozumiał.

Dziadkowi podobał się słoń, a ciocia Teg ucieszyła się ze szlafroka. Poczekala z rozpakowaniem prezentu, aż znalazłyśmy się w Fedw Hir, a wtedy mieliśmy częśćkę Bożego Narodzenia przy łóżku Dziadka. Dostałam od nich wielki czerwony pulower polo, mydełko na sznurku i talon na książki. Nie mówiłam im o przekłuwaniu uszu. Nie ma powodu ich martwić. Ustalono już, że nie mają do mnie żadnego prawa – to, że mnie wychowali, w ogóle się nie liczy. Musi być matka, nawet jeśli jest złą wiedźmą, i ojciec, nawet jeżeli trzyma! się z daleka – taki jest sądowy system – dopóki żyją. Ciocie i dziadkowie nie są brani pod uwagę jako opiekunowie.

Dziadek nienawidzi Fedw Hir, widać to wyraźnie. Chciałby wrócić do domu, ale nie wiem, jak dałby sobie radę, skoro nawet chodzić nie może bez pomocy. Ciocia Teg mówiła o kimś, kto by przychodził, żeby

mu pomóc wstać i położyć go do łóżka. Nie wiem, ile by to kosztowało ani jak można to zorganizować. Szpital to okropne miejsce. Wykonują tutaj różne zabiegi, ale nie wydaje się, żeby to pomagało. Tak wiele osób po prostu czeka tu na śmierć. Sprawiają wrażenie zupełnie pozbawionych nadziei. Dziadek na początku też tak wyglądał. Kiedy przyszłyśmy, leżał skulony na łóżku, pewnie próbował uciąć sobie drzemkę, ale wydawał się taki drobny, pólżywy, zupełnie nie jak Dziadek.

Wspominaliśmy, jak uczył nas grać w tenisa, a my poszłyśmy na Breton Beacons i tam grałyśmy na nierównym terenie, i potem na gładkim korcie szło nam już całkiem dobrze. Pamiętam, jak wysoko nad naszymi głowami śpiewały skowronki, a kępy paproci i zabawne trzciny z kitkami na czubku nazywałyśmy pędami bambusa. Miałyśmy pluszową pandę i bawiłyśmy się w jej dokarmianie. Dziadek był z nas dumny, że potrafimy szybko biegać i celnie odbijać piłkę.

Oczywiście zawsze chciał mieć wnuka. My nie bardzo chcieliśmy być chłopcami, chociaż oni mają na ogół znacznie ciekawsze zajęcia. Uwielbiałyśmy naukę gry w tenisa.

Pomyślałam, że to wszystko było na darmo, tyle godzin ćwiczeń, bo Mor nie żyje, a ja nie mogę biegać, Dziadek zresztą też już nie może. Chociaż nic się właściwie nie zmarnowało, przechowujemy to wszystko w pamięci. Różne rzeczy warto robić dla nich samych, nie tylko po to, żeby mieć z nich pożytek w przyszłości. Nigdy nie wygram Wimbledonu ani nie pobiegnę na olimpiadzie („Na Wimbledonie nigdy nie grały bliźniaczki...”, mawiał), ale i tak bym tego nie zrobiła. Nie mogę nawet grać w tenisa z przyjaciółmi, rekreacyjnie, ale to nie znaczy, że wtedy marnowałyśmy czas. Szkoda, że nie działałam więcej, kiedy jeszcze mogłam. Szkoda, że nie pobiegłam w różne miejsca, kiedy było to w zasięgu moich możliwości – nie pobiegłam do biblioteki, przez era, na górę. Chociaż na górę po schodach przeważnie biegałyśmy. Myślę o tym teraz, kiedy wciągam się po schodach do mieszkania cioci Teg. Ludzie, którzy mogą wbiegać po schodach, powinni to robić, i to jako pierwsi, żebym ja mogła kuśtykać za nimi i nie mieć wrażenia, że ich zatrzymuję.

Odwiedziłyśmy ciocię Olwen, a potem wujka Gusa i ciocię

Flossie. Ciocia Flossie dała mi talon na książki, a wujek Gus dziesięciofuntowy banknot. Nie przebaczyłam wujkowi tego, co powiedział, ale wzięłam pieniądze i podziękowałam. Schowam je w tylnej kieszonce torebki, jako zaczątek mojego awaryjnego zapasu. U cioci Flossie stoi bardzo wygodny fotel. Wszystkie inne fotele i krzesła sprawiają mi trudności. Nie wiem, dlaczego produkuje się takie niskie. Fotele w bibliotece zawsze mają idealną wysokość.

*Niedziela, 30 grudnia 1979*

Z nogą nieco lepiej, dzięki Bogu. Na tyle dobrze, że kiedy szłam przez dworzec autobusowy, wścibska osoba zapytała mnie, po co mi laska, w moim wieku.

– Miałam wypadek samochodowy – wyjaśniłam, ludzie zwykle wtedy się zamykają, ale nie ona.

– Nie powinnaś jej używać, tylko próbować poruszać się bez niej. Widzę, że jej nie potrzebujesz.

Poszłam dalej, ignorując tę uwagę, ale w środku dygotałam. Może tak to wygląda, że jej nie potrzebuję, kiedy idę po równej nawierzchni, lecz nie obejdę się bez niej, jeśli muszę stać bez ruchu, chodzić po schodach albo po nierównym gruncie. Nigdy nie wiem, czy za chwilę będę w takiej samej kondycji jak w tej chwili, czy jak wczoraj, kiedy z ledwością mogłam stanąć na tej nodze.

– No widzisz, idziesz teraz całkiem szybko, nie potrzebujesz laski!  
– zawołała za mną.

Zatrzymałam się i odwróciłam. Czułam, że policzki mi płoną. Dworzec autobusowy był pełen ludzi.

– Nikt nie udaje kaleki! Nikt nie używa laski, jeśli nie jest mu potrzebna! Powinna się pani wstydzić, że mnie o to posądza. Gdybym mogła chodzić bez laski, połamalabym ją na pani plecach i pobiegła z pieśnią na ustach! Nie ma pani prawa mówić mi czegoś takiego, nie ma pani prawa mówić tak do kogokolwiek. Kto z pani zrobił królową świata? Co pani sobie wyobraża, że po co chodzę z laską, jeśli jej nie potrzebuję? Żeby budzić litość? Nie chcę pani litości, to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, zamierzam tylko pilnować własnych interesów, czym i

pani powinna się zająć.

Nic to nie pomogło, tylko zrobiłam z siebie widowisko. Kobieta poróżowiała, ale nie wydaje mi się, żeby cokolwiek, co powiedziałam, do niej dotarło. Pewnie pójdzie do domu i będzie opowiadała, że widziała dziewczynę udającą kalekę. Nienawidzę takich ludzi. To znaczy tych, którzy podchodzą i udając sympatię, chcą dowiedzieć się ze szczegółami, co mi się stało, i głaszczą mnie po główce. Jestem żywą istotą. Chcę rozmawiać o wszystkim, tylko nie o mojej nodze. Przyznaję, w Oswestry angielska powściągliwość sprawia, że nie jestem zaczepiana. Ludzie, z którymi rozmawiam zarówno o tym, czy naprawdę potrzebuję laski, jak i o tym, co się stało, że jestem kaleką, to na ogół znajomi, nauczyciele, koleżanki szkolne, przyjaciele ciotek, poznani drugiego dnia świąt.

Kiedy autobus skręcał na most w Pontypridd, wciąż byłam podminowana i nerwowa. Jeśli nie wyrobi się na tym zakręcie, pomyślałam, i wszyscy zginiemy, to ta okropna baba będzie ostatnią osobą, z którą rozmawiałam.

Zjadłam lunch z Moirą, był to oficjalny powód mojej wyprawy do Aberdare. Moira mówi, że nabrałam wytwornej wymowy, to jakiś koszmar! Nie powiedziała, że robię się „bardziej angielska”, bo jest moją przyjaciółką i dobrą dziewczyną, ale nie musiała tego mówić. Prawdopodobnie szkoła odcisnęła na mnie piętno. Bardzo bym nie chciała wysławiać się jak inne dziewczęta z Arlinghurst! Nie wiem, co na to poradzić. Im więcej o tym myślę, tym dziwniej brzmi dla mnie własny głos, ale wcześniej tego nie zauważałam. Można brać lekcje wymowy. Czy istnieją też lekcje niwelujące skutki tamtych lekcji? Nie chciałabym mówić jak Eliza Doolittle, a już naprawdę nie chcę przy każdym otwarciu ust być klasyfikowana jako idiotka z wyższych klas.

Moira miała całkiem niezły semestr. Strasznie trudno było znaleźć tematy do rozmowy. Nie pamiętam już, o czym rozmawialiśmy dawniej, pewnie o niczym, o szkole, ostatnich plotkach, o tym wszystkim, co robiłyśmy razem. Bez tego pozostaje niewiele tematów. Leah zerwała z Andrew, Nasreen się z nim spotyka, a jej rodzice prawdopodobnie się rozchodzą. Leah urządza imprezę drugiego stycznia, wieczorem, więc spotkam się tam ze wszystkimi.

Po lunchu wyszłam z domu Moiry na Croggin Bog i przeszłam się po okolicy. Croggin Bog – właściwie powinno się pisać Crogyn – to wielkie moczary na skraju wzgórza. Prowadzi przez nie jedna porządna droga, Heol y Gwern, czyli Olchowa Droga. Kiedyś była to bardzo stara ścieżka, a teraz jest normalną, utwardzoną drogą. Przez moczary biegną inne dróżki, które niekoniecznie istnieją od czasów neolitu, ale są tam od bardzo dawna. To kiepska pora roku na przechadzki, bo zimę mamy mokrą. Nie jest na szczęście niebezpiecznie, jeśli zna się drogę, a przynajmniej idzie wzdłuż rzędu olch. Mor i ja kiedyś naprawdę zgubiłyśmy się na Croggin Bog, gdy byłyśmy jeszcze malutkie, a wyostałyśmy się dzięki olchom. Tak czy siak, nie są to ruchome piaski, okolica jest tylko podmokła i błotnista. Ludzie boją się tam chodzić bardziej, niż powinni. Pewnego razu wybrałam się tam sama, po zmroku, niedługo po śmierci Mor i specjalnie starałam się zgubić, ale wróżki mi na to nie pozwoliły. Ludzie mówią, że bagienne światełka, błędne ogniki wyprowadzają podróżnych na manowce i w najniebezpieczniejsze części bagien, ale tym razem doprowadziły mnie wprost do drogi, która biegnie tuż obok domu Moiry. Weszłam do nich, ociekając błotem, matka Moiry kazała mi wziąć prysznic i włożyć rzeczy Moiry, a potem odesłała do domu. Bałam się bury, ale Liz akurat kłóciła się z Dziadkiem i nawet mnie nie zauważyła.

Znana jest opowieść o tym, jak stawiano nasze domy. Budowano je wzdłuż Heol y Gwern i zaczęto wytyczać krótkie uliczki prostopadle do niej, bo miało tam powstać prawdziwe osiedle. Problem polegał na tym, że mokradła się z tym nie godziły. Prawdziwa historia, jaką usłyszałam od

Dziadka, pamiętającego tamte czasy, głosi, że położono fundamenty pod dom, w czwartek przed Wielkim Piątkiem przerwano budowę na czas Wielkanocy, a kiedy robotnicy wrócili we wtorek po świętach, fundamenty pograżyły się w grzęzawisku. Wcześniej słyszałam taką wersję, że zbudowali cały dom, a kiedy wrócili po weekendzie, nad powierzchnią mokradła sterczały tylko kominy. Ha! Potem już niczego tam nie budowano, a w zamian postawiono nowe osiedle w Penywaun, z czego się cieszę. Lubię mokradła takimi, jakimi są, porośnięte skarłowaciałymi drzewkami, długimi żdźbłami trawy,

trzciniami i nieoczekiwanie pojawiającymi się kwiatami, gdzie kokoszki wodne brodzą w stojącej wodzie, a czajki odlatują, powoli uderzając skrzydłami, aby odciągnąć człowieka od gniazda.

Dzisiaj chciałam znaleźć wróżkę, one często pojawiają się na Croggin. Ale nie widziałam po nich śladu, nawet kiedy zesłam z mokradeł i powędrowałam wzdłuż rzeki aż do Ithilien. Sprawdziłam Osgiliath i pozostałe wróżkowe ruiny w *mm* po drodze do miasta, bardzo okrzężnej drodze, po *dramroad*. Stoi tam stara huta i kilka zrujnowanych domków, w każdym razie na takie wyglądają. Trudno sobie wyobrazić tę okolicę kipiącą cywilizacją i uprzemysłowioną. Od czasu do czasu widziałam kątem oka jakąś wróżkę, ale żadna z nich nie chciała zatrzymać się ani ze mną porozmawiać. Pamiętałam, jak zaraz po Halloween nie mogłam znaleźć Glorfindela. Czasami tak bywało, wróżki nie pozwalały się odnaleźć, nie chciały się pojawiać. Zawsze to one odnajdywały nas. Próbowałam go wezwać, ale wiedziałam, że to bez sensu. Nie używają imion tak jak my. Mogę sobie życzyć, żeby magia działała jak w Ziemiomorzu, gdzie imiona mają władzę i moc przywoływania, ale tak nie jest, imiona są bez znaczenia, liczą się tylko konkretne rzeczy i istoty. Wydaje mi się, że wiem, jak przywołać Glorfindela za pomocą magii, ale nie byłoby to działanie mające na celu obronę, więc nie zastanawiałam się nad tym dłużej niż sekundę.

Spróbowałam usiąść, chociaż było bardzo zimno, i przeczekać ból w nodze, na wypadek gdyby to on trzymał je z daleka. Dziś i tak nie było bardzo źle. Jednak chyba nie o to chodziło. Nie mogłam siedzieć zbyt długo na tym zimnie, a w dodatku wiatr przyniósł lekką mżawkę. Spacer przez miasto był przygnębiający, okna wszystkich sklepów zabito deskami, a ja pamiętałam je jako miejsca tętniące życiem. Kino Rex też było na skraju bankructwa, w Aberdare nie będzie już gdzie oglądać filmów. Wszędzie wiszą wytarte tabliczki z napisem NA SPRZEDAŻ. Na ulicach walają się śmieci i nawet choinka przed biblioteką wygląda smętnie. Złapałam autobus powrotny do Cardiff i zdążyłam do cioci Teg prosto na obiad.

Nie wiem, co zrobię, jeśli nie zdołam ich znaleźć. Po prostu muszę z nimi porozmawiać.



*Włorek, 1 stycznia 1980*

Szczęśliwego Nowego Roku!

Miło jest obudzić się rano w domlcu Dziadka, kiedy jest taki pusty.

Ciocia Teg wyjechała z *nim* dokądś na Nowy Rok, co robi prawie zawsze. Mogłam pojechać z nią, zapraszała mnie, ale nie chciałam. Tylko bym im przeszkadzała. Wczoraj rano podjechałyśmy do Aberdare, do Dziadka, a potem ciocia Teg wyszła, a mnie dorwała ciocia Flossie. Chciałam pójść szukać wróżek, ale okazało się, że muszę przedstawiać trzy francuskie kurki w inscenizacji kolędy *Dwanaście dni Bożego Narodzenia*<sup>45</sup> na noworocznym przyjęciu u cioci Flossie. Aplauz był trochę wymuszony. Na długo przed północą tęskniłam już za łóżkiem, ale bywało gorzej. Zebrałam kolejne cztery funty i pięćdziesiąt pensów jako *clenigs*<sup>46</sup> oraz sześć czekoladowych monet. A o północy wypiałam pół kieliszka szampana. Może to nie był zbyt dobry gatunek, a może to jedna z tych rzeczy, do których trzeba dorosnąć.

Zamierzam wstać wcześniej rano, zrobić sobie śniadanie i po raz drugi wyprawić się na poszukiwanie wróżek. Jest nowy rok, może będę miała więcej szczęścia.

*Środa, 2 stycznia 1980*

Wczoraj rano naprawdę chciałam znaleźć wróżki. Dla odmiany poszłam w górę, przez Common Ake. Tak naprawdę nazywa się Heck's Common, od nazwiska pana Hecka, ale wszyscy mówią Common Ake. To gminna łąka, nie należy do nikogo, dokładnie tak, jak było prawie wszędzie przed akcją ogradzania pól w XVIII wieku. Trudno sobie wyobrazić Aberdare jako rolniczą dolinę, bez większych zabudowań poza kościołem Świętego Jana, z jedyną drogą prowadzącą od Breton do Cardiff, bez żadnych ulic, z całym tym węglem i rudą wciąż spoczywającymi pod ziemią. Musiałam kiedyś nauczyć się na pamięć współczesnego wiersza po walijsku na Eisteddfod<sup>47</sup>, który kończyła fraza *Totalitaeth glo*, czyli „despotyzm węgla”. Podniosłam po drodze bryłkę węgla. Często znajdowano w nim skamieniałości przedpotopowych liści i kwiatów. Węgiel powstał z organicznego

szlamu sprasowanego przez skały. Pod większym ciśnieniem powstałyby diamenty. Ciekawe, czy diamenty się palą i czy palilibyśmy nimi w piecach, gdyby były tak powszechnie spotykane jak węgiel. Dla wróżek to jedno i to samo, rośliny zmienione przez czas w skamieliny. Zastanawiam się, czy wróżki pamiętają czasy jurajskie, czy przechadzały się wśród dinozaurów i czym wtedy były? Żadna nie mogłaby mieć wtedy ludzkiej sylwetki.

Nie mówiłyby po walijsku. Potarłam w palcach bryłkę węgla, odkruszyło się trochę pyłu. Wiem, co to jest węgiel, ale nie do końca wiem, czym są wróżki.

Na Common Ake jest miejsce, które nazywałyśmy Dingly Dell. To jedna z pierwszych nadanych przez nas nazw, starsza niż te zaczerpnięte z Władcy Pierścieni. Kiedy ją piszę, czuję lekkie zawstydzenie, a jednocześnie pragnę bronić tej nazwy za wszelką cenę. Na miejscu Dingly Dell<sup>48</sup> kiedyś był kamieniołom czy kopalnia odkrywkowa, grunt opada nagle z trzech stron, tworząc mały amfiteatr. Na stromych zboczach rosną drzewa i jeżyny. Wydaje mi się, że pierwszy raz poszłyśmy tam z Babcią, kiedy byłyśmy malutkie, na jeżyny właśnie. Pamiętam, że jadłam ich więcej, niż wkładałam do koszyka, no ale tak było i w następnych latach. Kiedy wybrałyśmy się tam później same, byłyśmy bardzo odważne.

Dzisiaj kolczasty gąszcz był zimowo martwy, a jarzębiny bezlistne. Na odległym niebie świeciło blade słońce. Bezczelny rudzik siedział na gałęzi i przyglądał mi się, przekrzywiając łepkę. Na kartkach świątecznych, czasem i na cieście świątecznym też, umieszczane są wizerunki rudzików, bo te ptaszki nie odlatują na zimę.

– Cześć – zwróciłam się do niego. – Miło, że nadal tu jesteś.

Rudzik nie odpowiedział. Zresztą nie spodziewałam się tego. Natychmiast jednak odczułam czyjąś obecność. Podniosłam wzrok, spodziewając się ujrzeć znikającą wróżkę, a może Glorfindela, ale na tle opadłych liści, tuż przy zboczu wzgórza, zobaczyłam Mor. Wyglądała... no cóż, jak Mor, ale natychmiast uświadomiłam sobie, jak jest bardzo do mnie niepodobna. W przerwie międzysemestralnej tego nie zauważyłam, dopiero teraz. Ja urosłam, a ona nie. Mam już piersi. Moje włosy układają się inaczej. Mam piętnaście i pół roku, a ona nadal i już na

zawsze ma czternaście.

Zrobiłam krok w jej stronę, ale wtedy przypomniałam sobie, jak mnie złapała i ciągnęła w stronę drzwi w zbiegu wzgórze, więc stanęłam.

– Och, Mor – szepnęłam.

Nie odezwała się. Nie mogła, tak jak rudzik. Była martwa, zmarli nie mogą mówić. Jeśli o to chodzi, to wiem, jak zmusić umarłego do mówienia. Trzeba podać mu krew. Ale to magia, a zresztą to byłoby okropne. Nie wyobrażam sobie, że byłabym zdolna zrobić coś takiego.

Mówiłam do niej, chociaż nie mogła mi odpowiedzieć. Opowiadałam jej o magii, o Danielu i jego siostrach, jak uciekłam od Liz, o szkole, o klubie literackim i o wszystkim innym. Stała się dziwna rzecz: im więcej mówiłam, tym bardziej się ode mnie oddalała, chociaż trwała bez ruchu. I tym bardziej się ode mnie różniła. Dawniej nikt nie potrafił nas odróżnić, chociaż oczywiście zawsze się różniłyśmy. Odkąd umarła, prawie o niej zapominałam. Może nie tyle zapominałam, ile nie myślałam o niej jak o oddzielnej osobie, a tylko o tym, jakie byłyśmy razem. Czułam się jak rozerwana na pół, ale tak naprawdę nie chodziło o to, raczej to ona została zabrana ode mnie. Nie była moją własnością i zawsze istniały między nami różnice, była oddzielną osobą i dobrze o tym wiedziałam, kiedy jeszcze żyła, ale te pojęcia zacierały się powoli przez cały czas, kiedy nie mogła już bronić swojej odrębności.

Gdyby żyła, chyba i tak byłybyśmy zupełnie różnymi osobami. Nie wydaje mi się, żebyśmy przypominały ciotki i mieszkały razem przez całe życie. Pewnie zawsze byłybyśmy przyjaciółkami, ale mieszkałybyśmy oddzielnie i miały innych przyjaciół. Jedną byłaby ciotką dzieci tej drugiej. Teraz już na to za późno. Ja dorosnę, a ona nie. Pozostanie taka, jaka jest, a ja się zmieniam, i chcę tego. Chcę żyć. Wydawało mi się, że będę musiała robić to za nas obie, bo ona za siebie nie może, ale tak się nie da. Nie mam pojęcia, co mogłaby robić, czego mogłaby chcieć, jak by się zmieniała. Mnie zmieniło Arlinghurst, i klub, a na nią to samo mogłoby wpłynąć zupełnie inaczej. Życie za kogoś jest niemożliwe.

Nie mogłam się powstrzymać od zadawania jej pytań.

– Czy za rok będziesz mogła przejść przez wzgórze?

Wzruszyła ramionami. Najwyraźniej też nie wiedziała. Co się dzieje pod wzgórzem? Dokąd udają się zmarli? Gdzie w tym wszystkim jest Bóg? Ludzie opowiadają o niebie jak o rodzinnym pikniku.

– Czy wróżki się tobą opiekują? – spytałam.

Zawahała się, po czym skinęła głową.

– To dobrze! – Poczułam się lepiej. Mieszkanie z wróżkami w dolinie to chyba nie najgorszy sposób na bycie martwą. – Dlaczego nie chcą ze mną rozmawiać?

Wydawała się zdziwiona i znów wzruszyła ramionami.

– Możesz im opowiedzieć o ciotkach, o tym, co chcą zrobić?

Stanowczo skinęła głową.

– Możesz je poprosić, żeby ze mną porozmawiały? Strasznie mnie niepokoi, co się dzieje, kiedy robi się coś magicznego.

– Robienie to robienie – usłyszałam głos za moimi plecami.

Odwrociłam się gwałtownie. Zobaczyłam wróżkę, kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałam. Był brązowy jak laskowy orzech i guzkowaty jak żółdziowa miseczka. Jego skórę pokrywały zmarszczki i fałdki, nie był podobny do człowieka, wyglądał raczej jak stary pniak. Zdumiało mnie, że odezwał się po angielsku, dokładnie tymi słowami. Dość zagadkowo zresztą.

– A co z etyką? – zapytałam. – Co ze zmienianiem zdarzeń w życiu ludzi, którzy nic o tym nie wiedzą? Ty może umiesz dostrzec konsekwencje swojego działania, ale ja nie.

– Robienie to robienie – powtórzył.

I już go nie byto. Usłyszałam tylko głuche uderzenie, a tam, gdzie go przed chwilą widziałam, leżała łaska tego samego koloru co jego skóra, zakończona rączką w kształcie końskiej głowy.

Pochyliłam się niezgrabnie, żeby ją podnieść. Była odpowiedniej długości, a rączka idealnie pasowała do mojej dłoni. Obejrzałam się na Mor, ale ona też zniknęła. W kotlinie wiał wiatr, szeleściły suche liście, lecz nie wyczuwałam niczyjej obecności.

Zabrałam obie laski do domu Dziadka, tę od wróżek i moją. Zostawię starą, która i tak należy do Dziadka, a zatrzymam nową. Przypuszczam, że mogłaby zniknąć o świcie albo zmienić się w liść czy coś w tym rodzaju, ale czuję, że tak się nie stanie. Kiedy ważę ją w rękę,

wydaje się to nieprawdopodobne. Powiem wszystkim, że to prezent gwiazdkowy. Może rzeczywiście nim jest. Podoba mi się.

Robienie to robienie.

Czy to ma znaczyć, że nieważne, czy coś się dzieje dzięki magii, bo i tak wszystko, co człowiek robi, jest pełne mocy, ma swoje konsekwencje i wpływa na innych ludzi? Może tak jest, chociaż uważam, że jednak działanie magiczne różni się od zwykłego.

Dziś wieczorem jest impreza u Leah.

*Czwartek, 3 stycznia 1980*

Znowu jestem u cioci Teg. Mam kaca. Woda w Cardiff mogłaby nie smakować tak paskudnie. Przywiozłam z Aberdare dużą butelkę kranówki, ale już ją wypiliśmy.

Dziś nie robiłyśmy nic szczególnego, po prostu wróciłyśmy do Cardiff i siedziałyśmy, jedząc ciasto czekoladowe, głaszcząc Persimmon (dopóki na to pozwalała) i czytając.

Było rozkosznie. Ciocia Teg wygląda na równie wykończoną jak ja.

Impreza u Leah była dziwna. Do picia podano poncz z czerwonego wina, soku z winogron i koktajlu owocowego z puszki, do którego później ktoś dolał wódki. W smaku był okropny, większość z nas, pijąc, zatykała nos. Nie wiem, po co mi to było. Upiłam się. Może i fajnie jest widzieć wszystko na luzie, jakby kontury lekko się zacierały, ale mnie to ogłupiło. Ludzie robią coś takiego, żeby mieć pretekst do robienia głupstw i następnego dnia nie odpowiadać za to, co wyczyniali.

Okropieństwo.

Nie chcę pisać o tym, co się zdarzyło. Zresztą to i tak nieważne.

Z drugiej jednak strony – czy to ma być szczery dziennik, czy tylko tchórzliwe głędzenie?

Zaczęło się źle. Nasreen miała czerwony sweter identyczny jak mój, a w dodatku wyglądała w nim o wiele lepiej.

– Jesteśmy bliźniaczkami! – zaćwierkała entuzjastycznie, po czym uprzytomniła sobie, co powiedziała, i zrzęda jej mina.

Minął niecały rok, około dziewięciu miesięcy, odkąd się stąd

wyprowadziłam. Przez ten czas wszystkie wyrosłyśmy i wygląda na to, że one nauczyły się jakichś zasad, o których nic nie wiem. Może dlatego, że mnie tu nie było, a może gdy była mowa, jak się co robi, czytałam książkę pod ławką. Leah miała oczy podkreślone cieniem i szminkę na wargach, nawet Moira była umalowana. Zaproponowała, że mnie umaluje i zrobiła to, ale mamy różną karnację. Normalnie mam jasną cerę, chyba tak jak Daniel, ale gdy stanę obok kogoś, kto jest bardzo blady – tak jak Moira – widać, że odcień mojej skóry jest żółtawy, a nie różowy. Dziadek zwykł mawiać, gdy spaliłyśmy się na słońcu, że jesteśmy absurdalnie blade i będziemy musiały wyjść za czarnoskórych mężczyzn, żeby dać naszym dzieciom szansę. Miał rację, szczególnie w porównaniu z nim i resztą rodziny byłyśmy bladziuchne. Nie wydaje mi się, żebyście zauważyli, gdybyście o tym nie wiedzieli, że mam przodków bliższych Nasreen niż Moiry. Makijaż wyglądał na mnie bez sensu, zmyłam go.

Potem długo gadałam z Leah o Andrew, a później z Nasreen o Andrew, też bardzo długo. Leah przeszła już nad tym do porządku dziennego i zainteresowała się kimś innym: starszym chłopakiem o imieniu Gareth, który ma motocykl. Nasreen toczy z rodzicami wielką, długotrwałą i bogatą w zdarzenia walkę o Andrew, o której jak najszybciej musiałam dowiedzieć się wszystkiego ze szczegółami. Andrew nie wydaje mi się aż tak ważną osobą, żeby z jego powodu robić tyle szumu. No, ale nikt nie pytał mnie o zdanie, więc spędziłam około dwóch godzin, biorąc udział w roztrząsaniu sprawy. Kiedy pojawił się bohater tych rozważań, chociaż rodzice Leah przysięgli rodzicom Nasreen, że to się nie zdarzy, spędził resztę wieczoru, obejmując Nasreen, bardzo skrupowany. Rodzice Leah aż do jedenastej byli nieobecni, bo poszli z jej młodszą siostrą do teatru w Cardiff.

Byli tam znajomi, których słabo pamiętałam. Jeden z chłopców spróbował mnie objąć. Pozwoliłam mu. Czemu nie, pomyślałam, a wypiliśmy już kilka szklanek tego głupiego czerwonego ponczu, w którym pływały połówki winogron i kawałki brzoskwiń i gruszek. Miło jest mieć obok kogoś ciepłego. Chłopak był jednym z przyjaciół Garetha, więc musiał skończyć szesnaście czy siedemnaście lat. Na imię miał Owen i o ile mogłam się zorientować, nie przeczytał w życiu ani

jednej książki. Interesował się wyłącznie motocyklami, dziewczynami i muzyką. Lubi The Clash, o których nigdy nie słyszałam, i Elvisa Costello. Leah też chyba musi lubić Elvisa Costello, bo puszczała jego nagrania bardzo głośno. Bardzo brakuje mi muzyki, bo w szkole nie pozwalają nam jej słuchać. Podoba mi się idea i hasło Rock Przeciw Rasizmowi, ale niezbyt lubię muzykę, która jest teraz modna. Owen zapytał, czego słucham, i powiedziałam, że Boba Dylana, co wprawilo go w wielkie zakłopotanie. Widziałam, że słyszał o Dylanie, ale nie ma o nim bladego pojęcia. No i dobrze. Trochę go peszyła moja laska, kiedy ją spostrzegł, zostawił mnie samą na chwilę – wstałam, żeby pójść do toalety. Później, kiedy Moira zapewniła mnie, że Owen nie ma dziewczyny i że to niezłe ciacho, pomyślałam, że nie umywa się do Wima, który poza wszystkim ma jeszcze mózg.

Tak czy siak, Owen do mnie wrócił i znów zaczął mnie przytulać, a ja mu nie przeszkadzałam. Podobało mi się to na bardzo fizycznym poziomie. Chodzi o to, że niektóre dziewczyny przynajmniej udają, że są zakochane w swoich chłopakach. Taka próba generalna dorosłych związków. Przez jakiś czas są wierne i romantyczne. Ja nigdy tego nie robiłam, nie robię i nie mam ochoty się w to bawić. Owen ani trochę nie zapierał mi tchu w piersi, nawet nie czułam do niego szczególnej sympatii. Jednak był ciepły, męski, konkretny i zainteresowany, budził moją ciekawość i chęć do dalszego kontaktu fizycznego. Kiedy więc zaproponował, że pokaże mi motocykl, wyszłam z nim na dwór. Był to tylko motorower, 500cc, ale chłopak był z niego bardzo dumny i opowiadał mi o nim ze szczegółami. Nawet nie wiem, czy na czymś takim można wjechać na wzgórze.

Wydawałoby się, że nocne powietrze powinno mnie otrzeźwić, ale było wręcz przeciwnie, poczułam się bardziej pijana. Kiedy zaczął mnie całować, podobało mi się to i oddawałam pocałunki, a on chyba był tym trochę zakłopotany. (Może źle to robiłam? W książkach nic o tym nie ma, ale zachowywałam się dokładnie tak, jak widziałam to w filmach). Obejmował mnie i zaczął przesuwac po mnie dłońmi. Dopiero od tego zabrakło mi tchu i poczułam podniecenie.

Wróciliśmy do domu i znaleźliśmy sobie mały pokój, gabinet ojca Leah. Stoi tam sofa, na której usiedliśmy i zaczęliśmy się pieścić. Było

ciemno – w przedpokoju paliło się światło, ale tu nie włączyliśmy żadnego.

Dlaczego pisanie o seksie jest bardziej osobiste i kłopotliwe niż pisanie o czymkolwiek innym? Są rzeczy w tym dzienniku, za które mogłabym „trafić na stos”, a wcale się nimi nie przejmuję.

Tak czy siak, pieściliśmy się trochę, a potem Owen włożył mi rękę w majtki. Było przyjemnie i pomyślałam, że z mojej strony to egoizm, tak sobie siedzieć i nie odwzajemniać pieszczot, więc położyłam mu rękę na udzie i przesunęłam na jego penisa – wiem doskonale, co to jest penis, kąpałam się z kuzynami i bawiłam się z nimi w doktora, kiedy byliśmy na tyle mali, że nie obowiązywała nas głupia etykieta. Owen miał penisa dokładnie tam, gdzie można się go było spodziewać, i też był podniecony, ale kiedy tylko dotknęłam go przez spodnie, odskoczył ode mnie.

– Ty dziwko! – warknął, zakrywając rękami krocze, jakby myślał, że złapię go za przyrodzenie.

Wypadł z pokoju. Siedziałam przez chwilę, a policzki piekły mnie ze wstydu. Niczego nie rozumiałam. Wciąż nie rozumiem. Pragnął mnie. Przynajmniej tak myślałam. Wydawało mi się, że zachowuję się normalnie, ale najwyraźniej on tak nie uważał. Czegoś tu nie pojmuję.

Kiedy wróciłam do reszty towarzystwa, Leah ostrzegła mnie, że powinnam uważać na Owena, bo drżą mu ręce. Czy powinnam była go powstrzymać? Spodziewał się, że będę się opierała, zamiast współdziałać? To chore. Wszystko to jest chore i nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Chcę nieskończonej serii barów z *Tritona*<sup>49</sup>. Albo chociaż trzech prawdziwych. Dałabym radę. A to tutaj zdecydowanie mnie przerasta. Przynajmniej nie będę musiała go więcej oglądać. Prawdopodobnie.

*Piątek, 4 stycznia 1980*

Dziś rano wybrałam się do Cardiff, żeby wykorzystać u Learsa talony na książki. Uwielbiam Learsa. To wielka księgarnia – dwie kondygnacje, cała ściana regałów z SF i trochę książek importowanych z Ameryki. Kupiłam następny numer „Destinies” i „Red Shift”. Poza tym



*Punkt Einsteina, Cztery kwartety i Charisma* Michaela Coneya (który napisał *Hello, Summer, Goodbye*), no i dziw nad dziwy, cud prawdziwy – nową powieść Rogera Zelaznego z cyklu *Kroniki Amberul* Na jej widok głośno pisałam. *Znak Jednorożca* Ma okropną żółtą okładkę, ale niech wszystkie błogosławieństwa spłyną na Sphere za to, że ją wydali, a na Learsa, że ją sprowadził!

Wolę mieć *Znak Jednorożca* niż wszystkich chłopców z Dolin.

Dziś po południu poszliśmy na spacer na Beacons, żeby zobaczyć, czy wodospad zamarznął. Nie zamarznął, nie jest dostatecznie zimno. Są zimy, że zamarza na kilka dni. Koło parkingu nie było wózka z lodami, chociaż ciocia Teg skomentowała to tak, jakby naprawdę spodziewała się, że tam będzie. Kocham góry, to, jak rysują się na horyzoncie, nawet zimą. Zeszliśmy na dół, najpierw w kierunku Merthyr, a potem przez grań do Aberdare. Ciocia Teg chodziła tamtędy, kiedy jeszcze była uczennicą. Było tak, jakbyśmy wsuwały się pod wielką pierzynę.

Używam nowej laski. Tylko Dziadek ją zauważył, kiedy odwiedziłyśmy go dzisiaj w drodze powrotnej. Stwierdził, że jest zrobiona z drewna leszczynowego, piękna robota. Powiedziałam, że kupiłam ją na targu za pieniądze z prezentów świątecznych. Poradził, żebym założyła na koniec gumową nakładkę, by chronić drewno, można takie dostać na tym samym targu. Dziś wyglądał na bardziej ożywionego. Ciocia Teg z całej siły stara się zabrać go ze szpitala.

*Sobota, 5 stycznia 1980*

W pociągu przeczytałam *Znak Jednorożca*, za jednym zamachem, żebym mogła zostawić go u Daniela, kiedy wrócę do szkoły. Najbardziej uwielbiam w tym cyklu styl Corvina, mówi od siebie lekkim tonem, żartuje, a potem nagle robi się poważny. Kocham *Atuty i Cienie*, i jazdy przez *Cienie*. (Chyba odtąd już zawsze KFC będę nazywała KFLP – *Smażone Kawalki Jaszczurek Kentucky*). Nie wydaje mi się, żeby działał z *Cieniami* tyle, ile mógł. Jeśli można przez nie wędrować i znajdować cienie samego siebie, można dokonać mnóstwo różnych rzeczy.

Skończyłam czytać koło Leominster, a potem zabrałam się po raz

drugi do *Czterech kwartetów* i upiłam się słowami. Mogłabym je przepisywać bez końca całymi stronami. Czasami trudno zrozumieć znaczenie, ale to część całej radości, kiedy się kojarzy obrazy w jakąś narrację. Jest tam opowiadanie z tym samym motywem co ballada o młodym Lochinvarze Waltera Scotta<sup>50</sup>, ale bardziej ukrytym w treści. Tak się cieszę, że mam własny egzemplarz. Mogę czytać te poematy na okrągło – w pociągach i wszędzie indziej, i za każdym razem będę przypominała sobie dzisiejszy dzień, przyszłe zdarzenia zwiążą się z dzisiejszymi. (Czy to magia? Owszem, swego rodzaju, ale jednak bardziej jest to po prostu czytanie na nowo mojej książki).

Shropshire nadal jest okropnie płaskie i pozbawione gór. W styczniowej mżawce wygląda żałośnie. Niebo wisi tak nisko, że sprawia wrażenie, iż można sięgnąć i je pomacać. Potrafię sobie wyobrazić, że można tu odczuwać jednocześnie klaustrofobię i lęk wysokości.

Daniel odebrał mnie bez problemu. Przyjechał wcześniej i kiedy wyszłam z dworca, siedział w bentleyu, czytając „Puncha”. Bardzo przeproszał, że nie odwiózł mnie na pociąg, kiedy wyjeżdżałam. Nie bardzo wiedziałam, co na to powiedzieć. Mogłam stwierdzić, że to nie miało znaczenia, chociaż miało. Jaka to dla mnie różnica, że poczuł się winny po fakcie?

– Nie przepraszaj, po prostu więcej tego nie rób – powiedziałam. Skrzywił się.

Przywiozłam świąteczne ciasto. Sama je upiekłam, a ciocia Teg polukrowała. Nie było w nim bezpośredniej, zamierzonej magii poza myślą o Trzech Królach i poemacie T.S. Eliota o nich, ale samo to, że przygotowywałyśmy je w miskach i łyżkami cioci Teg, własnymi rękami, czyniło je magicznie realnym. Przypuszczam, że siostry musiały to zauważyć, bo wyjęły ciasto własnej roboty i powiedziały, że moje mogę zabrać do szkoły i poczęstować wszystkie przyjaciółki. W szkole będzie promieniowało magią. Nie powiedziałam tego głośno. Jadłam ich wysuszone ciasto, uśmiechałam się i próbowałam być miłą bratanicą, jak tylko się dało. Skłamałam, że jestem okropnie podekscytowana powrotem do szkoły i nie mogę się doczekać, kiedy dowiedzieli się, co inne dziewczęta dostały na Gwiazdkę.

Siedząc przy podwieczorku i uśmiechając się aż do bólu twarzy,

uświadomiłam sobie, że ciotki nie próbują nic ze mną zrobić za pomocą magii. To znaczy sprawa przekłuwania uszu była próbą czegoś takiego, tak mi się wydaje, ale raczej odwoływały się do autorytetu osób dorosłych i usiłowały przetransportować mnie w pobliże sklepu jubilerskiego, nie próbowały jednak nakłaniać do niczego magią, nie starały się, żebym na widok kolczyków chciała je nosić czy coś takiego. Zastanawiam się, jak dużo wiedzą i skąd. Czy od wróżek? Albo od kogoś, kto się od nich uczył? Teoretycznie mogłam uczyć całej magii, jaką znałam, kogoś, kto nigdy nie widział wróżki.

Czytając *Cztery kwartety*, myślałam o wróżkach z okresu jurajskiego i zastanawiałam się, czy są rozumną manifestacją magicznych związków, które łączą wszystkie elementy składające się nasz świat. Pamiętam, że kiedy podczas ucieczki byłam w Birmingham, widziałam wróżkę stojącą na rogu ulicy. Padało, chodnik był mokry i lśniący, a na nim stała sobie niefrasobliwie wróżka, osobnik męski. Podeszłam do niego, zobaczył mnie, skinął głową i zniknął. Spostrzegłam, że tam, gdzie przed chwilą stał, ze szpar między płytami chodnikowymi wyrosła trawa.

*Niedziela, 6 stycznia 1980*

Zawsze zapominam, jak głośno jest w szkole. Od hałasu dzwoni mi w uszach.

Zeszłego wieczoru przeczytałam w łóżku *Autostopem przez Galaktykę*. Zamierzałam szybko skończyć, żeby podziękować Deirdre za książkę, ale okazała się tak zabawna i przemyślnie dowcipna, że i tak podziękuję, zupełnie szczerze, bo sama nigdy bym jej nie wybrała, jako że wygląda na straszne głupoty. Ciekawe, czy ludzie z klubu ją czytali?

Co inne dziewczęta dostały na Gwiazdkę, notatki na użytek raportu milej bratanicy: najbogatsze walkmany Sony. Oczywiście nie mogły przywieźć ich do szkoły, bo słuchanie muzyki jest tu zakazane. Moira, Leah i Nasreen nie mogły w to uwierzyć, uznały, że to najgorsze ograniczenie, jakie istnieje. One nie rozstają się z radiem. Walkmany Sony to przenośne odtwarzacze kasetowe ze słuchawkami, przypina się je do paska i można słuchać muzyki z taśmy podczas przechadzki.

Przyznam, że to całkiem fajny pomysł, nawet jeśli dziewczyny słuchają muzyki, której ja bym słuchać nie chciała. Wiele z nich ma w domu urządzenia do odtwarzania muzyki, chociaż niekoniecznie walkmany, często wspominają o taśmach i płytach. Lorraine dostała deskorolkę, a bracia nauczyli ją, jak się jej używa. Najwyraźniej to coś równie fajnego jak jazda na nartach. Pozostałe prezenty to ubrania, perfumy, zestawy do makijażu z małym lusterkiem w pokrywce – te ostatnie również są zakazane w szkole, ale niektóre dziewczyny i tak je przemyciły – i kostki mydła na sznurku, przez co moje trochę przestało mi się podobać.

Deirdre podziwiała moją nową laskę. Spytała, czy to wyrób irlandzki. Powiedziałam, że nie, walijski, bo przecież tak jest, a ona uznała, że musi mieć coś wspólnego z Celtami. Zgodziłam się z nią. Ucieszyła się, że książka mi się podobała, a ja tak naprawdę byłam zadowolona, że ona tu jest. Jej z kolei spodobał się zestaw do mycia, a w każdym razie tak powiedziała.

Zaniosłam ciasto do kuchni i poprosiłam, żeby poczęstowano nim wszystkie dziewczęta z młodszej piątej C. To duże ciasto, jeśli pokroją je cienko, wystarczy dla każdej. Nie obrażę się, jeśli któraś nie będzie chciała go jeść. Kiedy jednak podano je po kolacji, większość jadła, chociaż kilka zerkało na mnie ukradkiem. Moje myśli o królach przynoszących mirrę, kadzidło i złoto, i ostrzeżenie przed Herodem im nie zaszkodzą, ale przecież nie mogę powiedzieć tego głośno. Sharon oddała swój kawałek Deirdre. Nie wiem, co żydzi sądzą na temat Jezusa. Czy uważają, że był po prostu dziwnym dzieckiem, do którego królowie przyszli z prezentami, bo mylnie uznali go za Mesjasza? Czy uznają całą tę opowieść za mit? Nie mogę spytać o to Sharon, ale mogę Sama. Deirdre znalazła fasolkę<sup>51</sup> w kawałku ciasta Sharon i bardzo się tym przejęła. Pozycja królowej w święto Trzech Króli oraz nagroda w konkursie poetyckim to prawdopodobnie jedyne wygrane, jakie jej się kiedykolwiek trafiły.

Nie wiem, czy w Irlandii też pieką ciasto na wigilię Trzech Króli. Czuję, że to miejsce wciąga mnie jak bagno.  
We wtorek idę do klubu!

*Poniedziałek, 7 stycznia 1980*

Dziś rano, kiedy wyszłam przed szkołę, żeby popatrzeć na nią z zewnątrz i odetchnąć świeżym powietrzem, cały teren roił się od wrózek. Spodziewałam się, że znikną, kiedy tylko zauważą, że je widzę, ale krzątały się wokół swoich spraw i nie zwracały na mnie uwagi, ledwie schodząc mi z drogi. Większość była z rodzaju brzydali pokrytych brodawkami, ale widziałam też kilka w typie elfich panien. Próbowałam mówić do nich po walijsku i po angielsku, ale mnie ignorowały. Ciekawe, co się dzieje?

Przyszedł list ze szpitala z przypomnieniem o wizycie u doktora Abdula w czwartek rano. Pokazałam go pielęgniarce i pannie Eblis. Pójdę, chociaż nie wiem, co to da. Z moją nogą od paru dni jest i tak trochę lepiej. Szpital ortopedyczny znajduje się w Gobowen, co oznacza jazdę autobusem do miasta, a potem drugim do szpitala.

Panna Carroll była dla mnie bardzo miła, wypytywała o ferie i czy dostałam jakieś książki. Spytałam ją o to samo. Dostała książki i talony, tak samo jak ja. Nie jest taka stara. Przypuszczam, że chciała zostać bibliotekarką, bo kocha książki i uwielbia czytać. Nie przeszkadzałoby mi, gdybym miała pracować w prawdziwej bibliotece, ale szkolna jest okropna, szczególnie tutaj.

*Wtorek, 8 stycznia 1980*

Dziś wybieram się do klubu!

W tym semestrze lekturą z angielskiego jest *Z dala od zgiełku*. Czytałam ją cały dzień, kiedy miałam wolny czas. Hardy jest bardzo rozwlekły, chociaż jego książki nie są tak długie jak Dickensa. Jest tam opis strasznej sceny: upadła kobieta nazwiskiem Fanny Robin wlecze się wzdłuż płotu i jednocześnie rodzi. Uważam, że reszta powieści nie dorównuje tej scenie. Szczęśliwe zakończenie wygląda jak koszmar – Batsaba i Gabriel Oak pobierają się i „gdziekolwiek spojrzę, tam jesteś, a gdziekolwiek ty spojrzysz, tam mnie zobaczysz”. Można się udusić! Babcia lubiła Hardyego, ale ja go nie trawię. Próbowałam, lecz pisze zbyt przygnębiająco, a jednocześnie banalnie. Zręcznie układa tok zdarzeń, i czasem dzieją się straszliwe rzeczy, ale zawsze tylko wtedy,

kiedy powinny – ta precyzja jest nienaturalna! Nie znoszę tego. Mógłby się dużo nauczyć od Silverberga i Delany’ego.

Mamy też przerabiać *Burzę* i trochę poezji Keatsa. Czytałam już jedno i drugie. Najlepsze, że na *Burzę* wybierzemy się do teatru Clwyd w Mold. Prawdopodobnie wszystkie dziewczyny będą chichotały i przeszkadzały, ale to przecież prawdziwe przedstawienie w prawdziwym teatrze! Nigdy nie byłam na *Burzy*. Widziałam tylko *Romea i Julię* w teatrze Shermana, razem z ciocią Teg, i *Sen nocny letniej* ze szkołą, w Teatrze Nowym. Pewnie teatr w Mold nie jest na takim poziomie jak w Cardiff, ale co za różnica. Ciekawe, jak przedstawią Kalibana? Zawsze widzę go podobnego do pierwszej wróżki, jaką zobaczyłam – całego w brodawkach i pajęczynach. A jak ucharakteryzują aktora grającego Ariela?

Na historii przerabiamy materiał dotyczący nudnego XIX wieku, uch. Wszystkie te akty legislacyjne, Irlandia i związki zawodowe. Historia powinna być bardziej przyjemna! Na francuskim uczymy się trybu łączącego. Podobno to trudne, ale w łacinie nie jest. Na łacinie zaczynamy pierwszą księgę *Eneidy* Wergiliusza. Póki co, uwielbiam ją.

*Lud wrogi mi po głębi tyrreńskich wód płynie.*

*Penaty z Ilium niosąc Italii kradnie,*

*A lud mi wrogi po tyrreńskich wodach*

*Żegluje, wioząc ku Italii Troję*

*I jej Penaty pobite.*

Chociaż wydaje mi się, że „etruskie wody” poprawiłyby rytm<sup>52</sup>.

*Środa, 9 stycznia 1980*

Byłam wczoraj wieczorem w klubie. Spóźniłam się trochę, bo autobus nie przyjechał na czas, ale jeszcze nie zdążyli zacząć, a Janine zajęła mi miejsce naprzeciwko popiersia Platona.

Spotkanie było świetne. Prowadził je Mark, krępy facet w średnim wieku z małą bródką i w wielkich okularach o grubych szklach. Rozmawialiśmy o trylogii Fundacja. Najfajniej było, kiedy wszyscy zaczęliśmy wgłębiać się w pojęcie psychohistorii i dyskutować, czy coś takiego jest możliwe. Mnie się wydaje, że nie, ze względu na chaos. Nie

sądę, żeby sprawę załatwiła mutacja taka jak muł, a zwykli ludzie również nie daliby rady. (Może należałoby użyć magii, tyle że nie na poziomie działania, jaki zaprezentował Hari Seldon. Nie wspomniałam o tej możliwości). Potem Wim porównał Fundację do *Jesteśmy snem* i paru powieści Dicka, gdzie manipuluje się historią. Następnie ja zastanawiałam się, czy można napisać powieść, w której tajne stowarzyszenie manipulowałoby historią od samego początku cywilizacji, dla własnych tajemniczych celów.

– Co istnieje dostatecznie długo? – spytał Greg.

– Kościół katolicki? – odezwała się Janine.

Pete parsknął pogardliwie.

– Jeśli tak, to niebyłoby dobrze im szło. Rządzili połową świata, a teraz stracili kontrolę.

(Janine i Pete znowu są razem. Trzymają się za ręce pod stołem. Nie wiem, czy wybaczyła mu wspieranie Wima, czy może przyjęła punkt widzenia Hugh. Nie mogłam zapytać, nawet kiedy gadałyśmy, bo Wim był w pobliżu).

– No, chyba że istnieje tajna, wewnętrzna, zakonspirowana organizacja, której cele nie są oficjalnymi celami Kościoła – powiedziałam.

– Templariusze? – zasugerował Keith.

– Tajni agenci obcej cywilizacji! – wypalił Wim.

Odeszliśmy daleko od Trylogii Fundacyjnej. Jednak tak było dobrze, pomysły odbijały się rykoszetem. Fajnie jest być z ludźmi, którzy czytali to samo co ja i których umysły wędrują tymi samymi ścieżkami co mój. Idea tajnych agentów z kosmosu, którzy manipulują historią w sobie tylko wiadomych celach – może żeby doprowadzić do lądowania ludzi na Księżycu, gdzie mają ukryty skarbiec czy coś w tym rodzaju, jak w *Syrenach z Tytana* – jest po prostu boska.

Na koniec opowiedziałam wszystkim o *Znaku Jednorożca*, ale nie mogłam go nikomu pożyczyć, bo wciąż jest u Daniela. Poproszę, żeby mi go przysłał. Prawie wszyscy byli podekscytowani, a dwojgu czy trojgu klubowiczom, którzy nie czytali pierwszych dwóch tomów – czeka ich jeszcze ta przyjemność – opowiedzieliśmy, o czyni to jest. Tylko Brian nie lubi Zelaznego. Greg obiecał, że zamówi Kroniki

Amberu do biblioteki, ale nie uda mu się to przed kwietniem, bo już wyczerpali fundusze na zakup książek aż do nowego roku finansowego.

Gdybym była bogata, przeznaczalabym mnóstwo pieniędzy na dofinansowanie bibliotek.

– Tymczasem możecie zamawiać te książki w ramach wypożyczania międzybibliotecznego – powiedział Greg, uśmiechając się do mnie.

– No właśnie – odrzekłam. – Co jeszcze napisał Żelazny?

Najwyraźniej mnóstwo pozycji, ale nakłady prawie wszystkich już się wyczerpały. Greg zamierza je dla mnie zamówić. To jeden z najmiłszych ludzi, jakich znam. Nie widać tego na pierwszy rzut oka, bo jest bardzo zamknięty w sobie, ale wewnątrz kryje się fajna osobowość.

Za tydzień zabieramy się do Cordwainera Smitha<sup>53</sup>! Bosko.

Wim podszedł do mnie, kiedy zbieraliśmy się do wyjścia.

– Mówiłaś, że nie czytałaś *Pana Snów*? – zapytał.

– No tak.

– Mógłbym ci pożyczyć, jeśli nie chcesz czekać, aż go sprowadzą. Jeżeli ci to odpowiada, możemy spotkać się tutaj w sobotę, przyniosę ci.

Jestem umówiona z Wimmem o wpół do dwunastej w sobotę, żeby mógł pożyczyć mi książkę.

Nikt, kto chce mi pożyczyć Żelaznego, nie może być taki zły, jak go malują.

*Czwartek, 10 stycznia 1980*

Jestem w szpitalu, w łóżku, na wyciągu, i straszliwie mnie boli. Wybaczcie, proszę, paskudny charakter pisma. Niech to lepiej pomoże...

*Piątek, 11 stycznia 1980*

Czuję się uprowadzona. Przyjechałam do szpitala wczoraj rano jako pacjentka dochodząca, na wyznaczoną wizytę. Doktor Abdul oglądał zdjęcie rentgenowskie mojej nogi przez pięć minut, macał ją przez dwie, a potem stwierdził, że muszę przez tydzień poleżeć na wyciągu. Kazał asystentowi wypisać skierowanie, znalazł wolne łóżko, zadzwonił do Daniela i do szkoły, i zaraz potem leżałam rozciągnięta na



torturach. Dokładnie tak się czuję. Każda czynność przychodzi mi z trudem. Trudno pisać – robię to zwyczajnie, zamiast od prawej do lewej, bo nawet przy wprawie, jaką mam, jest ciężko. Kiedy piję, wciąż oblewam się wodą. Nawet czytanie sprawia mi trudności. Nogę mam podwieszoną na białym metalowym rusztowaniu, umocowaną pasami, naciągniętą tak bardzo, że bez przerwy piekielnie boli, a reszta mnie leży płasko. Ledwie mogę się poruszyć. Przeczytałam wszystkie trzy książki, które miałam w torbie, jedną dwa razy (*Misję grawitacyjną* Clementa). Powinnam była zabrać więcej, ale cieszę się, że miałam przy sobie chociaż trzy, bo wiedziałam, jak długo trzeba czekać w szpitalu na wizytę.

Ból, ból, jeszcze więcej bólu, no i upokarzające korzystanie z basenu. Muszę nacisnąć guzik, kiedy chcę coś do picia albo się załatwić. Pielęgniarki czasem nie przychodzą bardzo długo, ale jeśli wezmę to pod uwagę i nacisnę guzik o wiele wcześniej, zjawiają się na czas. Sprawę pogarsza telewizor umieszczony na końcu sali. Nie da się uniknąć wydobywającego się z niego hałasu, na dokładkę jest cały czas nastawiony na komercyjną ITV, więc co chwila lecą reklamy. Zastanawiam się, czy tak wygląda piekło? Wołałabym jeziora siarkowe, w których przynajmniej mogłabym pływać.

Pozostałe pacjentki mają gości między drugą a trzecią albo między szóstą a siódmą – takie są pory odwiedzin. Już drugi dzień obserwuję ich wszystkich, jak wchodzi z kwiatami i winogronami, robiąc dziwne miny. Przyglądam się im obsesyjnie, jak dalece mogę z mojego miejsca. Nie spodziewam się nikogo i nikt nie przychodzi. Daniel mógłby przyjść. Nie ma daleko i wie, że tu jestem. Co prawda nie wydaje mi się, żeby go wpuszczono.

Nie będę mogła jutro spotkać się z Wimem. Pomyśli, że nie przyszedłam, bo nasłuchiłam się o nim paskudnych rzeczy.

Kobieta na końcu sali zaczęła krzyczeć, krótko, urywanie. Wokół jej łóżka ustawiają parawan, żebyśmy nie widziały, co jej robią. Tu jest zdecydowanie gorzej niż w piekle, takim, jak opisuje je większość ludzi.

*Sobota, 12 stycznia 1980*

Wciąż jestem na wyciągu.

Zeszłego wieczoru pod koniec pory odwiedzin przyszła panna Carroll ze stosikiem lekkich czytań w miękkich okładkach. Pochodzą ze szkolnej biblioteki i w związku z tym nie są szczególnie podniecające, ale w mojej sytuacji to jak manna na pustyni. Nie mogła długo zostać. Nikt jej nie powiedział, że tu jestem, ale kiedy się nie pokazałam, poszła sprawdzić, co się stało. Pojawiła się, gdy tylko się dowiedziała. Kiedy mi o tym opowiadała, mało się nie popłakałam. Nie miałam pojęcia, jak trudno jest wydmuchać nos w tej pozycji. Obiecała powiedzieć Gregowi, gdzie jestem, no i zawiadomi też Wima i resztę ludzi z klubu. Dziś wieczorem znowu przyjdzie i przyniesie więcej książek.

Dobry Boże, jeżeli istniejesz, troszczysz się o nas i jeśli możesz błogosławić ludziom, pobłogosław Alison Carroll najlepiej, jak potrafisz.

Przyniosła mi trzy książki Piersa Anthony'ego, pierwsze z dwóch różnych cykli. Sądzę, że wybrała je, bo znajdują się na początku katalogu, a poza tym się spieszyła. Nie czytałam ich, bo szczerze mówiąc, wyglądają na śmiecie. Wyszłam już poza etap wyczytywania całej biblioteki w porządku alfabetycznym, chociaż jestem zadowolona, że kiedyś tak robiłam. Te akurat mi się podobają. Na razie przeczytałam *Sfery* i *Chaining the Lady*<sup>54</sup>, i właśnie zaczynam *Zakłęcie dla Cameleon*, fantasy. Miałam rację, to raczej śmiecie, ale zajmują moje myśli i nie wymagają wysiłku umysłowego, co jest zaletą, kiedy połowa mojego umysłu wysyła mi informację typu „aj, aj, aj!” albo „jak najszybciej zdejmijcie mi nogę z wyciągu!”. Ostatniej nocy miałam dziwne sny o przenoszeniu się w ciała innych ludzi. Co prawda wszyscy mieli uszkodzone nogi, i nawet kiedy znalazłam się w ciele baletnicy, musiałam tańczyć z laską. Pewnie to ból miał wpływ na te sny. Zeszłej nocy zasnęłam podczas czytania, a potem mnie obudzili, żeby dać pigułkę na sen.

*Niedziela, 18 stycznia 1980*

Panna Carroll wróciła zeszłego wieczoru z nowymi książkami i

winogronami. Dziś po południu pojawił się Greg. Przeprowadził Janine i Pete'a i przyniósł jeszcze więcej książek. Kiedy rozmawialiśmy o Piersie Anthonym, którego Pete lubi, a Greg porównywał go do Chaucera (!), przyszedł Daniel. Z początku go nie zauważyłam, bo nie wpatrywałam się już obsesyjnie w drzwi, przez które wchodzi goście pozostałych pacjentek, ponieważ dla odmiany miałam własnych. Przysunął się bokiem do łóżka. Wyglądał na zakłopotanego. Widziałam wyraźnie, że nie może się zdecydować, czy mnie pocałować, i w końcu tego nie zrobił. On też przyniósł książki, dużą kartkę z pozdrowieniami od sióstr i jeszcze trochę winogron, małych i czerwonych. Nie wiem, dlaczego ludzie przynoszą chorym winogrona. Bo niby mają jakieś szczególnie uzdrawiające właściwości? Janine dała mi batonik Mars, który chętnie przyjął, chociaż łatwo się nim ubrudzić. Jedzenie tu jest bardziej niż okropne.

Rozmowa z początku przebiegała niezręcznie. Przedstawiłam Daniela pozostałym i widać było, że nikt nie wie, co powiedzieć. Greg wydukał nawet, że może powinni już iść. Wtedy na szczęście Daniel oznajmił, że przyniósł mój *Znak Jednorożca*, a wtedy trzeba było zdecydować, kto pierwszy go przeczyta. Rozmawialiśmy o książkach aż do końca pory odwiedzin, kiedy pielęgniarka nacisnęła dzwonek i wszyscy musieli wyjść. Nie pytałam Daniela, czy może poczekać na wieczorną porę wizyt, ale najwyraźniej nie mógł, bo minęła, a on się nie pokazał. I tak bardzo miło z jego strony, że poświęcił mi niedzielne popołudnie.

Książki, które przyniósł Greg, są z listy zamówionych przez system wypożyczeń międzybibliotecznych – przyszły w tym tygodniu. Podstemplował je pod moją nieobecność, nie mając mojej karty. Żartował, że to standardowa usługa biblioteki, ale oczywiście tak nie jest. Niestety, wszystkie są w twardych oprawkach i strasznie trudno je czytać w pozycji, w jakiej leżę. Wydania kieszonkowe mogę trzymać z boku nad głową w jednej ręce, ale nie te, duże i ciężkie. Mam jeszcze Mary Renault *Return to Night* i nie mogę jej przeczytać. Ale móc tylko patrzeć na grzbiet książki leżącej na stoliku to już coś.

Tydzień to będzie do środy. Jeszcze trzy dni bólu i piekła.

Pielęgniarka przychodzi co cztery godziny i proponuje mi środki

przeciwbólowe.

– Bierz je tylko wtedy, gdy cię boli – mówi.

Jak kogoś tak podwieszzonego może nie boleć? Biorę je, ale łagodzą cierpienie tylko odrobinę.

Źle śpię, mam dziwaczne sny i często budzę się z powodu bólu i różnych zakłóceń w sali. Pigułki nasenne, które mi wmuszają, powodują, że zasypiam, ale nie zapobiegają budzeniu się.

*Poniedziałek, 14 stycznia 1980*

Zeszłej nocy, a może dziś nad ranem, matka znów próbowała przeprowadzić nocny atak. Obudziłam się i nie mogłam ruszyć. Wiedziałam, że jest w sali i unosi się nade mną. Nigdy nie jest tu zupełnie ciemno, zawsze pali się lampka w pokoju pielęgniarek, małe światełka wzdłuż ściany na podłodze, a poza tym na końcu sali świeciła się nocna lampka. Było więc dostatecznie jasno, żebym mogła ją widzieć, ale nie widziałam, tylko czułam intensywnie jej obecność. Bolało mnie tak bardzo, że nie potrafiłam wymyślić, jak się jej pozbyć. Próbowałam sobie przypomnieć, co zadziało poprzednim razem – oczywiście była to litania przeciwko strachowi, więc zaczęłam ją recytować i znów pomogła. Kiedy się uspokoiłam i opanowałam, mogłam znów się poruszyć – na tyle, na ile to możliwe, kiedy leżysz na wyciągu. Już jej nie było.

Skąd się dowiedziała, że jestem tutaj, bezbronna? Dlaczego moje zakłęcie ochronne nie zadziało? To, gdzie jestem, nie powinno mieć znaczenia.

Dziś rano widziałam doktora Abdula, po raz pierwszy odkąd podwiesił mnie na tym urządzeniu w ubiegły czwartek. Pomacał moją nogę, sprawił, niech go licho, że wrzasnęłam, i stwierdził, że wszystko idzie ku lepszemu. Potem ruszył przez salę do następnej pacjentki. Jakoś mnie nie przekonał. Czuję się tak, jakby raczej szło ku gorszemu.

Podobno mogę się tak czuć, a pomimo to może być lepiej. W końcu to on jest doktorem. Trzeba mieć przynajmniej trzy najlepsze oceny, żeby móc zacząć uczyć się na lekarza. (Czy w Pakistanie mają nasz system ocen? Może mają, bo wcześniej ten kraj należał do Wielkiej

Brytanii – kiedy babcia Dziadka stamtąd wyjechała, byli częścią brytyjskich Indii. Tylko czy wtedy istniał już ten system ocen? Nasreen będzie wiedziała, bo jej ojciec wtedy studiował). Tak czy inaczej, doktor Abdul musiał uzyskać pakistański odpowiednik trzech najlepszych ocen, zanim zaczął praktykować. Musi być mądry i sumienny, i wie, co robi. Nie przypiąłby nikogo do wyciągu, ot tak sobie.

Dlaczego litania przeciwko strachowi jest skuteczna?

Panna Carroll zjawiała się w czasie wieczornej pory odwiedzin z kolejnymi książkami. Przyniosła więcej kryminałów Josephine Tey, które są całkiem dobre, i dzięki Bogu w miękkich okładkach. Mówi, że brakuje jej mnie w bibliotece i że modlili się o moje zdrowie.

*Wtorek, 15 stycznia 1980*

Wciąż wiszę na wyciągu i mam ponury nastrój.

Opuszczam spotkanie klubu, a ponieważ wszyscy, których lubię, na nim są, a panna Carroll była u mnie wczoraj, wiem, że nie będę miała gości.

Dziadek i ciocia Teg nawet nie wiedzą, że tu jestem, w przeciwnym razie przysłaliby mi przynajmniej kartkę. Skąd więc wie moja matka? Tu nie ma magii, nie ma wróżek, niczego. Sądziłam, że to szkoła jest terenem neutralnym i oczyszczonym z wszelkich wpływów, ale i tak nie może się równać z tą piekielną salą tortur.

Przeczytałam całą Tey. Szczególnie dobry jest *Bartłomiej Farrar*. Tylko co to jest studnia Józefa? Ma jakiś związek z historią biblijnej postaci o tym imieniu?

Jeszcze jeden dzień na wyciągu. Zaczynam się zastanawiać, czy sadyści mogą otrzymywać najwyższe oceny, ale gdyby doktor Abdul był sadystą, przychodziłby do mnie częściej, żeby napawać się moim cierpieniem. Jasno widać, że jest mu obojętne, co czuję. W ogóle nie patrzył mi w twarz i tylko trochę na moją nogę, interesowały go głównie zdjęcia rentgenowskie. Próbuje przyjąć to jako dobry znak. Trzy najlepsze oceny wydają się niczym w porównaniu z zaufaniem, jakie doktor budzi.

*Środa, 16 stycznia 1980*

Nie wypiszą mnie, dopóki doktor Abdul mnie nie obejrzy, a on będzie dopiero jutro.

W popołudniowej porze odwiedzin przyszedł Wim. Przyniósł mi *Pana Snów* i *Wyspę umarłych*. Miał na sobie skórzaną kurtkę i wyglądał na bardzo skrępowanego, nawet bardziej niż Daniel. Nagle uświadomiłam sobie, że mam na sobie głupią szpitalną koszulę, poplamioną jedzeniem (strasznie trudno jeść schludnie, kiedy się leży na plecach) i że od ponad tygodnia nie myłam włosów. To, że przyszedł specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć, bardzo mnie wzruszyło, nawet bardziej niż wizyty pozostałych.

– Greg wspomniał zeszłego wieczoru, że tu jesteś – powiedział. – Pomyślałem, że przyniosę ci te książki. Chociaż wygląda na to, że ich nie potrzebujesz. – Wskazał gestem sterty tomów piętrzących się na szafce przy łóżku.

– Większość już przeczytałam – odparłam.

Uniósł brwi.

– Tu nie ma nic więcej do roboty – wyjaśniłam.

– Wygląda ponuro – zgodził się ze mną. – A jak z jedzeniem?

– Koszmarne.

Roześmiał się.

– Moja matka jest tu jedną z kucharek.

– Jestem pewna, że w domu gotuje lepiej.

– Wcale nie. Nie jest w tym dobra. Sama mówi, że jedzenie tu jest ohydne, więc musi być naprawdę paskudne. Dlatego zapytałam.

– Nie różni się aż tak bardzo od tego ze szkolnej stołówki.

– Można by pomyśleć, że w Arlinghurst powinni was lepiej karmić, sądząc po wysokości chesnego.

– Też mi się tak wydawało, ale jest okropnie. Mielonka i budyń.

– Przyniosłem ci trochę lodów, które jedzą astronauta z NASA – oznajmił i wyjął z kieszeni paczuszkę.

Uniosłam ją tak, żeby dobrze jej się przyjrzeć. Opakowanie było czarne z wizerunkiem statku kosmicznego i miało napis, że to dokładnie takie lody, jakie jedli astronauta na misjach Apollo. Spojrzałam na Wima z szacunkiem.

– Inni przynoszą mi winogrona. Skąd je wzięłeś?

Spojrzał na mnie nieśmiało, o ile to w ogóle możliwe.

– Kuzyn przywiózł ich trochę z Florydy, całkiem sporo. To ostatnie. Nie są zbyt smaczne, liczy się idea. Trzymałem je na szczególną okazję.

Przestałam obracać paczuszkę w rękach i się jej przyjrzałam.

– Masz kuzyna, który jeździł do Ameryki?

Uśmiechnął się, a mnie znów zaparło dech.

– Wiesz, Ameryka istnieje naprawdę, a nie tylko w science fiction. Greg tam też był. Pojechał na Worldcon do Phoenix. Spotkał tam Harlana Ellisona.

– Co to jest Worldcon?

– Ogólnoswiatowy konwent miłośników science fiction. Ludzie zjeżdżają się i przez pięć dni gadają o SF. W zeszłym roku odbywał się w Brighton, i tam pojechałem. Było wspaniale. Nieprawdopodobnie. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Pomyślałam, że jednak mogłabym to sobie wyobrazić.

– Jak nasz klub, tylko o wiele większy?

– Wielokrotnie. Był tam Robert Silverberg. Rozmawiałem z nim! I Vonda McIntyre!

Ledwie mogłam uwierzyć, że jestem w jednym pokoju z kimś, kto rozmawiał z Robertem Silverbergiem.

– Gdzie będzie w tym roku?

– W Bostonie. Zwykle odbywa się w Ameryce. Diabli wiedzą, kiedy znów zorganizują go w Wielkiej Brytanii. Tyle że mamy też brytyjskie konwenty. Na Wielkanoc będzie jeden w Glasgow. Oczywiście nie zjeżdżają się na nie ci wszyscy amerykańscy pisarze. Jednak nie chodzi tylko o nich. Fani też są ważni. Nie uwierzyłabyś, jakie rozmowy toczyły się w Brighton.

– Wybierasz się do Glasgow?

– Już na to oszczędzam. Do Brighton pojechałem na rowerze i spałem w namiocie, ale będę potrzebował pieniędzy przynajmniej na łóżko we wspólnym pokoju hotelowym w Glasgow, no i wygodniej będzie jechać pociągiem.

Sprawił wrażenie ożywionego i pełnego zapału.

– Pokój w hotelu. Bilet kolejowy. Ile będzie kosztował bilet wstępu?

– Nazywają to akredytacją – poprawił mnie. – Już ją wykupiłem. Kosztowała pięć funtów.

– Zastanawiam się, czy Daniel by zapłacił. Czy zgodziłby się, żebym pojechała. I czy mogłabym go namówić, żeby też uczestniczył. Podobałoby mu się tam.

– Kto to jest Daniel? – zapytał Wim, odsuwając się ode mnie, chociaż nie wstał z krzesła – Twój chłopak?

– Ojciec. Czyta SF. Poznał tu w niedzielę Grega, Janine i Pete’a. Cały czas rozmawialiśmy o książkach. Jestem przekonana, że świetnie bawiłby się na konwencie.

Znacznie mniej byłam pewna, czy siostry pozwolą mu jechać. Nie sprawiały wrażenia, że chciałyby, aby zrobił coś, co sprawi mu przyjemność, i to z dala od nich. Prawdopodobnie nie zgodzą się i na mój wyjazd, nie pasuje to do ich pojęcia miłej bratanicy. Będę musiała znaleźć jakiś sposób, żeby obejść potrzebę uzyskania ich zgody.

– Ty to masz szczęście – odezwał się Wim.

Zaskoczył mnie.

– Szczęście? W czym? – Zamrugalam szybko.

Raczej trudno mówić o szczęściu, kiedy się leży na wyciągu.

– Masz bogatego ojca, który czyta SF. Mój twierdzi, że to dziecinne. Nie przeszkadzało mu to, kiedy miałem dwanaście lat, ale czytanie jako takie uważa za niemęskie, a książki, według niego dla dzieci, dla prawie dorosłego chłopaka w ogóle są niedopuszczalne. Ryczy na mnie za każdym razem, kiedy przyłapie na czytaniu. Matka czasami czyta romanse, Catherine Cookson i takie tam, ale tylko wtedy, gdy ojca nie ma w domu. Ona też niczego nie rozumie. U nas nie kupuje się książek. Dałbym wszystko za rodziców, którzy czytają.

– Daniela poznałam dopiero tego lata – wyjaśniłam. – Rodzice są rozwiedzeni i wychowali mnie głównie dziadkowie. Nie mieli pieniędzy, ale czytali i zachęcali nas do czytania. A Daniel właściwie nie jest bogaty. Jego siostry są, dają mu pieniądze, ale trzymają go krótko. Opłacają Arlinghurst, żeby się mnie pozbyć, tak mi się wydaje. Nie wiem, czy dadzą mu wystarczająco pieniędzy, żeby mógł pojechać do



Glasgow, bo raczej nie będą chciały, żeby się od nich oddalił. Mnie może pozwolą.

– A gdzie jest twoja mama?

Pytanie było dość naturalne, ale zadał je z wymuszoną niedbałością, jakby wcześniej je przećwiczył.

– W Południowej Walii. Jest... – Zawahałam się, bo nie chciałam mówić ani że jest czarownicą, ani że jest szalona, chociaż jedno i drugie to prawda. Nie ma słowa, które by opisywało obie te rzeczy, a powinno być. – Jest niepoczytalna.

– Dziewczętom w szkole powiedziałaś, że jest czarownicą – odrzekł, odgarniając włosy z twarzy.

– Skąd wiesz?

– Mam dziewczynę, która pracuje w pralni. Powiedziała mi.

Moje serce fiknęło fikołki na wiadomość, że Wim ma dziewczynę. Jest dwa lata starszy, raczej nie mógłby się mną zainteresować. Wiedziałam o tym, chociaż przyszedł w odwiedziny i poświęca mi wiele uwagi. Od razu skojarzyłam, że widziałam tę jego dziewczynę pod koniec semestru, jak upychała zwinięte mundurki do pralki. Na swój sposób było to pocieszające, że zapytał ją o mnie.

– Niech mnie nienawidzą, byle się mnie bały – zacytowałam. – Tyberiusz...

– Czytałem *ja, Klaudiusz* – przerwał mi. – Powiedziałaś im, że twoja matka jest czarownicą, żeby się ciebie bały?

– To straszne gnębicielki. Znały się wcześniej, a ja jestem obca, no i mam inną wymowę, więc wydawało mi się, że to dobra strategia. W większości przypadków zadziałało, chociaż bywam trochę samotna.

– Więc nie jest czarownicą? – zabrzmiało to tak, jakby był rozczarowany.

– No... Jest. Niepoczytalną czarownicą. Złą wiedźmą, jak w opowieściach.

Nie chciałam o niej mówić ani opowiadać, jaka jest. I tak trudno ją opisać.

Pochylił się i spojrzał mi w oczy. Jego tęczówki są bardzo niebieskie, prawie tak błękitne jak niebo.

– Czy umiesz czytać w myślach?

– Co takiego?

Zaskoczył mnie.

– No wiesz, jak w *Umierając żyjemy*.

Pozostał w tej pozycji, zaledwie kilka centymetrów ode mnie, i patrzył intensywnie w moje oczy. Biorąc pod uwagę, że zaparło mi dech, dziwne, że się nie udusiłam, chociaż wiem już, że ma dziewczynę.

– Nie! Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek to potrafił – powiedziałam piskliwie.

– Tylko się zastanawiałem. – Zabrzmiało to jakoś niepewnie, niezręcznie, jakby pożałował, że zadał pytanie. Nie odsunął się. – Chodzi o to, że kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, poczułem się tak, jakbyś widziała mnie na wylot. A kiedy usłyszałem, że powiedziałaś, iż twoja matka jest czarownicą, pomyślałem... no wiesz... Czy zdarzyło ci się po przeczytaniu takiej masy książek SF, że sama już nie wiesz, co jest możliwe, a co nie? Kiedy jesteś gotowa przyjmować hipotezy, o których wiesz, że są wariackie, ale... – przerwał.

Z tego pierwszego razu, kiedy go zobaczyłam, pamiętam tylko, że myślałam o tym, jaki jest wspaniały. Jeśli uznał to za rodzaj mistycznego porozumienia, mylił się.

Dzwonek ogłosił zakończenie pory odwiedzin.

– Jest czarownicą – powiedziałam szybko, kiedy wstawał.

– A magia istnieje.

Pochylił się nade mną, natarczywie.

– Pokaż mi.

– Nie jest taka, jak w książkach – odrzekłam szeptem, chociaż hałas, jaki robili wychodzący goście i tak nie pozwalał na to, żeby nas ktoś podsłuchał.

– I tak mi pokaż.

– Nie ma nic do pokazywania. I poprzysięgłam sobie, że nie będę się tym zajmowała, poza sytuacjami, kiedy trzeba zapobiec nieszczęściu! – Wypadło to blado, jak nędzna wymówka. Zrobił obojętny wyraz twarzy i się wyprostował.

– Może mogłabym ci coś pokazać – dodałam, desperacko pragnąc, żeby mi uwierzył. – Ale nie wiem, czy zdołasz to zobaczyć. I tak trzeba będzie poczekać, aż się stąd wydostanę.

– Nie wkręcasz mnie? – zapytał podejrzliwie.  
– Nie! Oczywiście, że nie!  
– No dobrze – mruknął dość szorstko. – Dziękuję.  
– To ja dziękuję, że przyszedłeś i przyniosłeś mi książki –  
odparłam.

Patrzyłam za nim, jak wychodzi z sali, a resztę dnia spędziłam, jedząc lody astronautów (bardzo dziwnie smakowały) i spisując każde słowo z naszej rozmowy – chociaż tak niewygodnie mi pisać, po prostu żeby nie zapomnieć.

Nie muszę robić niczego magicznego. Jeśli przyjdzie do Lasu Kłusowników, prawdopodobnie będę mogła pokazać mu wróżkę. On wierzy... w coś. Tylko że jeśli wskażę mu, gdzie są wróżki, które widzę, a on ich nie zobaczy, sytuacja może zrobić się bardzo niezręczna. Pomyśli, że albo jestem wariatką, albo kłamię. Każda z tych dwóch możliwości będzie okropna.

Och, no dobra.

*Czwartek, 17 stycznia 1980*

Czuję się tak paskudnie jak nigdy wcześniej.

Zrobili więcej zdjęć rentgenowskich. Doktor Abdul chciał rozmawiać z Danielem i wydawał się bardzo niezadowolony, że go tu nie ma, zupełnie jakbym schowała go do kieszeni. W końcu pozwolili mi wyjść, chociaż nalegali, żebym wzięła metalową kulę zamiast mojej wspaniałej wróżkowej laski. Musiałam tylko dojść do przystanku autobusowego, a potem od autobusu do następnego przystanku. Dobrze, że są tam murki, na których można przysiąść. Nigdy przedtem nie było tak źle. Wydaje mi się, że jeszcze pogorszyli stan mojej nogi, uszkodzili ją na zawsze i właśnie to doktor chciał powiedzieć Danielowi, ale nie mnie.

Znowu jestem w bibliotece. Panna Carroll uważa, że powinnam leżeć w łóżku. Przyniosła mi karmelki i szklankę wody, chociaż jedzenie w bibliotece jest bezwzględnie zabronione. Ból, ból, BÓL.

*Piątek, 18 stycznia 1980*

Leżę w łóżku w ambulatorium. Cudownie jest leżeć na poduszkach i bez wyciągu. Kiedy się nie ruszam, nawet za bardzo nie boli. Za szkolnym jedzeniem i tak nie przepadałam. Oczywiście jedyną dobrą rzeczą w szpitalu były odwiedziny gości. Tutaj nikt nie może do mnie przychodzić poza Deirdre i panną Carroll. Gdyby pojawiła się Janine albo Greg, byłaby awantura, gdyby przyszedł Wim, pewnie by mnie wyrzucili. Chociaż i tak by nie przyszedł.

Nadrabiam lekcje, które opuściłam. Odwaliłam już wszystko oprócz matematyki. I tak nie mam matematycznego umysłu, zresztą kiedy mnie boli, nie potrafię zapanować nad liczbami. Na geografii przerabiamy zlodowacenia. Czytałam już o tym, więc nie ma problemu. Tak naprawdę to nudne, te wszystkie lodowce, *cwms* albo *corries*, moreny czołowe, doliny w kształcie litery U. Deirdre nigdy o tym wszystkim nie słyszała i przyznała się, że miewa koszmary związane z lodowcami. Powstrzymałam się i nie opowiedziałam jej treści *Zapomnianego wroga* Clarke'a.

Nie dam rady pojechać jutro do miasta, ale i tak z nikim się nie umówiłam. Panna Carroll zwróci moje książki do biblioteki i odbierze nowe. Może do wtorku już będę w formie. Albo przynajmniej będę się czuła jak przed pójściem do szpitala.

Chcę znowu być mobilna. Czuję się jak w pułapce. Nienawidzę tego.

*Return to Night* jest przesadnie i bez żadnej subtelności freudowskie. Chociaż ma kilka dobrych fragmentów.

*Sobota, 19 stycznia 1980*

Daniel przyjechał w odwiedziny, niespodzianka. Wetknął głowę przez drzwi.

– Jak myślisz, kogo ci przywiozłem? – zapytał.

Miałam nadzieję, że może Sama, ale zgadłam, że chodzi o ciotki. I tak byłam zaskoczona, że pojawiła się tylko jedna.

– Dzień dobry, ciotko Antheo – przywitałam ją, na co aż drgnęła.

Oczywiście tylko zgadywałam, ale było to uzasadnione przypuszczenie. Zwykle jeśli pojawia się tylko jedna, jest to Anthea,

najstarsza.

– Nie mogłam oprzeć się pokusie odwiedzenia starej szkoły – stwierdziła.

– Dziwię się, że pozostałe się oparły – powiedziałam, starając się być tak miłą bratanicą, jak tylko się dało.

– Nie ma dość miejsca w samochodzie, kochanie.

Auto Daniela, jak większość samochodów na świecie, poza być może małym pomarańczowym fiacikiem 500 cioci Teg, mieści cztery osoby, chociaż bywa trochę ciasnawo, szczególnie jeśli któraś z tych osób jest wysoka. Domyśliłam się więc, że zamierzają zabrać mnie ze sobą.

– Na rekonwalescencję – oznajmił Daniel.

Wydawało mi się, że lepiej by było, gdyby Daniel przyjechał w dzień powszedni do szpitala i porozmawiał z doktorem Abdulem, ale chyba rozmawiali przez telefon. Ciekawe, kto do kogo zadzwonił? Tak czy inaczej, wyglądało na to, że w szkole uznano, iż rekonwalescencja trochę potrwa i w domu będę miała lepszą opiekę. Dobre założenie w przypadku ludzi, którzy mają domy. Wypróbowałam każdy argument, jaki zdołałam wymyślić, żeby zostać w szkole, w tym kilka sztuczek miłej bratanicy, że na przykład nie chcę opuścić meczu hokejowego ze szkołą św. Felicyty, ale nikt się na to nie nabrał.

Zostałam więc zapakowana do samochodu. Pomoc przy wsiadaniu na ogół bardziej przeszkadza, niż pomaga. Jeśli zobaczycie kogoś z laską, to ta laska i trzymająca ją ręka zastępują nogę. Jeśli tę rękę złapać czy unieść, albo zrobić z nią cokolwiek bez uzgodnienia z właścicielem, to mniej więcej tak, jakby złapać normalnie idącego człowieka za nogę. Wolalabym, żeby więcej ludzi to rozumiało. Część dziewcząt widziała, jak odjeżdżam, i oczywiście wie o tym pielęgniarka, więc spodziewam się, że ktoś powie pannie Carroll, ona przekaże to Gregowi, a ten zawiadomi pozostałych. Przez „pozostałych” rozumiem Janine i całą resztę, no i Wima. Przyznaję, że najbardziej chodzi mi o niego. Chyba jestem w nim trochę zadurzona. I głupio, że zostawiłam w szkole książki Żelaznego, które mi pożyczył, bo odłożyłam je sobie na później, więc nawet nie mogę ich przeczytać.

*Niedziela, 20 stycznia 1980*

Wiele coś w rodzaju małego huraganu, który wstrząsa Old Hall, jakby miał go rozwalić. Wali w okna, przeciska się przez szpary, gwizdże w kominach. Leżę i czuję, że cały dom skrzypi i jęczy, jakby był statkiem na morzu.

Mam mnóstwo książek, Daniel pojawia się co jakiś czas i pyta, czy chcę więcej. Opieram się na poduszkach i nie jestem przywiązana do wyciągu. Mogę pokuśtykać do łazienki. Mam karafkę z wodą, prawdziwą karafkę z kryształowym korkiem. Przynoszą mi posiłki, które nie są gorsze od szkolnych. (Jeśli w jedzeniu czai się magia, jest to magia Old Hall, przetaczająca się jak zwykle przez cały dom, potrafię ją wyczuć). Mam radio, mogę słuchać wiadomości, *The Archers*<sup>55</sup>, audycji o ogrodnictwie i – ku mojemu zaskoczeniu i zachwytowi – *Autostopem przez Galaktykę!* Książka jest doskonale przerobiona na słuchowisko radiowe. Zresztą i tak przez większość czasu czytam.

Jak długo będę tu uwięziona?

Pokuśtykałam na dół po schodach na kolację, którą tu nazywają obiadem. Był makaron z serem, rozgotowany i ledwie jadalny. Wszyscy siedzieli, jedli i robili niemądre uwagi, przy czym kiwali głowami i się uśmiechali. Odgrywałam rolę miłej bratanicy. Powinnam porozmawiać z Danielem o możliwości wyjazdu do Glasgow na Wielkanoc, ale chcę to zrobić bez świadków.

Później zapytałam, czy mogę zadzwonić do cioci Teg. Nie bardzo wypadało im odmówić, skoro Daniel przy tym był, więc zadzwoniłam. Ciocia była przerażona, kiedy opowiedziałam jej o szpitalu, tym bardziej że o niczym nie wiedziała, i nie chciała wierzyć, że mój stan się pogorszył. Zawsze stara się widzieć jaśniejszą stronę wszystkiego. Czasami to miłe i można się razem z nią cieszyć z różnych rzeczy, ale w takim momencie jak ten nie jest to zbyt pożyteczna cecha. Powiedziała, że wyjaśni Dziadkowi, dlaczego się nie odzywałam i przekaże mu, że go kocham. Ciocia prawdopodobnie powie, że jest mi lepiej i niedługo znów będę biegała. Chciałabym, żeby tak było. Nawet kiedy noga nie boli mnie tak bardzo, ćmi w niej ukryty ból, bez przerwy. Jestem przekonana, że jest gorzej.

Telefon znajduje się w korytarzu, na stoliku, do którego

przytwierdzono wyściełaną ławeczkę. Siedziałam na niej podczas rozmowy z ciocią Teg. Kiedy odłożyłam słuchawkę, zastanowiłam się, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić, skoro już tu siedzę i nikt mi nie przeszkadza. Problem jest taki, że nie znam żadnych numerów. Nie miałoby sensu dzwonienie do Grega do biblioteki, skoro jest niedziela wieczór. Nie znam niczyjego numeru domowego, nawet Janine. Koło aparatu leży książka telefoniczna, taka domowa, z numerami wpisanymi ręcznie, a nie wielka, ogólna. Przerzuciłam ją, nie znalazłam nikogo, kogo bym знаła, aż dotarłam do M, gdzie figurował adres i numer telefonu Sama.

Jego gospodyni odebrała od razu. Pamiętała mnie.

– O, mała wnusia – rzekła.

Nie jestem mała i trochę mi dziwnie, gdy myślę o Samie jako o swoim dziadku. Mam już Dziadka, to stanowisko nadal jest zajęte. Chociaż lubię Sama.

Po chwili podszedł do telefonu.

– Morwenna? – odezwał się. – Czy coś się stało?

– Nie, niezupełnie. Jestem w Old Hall na rekonwalescencji, pomyślałam o tobie i chciałam z tobą porozmawiać.

– Na rekonwalescencji po czym? – zapytał, więc opowiedziałam mu o wszystkim i że wydaje mi się, iż tylko pogorszyli mój stan.

– Może tak, może nie – odrzekł. – Czasem gojenie boli, pomyślałaś o tym?

– Nic mi nie mówili – poskarżyłam się. – Doktor Abdul chciał rozmawiać z Danielem, a ze mną w ogóle. Mogłabym być umierająca i nawet bym o tym nie wiedziała.

– Wydaje mi się, że Daniel by ci powiedział – odparł Sam, chociaż nie brzmiało to zbyt przekonująco.

– Jeśliby mu pozwolili – zaznaczyłam.

Sam milczał przez chwilę.

– Może przyjadę cię odwiedzić – powiedział w końcu.

– Mam pewien pomysł. Pozwól mi porozmawiać z Danielem.

Musiałam więc zawołać Daniela i wyjaśnić, o co chodzi, a on odesłał mnie do łóżka i rozmawiał przez chwilę z Samem. Potem przyszedł do mnie i powiedział, że Sam przyjedzie jutro pociągiem, a on

go odbierze z dworca w Shrewsbury.

Dziwnie pomyśleć, że Sam może podróżować, a jeszcze dziwniej, że przyjedzie właśnie tutaj, no ale jutro już tu będzie! Daniel mówi, że on już jest bardzo stary i rzadko wyjeżdża, więc chyba powinnam czuć się wyróżniona.

*Poniedziałek, 21 stycznia 1980*

Sam przywiózł mi bukietik przebiśniegów z ogródka gospodyni.

– Właśnie zakwitły – powiedział.

Pomimo długiej podróży pociągiem i samochodem – Daniel odebrał Sama ze Shrewsbury – były w bardzo dobrej formie i wydzielały ten swój szczególny zapach. Mor wręcz uwielbiała przebiśniegi. Posadziliśmy ich trochę na jej grobie – ciekawe, czy nadal tam rosną? Jedna z ciotek wstawiła mój bukietik do małego kryształowego wazonika, który pasuje do karafki. Stoi na nocnej szafce.

Sam przywiózł mi też więcej książek Platona – *Prawa i Fajdrosa*, którego chciałam mieć, bo jest o nim mowa w *The Charioteer*. Nie są nowe, wyraźnie miał je od jakiegoś czasu. Pewnie długo ich szukał. Przywiózł mi też małą błękitną książeczkę, wydaną przez Pelicana<sup>56</sup>, pod tytułem *The Greeks* H.D.F. Kitto<sup>57</sup> i stwierdził, że da mi to odpowiedni kontekst – zarówno do Mary Renault, jak i Platona. Mam nadzieję, że jest ciekawie napisana. Dotąd nie zaczęłam czytać biografii Churchilla, którą dostałam jako nagrodę.

Przywiózł mi też słoiczek maści żywokostowej, która bardzo dziwnie pachnie.

– Nie wiem, czy ci pomoże, ale na wszelki wypadek przywiozłem – rzekł.

Wtarłam jej trochę w nogę i chyba nie pomogła, poza tym, że zaczęłam cała dziwnie pachnieć, ale doceniam, że o tym pomyślał.

Pomysł Sama jest taki, że powinnam poddać się akupunkturze. Sam ma rodzaj magii, ale nie takiej prawdziwej, chodzi o to, że jest po prostu sobą. Nie jest podatny na wpływ jakiegokolwiek magii. Ciekawie było obserwować go w towarzystwie ciotek. Jest nieskazitelnie uprzejmy, ale traktuje je, jakby były mało ważnymi osobami, a one nie



bardzo wiedzą, jak sobie z tym radzić. Sam nie ma żadnych szczelin, przez które mogłyby się wdrzeć. Gdyby to one zaproponowały akupunkturę, która polega na wbijaniu igieł w ciało, opierałabym się tak mocno, jak tylko się da. One jednak były bardzo przeciwne temu pomysłowi.

– To głupi chiński przesąd, chyba w to nie wierzysz – powiedziała jedna.

– Morwenna boi się igieł, nie dała sobie nawet przekłuć uszu – przypomniała druga.

– Co to może pomóc? – zastanawiała się trzecia.

Nawet takie gadanie nie wytrąca Sama z równowagi.

– Uważam, że powinniśmy spróbować. Co to szkodzi? Wydaje mi się, że Morwenna jest rozsądną dziewczyną.

Znalazł odpowiedni gabinet w Shrewsbury i zapisał adres. Chciał, żebyśmy pojechali tam od razu, ale siostry zdołały przekonać Daniela, żeby najpierw zadzwonił. Załatwił wizytę na jutro rano.

Sam spędził popołudnie w moim pokoju na rozmowie ze mną. To stary człowiek i miał dziwne życie – wyobraźcie sobie tylko, że dowiadujecie się, iż cała wasza rodzina została zamordowana. Byłoby to tak, jakby cała Walia zatonała w morzu i zostałabym tylko ja. No, jeszcze jest kuzyn

Arwel w Nottingham, ale byłoby nas tylko dwoje ze wszystkich ludzi, wśród których się wychowałam. Tak się stało z Samem. Kiedy wrócił po wojnie, wszyscy już nie żyli, w ich domu mieszkali obcy ludzie, a sąsiedzi udawali, że go nie znają. Widział na stole u sąsiadki pojemnik na chleb, który należał do jego matki, ale nie pozwoliła mu zabrać nawet tego.

– Więc nic dla ciebie nie znaczą? – spytał.

– No, nie tak zupełnie nic.

– Są obce. Nawet ja jestem obcy. Chociaż nasze rodziny są ze sobą spokrewnione. Rozmaite rządy od lat rozmawiają o odszkodowaniach. Tylko jak ktokolwiek może dać mi odszkodowanie za utratę rodziny? Jak mogliby oddać ci tych wszystkich kuzynów, których nigdy nie poznałaś, i tych, którzy nigdy się nie urodzili, a byłiby teraz w twoim wieku?

To do mnie dotarło. Mogłabym napisać wiersz pod tytułem:  
„Hitlerze, oddaj mi kuzynów!”.

Przypuszczam, iż Sama trochę się smuci, że nie jestem Żydówką, i że kolejne pokolenia też nie będą Żydami. Ale nie mówi nic na ten temat, najwyraźniej już dawno się z tym pogodził. Powiedział, że nie został w Polsce, bo czuł tam obecność zmarłych, jakby mieli w każdej chwili wyjść zza rogu. Rozumiem to. Prawie zaczęłam z nim rozmawiać o magii, o tym, co zrobiłam, żeby mieć swój karass, i o Mor wędrującej z wrózkami. Może tak by się stało, gdybym miała więcej czasu. Przyszedł jednak Daniel i powiedział, że muszą ruszać, żeby złapać pociąg. Więc się pożegnałam.

Sam pocałował mnie, a potem położył mi rękę na głowie i wypowiedział błogosławieństwo po hebrajsku. Nie zapytał, czy może, ale nie miałam nic przeciwko temu. Spojrzał potem na mnie i na jego pomarszczonej, starej twarzy zakwitł uśmiech.

– Będzie dobrze – powiedział.

Bardzo mnie to uspokoiło. Nadal słyszę, jak to mówi. Jakby wiedział, co się wydarzy.

Przebiśniegi pachną. Tak się cieszę, że przyjechał.

*Wtorek, 22 stycznia 1980*

Sam miał rację co do akupunktury.

To naprawdę magia. Cała ta metoda. Nazywają tę siłę „chi”, ale nawet nie udają, że to nie magia. Mężczyzna, który się tym zajmuje, jest Anglikiem, co mnie zaskoczyło po tym całym straszaniu przez ciotki podstępными Azjatami. Uczył się w Bury St. Edmunds, w Fens, niedaleko Cambridge, u ludzi, którzy szkolili się w Hongkongu. Ma oprawione w ramki certyfikaty, jak prawdziwy lekarz. Na suficie gabinetu jest mapa punktów na ludzkim ciele, które nakłuwa się podczas akupunktury. Mogłam się jej dokładnie przyjrzeć, bo większość czasu spędziłam, leżąc nieruchomo na stole z wielkimi igłami powbijanymi tu i ówdzie.

To w ogóle nie boli. Nie czuje się igieł, chociaż są długie i naprawdę wklute w ciało. Kiedy wbił ostatnią z nich, ból ustał jak za

przekręceniem wyłącznika. Gdybym mogła się tego nauczyć! Jedną z igieł, w kostce, wbił najpierw trochę nie tam, gdzie trzeba, ale poczułam to nie jako prawdziwy ból, tylko jak ukłucie szpilką. Nic nie powiedziałam, jednak od razu przesunął ją o ułamek centymetra w bok i przestałam ją czuć. Bardzo wyraźna magia ciała.

Nawet jeśli ból został uśmierzony tylko na godzinę, którą tam spędziłam, było to warte trzydziestu funtów, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Było jednak inaczej. Nie zostałam cudownie uleczona ani nic takiego, wkuśtykałam po schodach do gabinetu i zeszłam po nich w nie gorszym stanie, niż byłam, zanim położono mnie na wyciągu. Facet chce, żebym przychodziła co tydzień przez sześć tygodni. Powiedział, że dzisiaj zrobił, co się dało, żeby zmniejszyć ból, ale jeśli będzie widywał mnie regularnie, może zobaczy, co szwankuje, i coś z tym zrobi. Podziwiał moją laskę – używam tej od wrózek, bo wydaje mi się, że daje mi więcej siły niż metalowa kula, pomijając to, że nie jest taka brzydka.

– Odwieź mnie do szkoły – poprosiłam Daniela, kiedy szliśmy do samochodu.

Świeciło blade zimowe słońce, zalewając promieniami złociste budynki Shrewsbury. Gdybyśmy zaraz wyruszyli, mogłabym się znaleźć w szkole na czas i zdążyłabym pojechać do klubu zaraz po odrobieniu pracy domowej.

– Nie, najpierw zobaczymy, jak się będziesz czuła jutro – odparł. – Ponieważ wydaje się, że chińska medycyna ci służy, może wpadniemy na chiński obiad?

Udaliśmy się więc do restauracji Pod Czerwonym Lotosem i jedliśmy chude żeberka, prażynki krewetkowe, smażony ryż z kurczakiem, chow mein i wołowinę w ostrygowym sosie. Wszystko było przepyszne, najlepszy posiłek, jaki jadłam od lat, może od zawsze. O mało nie pękłam. Podczas jedzenia opowiedziałam Danielowi o konwencie w Glasgow, który nazywa się Albacon, a w tym roku również Eastercon, i co Wim opowiadał o Worldconie w Brighton, jak spotkał tam Roberta Silverberga i przez pięć dni nie robił nic innego, tylko rozmawiał o książkach. Daniel stwierdził, że nie wydaje mu się, żeby siostry pozwoliły mu wyjechać w czasie Wielkanocy, ale zgodził

się, żebym ja pojechała i obiecał, że za to zapłaci!

Chciałabym wyzwolić Daniela spod wpływu sióstr. Jest dla mnie dobry, choć przypuszczam, że to jego ojcowski obowiązek, ale dlaczego miałyby żywić do mnie aż takie uczucia? chciałabym go uwolnić, choć nie wydaje mi się, żeby mi się to udało. Podejrzewam, że sama próba spowodowałaby otwartą wojnę między nami. Teraz myślą, że nie będę się wtrącała, więc zostawiają mnie w spokoju. Jeśli spróbuję uratować Daniela, mogę się pograżyć. Moim priorytetem jestem ja i tak musi pozostać. Nie zgodzą się, żeby pojechał do Glasgow. Dobrze, że chociaż zgodziły się na akupunkturę i obiad w chińskiej restauracji, co prawdopodobnie by się nie stało, gdyby nie kochany stary Sam.

Razem z rachunkiem dostaliśmy ciasteczka z wróżbą. W moim była karteczka: „Nie wszystko stracone”, co uznałam za krzepiące. To jak ten wers z *Eneidy*. ...*ethaecolim meminisse iuvabit*, może nawet niemiłe zdarzenia kiedyś będziemy wspominali z radością. Z początku myśliśmy „jakie to wszystko okropne”, a potem uświadamiamy sobie, że wcale takie nie było. W ciasteczku Daniela było napisane tylko: „Lubisz chińskie jedzenie”, czemu się nie da zaprzeczyć. Gdyby dostał „Jesteś okropnym ojcem”, byłoby to okrutne.

W samochodzie, kiedy zapinałam pas, Daniel przyjrzał mi się uważnie.

- Zdaje się, że nadal odczuwasz dobroczynne skutki akupunktury.
- To prawda – przyznałam.
- Powinnaś tu przychodzić raz na tydzień przez sześć tygodni, tak jak powiedział ten człowiek.
- Oki.

Skończyłam szamotać się z pasem. Daniel wyrzucił niedopałek papierosa przez okno.

- Nie będę mógł przyjeżdżać do szkoły, zabierać cię i wozić tam i z powrotem, w każdym razie nie co tydzień. Może tylko od czasu do czasu.

Natychmiast zrozumiałam, że mu na to nie pozwolą. Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu, a ja nic nie mówiłam, bo co niby miałam powiedzieć.

- Jest jeszcze pociąg – odezwał się po chwili.

– Pociąg? – Chyba zabrzmiałam dość sceptycznie. – Tam nie ma stacji kolejowej. Może być najwyżej autobus.

– W Gobowen jest stacja. Kiedy moje siostry chodziły do Arlinghurst, wysiadały na niej i zabierał je szkolny autobus. W tamtych czasach wszyscy jeździli pociągami.

– Jesteś pewien, że nie została zamknięta?

Jednak nie musiało być tak jak w piosence Flandersa i Swanna *Slow Train*, o stacjach zamykanych w ramach cięć Beechinga, prawdopodobnie nadal była czynna.

– Jest na trasie do Południowej Walii, do Welshpool, Barmouth i Dolgellau – powiedział.

Jedyna z miejscowości, o której słyszałam, to Dolgellau, dokąd Babcia i Dziadek jeździli w odwiedziny do starego wikariusza, gdy się tam przeniósł, zanim jeszcze się urodziłam. Północna Walia jest jak inny kraj. Nie można przedostać się tam wprost z Południowej Walii, tylko trzeba najpierw pojechać do Anglii i z powrotem, przynajmniej jeśli się chce podróżować pociągiem albo przyzwoitymi drogami. Pewnie są jakieś drogi przez góry. Nigdy tam nie byłam, chociaż bym chciała.

– No dobrze – powiedziałam. – To oznacza autobus do miasta, drugi do Gobowen, a potem pociąg.

– Będę mógł cię zawozić od czasu do czasu. – Zapalił kolejnego papierosa. – Jaki dzień byłby najlepszy?

Zastanowiłam się. Na pewno nie we wtorki, bo mogłabym nie zdążyć na spotkanie klubowe.

– Czwartki – powiedziałam. – Bo w czwartki po południu mam tylko religię, a potem dwie godziny matematyki.

– Sądząc z twoich ocen, matematyki będzie ci najmniej żal – zauważył, chociaż w jego głosie zabrzmiała wesoła nutka.

– Uczciwie przyznaję, że nie ma znaczenia, czy jestem na niej obecna, czy nie, po prostu mi nie wchodzi do głowy.

Matematykę, którą umiem, poznałam na fizyce i chemii. Lekcje matmy równie dobrze mogłyby się odbywać po chińsku. Nonsens. Odnoszę wrażenie, że brakuje mi odpowiedniego kawałka mózgu. Nawet jeśli poproszę nauczycielkę o wyjaśnienie jeszcze raz, całość nie nabiera sensu.

– Może powinnaś brać korepetycje? – zasugerował.  
– To byłyby stracone pieniądze. Po prostu tego nie przyswajam. Równie dobrze możesz uczyć konia śpiewać.  
– Znasz tę historię? – spytał, odwracając głowę w moją stronę i przypadkiem dmuchając na mnie dymem, fuj.  
– „Nie zabijaj mnie, daj mi rok czasu, a nauczę twojego konia śpiewać. Przez rok wszystko może się zdarzyć: król może umrzeć, ja mogę zginąć, a koń może nauczyć się śpiewać” – streściłam opowiadkę z *The Mote in God's Eye*, którą miał na myśli.  
– To opowieść o prokrastynacji – pouczył mnie, jakby był największym ekspertem w tej dziedzinie.  
– Raczej o nadziei – sprostowałam. – Nie wiemy, co się zdarzyło w ciągu tego roku.  
– Gdyby koń nauczył się śpiewać, wiedzielibyśmy o tym.  
– Mógł stać się źródłem legendy o centaurach. Mógł przenieść się do Narnii i zabrać tego człowieka ze sobą. Mógł zostać przodkiem konia ICaliguli, Incitatusa, którego mianowano senatorem. Mogła powstać cała rasa śpiewających koni, a Incitatus zostałby ich przywódcą, walczącym o równość, tylko że im się nie udało.  
Daniel spojrzał na mnie bardzo dziwnie. Pożałowałam, że nie zachowałam tych pomysłów dla ludzi, którzy potrafią je docenić.  
– No to w czwartki – powiedział. – Zadzwoń i załatwię to, kiedy dojedziemy do domu.  
Jeżeli ta historia opowiadała o prokrastynacji, i gdyby ten człowiek umarł przed końcem roku, zawierałaby solidny morał. Ja wolę sobie wyobrazić, że wszyscy przeżyli.

*A pod koniec roku wylamali drzwi stajni.*

*Człowiek i koń, razem, w galopie*

*Poza tarczę zachodzącego słońca, w tętnie kopyt,*

*Harmonia i rytm, w duecie.*

*Środa, 23 stycznia 1980*

Dziś rano spadła odrobina śniegu, nawet nie tyle, żeby zamoczyć palce u nóg hobbita. Stopniak jeszcze przed śniadaniem.

Znowu jestem w szkole, gdzie panuje jeszcze większy hałas niż zwykle, aż echo się niesie.

*Pan Snów* okazał się powieściowym rozwinięciem novelli *Psychouczestnik*, wariacji na temat *Telepaty* Brunnera. Nie wiem, co zostało napisane pierwsze, ale ja najpierw czytałam Brunnera. Sam pomysł pracy ze snami jest osobliwy. *Pan Snów* to dobra książka, ale niepokojąca. Nie dałoby się odgadnąć, że napisał ją ten sam człowiek co *Kroniki Amberu*, które są takie fajne.

Ludzie wokół wydają się przyjaźniejsi niż przedtem. Kiedy weszłam na angielski po lunchu, Sharon powiedziała mi: „Cześć, witaj z powrotem”. Daniel uparł się, że musi wiedzieć, jak się czuję po obudzeniu, i odwiózł mnie dopiero późnym rankiem. Nadal jestem w takiej formie jak wczoraj. Zimno sprawia, że moja noga zachowuje się jak zardzewiały kurek na dachu, ale i tak jest o wiele lepiej niż przed akupunkturą, więc nie zwracam na nią uwagi.

Nie przebaczyłam Sharon, że się ode mnie odwróciła. Zamierzam być uprzejma i miła, ale nie będę unikała nazywania jej Malinką, kiedy wszystkie inne to robią. Natomiast Deirdre, która trwała przy mnie, zasłużyła na lojalność z mojej strony i nigdy nie nazwę jej Drętwiakiem. Co dziwne, chociaż utykam bardziej niż kiedykolwiek, wszystkie dziś nazywają mnie Komuszką. Może pobyt w szpitalu spowodował u nich przyływ szacunku do mnie. Na szczęście żadna nie rozczułała się nad moim losem. Dzięki, opatrności.

Fajnie jest znowu spotkać się z panną Carroll. Nie przeszkadza mi w czytaniu ani pisaniu, ale zawsze ma dla mnie parę miłych słów, kiedy mijam jej biurko. Wcześniej prawie zadomowiłam się w bibliotece, wśród drewna i pięknych regałów, ale teraz, kiedy wróciłam, uderzyło mnie na nowo, jak tu jest wspaniale. Chciałabym mieć taki pokój w swoim domu, pewnego dnia, kiedy będę już dorosłą osobą.

*Wyspa umarłych* jest bardzo dziwna. Uwielbiam pomysł tworzenia światów, obcych bogów, kosmitów i wszystkiego, co tam jest. Co do samej historii – nie jestem pewna, czy mi się podoba.

*Czwartek, 24 stycznia 1980*

Dziś wieczorem idziemy na *Burzę* do teatru Clwyd w Mold. Nikt inny nie ekscytuje się tym tak jak ja, więc staram się sprawiać wrażenie, że i mnie cała ta wyprawa jest obojętna. Deirdre mówi, że nie znosi Szekspira. Widziała *Zimową opowieść* i *Króla Ryszarda II*, kiedy były tu wystawiane, i strasznie jej się nie podobały. Podejrzewam, że aktorzy mogli być kiepscy, bo przecież *Król Ryszard II* powinien być doskonale zagrany, bez tego ani rusz. „Przez Boga, siądźmy, panowie, na ziemi, królewskich śmierci prawmy smutne dzieje...”<sup>58</sup>.

Ta nowa przyjacielskość chyba się utrwaliła. Czyżby przedtem myślały, że symuluję? A może zdarzyło się jeszcze coś innego? Zachowuję się normalnie, jakby nic nie zaszło, chociaż traktuję je chłodno, bo jeśli się z czymś zdradzę, natychmiast wykorzystają to przeciwko mnie.

Czytam *Władcę Pierścieni*, nagle poczułam taką ochotę. Znam go prawie na pamięć, ale nadal potrafię zanurzyć się w nim z głową. Nie znam innej książki, która aż tak sprawia wrażenie, że wyrusza się w podróż. Kiedy ją odkładam, żeby napisać te słowa, wydaje mi się, że jednocześnie czekam wraz z Pippinem na echo obudzone przez kamień wrzucony do studni.

*Piątek, 25 stycznia 1980*

Pierwsze, co było fatalne w inscenizacji *Burzy* w wykonaniu Touring Shakespeare Company, to obsadzenie w roli Prospera kobiety. Grała bardzo dobrze, ale w tej sztuce po prostu nie ma miejsca na matkę. Przez cały czas mamy tu przeciwieństwa – męskość kontra kobiecość. Prospero i Sykoraks, Kaliban i Ariel, Kaliban i Miranda, Ferdynand i Miranda. Chociaż może w ten sposób Prospero i Antonio też wpadają w ten męsko–damski dualizm. Mam wrażenie, że takie obsadzenie roli najbardziej nie pasowało w relacjach Prospera i Mirandy. Nie podobały mi się relacje matki i córki, a przynajmniej Prospero jako kobieta nie mogłaby przy swoim zachowaniu pozostać pełna zrozumienia. Odczytuję Prospera jako chłodnego mężczyznę, który zaopiekuje się maluchem, ale dojrzewająca kobieta jest już dla niego zbyt odległa emocjonalnie. Przy czym wcale nie uważam, że kobiety powinny



ograniczać się do rodzenia dzieci, ale – ciekawe, że to samo, co w przypadku mężczyzny jest wypełnianiem obowiązków, najlepiej, jak się potrafi, w przypadku kobiety uznawane jest za zaniedbanie.

Chociaż Prospero zaniedbywał córkę niezależnie od punktu widzenia. Mógł sobie być najważniejszym na świecie księciem Mediolanu, a i tak nie był dobrym ojcem. Z pewnością potrafię zrozumieć, że wola! spędzać cały czas z książką w bibliotece, zamiast zawracać sobie głowę obowiązkami. Tylko że nie ma absolutnie żadnych przesłanek, że nie robiłby tego nadal, gdyby wrócili do domu. A prawdopodobnie byłoby jeszcze gorzej, bo starałby się nadrobić lekturę wszystkiego, co jego ulubieni autorzy napisali, kiedy on siedział na wyspie. Antonio prawdopodobnie został o wiele lepszym księciem. Pewnie, że był cwany, spiskującym draniem, ale robiłby wszystko, żeby poddani byli z niego zadowoleni, bo to leżało w jego interesie. Lud prawdopodobnie był przerażony, widząc powracającego Prospera, z księgami czy bez.

Bardzo mało z tych przemyśleń zawrę w wypracowaniu na temat przedstawienia. A zdecydowanie nie napiszę, co pomyślałam o wrózkach: były znakomicie przedstawione i zadziwiająco podobne do rzeczywistych.

Ariel nie mówiła, tylko śpiewała swoją rolę. Miała na sobie coś białego, może obcisły trykot, a na tym przejryste tiule, które unosiły się delikatnie, kiedy się ruszała lub gestykulowała. Miała ogoloną głowę, też owiniętą woalem. Kiedy została uwolniona, wszystkie zasłony opadły i po raz pierwszy zobaczyliśmy twarz Ariel, twarz, której wyraz przekonująco oddawał mimikę wrózek. Ciekawe, czy aktorka zna jakieś wróżki? Śpiewanie jest idealnym sposobem pokazania ich przedziwnego sposobu komunikowania się – dobra robota, panie Szekspir, dobra robota, Touring Company. Szekspir musiał znać wróżki, i to prawdopodobnie całkiem dobrze. Robił to, co ja robię: przekładał, co mówiły, na to, co mogłyby powiedzieć.

Kaliban – no cóż, czym jest Kaliban? Kiedy czytałam sztukę, uważałam go za wrózkę, z tych śmierdzących, pokrytych brodawkami i dziwnych. Jednak kiedy zobaczyłam przedstawienie, musiałam się zastanowić. Jego matka, Sykoraks, była czarownicą. Nic nie wiemy o

jego ojcu. Sykoraks w ogóle się nie pojawia. Czy jego ojcem był Prospero? Czy Miranda była jego przyrodnią siostrą? Czy też był już na wyspie, kiedy na niej wylądowali, tak jak sam mówi, i powitał ich, a w zamian został sprowadzony do roli sługi. Chce zgwałcić Mirandę („zaludniłbym wyspę Kalibanami”), ale przez to nie wydaje się ludzki – tak naprawdę ani on, ani jego matka. Mógłby być człowiekiem albo półczłowiekiem, łatwo go bić i dźgać, w przeciwieństwie do wróżek. W przedstawieniu było mnóstwo przemocy i kulenia się. Ilen konkretny Kaliban, podobnie jak Kaliban Petera Lewisa (mam program), był według mnie istotą żyjącą pomiędzy światami i nie wiedział, do którego z nich tak naprawdę należy.

Szekspir musiał znać jakieś wróżki. Wiem, że już pisałam to o Tolkienie – nadal tak o nim myślę. Wydaje mi się, że jest wielu takich ludzi.

Uwielbiam język Szekspira. Wróciłam pijana nim i musiałam prosić Deirdre o powtarzanie wszystkiego, co powiedziała, bo za pierwszym razem nic do mnie nie docierało. Nie wiem, co sobie pomyślała. Rozmawiałyśmy o tym, jak mogło wyglądać życie małżeńskie Mirandy i Ferdynanda, jak odbierała Włochy po wieloletnim pobycie na wyspie. Czy nadal wydawało jej się, że to nowy, wspaniały świat? Deirdre uważa, że owszem, dopóki była zakochana. Czy można sobie wyobrazić, że Miranda stawia czoło całemu światu, jeśli dotąd znała tylko trzy osoby, z czego dwie niezupełnie ludzkie, a trzecią był trzymający się z boku Prospero? Jak dawała sobie radę z modą, służącymi i dworakami! Deirdre uważa, że ze strony Prospera okrucieństwem było, iż nie nauczył jej wszystkiego, co jako wysoko urodzona dama powinna wiedzieć. No, ale może uczenie jej magii byłoby jeszcze większym okrucieństwem.

Prospero iamię laskę i zatapia księgi, bo nie może zabrać magii do domu. Czy gdyby jednak mógł ją zabrać, stałby się taki jak Saruman? Czy władza deprawuje? Zawsze? Byłoby fajnie, gdybym wiedziała coś o ludziach, którzy nie będąc złymi, używali magii. No, jest co prawda Glorfindel, ale nie mam pewności, czy wróżki się liczą. One nie są ludźmi. Inna postać, ciekawie kontrastująca z Prosperem, to Faust.

Dostałam list od Daniela. Píše, że zabiegi akupunktury są

uzgodnione na czwartki i opłacone, że napisał do szkoły, żeby pozwolono mi na nie jeździć. Dołączył dziesięć funtów na bilety kolejowe i lunche. Kiedy je rozmienię, połowę odłożę na mój fundusz ucieczkowo–awaryjny.

*Sobota, 26 stycznia 1980*

Pojechałam do biblioteki, ale Grega tam nie było, tej soboty nie miał dyżuru. Odniosłam wielką górę książek i wzięłam te, które na mnie czekały. Szkoda, że się z kimś nie umówiłam, ale oczywiście nie mogłam, bo nie było mnie tu we wtorek. Miałam nadzieję, że natknę się na Grega i zapytam o temat najbliższego spotkania.

Powędrowałam do księgarni, ale była zamknięta. Z nieba leciała bardzo zniechęcająca mżawka. Siedziałam w kawiarni, jadłam bułeczkę z miodem i czytałam, od czasu do czasu podnosząc wzrok na deszcz za oknem. Mówi się, że to śliczna pogoda dla kaczek, ale krzyżówki na stawie wyglądały na równie nieszczęśliwe jak ludzie. Co prawda kaczory zaczynają już wybarwiać się wiosennie. Może to wiosenny deszcz. Na Martwych Bagnach pewnie byliby uszczęśliwieni, gdyby tam padał. Kupiłam dwie bułeczki – dla siebie i Deirdre – naprawdę nie ma sensu marnować pieniędzy na Sharon, mimo że znów się do mnie odzywa.

Sklepik z używanymi rzeczami był otwarty, przejrzałam książki. Nie znalazłam niczego zachęcającego poza zwijaną mapą Europy (chyba na płótnie), gdzie Niemcy były wielkie i brakowało Czechosłowacji. Przypuszczam, że wydano ją przed wojną albo zaraz po. Ktoś narysował na niej mazakiem różową linię, ale poza tym jest w bardzo dobrym stanie. Kraje oznaczone są pastelowymi kolorami, nie tak jaskrawymi, jak obecnie. Nie mogłam jej się oprzeć, kosztowała tylko pięć pensów. Nie wiem, co z nią zrobię, ale mapy są wspaniałe.

Zawróciłam powoli do miasta, rozejrzałam się po sklepie WH Smitha, co zwykle jest stratą czasu, ale tym razem zostałam nagrodzona egzemplarzem „Isaac Asimov’s Science Fiction Magazine”! Ciekawe, skąd się tam wziął. Mam nadzieję, że następne numery też będą mieli. Kupiłam „Asimov’s”, a także paczkę roladek, którymi z chęcią

podzieliłabym się z Frodem i Samem, gdybym tylko mogła. Pamiętałam też o kartce dla Dziadka; jest na niej morze i zamek z piasku, co budzi wspomnienia o letnich wakacjach.

Na przystanku spotkałam Gili.

– Gdzie zostawiłaś swojego chłopaka? – zapytała.

Spojrzałam jej w oczy.

– Nie powinno to ciebie obchodzić, ale Hugh jest tylko przyjacielem, a nie moim chłopakiem. Znajomym z klubu literackiego.

– O, przepraszam – powiedziała.

Jestem zdumiona, że mi uwierzyła. Dobrze, że nie widziała mnie z Wimem, bo nie mogłabym mówić z takim samym przekonaniem, choć to też byłoby prawdą.

*Niedziela, 27 stycznia 1980*

Żeby zyskać w tej szkole popularność, trzeba pójść do szpitala i wrócić. A może trzeba mieć kogoś, kto rozpowiadałby, jaka jesteś dzielna – wiem, że Deirdre tak o mnie mówiła. Może przedtem nie wierzyły tak do końca, że z moją nogą jest naprawdę źle? Albo się nade mną litowały. Mam nadzieję, że nie. Tak czy siak, dzisiaj dostałam pięć bułeczek, wliczając moją własną, tę z miodem. Dwie lukrowane na wierzchu, dwie z rodzynkami, a do tego jeszcze babeczkę z lukrem i eklerkę. Nie mogłam zjeść wszystkiego, więc oddałam Deirdre jedną bułeczkę z rodzynkami. Niczego nie robiłam, żeby tak się działo, ani magicznego, ani w ogóle. Bardzo to dziwne. Zapytałam o to pannę Carroll. Powiedziała, że prawdopodobnie powodem jest mój pobyt w szpitalu i to, że wróciłam i nie robiłam wokół siebie szumu. A poza tym byłam wspominana we wspólnych modlitwach, a po powrocie nadal jestem w myślach dziewcząt, więc kiedy kupują bułeczki, pamiętają o mnie. Może. I tak uważam, że to dziwne.

Napisałam radosny list do Sama o tym, jaki doskonały miał pomysł z tą akupunkturą. Jeszcze nawet nie zabrałam się do książek, które mi dał, więc o nich nie wspomniałam. Napisałam też do Daniela, głównie o wrażeniach z *Burzy*, i do cioci Teg, o akupunkturze i przedstawieniu. I wysłałam kartkę do Dziadka.

Doszłam do bitwy na Polach Pelennoru; to chyba najlepszy opis walki, jaki kiedykolwiek powstał.

*Poniedziałek, 28 stycznia 1980*

*Aujourd'hui, rien\** ((franc.) – Dzisiaj, nic.)

Tak napisał Ludwik XVI w swoim dzienniku pod datą szturm na Bastylię.

Pomagałam pannie Carroll przy stemplowaniu i układaniu na półkach nowych książek. Wszystkie wyglądały okropnie, były z tych, które opisującą problemy nastolatków – narkotyki, toksyczni rodzice, chłopcy, którzy naciskają na uprawianie seksu, życie w Irlandii. Nie znoszę takich. Po pierwsze, są niemiłosiernie pesymistyczne, choć i tak wiemy, że wszyscy na koniec pokonują problemy i zaczynają dorastać i rozumieć, jak kręci się świat. Nachalny, tani schemat. Przeczytałam około pół tony wiktoriańskich książeczek dla dzieci, bo było ich mnóstwo w domu – Elsie Dinsmore<sup>59</sup>, *Małe kobiety, Eric, or Little by Little*<sup>60</sup>, *Po prostu Katy*<sup>61</sup>. Były napisane przez rozmaitych autorów, ale wszystkie zawierały ten sam typ moralizatorstwa. Dokładnie tak samo pisane są książki o problemach nastolatków, tylko nie w aż tak dosłownym ujęciu i nie tak dziwnie. Jeśli mam dostać książkę o pokonywaniu przeciwności, to poproszę o *Pollyannę*, a nie Judy Blume. Chociaż nigdy nie zrozumieję, po co czytać coś takiego, skoro istnieje na świecie mnóstwo dobrej SF. Nawet z książek pisanych specjalnie dla dzieci można się dowiedzieć o wiele więcej na temat dorastania i problemów etycznych, na przykład takich jak *Space Hostages*<sup>62</sup> albo *Citizen of the Galaxy*.

Napisałam wypracowanie o *Durzy* oraz większą część drugiego, dla Deirdre, żeby mogła je przepisać podczas odrabiania lekcji. Żeby się różniły, dla niej pisałam głównie o Mirandzie, a dla siebie o Prosperze. Ona za to odrabia za mnie matematykę. Nie daję sobie rady z tymi wszystkimi układami równań, tym bardziej że opuściłam kilka lekcji.

Skończyłam *Władcę Pierścieni*, jak zwykle ogarnął mnie wielki smutek, że to tylko trzy tomy.

*Wtorek, 29 stycznia 1980*

Dziś będzie spotkanie klubowe, ale nie znam tematu.

*Sroda, 30 stycznia 1980*

Tematem spotkania była Tiptree! Tak się cieszę, że już wcześniej wiedziałam, że to kobieta, bo inaczej przeżyłabym straszny wstrząs, kiedy wszyscy zaczęliby mówić „ona”. Nie czytałam całej jej twórczości, tylko dwa zbiory opowiadań, i widzę, że muszę to nadrobić. Mimo wszystko nie miałam problemu z udziałem w dyskusji, bo rozmawialiśmy bez końca o *The Girl Who Was Plugged In* – to takie błyskotliwe opowiadanie – i o *Miłość to plan, plan to śmierć*. Oba znam doskonale. Spotkanie prowadziła Harriet, i dobrze, tylko że przypominałam sobie, iż prowadziła również dyskusję o Le Guin. Zastanawiam się, dlaczego oba spotkania prowadzone przez nią były o piszących kobietach, a żadne z tych, które prowadzili mężczyźni, nie?

Keith naprawdę nie lubi Tiptree, uważa, że jej pisarstwo jest skierowane przeciwko mężczyznom i uważał tak nawet wtedy, gdy sądził, że to mężczyzna. *Houston, Houston* uznaje za horror. Ja tak nie myślę, chociaż potrafię zrozumieć, że mężczyźni mogą czuć się zagrożeni.

Wczoraj były urodziny Pete’ a, więc potem wszyscy poszliśmy do pubu. Brian zadał nam zabawne pytanie, które usłyszał w pracy: „Kogo byś wolał spotkać, elfa czy Plutonianina?”. Musiałam się zastanowić, bo pytanie tak naprawdę dotyczy przeszłości i przyszłości albo fantasy i science fiction. Spotykałam mnóstwo elfów, chociaż to nie są tak naprawdę elfy. Nie takie jak u Tolkiena. Powiedziałam, że Plutonianina, i tak odpowiadali wszyscy z wyjątkiem Wima, który powiedział, że elfa, i się przy tym upierał.

Za tydzień Wim będzie prowadził spotkanie o Żelaznym. Oddałam mu obie pożyczone książki, a on dał mi *Bramy w piasku* i *Drogę*.

Zapytał, czy mogę się z nim spotkać w sobotę. Powiedziałam, że owszem. A potem dodałam, że może miałby ochotę spotkać elfa. Wygląda na to, chciałby w to uwierzyć, ale przeszkadza mu racjonalna strona umysłu.

– Gdzie? – spytał.

– Moglibyśmy poszukać w Lesie Kłusowników, więc spotkajmy się w tej małej kawiarni naprzeciwko.

– Ten las należy do Harriet – powiedział. – Hej, Harriet, czy Mori i ja możemy pospacerować po twoim lesie w sobotę?

Harriet przerwała rozmowę z Husseinem i Janine o tym, czy Tiptree była mizoginką, i uniosła brwi.

– Oczywiście, że możecie, Williamie, chociaż o tej porze roku pewnie będzie tam mnóstwo błota. Przypuszczam, że jeszcze za wcześnie na fiołki czy pierwiosniki.

Nie wiedziałam, że pełne imię Wima to William, ale takie zdrobnienie ma sens. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie Will albo Billy?

Tymczasem Janine patrzyła na mnie mniej więcej tak jak Gili, kiedy zobaczyła mnie z Hugh. Ciekawe, dlaczego Wim to zrobił, powiedział to głośno przy wszystkich? Bo mogliśmy wybrać się tam po cichu i nikt by nie wiedział. A jeśli idziemy tam, żeby mógł zobaczyć wróżkę albo przejawy magii, bo przecież o tym myśli, to dlaczego chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli? Przecież nie uwierzą, nawet jeśli im powie. Ludzie zwykle uważają cię za szaleńca lub kłamcę. On też tak może pomyśleć o mnie, jeśli nie zobaczy wróżek. O ile jakieś tam będą. Nie zamierzam, cokolwiek powie, uprawiać magii tylko po to, żeby coś udowodnić. Zresztą istnieniu magii zawsze można zaprzeczyć, jeśli się chce, on też może to zrobić. A może chce, żeby wszyscy wiedzieli, że się z nim dokądś wybieram? Dlaczego? Czy jeśli będą mieli mu za złe, to mnie też? Z całą pewnością dotyczy to Janine.

To takie skomplikowane. Chcę mieć wielu przyjaciół, a nie tylko jednego.

W drodze do samochodu Greg ostrzegł mnie przed Wimem. Nie wdawał się w szczegóły, tak jak Janine i Hugh. Powiedział tylko, że Wim miał dziewczynę, która uznała, że przez niego wpadła w kłopoty, więc powinnam uważać.

– To nie tak. On już ma dziewczynę – wyjaśniłam. – Nie jest mną zainteresowany. To znaczy, mam kontuzjowaną nogę, i wyglądam śmiesznie, i robię się gruba, bo nie mogę ćwiczyć, a jem przez cały czas,

a Wim... cóż... mógłby mieć każdą.

– Masz śliczny uśmiech – powiedział Greg.

Ludzie zawsze tak mówią, to taka automatycznie zaprogramowana odpowiedź na moje „nie jestem ładna”.

– A poza tym jest od ciebie starszy.

– O półtora roku, a nie sześćdziesiąt lat – zauważył Greg.

– Nie jestem ślepy. Powiedziałbym, że jest tobą zainteresowany, a ty nim. Widzę, jak na siebie patrzycie.

Nie mogłam wyjaśnić, że Wim patrzył na mnie w ten sposób, bo myślał, że umiem czytać w umysłach jak w *Umierajcie żyjemy* (skąd mu to przyszło do głowy?) albo że chce iść ze mną do lasu, bo może tam zobaczyć wróżkę.

– Będę ostrożna – zapewniłam Grega.

Dla Wima musi być koszmarem, że każdy, kogo zna, wie o tej historii, a wszyscy nowi znajomi są na wstępie przed nim ostrzegani. O tym mówił Hugh. Nie było go – Hugh – ubiegłego wieczoru. Nie wiem, gdzie się podziewa. Nie widziałam go od wieków.

*Czwartek, 31 stycznia 1980*

Wspaniale jest wyjść ze szkoły w porze lunchu i ruszyć do autobusu. Czuję się jak na wagarach. Noga nawet mi za bardzo nie dokuczała, przez co było jeszcze lepiej, jakbym wszystkich zmyliła. Dwa autobusy jeden po drugim, pociąg i znalazłam się w Shrewsbury, tak po prostu. Pociąg to tak naprawdę rozklekotana podmiejska kolejka, niewiele różni się od autobusu. Większość pasażerów to mieszkańcy Północnej Walii, mówili w ten swój charakterystyczny sposób, kończąc każde pytanie „tak?/nie?” – dokładnie jak w dowcipach, które opowiadają o nich ludzie z Południowej Walii. „Przynieść herbatę z bufetu, tak?/nie?”. „Dojeżdżamy do Shrewsbury, tak?/nie?”. Niepotrzebne skreślić. Nie śmiałam się, ale byłam tego bliska. Trudno się opanować, kiedy ktoś zachowuje się dokładnie tak jak ci, którzy go parodiują.

Z akupunkturą poszło dobrze. Kiedy leżałam na stole, ból ustąpił całkowicie. Było cudownie – nawet lekkiego ćmienia, po prostu nic.



Przez większość mojego życia tak było, ale teraz trudno nawet pamiętać to uczucie. Ból zalewa wszystko. Jak we śnie o baletnicy z laską.

Potem poszłam do kawiarni, gdzie zjadłam pieczonego ziemniaka z sałatką jajeczną, kanapkę z tuńczykiem i majonezem, i podwójnego burgera. Siedziałam przy stoliku odgrodzonym niskimi ściankami, czytałam książkę (*Charisma*, świetna, ale dziwaczna) i czułam się sama, anonimowa i bezpieczna – nie ja jako ja, tylko „osoba z tłumu” albo „uczennica czytająca książkę w kawiarni”, jak podają w końcowych napisach filmu ostatnie nazwiska obsady, które można zastąpić innymi, czego nikt nawet by nie zauważył. Jestem nieistotną częścią otoczenia. Cóż za poczucie bezpieczeństwa!

Potem wróciłam na stację. Po drodze minęłam Owen Owens, gdzie robiłam zakupy z ciotkami. To dom towarowy, nie tylko sklep z odzieżą. Przypomniałam sobie, że jest tam również dział z artykułami piśmiennymi. Wpadłam na chwilę, żeby sprawdzić, czy mają zapasowe stalówki do mojego wiecznego pióra. Problem z pisaniem od prawej do lewej jest taki, że niszczy się przy tym stalówka, to samo mają leworęczni. Więc weszłam i mieli je; kupiłam jedną. Zadowolona popatrzyłam w stronę innych działów i zauważyłam księgarnię.

Owszem, wiem, że niektóre domy towarowe mają działy z książkami, na przykład Harrods. Mój komplet *Władcy Pierścieni* w trzech pięknie wydanych tomach, z dodatkami, został kupiony przez ciocię Teg właśnie tam, kiedy była w Londynie. Howells i David Morgans w Cardiff nie mają jednak takiego działu – pewnie dlatego, że nie mogliby konkurować z Learssem – i nie pomyślałam, że w Owen Owens może być. A przecież był i bardzo się z tego ucieszyłam. A najlepsze, że – ku mojemu wielkiemu zdumieniu – mieli tam nowego Heinleina, *The Number of the Beast* w miękkiej oprawie, wydaną przez NEL w styczniu 1980, absolutna nowość! Kupiłam natychmiast, i nawet nie musiałam naruszyć zapasu odłożonych pieniędzy.

Omam nie zaczęłam czytać od razu w pociągu, ale ćwicząc charakter, nie tylko najpierw skończyłam *Charismę*, ale też rozpoczęłam *Bramy w piasku*. Wspaniałe uczucie, że mam całego, nowego, grubego Heinleina, nietkniętego. To jak jakaś nagroda. Kiedy pomyślę, że leży i na mnie czeka, czuję się lekka i szczęśliwa.

*Piątek, 1 lutego 1980*

Niech to lichy.

Dostałyśmy poważne upomnienie od panny Thackerly za ściąganie na matematyce – Deirdre i ja miałyśmy te same błędy. Zatrzymała nas po lekcji i powiedziała, że tym razem jeszcze o nas nie zamelduje, i nie pyta, która ściągała od której, ale jeśli znowu nas przyłapie, zostaniemy wyrzucone. Nie miałam pojęcia, że to tak poważna sprawa. Dziewczyny cały czas odpisują prace domowe od siebie nawzajem. Deirdre brała ode mnie łacinę mnóstwo razy, a od Claudine wszyscy odpisują francuski. Przypuszczam, że chodzi o to, żeby nie dać się przyłapać. Obiecałam pannie Thackerly, że więcej tego nie zrobimy – Deirdre była we łzach i ledwie mogła mówić. Dla mnie wyrzucenie byłoby niedogodnością, ale dla niej końcem świata.

Dostałam list od Daniela z kolejnym piątakiem. Kiedy będę do niego pisała, wspomnę mu o tym, że znalazłam *The Number of the Beast*. Zaczyna się nieźle.

*Sobota, 2 lutego 1980*

Prawie żałowałam, że mam taką dużą stertę książek z biblioteki, chociaż oczywiście wszystkie chciałam przeczytać i zamówiłam. Greg był na dyżurze i je dla mnie ostemplował.

– Jest nowy Heinlein – powiedziałam mu.

– *The Number of the Beast* – potwierdził. – Jest na samej górze mojej listy pozycji do zamówienia dla biblioteki, gdy tylko nadejdzie kwiecień.

– To bardzo niedobrze, że biblioteki mają taki ograniczony budżet – stwierdziłam.

Parsknął i odebrał książki od kobiety, która stała za mną. Ale czy nie mam racji? Przecież pieniądze z funduszy wydawanych na budowę bomb atomowych, które mogłyby wytłuc wszystkich Rosjan, można by przeznaczyć dla bibliotek. Ile dobrego płynie z posiadania przez Wielką Brytanię własnej tarczy nuklearnej, a ile mogłoby dać powiększenie księgozbiorów? Komuś poprzestawiały się priorytety. Nie jestem

komuchem i nieważne, jak mnie przezywają, ale wydaje mi się, że gdyby można sprawdzić budżety bibliotek w Związku Radzieckim, moglibyśmy się czegoś nauczyć.

Kiedy schodziłam ze wzgórza, słońce świeciło blado. Wydawało mi się, że jeszcze za wcześnie na spotkanie z Wimem, ale był już na miejscu, siedział przy stoliku koło okna, jadł grzankę ze słodkiej bułeczki i popijał kawą. Zawsze wygląda na odprężonego, jakby był u siebie, nieważne, gdzie się akurat znajduje. Nie wiem, jak to robi. Miał na sobie niebieski golf o jeden odcień ciemniejszy niż jego oczy. A ja, niestety, nie mogłam zapomnieć, że jestem, jak zawsze, w szkolnym mundurku. Wyglądał jak student, jak dorosły, tak jak ja chciałabym wyglądać, a tkwiłam tu w tym głupim bezrękawniku, idiotycznym berecie i sprawiałam wrażenie, jakbym miała dwanaście lat. Zamówiłam jak zwykle herbatę i bułeczkę z miodem, i od razu zapłaciłam. Przyznaję się, że pomyślałam o tym, by zamówić coś bardziej wyszukanego, ale oparłam się pokusie.

– Dziwne, że przyszedł – powiedział, kiedy usiadłam.

Wargi miał lśniące od masła z grzania. Miałam ochotę je otrzeć. Skoro już jestem przy wyliczaniu, co chciałabym zrobić, to na pewno dotknąć jego swetra, żeby sprawdzić, czy jest taki miękki, na jaki wygląda. Nieczęsto muszę tłumić takie zachcianki.

– Przecież powiedziałam, że przyjdę – odparłam.

– Myślałem, że Greg opowiedział ci o mnie.

– Więc dlatego chciałeś się ze mną spotkać? A ja się nie domyśliłam, dlaczego zrobiłeś to tak jawnie! – wyrwało mi się, zanim pomyślałam, czy mówienie na ten temat to dobry pomysł.

– Wiedziałaś wcześniej? – spytał. – O Ruthie i całej tej sprawie?

– Janine mi powiedziała, wieki temu. Hugh też, chociaż bardziej neutralnie.

Kelnerka postawiła na stoliku moją herbatę i bułeczkę.

– Hugh to porządny facet – stwierdził Wim, wycierając usta serwetką. – A Janine mnie nienawidzi.

– Greg też mi powiedział, ale bardzo ogólnie.

– To właśnie problem z mieszkaniem w małej miejscowości.

Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich albo przynajmniej tak im się

wydaje. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł to wszystko rzucić. Nie obejrzę się za siebie ani razu.

– Kiedy to będzie? – zapytałam.

– Dopiero gdy zdam egzaminy. W czerwcu, za rok. Wtedy dostanę stypendium i wyjadę na uniwersytet.

– Co będziesz zdawał?

Zaczęłam jeść bułeczkę, ale tylko ugryzłam mały kęs, nie chciałam mówić z pełnymi ustami..

– Fizykę, chemię i historię – odparł. – Nie uwierzysz, ile było z tym zamieszania. To śmieszne, że można studiować tylko trzy przedmioty i trzeba oddzielnie traktować humanistyczne i ścisłe.

– Zmusiłam ich do zmiany planu zajęć, żeby mogła uczyć się jednocześnie chemii i francuskiego do egzaminów najniższego stopnia, będę je zdawała w przyszłym roku. Za każdym razem, kiedy mamy francuski w porze teoretycznie przeznaczony na lunch, nauczycielka zrzuca winę na mnie i przeprosza pozostałe dziewczęta, że narażam je na niewygodę.

Wim pokiwał głową.

– Musiałaś stoczyć niezłą bitwę.

– Ale udało mi się wywalczyć, żeby tak samo zrobili z biologią.

Daniel, mój ojciec, mnie poparł. W końcu to on opłaca szkołę, w pewnym sensie.

– Moi rodzice mają wszystko w nosie.

– Chciałabym, żebyśmy mieli taki system edukacji jak w *Bramach w piasku* – rzekłam. – Oddaję ci, przy okazji. – Wyjęłam książkę spod tych wypożyczonych z biblioteki i podałam mu. Potrzymał ją chwilę, a potem włożył do kieszeni. Fioletowa okładka odbijała się jaskrawo od niebieskiego swetra. – Wiesz, że jest nowy Heinlein? *The Number of the Beast*. Pożyczył sobie pomysł systemu edukacyjnego, według którego studiuje się rozmaite przedmioty, zalicza je i zbiera punkty, a ostateczne zaliczenie zdobywa się, kiedy ma się dostateczną ich liczbę, i można studiować w nieskończoność, jeśli się chce. Ale nigdzie nie wymienił Żelaznego jako autora pomysłu.

Wim się roześmiał.

– Taki system mają w Ameryce – powiedział.

– Naprawdę? – Miałam pełną buzię, ale nie zwracałam na to uwagi. Byłam zawstydzona, że jestem taka głupia, ale jednocześnie podekscytowana, że coś takiego istnieje. – Naprawdę tak mają? Chcę tam studiować!

– Nie da się, finansowo. No, może ty byś mogła, ale ja nigdy w życiu. Każdy semestr kosztuje tysiące. Trzeba być naprawdę bogatym. To ta gorsza strona systemu. Jeśli naprawdę jest się najlepszym, można dostać stypendium, ale jeśli nie, trzeba się zapożyczyć. Kto by mi pożyczył pieniądze?

– Ktokolwiek. Albo jeśli tak jest naprawdę, to może mają u nas filie uniwersytetów, gdzie można by chodzić za darmo.

– Wątpię.

– Wyobraź sobie, że możesz studiować po trochu wszystkiego, co cię interesuje – powiedziałam.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, wyobrażając to sobie.

– Dlaczego czytasz Heinleina? – zapytał. – Nie myślałem, że ci się spodoba. Jest taki faszystowski.

Prawie się zakrztusiłam.

– Faszystowski? Heinlein? O czym ty mówisz?

– Píše tak autorytatywnie. Och, książki dla dzieci są w porządku, ale weź na przykład taką *Kawalerię kosmosu*.

– Weź raczej *Luna to surowa pani* – odparowałam. – Jest o rewolucji skierowanej przeciwko władzom. I weź *Citizen of the Galaxy*. Nie jest faszystą! Broni ludzkiej godności, popiera branie spraw we własne ręce i propaguje takie staroświeckie wartości, jak lojalność i obowiązek, co w tym faszystowskiego?

Wim uniósł rękę.

– Zaczekaj – powiedział. – Nie zamierzałem wtykać kija w mrowisko. Po prostu nie przyszłoby mi do głowy, że jego książki mogłyby ci się podobać, skoro lubisz Delany'ego, Żelaznego i Le Guin.

– Lubię ich wszystkich – zapewniłam, rozczarowana jego podejściem. – Ich twórczość nie wyklucza się nawzajem, o ile wiem.

– Jesteś naprawdę dziwna – stwierdził, odkładając łyżeczkę i wpatrując się we mnie intensywnie. – Bardziej cię obchodzi, co myślę o Heinleinie, niż ta cała historia z Ruthie.

– Oczywiście, że tak – odparłam, i zaraz poczułam się okropnie. – Chciałam powiedzieć, że cokolwiek się zdarzyło z Ruthie, nikt nie twierdzi, że zrobiłeś to specjalnie, żeby ją skrzywdzić. Z tego co wiem, oboje zachowaliście się głupio, ona nawet bardziej. To oczywiście ma znaczenie, ale na litość, Wim, w sensie uniwersalnym Robert A. Heinlein z pewnością jest ważniejszy, jakkolwiek na to spojrzysz.

– Może i tak – przyznał i się roześmiał. Kobieta za kontuarem przyglądała nam się z zainteresowaniem. – Nie myślałem o tym w taki sposób.

Też się roześmiałam. To, o czym myśli ta kobieta, nie ma żadnego znaczenia.

– Z odległości Alfy Centauri, z perspektywy potomności?

– Mogłaby być potomność – powiedział poważnie – gdyby Ruthie była w ciąży.

– Naprawdę rzuciłeś ją, bo myślałeś, że jest? – zapytałam.

Wsunęłam do ust ostatni kęs bułeczki.

– Nie! Rzuciłem ją, bo rozgadała wszystkim, zanim zawiadomiła mnie, i rozeszło się wszędzie, a ja usłyszałem o tym z drugiej ręki. Poszła do Bootsa i kupiła test ciążowy. Powiedziała matce i przyjaciółkom. Mogła równie dobrze kupić megafon i stanąć z nim na placu targowym. A potem okazało się, że wcale nie jest w ciąży. Zerwałem z nią, bo, jak powiedziałaś, była głupia. Głupia! Kompletna idiotka. – Pokręcił głową. – A potem zaczęły się szykany. Zrobiłem się trędowaty. Wszyscy najwyraźniej uważali, że skoro z nią spałem, to powinienem się z nią ożenić, związać na zawsze, chociaż nawet nie było dziecka.

– Dlaczego im tego nie powiedziałaś?

– Komu? Całemu miasteczku? Janine? Raczej nie. Nie słuchaliby mnie. Wydaje im się, że wiedzą, jaki jestem. Niczego nie wiedzą.

Miał zacięty wyraz twarzy.

– Ale teraz masz dziewczynę – wytknęłam mu.

Przewrócił oczami.

– Shirley? Prawdę mówiąc, ją też rzuciłem. Kolejna idiotka, nie taka jak Ruthie, ale niewiele jej brakuje. Pracuje w szkolnej pralni i zamierza to robić, aż uda jej się wyjść za mąż. Gdy zaczęła rozmawiać

ze mną o małżeństwie, rzuciłem ją.

– Idziesz jak burza – stwierdziłam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Byłoby inaczej z dziewczyną, która nie jest idiotką – odparł.

Przyglądał mi się uważnie. Pomyślałam, że może chce przez to powiedzieć, że jest zainteresowany właśnie mną, ale to przecież niemożliwe, nie Wim, nie mną. I bez tego nie mogłam oddychać.

– Chodźmy zobaczyć, czy uda nam się znaleźć jakiegoś elfa – powiedziałam.

Ściągnął brwi.

– Słuchaj, w porządku. Wiem, że powiedziałaś to po prostu dlatego, że... no, zadałem ci bardzo dziwne pytanie, a ty się tym bardzo przejęłaś i...

– Nie, naprawdę – odrzekłam stanowczo. – Nie wiem, czy będziesz mógł je widzieć, bo najpierw musisz w nie uwierzyć, ale wydaje mi się, że jesteś tego bliski. Nie masz przekłutych uszu ani niczego, co by mogło ci w tym przeszkodzić. Tylko obiecaj, że nie będziesz robił sarkastycznych uwag i nie zrazisz się do mnie, jeśli nie uda ci się ich zobaczyć.

– Nie wiem, co o tym myśleć – powiedział i wstał. – Słuchaj, Mori, lubisz mnie trochę, prawda?

– Prawda – odpowiedziałam ostrożnie, nie podnosząc się.

Stał nade mną, a ja nie chciałam pokazać, z jakim trudem wstaję.

– Ja ciebie też, tak jakby.

Przez chwilę poczułam się strasznie szczęśliwa, ale potem przypomniałam sobie o magii, która miała dać mi karass. Oszukiwałam. Sama spowodowałam, że to się zdarzyło. Tak naprawdę mnie nie lubi, to znaczy może lubi, ale tylko dlatego, że magia go do tego zmusiła. Oczywiście to nie znaczy, że sam z siebie nie może mnie lubić... strasznie skomplikowane.

– Chodźmy – powiedziałam i podniosłam się z wysiłkiem.

Włożyłam płaszcz. Wim naciągnął wytartą budrysówkę i wyszedł, a ja za nim.

Z księgarni akurat wychodziła Hinduska z dzieckiem w wózku. Miała na głowie szal, przez co przypomniała mi się Nasreen i

pomyślałam, jak ona się miewa. Poczekaliśmy, aż przejdzie, a potem przecięliśmy ulicę i ruszyliśmy w stronę stawu, po którym goniły się krzyżówki.

– Nie chcesz o tym mówić? – spytał Wim.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Nie chciałam opowiadać mu o magii, którą uprawiałam, żeby mieć karass. Nie potrafiłam zdecydować, czy postąpiłam etycznie, jeśli przypadkiem go zaczarowałam. Czułam się trochę upojona, a trochę przerażona, jakby grawitacja nagle zrobiła się mniejsza albo jakby ktoś zwiększył zawartość tlenu w powietrzu czy coś w tym rodzaju.

– Nigdy nie zauważyłem, żeby zabrakło ci słów.

– Niewielu ludziom udało się zaobserwować takie zjawisko – odparłam.

Roześmiał się i ruszył za mną między drzewa.

– Nie wymyśliłaś tego, no wiesz, o magii?

– Po co bym miała zmyślać? Chodzi o to, że przysięgłam sobie, iż nie będę używała magii w innych celach niż dla ochrony, bo szczególnie trudno jest ogarnąć jej konsekwencje. Zresztą nie bardzo da się ją pokazywać, bo łatwo zaprzeczyć jej istnieniu i oddziaływaniu. Zawsze można powiedzieć, że to, co chciałeś osiągnąć, i tak by się zdarzyło. A jeśli chodzi o... elfy – nie chciałam mówić „wróżki”, bo to brzmiało zbyt dziecinnie – nie każdy może je widzieć, nie przez cały czas. Najpierw musisz uwierzyć, że tam są.

– Nie możesz dać mi jakiegoś amuletu, żebym mógł je zobaczyć? Albo nauczyć mnie ich imion? Wiesz, nie jestem taki, jak ten głupi Thomas Covenant.

– Amulet to dobry pomysł – przyznałam. Wręczyłam mu kamyk, który noszę w kieszeni. Potarł go w zamyśleniu między palcami. – To powinno pomóc. – Tak naprawdę kamyk nie bardzo mógł mu ułatwić zobaczenie wrózek, bo cała magia, jaką w nim zawarłam, miała charakter ochronny, szczególnie przeciwko mojej matce, ale jeśli by pomyślał, że to zadziała, mogło się tak stać. – Nie czytałam książek o Thomasie Covenantie. Widziałam je, ale na okładce porównywali je do Tolkiena, więc zrezygnowałam z lektury.

– Nie jest winą autora to, co wydawcy wypisują na okładkach.



Thomas Covenant to trędowaty, który płacze się po świecie fantasy. Za przeniesienie tam większość z nas dałaby sobie uciąć rękę, a on nie chce uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

– Jeśli Donaldson pisze z punktu widzenia trędowatego w depresji, niewierzącego w istnienie miejsca, w którym się znalazł, to cieszę się, że tego nie czytałam!

Wim się zaśmiał.

– Jest tam paru świetnych olbrzymów. No i to świat fantasy, no, chyba że Covenant jest szalony, tak jak mu się wydaje. My nie zauważymy różnicy.

Byliśmy już głęboko w lesie. Szliśmy po błocie, tak jak Harriet nas uprzedzała. Na drzewach siedziało kilka wrózek.

– Nie wiem, czy będziesz mógł je zobaczyć, ale trzymaj mocno kamyk i spróbuj spojrzeć tutaj – powiedziałam, wskazując miejsce podbródkiem.

Wim bardzo powoli odwrócił głowę. Wróżki zniknęły.

– Przez chwilę wydawało mi się, że coś widzę – powiedział bardzo cicho. – Czy je wystraszyłem?

– Te, które tu mieszkają, rzeczywiście łatwo wystraszyć. Nic chcą ze mną rozmawiać. W Południowej Walii, skąd pochodzę, jest kilka, które znam całkiem dobrze.

– W jakim miejscu najłatwiej je znaleźć? Czy mieszkają na drzewach, jak w Lorien?

Zerkał tu i tam, ale nie widział wrózek ostrożnie wyglądających zza gałązek.

– Lubią miejsca, które należały do ludzi, a potem zostały porzucone – wyjaśniłam. – Na przykład ruiny obrośnięte zielenią. Jest tu coś takiego?

– Chodź za mną.

Ruszyłam za Wimem w dół pochyłości, przez błoto i suche liście. Słońce świeciło, ale było zimno, wilgotno i wiał lodowaty wiatr.

Dotarliśmy do kamiennego muru, sięgającego mniej więcej do ramion, porastał go bluszcz. Idąc wzdłuż, dotarliśmy do załomu, jakby kiedyś stał tu dom, a w osłoniętym zakątku przez warstwę liści przedzierały się przebiśniegi. Była tam też wielka kałuża, którą

okrążyliśmy. Usiedliśmy na niższym kawałku muru. Zauważyłam też wróżkę, tę, którą wcześniej widziałam na trawniku przed domem Janine. Wyglądała jak pies z przezroczystymi skrzydłami. Czekałam przez chwilę w milczeniu. Wim też się nie odzywał. Pojawiło się jeszcze kilka wróżek – rzeczywiście było to dla nich idealne miejsce. Jedna z nich była smukła, piękna i kobieca, inna sękata i krępa.

– Trzymaj kamyk i patrz na kwiaty, i na ich odbicie w wodzie – szepnęłam, chociaż tak naprawdę nie było ważne, czy mówię cicho, czy głośno. – Teraz spójrz na mnie.

Kiedy Wim odwrócił głowę w moją stronę, ujęłam jego twarz w dłonie. Chciałam obudzić w nim pewność. Tak bardzo chciał uwierzyć i zobaczyć elfa. Jego skóra była ciepła i odrobinę szorstka tam, gdzie powinien się ogolić. Od tego dotknięcia brakowało mi tchu.

– On chce was zobaczyć – powiedziałam do wróżek po walijsku. – Nie wyrządzi wam żadnej szkody.

Nie odpowiedziały, ale też nie zniknęły.

– Teraz spójrz w lewo – powiedziałam.

Powoli odwrócił głowę i ją zobaczył, poznałam to po tym, że drgnął. Przyglądała mu się przez chwilę z zainteresowaniem. Zastanawiałam się, czy zaczaruje go i zabierze gdzieś tam, gdzie znikają, jak Tam Lina. Wim wyciągnął rękę w jej stronę, a ona zniknęła. Pozostałe też, jak za naciśnięciem wyłącznika.

– To był elf? – spytał Wim.

– Tak.

– Gdybyś tego nie powiedziała, pomyślałbym, że to duch.

Wyglądał na wstrząśniętego. Miałam ochotę znowu go dotknąć.

– Nie wszystkie wyglądają tak jak ludzie. Mało powiedziane.

Większość bywa jakby... sękata.

– Jak gnomy?

– Coś w tym rodzaju. Chodzi o to, że czytasz o czymś i coś widzisz, niby cały czas mowa o tych samych istotach, ale w innym ujęciu. To, co czytamy, jest uporządkowane, dwory Seelie i Unseelie, gnomy i elfy, ale w życiu tak nie jest. Widuję je przez całe życie i wszystkie są takie same, w takim samym stopniu dobre i złe, niezależnie od tego, czym są i jak wyglądają. Tak naprawdę nie wiem, czym są

naprawdę. Potrafią mówić... w każdym razie te, które znam... ale mówią dziwne rzeczy i wyłącznie po walijsku. Na ogół. W Boże Narodzenie spotkałam jednego, który odezwał się po angielsku. Dał mi tę laskę. – Postukałam nią w błocie. – Nie nazywają siebie elfami, ale nie mają imion. Prawie nie używają rzeczowników. – To wielka ulga, móc z kimś o tym porozmawiać! – Nazywam je wrózkami, bo zawsze tak je nazywałam, ale nie do końca wiem, czym są.

– Nie wiesz, czym są?

– Nie. Myślę, że ludzie opowiadają o nich mnóstwo historii, z których niektóre są prawdą, inne powstały z połączenia z innymi opowieściami, a niektóre są zupełnie poplątane. One same nie opowiadają żadnych historii.

– Ale jeśli nie wiesz, czym są, to równie dobrze mogą być duchami? – zauważył Wim.

– Umarli to zupełnie inna sprawa – odrzekłam.

– Wiesz to? Widywałeś ich?

Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Opowiedziałam mu więc o Halloween, o dębowych liściach i zmarłych wchodzących we wzgórza, no i musiałam mu też opowiedzieć o Mor. Zaczęłam marznąć.

– Jak ona umarła? – pytał.

– Okropnie marznę – powiedziałam. – Możemy wrócić do miasta i napić się czegoś gorącego?

– Nie zobaczę już dziś więcej elfów, czy cokolwiek to jest? Nie rozumiałam, dlaczego nie widzi ich w danym momencie.

– Spójrz ostrożnie tam, koło kałuży – poradziłam. Odwrócił powoli głowę i zobaczył chyba jedną z sękatych, gnomowatych, brzydkich wrózek, które w ogóle nie przypominają ludzi, z wyjątkiem oczu. Zamrugał gwałtownie.

– Widziałeś? – spytałam.

– Tak mi się wydaje. Zobaczyłem jego odbicie. Jeśli tam jest i ty go widzisz, to dlaczego ja nie mogę? Wierzę ci, naprawdę. Przecież tamtego widziałem.

– Nie wiem. Jest tyle rzeczy, których o nich nie wiem. Ja też ich nie widzę, jeśli tego nie chcą.

Wróżka uśmiechała się nieprzyjemnie, jakby rozumiała, o czym

mówimy.

– Chodźmy – ponagliłam Wima. – Jestem przemarznięta. Trudno było mi wstać i zrobić pierwszych kilka kroków.

Siedzenie na murkach jest lepsze dla mojej nogi niż stanie, ale i tak nie za dobre. Wim zaoferował pomoc, lecz tak naprawdę nie można mi pomóc. Położył rękę na moim ramieniu, tym drugim, lewym.

– Mogę przynajmniej ponieść ci torbę? – zapytał.

– Jeśli masz jakąś inną, mógłbyś wziąć książki – powiedziałam. – Ale torbę muszę zatrzymać.

– Chcesz powiedzieć, że torba też jest magiczna? – zdziwił się.

Popatrzyliśmy na nią. Była tak wypchana książkami z biblioteki, że pękała w szwach. Trudno znaleźć coś mniej magicznego.

– Jest jakby częścią mnie – spróbowałam wyjaśnić.

Nie miał innej torby, ale i tak wziął część książek z biblioteki do poniesienia.

– A teraz – powiedział, kiedy wyszliśmy z lasu – chodźmy na prawdziwą kawę, nie tę nędzną neskę.

– Co rozumiesz przez prawdziwą kawę? – spytałam.

– W Marios parzą ją przez filtr. Pachnie, kiedy prażą i mielą ziarna.

– Zapach kawy jest wspaniały – przyznałam. – Ale smak nie.

– Bo nigdy nie próbowałaś prawdziwej kawy – odrzekł. Miał rację. – Poczekaj, zobaczysz.

Marios to jedna z tych kawiarni pod jaskrawymi neonami przy głównej ulicy, gdzie dziewczęta ze szkoły przesiadują ze swoimi chłopakami. Przy stolikach było ich pełno. Weszliśmy i usiedliśmy w głębi, gdzie był wolny mały stolik. Wim zamówił dwie kawy parzone przez filtr. Była tam szafa grająca, z której bardzo głośno leciała *Oliver's Army*<sup>63</sup>. Coś okropnego. Ale przynajmniej było ciepło. Wim położył książki na stoliku, a ja włożyłam je do torby.

– Więc jak ona umarła? – powtórzył pytanie, kiedy już się rozsiadaliśmy.

– To nie jest dobre miejsce – powiedziałam.

– W lesie nie było i tu też nie? – Położył rękę na mojej dłoni, leżącej na blacie stolika. Odetchnęłam głęboko. – Opowiedz mi o tym.

– Miałyśmy wypadek samochodowy. Ale tak naprawdę stało się to przez naszą matkę. Próbowwała coś zrobić, dokonać czegoś za pomocą potężnej magii, żeby zdobyć władzę, może nawet nad światem, tak mi się wydaje. Wróżki o tym wiedziały i powiedziały nam, co robić, żeby temu zapobiec. Usiłowała nas powstrzymać i jednym ze sposobów było użycie iluzji, rozmaitych rzeczy, nieprawdziwych, które pędziły na nas. Musiałyśmy tylko mocno się trzymać. Myślałam, że obie zginiemy, ale powstrzymanie jej było tego warte. Tak powiedziały wróżki, i obie byłyśmy na to przygotowane. Magia wytworzyła mnóstwo rozmaitych iluzji. Kiedy zobaczyłam kolejne światła, wydawało mi się, że to znów coś takiego, ale był to prawdziwy samochód.

– Jezu, co za koszmar dla kierowcy – stwierdził Wim.

– Nie wiem, co on zobaczył lub co pomyślał. Nie miałam możliwości zapytać.

– Ale powstrzymałyście ją? Waszą matkę?

– Owszem. Ale Mor zginęła.

Kelnerka przerwała nam rozmowę, przynosząc dwa czerwone kubki z czarną kawą. Z jednego kawa chlapnęła na spodek, na pakieciki cukru. Wim zapłacił, zanim zdążyłam zaproponować, że ja to zrobię.

– I co się stało potem? – zapytał.

Nie mogłam mu oczywiście opowiadać o tym strasznym okresie po śmierci Mor, o sińcu na jej twarzy, o dniach, kiedy leżała w śpiączce, o chwili, w której nasza matka odłączyła maszynę, i o późniejszym czasie, gdy zaczęłam używać imienia siostry i nikt nie robił żadnych uwag, chociaż jestem pewna, że ciocia Teg wiedziała, a może i Dziadek też. Mogłyśmy być identyczne, ale jednak każda z nas była odrębną osobą.

– Dziadek dostał udaru – powiedziałam, bo chociaż to nie do zniesienia, to jednak w mniejszym stopniu niż... – Ja go znalazłam. Kiedyś mówiło się o czymś takim, że trafiła go strzałka elfów. Nie wiem, czy spowodowała to matka.

Spróbowałam kawy. Była okropna, gorsza nawet od rozpuszczalnej, o ile to możliwe. Jednocześnie rozumiałam, że można się nie tylko przyzwyczaić do jej smaku, ale nawet go polubić, jeśli się naprawdę postarać. Ale czy warto? Ostatecznie nie jest to pożyteczny

napój.

– No to co zamierzasz z nią zrobić? – chciał wiedzieć Wim.

– Nie wydaje mi się, żebym musiała cokolwiek robić.

Powstrzymałyśmy ją. Ostatnią szansę miała w Halloween.

– Przecież twoja siostra nie weszła do wnętrza wzgórza, tak jak powinna. Wciąż jest tutaj. Przecież wasza matka może znów użyć tej samej magii. Musisz zrobić coś, co ją ostatecznie powstrzyma. Zabić ją.

– Myślę, że to byłoby złe – stwierdziłam.

Pozostałe dziewczęta ze szkoły zaczęły wstawać – autobus niedługo przyjedzie.

– Wiem, że jest twoją matką...

– To nie ma nic wspólnego z całą sprawą. Nikt nie potrafiłby jej bardziej zniechęcić niż ja. Ale uważam, że uśmiercenie jej byłoby niedobre. Czuję, że tak by było. Powinnam porozmawiać o tym z wrózkami, może mogłyby jakoś pomóc, ale gdyby istniało jakieś rozwiązanie, myślę, że już by mi o tym powiedziały. Przyjmujesz niewłaściwy punkt widzenia, jakby to była powieść.

– Bo to wszystko jest strasznie dziwne – stwierdził.

– Muszę iść. Autobus mi ucieknie – powiedziałam.

Resztę kawy zostawiłam.

Wim dopił swoją jednym łykiem.

– Kiedy się zobaczymy?

– We wtorek, jak zwykle. Na spotkaniu o Żelaznym.

– Uśmiechnęłam się.

Nie mogłam się już doczekać.

– Jasne, ale tylko my?

– W następną sobotę. – Włożyłam płaszcz. – Tylko wtedy mam czas.

Ruszyliśmy w stronę wyjścia.

– W ogóle nie pozwalają wam wychodzić?

– Nie. Na ogół nie.

– To jak więzienie!

– Owszem, na swój sposób. – Szliśmy w stronę przystanku. – No to do wtorku – rzuciłam, gdy doszliśmy.

Autobus już stał i dziewczęta wsiadały. A potem... nie, muszę to

napisać w nowym akapicie.

A potem Wim mnie pocałował.

*Wtorek, 5 lutego 1980*

Aż do dzisiaj opisywałam to, co zdarzyło się w sobotę.

Nie wiem, czy mi się podoba *The Number of the Beast*. Dużo tam fajnych rzeczy, ale ma strasznie rozwlekłą fabułę i dzieje się wszędzie. Nigdy nie czytałam historii o krainie Oz ani o Lensmenach<sup>64</sup>, nie bardzo wiem, co one robią w tej powieści.

„Mój chłopak” wywołał sensację wśród dziewcząt w autobusie. Wypytywały mnie, gdzie go spotkałam, jaki jest, czym się zajmuje i tak dalej, i tak dalej. Niektóre z nich, te, które były w kawiarni, znały jego reputację i ostrzegały mnie przed nim – siedemnastoletni chłopak uprawiał seks ze swoją dziewczyną, no po prostu koszmar! Co za dziwaczna mieszanka purytyzmu i lubieżności! Te, które chodzą z miejscowymi chłopakami, twierdzą, że to nie na poważnie, a niektóre mają tam, skąd pochodzą, „poważnych chłopaków”. Jane Austen nazwałaby tych ostatnich właściwą partią – chodzi o chłopców z tej samej klasy społecznej, za których mogą wyjść za mąż. Tutaj pospolitują się z miejscowymi, a oni przeważnie wiedzą, o co chodzi. Krótko mówiąc, paskudne zachowanie, one same są obrzydliwe, wszystko to jest plugawe i nie chcę myśleć o Wimie w takim kontekście.

Prawdziwa różnica polega na tym, że ja i on nie należymy do różnych klas społecznych. Oboje jesteśmy z takiej, która za oczywistość uważa studia na uniwersytecie. Nie wiem, czym zajmuje się jego ojciec, ale to, że matka pracuje w szpitalnej kuchni, podczas gdy ja chodzę do dobrej szkoły z internatem, jest bez znaczenia. No, może niezupełnie, w każdym razie nie ma nic do rzeczy. Zresztą nie jestem wcale pewna, czy Wim to mój chłopak, a nawet jeśli tak, nie ma to nic wspólnego z tym, co one określają „na poważnie” albo „nie na poważnie”. Mam dopiero piętnaście lat. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę chciała wyjść za mąż. Nie zabawiam się jak one ani nie czekam na „coś prawdziwego”. To, czego chcę, jest

o wiele bardziej skomplikowane. Pragnę mieć kogoś, z kim będę

mogła rozmawiać o książkach, kto będzie moim przyjacielem, no i jeśli chcielibyśmy uprawiać seks, to czemu nie? (Z użyciem antykoncepcji oczywiście). Nie szukam romansu. Lord Peter i Harriet Vane są dla mnie wystarczająco dobrym przykładem. Ciekawe, czy Wim czytał kryminały Dorothy L. Sayers?

Jednak to też nie ma większego znaczenia, bo pozostaje jeszcze kwestia etycznej strony magii. Prawdopodobnie powinnam mu powiedzieć, co zrobiłam, a wtedy by mnie znienawidził, jak każdy w takiej sytuacji.

Poprosiłam pielęgniarkę, żeby umówiła mnie na wizytę u doktora. Nie pytała po co.

*Środa, 6 lutego 1980*

Wczorajszego wieczoru mieliśmy spotkanie dotyczące twórczości Zelaznego. Wim uważa, że jego styl jest najlepszy na świecie. Brian twierdzi, że dobiy styl jest nieważny w zestawieniu z pomysłami, a te, jego zdaniem, są u Zelaznego dość przeciętne poza pojęciem Cieni. Zabawne, jak ludzie różnie odbierają jego twórczość. Sądzę, że gdybyśmy głosowali na to, co się liczy – dobry styl czy pomysł, podział byłby zupełnie inny niż przy pytaniu, czy Zelazny miewa ciekawe pomysły. Ja uważam, że tak, i że obie te rzeczy mają znaczenie. Chociaż nie można powiedzieć, że Fundacja jest kiepska, bo napisana w nieszczególnym stylu, ani że Clarke słabo pisze. Zelazny potrafi pójść w styl i zaniedbać treść – nie zapomnę *Stworów światła i ciemności*, które prawie mnie do niego zniechęciły. Przeważnie jednak zachowuje równowagę między jednym a drugim.

Rozmawialiśmy o Amberze i zgadywaliśmy, co się tam może jeszcze zdarzyć, i o dowcipnej ironii, jakiej Zelazny używa w tym cyklu, w *Wyspie umarłych* i w *Ja, nieśmiertelny*, no i czy to jest science fiction, czy może jednak fantasy. Hugh uważa powieści o Amberze i *Wyspę umarłych* za fantasy, bo pomimo obcych i temu podobnych ich światy przedstawione zostały za pomocą terminów związanych z magią.

– Potępiasz go, bo pisze poetycko? – oburzył się Wim.

– Określenie czegoś jako fantasy to nie potępienie – zauważyła



Harriet.

Talc więc to było ciekawe spotkanie. Po jego zakończeniu Wim zapytał Grega, czy ma ostatni numer czasopisma „Ansible”.

Tak, istnieje pismo, fanzin, które nazywa się „Ansible”! Zawiera informacje o tym, co dzieje się w świecie fanów SF, jest zabawne. Sama nadałabym pismu taki tytuł, uwielbiam jego twórcę, Dave’a Langforda, chociaż na oczy go nie widziałam. Ansible są z *Wydzieńczonych*, to urządzenia do komunikacji szybszej niż światło. Wspaniale dobrany tytuł. W egzemplarzu Grega były wszystkie dane dotyczące Albaconu w Glasgow, który odbędzie się w Wielkanoc, spisałam je sobie. Teraz muszę tylko przy najbliższej okazji, pewnie pod koniec semestru, czyli w przyszłym tygodniu, wyciągnąć pieniądze od Daniela i je wysłać.

Kiedy wychodziliśmy z biblioteki, Wim trzymał mnie za rękę.

– Jesteś pewna, że nie możemy się zobaczyć przed sobotą? – spytał. – Będziesz przez cały czas zamknięta w szkole?

– No tak, poza tym że w czwartek po południu jadę do Shrewsbury na akupunkturę – powiedziałam.

– O której godzinie?

– Pociągiem o wpół do drugiej. Przecież o tej porze pracujesz?

– Pracuję rano, a popołudniami jeżdżę do college’u – powiedział. – Dzięki temu mogłem odwiedzić cię w szpitalu, pamiętasz? Mogę zerwać się jutro po południu, jeśli zechcę. Nikogo to nie obchodzi.

„Zerwać się” to znaczy „opuścić zajęcia”, tak tutaj mówią. Kiedy pierwszy raz to usłyszałam, nie wiedziałam, co to znaczy.

– Ciebie owszem, kiedy będziesz miał egzaminy – zauważyłam.

– Nic mi to nie zaszkodzi. Spotkamy się na stacji w Gobowen, dobrze?

Greg odwiózł mnie jak zwykle do szkoły.

– Więc miałem rację – powiedział.

Zaczerwieniłam się. W ciemności raczej tego nie zauważył.

– Tak jakby – przyznałam.

– No cóż, powodzenia.

– Dobrego odrzutu – poprawiłam go.

Roześmiał się.

– Zawsze mówiłem, że Wim potrzebuje dziewczyny, która

cytowałaby mu Heinleina.

Zawsze tak mówił? Czy tylko myśli, że tak mówił, bo użyłam magii w sprawie karassu? Greg istniał, zanim to zrobiłam.

Wiem to na pewno, bo spotkałam go w bibliotece. Tyle że wtedy nie mówił do mnie nic poza tym, że pierwszego dnia nie chciał mnie przyjąć, a potem brał ode mnie formularze wypożyczania międzybibliotecznego. Czy klub literacki i fanklub SF istniały przez cały czas, czy pojawiły się, kiedy użyłam magii? Czy istniał „Ansible”? Wiem, że oni uważają, że był. Konwenty odbywają się od 1939 roku, no i z całą pewnością istniała science fiction. Kiedy chodzi o magię, nie da się niczego udowodnić.

Zamierzam powiedzieć Wimowi. To jedyna możliwość, żeby postępować etycznie.

*Czwartek, 7 lutego 1980*

W tym tygodniu wyruszyłam ze szkoły, mając jeszcze wyraźniejsze poczucie, że wagaruję, chociaż padała obrzydliwa mżawka, z takich, co to wciskają się w każdy zakamarek. Gdybym miała przy sobie własne ubranie, mogłabym się przebrać przed wyjściem, no ale nie mam i nie mogłam. Arlinghurst życzy sobie, żeby ich uczennice można było rozpoznać zawsze i wszędzie. Gdyby mogli zmusić nas do noszenia mundurków w wakacje i ferie, zrobiliby to. Przynajmniej płaszcz jest dobrego gatunku, a beret wygląda okropnie, ale nie najgorzej chroni przed deszczem.

Wim czekał na mnie na stacji w Gobowen. Nie jest to porządna stacja, taka z budynkiem, tylko coś w rodzaju wiaty autobusowej, która stoi za barierką z automatem do sprzedaży biletów. Siedział pod wiatą, z nogami opartymi o szklaną ściankę, złożony jak spinacz do papieru. Jego rower przypięty był łańcuchem do barierki i mókł na deszczu. Obok niego siedziała gruba kobieta z dzieckiem, a dalej łysy mężczyzna z teczką, oboje w płaszczach przeciwdeszczowych. Wim miał na sobie tę samą budrysówkę co przedtem. Przy nim pozostali ludzie wyglądali jak na czarno-białym filmie, podczas gdy on był w kolorze. W pierwszej chwili nie zauważył mnie, a potem łysy mężczyzna chciał mi ustąpić

miejsca, a wtedy i Wim mnie spostrzegł, uśmiechnął się i wstał. Zabawne, jak nieśmiało się zachowywaliśmy wobec siebie. Byliśmy sami po raz pierwszy od soboty. No, nie tak zupełnie sami, ale tamci ludzie się nie liczyli. Nie wiedziałam, jak się zachować, a on, jeśli wiedział – a powinien, miał przecież sporą praktykę – to nie było tego po nim widać.

Nadjechał pociąg, pasażerowie wysiedli, a my wsiedliśmy. Były tylko dwa wagony, znów pełne ludzi z Północnej Walii ze śpiewną wymową i tymi pytaniami „tak?/nie?”. Udało nam się znaleźć dwa miejsca obok siebie, bo jakaś miła pani na naszą prośbę się przesiadła. Nie mogliśmy rozmawiać o niczym ważnym, bo siedziała naprzeciwko, a obok niej zatroskany młody mężczyzna, trzymający na kolanach kota w przenośnej klatce. Kot miauczał, a jego pan próbował go uspokajać. To okropne, kiedy się musi wieźć zwierzę do weterynarza pociągiem. A może się przeprowadzał? Ale bagażu poza kotem nie miał. Albo może, co najgorsze, musiał oddać kota, i wiozł go do nowego domu. Chociaż gdyby tak było, sam by pewnie też płakał. Co zabawne, Wim w ogóle nie zauważył faceta z kotem. Kiedy powiedziałam coś o nich, gdy już szliśmy po peronie w Shrewsbury, nie wiedział, o czym mówię.

Nie wydaje mi się, żeby Wim często jeździł do Shrewsbury, mimo że to dość blisko. Nie wiedział, gdzie co jest. Nie miał pojęcia, że w Owen Owens jest księgarnia. Musiałam najpierw iść na akupunkturę, więc zostawiłam go w kawiarni, takiej z błyszczącym od chromu i szkła barem, ponieważ odmówił siedzenia w tej, w której byłam tydzień wcześniej, bo nie podawali tam prawdziwej kawy. Przed naszym spotkaniem w sobotę nie wiedziałam nawet, że istnieją inne rodzaje kawy niż Nescafe i może jeszcze Maxwell House (choć to właściwie to samo) – na przykład kawa w granulach, którą zalewa się gorącą wodą i miesza. Trochę śmieszne jest robienie szumu z powodu napoju.

Akupunktura znowu poszła bardzo dobrze. Facet od igieł powiedział, że zawieszenie mnie na wyciągu mogło być działaniem zbyt agresywnym i raczej niezbyt mądrym. Ja bym użyła znacznie mocniejszych określeń niż „niezbyt mądrym”, no ale to pewnie dlatego, że chodzi o moją własną nogę, a on zapewne myśli o niej jako o jednej z wielu nóg, z którymi ma do czynienia. W trakcie zabiegu przez cały czas

patrzyłam na mapę na suficie, ucząc się na pamięć rozmieszczenia punktów akupunkturowych i na co wpływają. To może być całkiem pożyteczna wiedza. Samo przyciskanie ich może pomóc. Czuję magię, kiedy igły tkwią we mnie, *chi* krąży gładko w moim ciele z przerwą tylko tam, gdzie zwykle tkwi ból. Zamierzam spróbować bez igieł, zobaczę, czy uda mi się go usunąć. Najłatwiej byłoby przesączyć go w coś, w kamień czy kawałek metalu, ale wtedy każdy, kto by wziął ten przedmiot do ręki, przyjąłby cały ładunek w siebie. Akupunktura odprowadza go i rozprasza po świecie, do jakiego stopnia potrafię to stwierdzić. Fajna sztuczka, jeśli tylko potrafi się ją wykonać.

Po wszystkim wróciłam – schodziłam po schodach szybciej, niż po nich weszłam! – do Wima. Usiadłam naprzeciwko niego. Ekspres do kawy wypuścił kłęb aromatycznej pary.

– Chodźmy gdzieś indziej – zaproponował Wim. – Mam dość tego miejsca.

Kiedy już stamtąd wyszliśmy, wyraźnie się ożywił. Trzymał mnie za rękę, co było miłe, chociaż byłoby fajniej, gdybym mogła mieć jedną rękę wolną. Poszliśmy do działu z książkami, gdzie niczego nie znalazłam, ale przyjemnie było pokazywać sobie nawzajem tę czy inną książkę. On więcej przebiera i lubi niektóre rzeczy, które mi się nie podobają, na przykład Dicka. Nie znosi Nivena (!) i nie przepada za Piperem. (Jak ktokolwiek może nie uwielbiać H. Beama Pipera?). Nigdy nie czytał Zenny Henderson i oczywiście jej nie mieli. Pożyczę dla niego od Daniela.

Po tym wszystkim uparłam się, że zafunduję mu lunch, chociaż było już późne popołudnie. Okropnie zgłodniałam. Znaleźliśmy lokal z rybą i frytkami, gdzie można było usiąść przy stoliku, więc usiedliśmy tam i jedliśmy rybę, frytki, biały chleb z masłem, ja piłam beznadziejną herbatę, którą parzyli tak długo, że zrobiła się ciemnopomarańczowa, a Wim wziął sobie Vimto<sup>65</sup>, o którym powiedział, że nie pił go od czasu, kiedy miał osiem lat. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Przesunął palcem po wierzchu mojej dłoni, co było jeszcze miłsze niż trzymanie się za rękę, a znacznie wygodniejsze. Poczułam wewnętrzne drżenie.

Lokal nie był zatłoczony, więc po jedzeniu zamówiliśmy jeszcze jedno Vimto i lemoniadę – herbata była zbyt paskudna nawet na to, żeby

udawać, że ją piję. Siedzieliśmy w ciepłym i suchym miejscu, a nasze płaszcze wiszące na oparciach krzeseł odrobinę parowały.

Rozmawialiśmy o Tolkienie. Wim porównywał go z Donaldsonem i czymś o tytule *Miecz Shannary*, czego nie czytałam, ale wygląda mi to na śmiecia i naśladownictwo. A potem stopniowo doszliśmy do elfów.

– To mogły być duchy – uznał Wim.

– Umarli nie mogą mówić – sprzeciwiłam się. – Mor nie mogła, kiedy ją ostatnio widziałam.

Udało mi się wymówić jej imię całkiem zwyczajnie, bez drżenia głosu.

– Może tak jest niedługo po śmierci. Myślałem o tym. Zaraz po opuszczeniu tego świata nie mogą mówić i wyglądają jak za życia. Można ich zmusić do mówienia, używając krwi, jak u Wergiliusza, sama tak powiedziałaś. Później czerpią siłę od żywych istot, zwierząt i roślin, i robią się podobni do nich, a mniej do ludzi, i wtedy mogą mówić, dzięki tej sile życiowej.

– Mówią, ale nie tak jak ludzie, nawet martwi – sprostowałam. – To, co wymyśliłeś, ma sens i idealnie pasowałoby do opowieści, ale nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak jest.

– To by wyjaśniało, dlaczego lubią przebywać w pobliżu ruin – odrzekł. – Wróciłem tam w sobotę. Widziałem je, tak jakby, kątem oka, kiedy dotykałem twojego kamyka.

Mówiąc to, położył rękę na kieszeni. Spodobała mi się myśl, że nosi przy sobie coś, co tak długo należało do mnie.

– Powinieneś móc je widzieć – powiedziałam. – Jest ich pełno, wszędzie.

– To są duchy – upierał się. – Tylko uważasz je za wróżki.

– Nie wiem, czym są, i nie wiem, czy to ma naprawdę takie wielkie znaczenie.

– Nie chcesz się dowiedzieć? – zapytał z błyszczącymi oczami.

Ożywił go duch science fiction.

– Owszem – przyznałam niezbyt szczerze. Są, czym są, i tyle.

– A jak uważasz, z czym są związane?

– Z miejscami – odpowiedziałam zdecydowanie. – Nie wędrują zbyt dużo. Glor... mój przyjaciel zrobił coś magicznego, żeby

sprowadzić mnie do Południowej Walii w Halloween, zamiast przyjść tutaj i ze mną porozmawiać.

– To tak jak duchy, które snują się po miejscu swojej śmierci albo pochodzenia.

Pokręciłam głową.

– Nauczysz mnie magii? – zapytał po chwili.

Drgnęłam.

– Naprawdę uważam, że to kiepski pomysł.

– Dlaczego?

– Bo to bardzo niebezpieczne. Jeśli nie wiesz, co robisz... i nie mam na myśli akurat ciebie, tylko tak ogólnie, każdego, kto nie ma wystarczającej wiedzy, trudno działać coś, co by nie miało bardzo dużego zasięgu, a nie będziesz tak do końca wiedział, na co miałeś wpływ. – Był to idealny moment, żeby mu opowiedzieć o moim zaklęciu na zdobycie karassu, ale nie miałam na to ochoty. – To jak talent George'a Orra w *Jesteśmy snem*, tylko chodzi o magię, a nie o sny.

– Zrobiłaś już coś takiego? – zapytał.

Musiałam mu więc wszystko opowiedzieć.

– Nie spodoba ci się to. Czułam się bardzo samotna i zdesperowana. Stworzyłam czar ochronny przeciwko mojej matce, bo cały czas nasyłała na mnie koszmarne sny. I skoro już zajmowałam się magią, dołożyłam czar, żeby magia pozwoliła mi znaleźć własny karass.

Patrzył, nic nie rozumiejąc.

– Co to jest karass?

– Nie czytałeś Vonneguta? Wydaje mi się, że ci się spodoba.

Zacznij od *Kociej kołyski*. Tak czy inaczej, karass to grupa ludzi naprawdę ze sobą związanych. Przeciwnieństwem jest granfalloon, grupa, która ma fałszywe powiązania, jak wspólne chodzenie do szkoły.

Zrobiłam czar, żeby znaleźć przyjaciół.

Wim cofnął się, o mało nie przewracając krzesła.

– I myślisz, że to zadziałało?

– Następnego dnia Greg zaprosił mnie do klubu.

Milczałam, pozwalając mu dojść do własnych wniosków.

– Ale przecież spotykaliśmy się już od miesięcy. Ty tylko nas...

znalazłaś.

– Mam taką nadzieję – odparłam. – Jednak wcześniej nic nie wiedziałam o klubie. Nigdy nie natrafiłam na coś, co wskazywałaby na jego istnienie ani na istnienie fandomu.

Przyglądałam mu się. Był stworzeniem rzadszym niż jednorożec, pięknym chłopcem w koszuli w czerwoną kratę, który czytał, myślał i rozmawiał o książkach. Do jakiego stopnia moja magia wpłynęła na jego życie i uczyniła go tym, kim jest? Czy przynajmniej istniał wcześniej? Może nie był człowiekiem? Nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć. Jest teraz, i ja też, i tyle.

– Byłem tam przecież – tłumaczył. – Chodziłem do klubu, wiedziałem, że istnieje. Zeszłego lata pojechałem na Seacon do Brighton.

– *Er' perrehnne* – powiedziałam, chociaż wymowę tylko zgadywałam.

Przywykłam, że ludzie się mnie boją, ale nie podoba mi się to. Nie sądzę, żeby nawet Tyberiusz tak naprawdę to lubił. Jednak po okropnej chwili wyraz twarzy Wima złagodniał.

– Czar musiał po prostu znaleźć nas dla ciebie. Nie mogłaś zmienić aż tak dużo – odparł i opróżnił buteleczkę Vimto.

– Chciałam ci o tym powiedzieć, bo istnieje kwestia etyczna: czy lubisz mnie z powodu tego, co zrobiłam, czy całkiem zwyczajnie. – Pragnęłam, żeby sprawa była zupełnie jasna.

Roześmiał się trochę niepewnie.

– Będę musiał to przemyśleć – odrzekł.

Szliśmy mokrymi ulicami, nie trzymając się za ręce. Jednak w pociągu, który teraz był prawie pusty, siedzieliśmy obok siebie i stykaliśmy się ramionami a po chwili Wim mnie objął.

– Mam dużo do przetrawienia – powiedział. – Zawsze chciałem żyć w świecie, w którym istnieje magia.

– Wołałabym statki kosmiczne. Albo gdyby to już musiała być magia, to nie taka zagmatwana i pokręcona, niechby miała łatwe do ogarnięcia zasady, jak w książkach.

– Porozmawiajmy o czymś normalnym – zaproponował.

– Na przykład: dlaczego masz takie krótkie włosy? Podobają mi

się, ale to raczej niezwykle.

– To nie jest normalne – przyznałam. – Miałyśmy długie warkocze. Babcia nam je zaplatała, a po jej śmierci pomagałyśmy sobie nawzajem. Kiedy Mor zginęła, nie mogłam sobie dać rady z nimi i w napadzie czegoś, co można chyba nazwać wściekłą rozpaczą, obciąłam je nożyczkami. Były po tym strasznie nierówne i moja przyjaciółka Moira próbowała je wyrównać, obcinając po trochu z każdej strony, aż prawie nic nie zostało. Od tamtej pory mam krótkie włosy. Dopiero od niedawna są wszędzie równej długości. Przedtem były bardzo postrzępione.

– Biedactwo – powiedział i uściskał mnie.

– A dlaczego ty nosisz długie włosy? To znaczy jak na mężczyznę.

– Po prostu tak lubię – odrzekł, dotykając ich z zażenowaniem.

Miał włosy koloru miodu, a przynajmniej bułeczek z miodem.

W Gobowen odpiął rower z łańcucha.

– To do soboty – powiedział.

– W tej małej kawiarni przy księgarni? – spytałam.

– W Marios, żebyś mógł się napić przyzwoitej kawy.

Wydaje mi się, że dla Wima ważne jest, żeby pokazywać się ze mną publicznie. Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z tamtą historią z Ruthie i byciem pariasem.

Zanim wsiadłam do autobusu, pocałowaliśmy się. Poczułam prąd przenikający mnie aż do palców u nóg. To też w pewien sposób magia, podobnie jak *chi*.

*Piątek, 8 lutego 1980*

*Aujourd'hui, rien.*

Dziś podczas lunchu dziewczyny zadawały sobie nawzajem zagadki. Zadałam pytanie, kogo chciałyby spotkać, elfa czy Plutonianina. Deirdre nie wiedziała, kto to jest Plutonianin.

– To taki obcy z planety Pluton – wyjaśniłam. – Coś jak Marsjanin, tylko jeszcze bardziej obcy.

– Wobec tego elfa – oznajmiła. – A ty, Morwenno? Kim byś chciała być?



To typowe dla Deirdre, pomylić „spotkać” z „być”, ale w ten sposób pytanie stało się większym wyzwaniem. „Kogo chciałbyś spotkać” mówi o zderzeniu poglądów, przeszłości i teraźniejszości, fantasy i science fiction. „Kim chciałbyś być”... Zaraz myślę o opowiadaniu Tiptree *And I Awoke and Found Me Here on the Cold Hill's Side*, w którym mowa o jednym i drugim.

Wizytę u doktora mam w poniedziałek.

*Sobota, 9 lutego 1980*

Wydaje się, że Wim z zasady zawsze pojawia się wcześniej, poza przypadkiem, kiedy złapał gumę i spóźnił się do klubu, gdy byłam tam pierwszy raz. Czekał już na mnie w Marios i nawet zamówił mi kawę.

Przejrzał książki, które wypożyczyłam z biblioteki, wydając pomruki, które mogły oznaczać aprobatę lub dezaprobatę. Przyszedł *Perski chłopiec* Mary Renault, więc chciał wiedzieć, co takiego widzę w powieściach historycznych, a kiedy mu powiedziałam, że już czytałam tę książkę, spytał, co mi daje czytanie po raz drugi. W kawiarni było kilka dziewcząt, które znam, z miejscowymi chłopakami, była też Karen i cały czas zerkalała na nas z kpiącym uśmieszkiem.

– Moglibyśmy pójść gdzie indziej? – zapytałam po dłuższej chwili, gdy Wim dopił kawę.

– Dokąd? – zdziwił się. – Tu nie ma dokąd pójść. Chyba że chcesz znów iść na poszukiwanie duchów?

– Nie mam nic przeciwko temu, jeśli ty nie masz.

Akurat wtedy Karen podeszła do naszego stolika.

– Chodź ze mną do toalety, Komuszko – powiedziała.

Wim uniósł brew, słysząc to przezwisko, ale ja przyjąłem z ulgą, że nie nazwała mnie przy nim Połamańcem albo Hopalongiem.

– Nie teraz – odparłam.

– Nie, no chodź – upierała się Karen, robiąc miny. Położyła mi rękę na ramieniu i dość mocno uszczypnęła.

– Chodź.

Łatwiej pójść niż zrobić scenę. Karen nie była raczej moją przyjaciółką, ale dla Sharon i Deirdre owszem. Westchnęłam i poszłam

za nią. Toaletę pomalowano na czerwono, nad lustrem wisiał rząd jaskrawych, niczym nieosłoniętych żarówek. Karen sprawdziła swój makijaż – chociaż malowanie się było w soboty zakazane jak w każdy inny dzień, miała na twarzy istną tapetę.

– Craig, mój chłopak, twierdzi, że zeszłego wieczoru widział twojego chłopaka z inną dziewczyną na dyskotecę. Z Shirley, która pracuje w szkolnej pralni.

– Dziękuję – powiedziałam. – Ja raczej nie mogłabym z nim pójść na tańce, prawda?

– Nie obchodzi cię to? – zdziwiła się.

Oczywiście, że mnie to obeszło, ale nie zamierzałam dać tego po sobie poznać. Uśmiechnęłam się, pchnęłam drzwi i wróciłam do stolika.

Wim nadal tam siedział, chociaż przez chwilę zwątpiłam, czy go jeszcze zastanę. Usiadłam i wzięłam go za rękę, bo wiedziałam, że Karen nas obserwuje.

– Chodźmy – szepnęłam.

– Co ci powiedziała? – zapytał.

– Wiesz lepiej niż ja, że w tym miasteczku każdy wie wszystko o tym, co robi reszta – odparłam.

Wstałam i włożyłam płaszcz.

Spowaźniał, ale jednocześnie wyglądał, jakby coś rozważał.

– Mori, ja...

– Chodź – ponagliłam go.

Nie zamierzałam z nim dyskutować o tym akurat tutaj, przed nazbyt uważną publicznością.

– Jak niby mamy ze sobą chodzić, jeśli widuję cię tylko w klubie i w sobotnie popołudnia, ewentualnie przez jakieś dwie godziny w czwartki, jeśli poczekam na ciebie w Shrewsbury? – zapytał wojowniczo, gdy szliśmy pod górę, mijając sklep WHSmitha i BHS. – Nawet nie możesz iść ze mną na żadną imprezę.

– Rozumiem to. Nic nie poradzę, że przez większość czasu jestem zamknięta w szkole. Możliwe, że nic z tego nie będzie.

– Zerwiesz ze mną, dlatego że poszedłem potańczyć z Shirley?

Spojrzał na mnie pytająco.

– Raczej dlatego, że nie chcę być upokarzana z tego powodu, a nie

że to zrobiłaś. Przecież nawet gdybym nie siedziała zamknięta w szkole, nie mogłabym pójść potańczyć.

– Nie o to chodzi – powiedział pospiesznie. – Nie zależy mi aż tak bardzo na tańcach, to tylko jeden z rodzajów rozrywki.

– Na Shirley też ci nie zależy, to tylko spotkanie towarzyskie? – zapytałam trochę złośliwie.

– Mógłbym zerwać z tobą, bo rzadko cię widuję i to zbyt kłopotliwe – stwierdził jakby w zadumie.

Doszliśmy do rogu przy Thorntonie, skąd musielibyśmy ruszyć w dół, gdybyśmy chcieli iść do księgarni i Lasu Kłusowników.

– Czy to miało mieć jakiś sens? – spytałam, wkurzona. Chłopcy są dziwni.

– Czy zgodzisz się, że moglibyśmy zerwać natychmiast, na tym rogu, i nigdy więcej nie odezwać się jedno do drugiego?

Wiatr zwiewał mu włosy do tyłu. Nigdy wcześniej nie wyglądał tak fantastycznie.

– Tak! – rzuciłam.

Mogłam to sobie wyobrazić: na spotkaniu klubowym wymienialibyśmy tylko uwagi o książkach i nawet nie musielibyśmy na siebie patrzeć.

– No to w porządku. Jeśli możemy zerwać teraz, natychmiast, to cała ta magia, którą wykonałaś, nie sprawiła, żeby naszym przeznaczeniem było pozostać razem – oznajmił.

– Co? – i wtedy załapałam. – Och.

Uśmiechnął się szeroko.

– No to skoro nie jesteśmy razem, dlatego że zmusza nas do tego magia, wszystko jest w porządku.

Było to najdziwaczniejsze odwrócenie kota ogonem, jakie w życiu widziałam.

– Więc co, zrobiłaś naukowy eksperyment? Po to poszedłaś z Shirley do dyskoteki?

Przynajmniej postarał się wyglądać na trochę zażenowanego.

– Coś w tym rodzaju. Nienawidzę, kiedy coś mnie zmusza do robienia różnych rzeczy. Nienawidzę też pojęć w rodzaju „jedyna prawdziwa miłość” i „znajdowanie tej właściwej”, no i wiesz, kiedy coś

mnie wiąże na siłę, małżeństwo, czy magia, czy...

– Wim, przyznałam się, że trochę cię lubię. Powiedziałam tak, kiedy zapytałeś mnie wprost. Nie mówiłam i nigdy bym nie mówiła o przeznaczeniu, prawdziwej miłości, małżeństwie, byciu szczęśliwymi do końca swoich dni i tym podobnych bzdurach. Nie tego szukam, nie tego chcę. Pragnę przyjaźni, a nie cholernej prawdziwej miłości. Nie zamierzam wychodzić za mąż, a nawet gdyby to jednak miało się kiedyś zdarzyć, to z całą pewnością upłynie jeszcze wiele, wiele lat.

– Chodzi o ciebie – powiedział i ruszył w dół wzgórza, więc musiałam pójść z nim. – Nie o magię. Lubię cię, naprawdę. Pomyślałem, że gdybyśmy mogli zerwać, i ty byś się zgodziła, że możemy, to nie byłby to efekt magii, a wtedy okaże się, że wszystko jest w porządku.

– A więc nie chcesz ze mną zrywać?

– Chyba że ty chcesz.

O magii wiem coś, czego on nie wie: jest podstępna, i łatwiej nakłaniać ludzi do robienia czegoś, na co i tak mają ochotę. Moglibyśmy coś udowodnić, tylko naprawdę ze sobą zrywając, a nie dlatego, że uznaliśmy, że teoretycznie moglibyśmy to zrobić. Tylko że... Nie chciałam tego.

– Nie chcę – rzekłam.

– Co jej powiedziałaś?

– Komu?

– No, tej małej pannie Hitlerównie w kawiarni.

Parsknęłam.

– Na imię ma Karen. Powiedziałam, że ja raczej nie mogłabym pójść do dyskoteki, a potem po prostu się uśmiechnęłam. Nie chciałam dać jej satysfakcji.

Zbliżyliśmy się do księgarni. Znowu przystanął.

– To uśmiechaj się nadal. Nie będę spotykał się z Shirley.

– Nie przeszkadza mi to, jeśli o tym wiem. – Tak myślę.

Teorię miałam opanowaną, wprost z Heinleina, nie byłam tylko pewna, jak będzie w praktyce.

– Jest idiotką – stwierdził, co było krzepiące. Miło, kiedy ktoś docenia nasze zalety.

Przeszliśmy przez ulicę do Lasu Kłusowników i powędrowaliśmy

w stronę rozpadających się murów. Przebiśniegi przekwitły. Spod ziemi wysuwały się pierwsze listki, ale nie było jeszcze żadnych wiosennych kwiatów. Roilo się od wrózek, przeważnie sękatych jak konary drzewa. Nie zwracały na nas uwagi. Wim mógł je trochę widzieć – powiedział, że dostrzega je kątem oka. Przysiedliśmy na chwilę na murku i na nie patrzyliśmy. Potem, kiedy zaczęliśmy wstawać, Wim dotknął przypadkiem mojej laski i wydał dźwięk, jakby się dławił.

– Teraz naprawdę je widzę. – Usiadł obok mnie, trzymając laskę na kolanach. – Ludzie! – wykrzyknął, trochę nieadekwatnie do sytuacji.

Wieki całe później, kiedy wreszcie się napatrzył, stwierdziłam, że już czas iść i sięgnęłam po laskę. Bez niej znów widział je niewyraźnie.

– Chciałbym wiedzieć, kim one są – powiedział, kiedy wracaliśmy do miasta. – Czy mógłbym zatrzymać tę laskę? To znaczy, czy masz jeszcze inną?

– Mam, ale jest metalowa i ohydna, a ta daje mi siłę. Wróżki mi ją podarowały.

– Może dały ci, żebym mógł je widzieć? – wysunął przypuszczenie. – Te koloii, te kształty!

Mówił, jakby był pijany. Ostatecznie to tylko wróżki, nawet nie robiły czegoś szczególnie interesującego.

– Może – powiedziałam z powątpiewaniem. – Tak czy inaczej, teraz jej potrzebuję.

Wziął mnie za rękę. Szliśmy między drzewami.

– Przepraszam za tańce – odezwał się. – To znaczy nie chodzi mi o pójście z Shirley, zrobiłem to umyślnie, mam na myśli tańce ogólnie. Nie pomyślałem o tym, że mogłabyś źle się poczuć, ponieważ sama nie możesz tańczyć.

– Nic nie szkodzi – zapewniłam, chociaż szkodziło.

Moja noga jest w takim stanie, w jakim była, zanim zaszкодził jej wyciąg. Miewam dni lepsze i gorsze. Podobno tak będzie już zawsze. Może akupunktura coś da, a może sama się nauczę ją stosować, i dzięki temu będzie lepiej, ale do tańców mi daleko.

Była już prawie pora przyjazdu autobusu, więc ruszyliśmy przez miasteczko.

– No to widzimy się we wtorek wieczorem, w czwartek po

południu i w następną sobotę? Jeśli możemy mieć tyle, to biorę – rzekł Wim.

– W następny weekend kończy się semestr – przypomniałam. – Cały przyszły tydzień mnie nie będzie. Tak więc sobota odpada.

– Jedziesz dokądś?

– Mam spędzić jedną noc w Old Hall z Danielem, a potem jadę na kilka dni do Aberdare, zobaczyć się z ciocią Teg i Dziadkiem.

– I zabić matkę? – spytał. – Nie, no wiem, ale ja bym przecież mógł. Nie sprzeciwiałoby się to żadnym starożytnym zakazom.

– Według starożytnych zakazów, które znam, nie mogłabym nawet dzielić stołu z kimś, kto zabiłby moją matkę, cokolwiek o niej myślę. – Tak naprawdę zaczerpnęłam tę wiedzę głównie od Mary Renault, a nie z jakichś starożytnych pism. Zabawne, że nikt już nie uczy, jakie były starożytne normy. – Zresztą nie ma potrzeby.

– Mógłbym pojechać z tobą.

– Nie bądź głupi, gdzie byś mieszkał? Poza tym musisz być w pracy. Zobaczmy się, kiedy wrócę.

– Będę za tobą tęsknił. – Całował mnie bardzo delikatnie i bardzo długo.

No cóż, przynajmniej nie jest nudno.

*Niedziela, 10 lutego 1980*

Rano królował szron. Kiedy się obudziłam i wyjrzałam przez okno, każda gałąź i każde źdźbło trawy miało biały kontur. Gdy wyruszyliśmy do kościoła, szron zdążył stopnieć.

Kazanie dotyczyło składania dziękczynienia – że nie powinniśmy pobieżnie dziękować za wszystkie błogosławieństwa, tylko wybrać dwa szczególnie ważne i na nich skupić swoją wdzięczność. Więc kiedy nadszedł czas cichej modlitwy, podziękowałam za Wima i za system wypożyczeń międzybibliotecznych.

Napisałam do cioci Teg, że przyjadę w niedzielę za tydzień. Nie kupiłam kartki dla Dziadka ani wczoraj, ani w zeszłym tygodniu, bo Wim odwrócił moją uwagę. Wezmę jedną ze sobą.

Teraz się martwię, że może Wima pociąga możliwość uprawiania

magii, a nie kontakt ze mną.

*Poniedziałek, 11 lutego 1980*

*Perski chłopiec* jest cudowny. Możliwe, że to jej najlepsza książka. Powodowana impulsem wywołanym lekturą, natchnięta duchem tej książki, pochłonęłam *Fajdrosa* i napoczęłam *Prawa*. Trochę się zapchałam.

Wydaje się, że panna Carroll aprobuje, że czytam nie tylko SF. Zaczęła ze mną rozmawiać o starożytnej Grecji i wspomniała, że mogłabym zaliczyć egzamin niższego stopnia z greki, kiedy będę zdawała wyższe egzaminy. Nie wiem, czy będę je zdawała tutaj czy gdzie indziej, ale jeśli tutaj, to byłby niezły pomysł. Nie wydaje się, żeby pozwolili mi zrobić to, co robi Wim, czyli łączyć nauki ścisłe i humanistyczne. Poza tym chciałabym zdawać angielski, historię i łacinę, to bardzo konwencjonalny zestaw. Mam też ochotę na fizykę albo chemię, ale panna Carroll stwierdziła, że bez matematyki byłoby trudno. Jeśli będę miała szczęście, jakoś przepcham się przez matematykę, ale nic ponadto.

Podczas wizyty u doktora zapytałam, czy obowiązuje go tajemnica lekarska, i powiedział, że oczywiście. Wtedy spytałam, czy dałby mi receptę na pigułkę. Chciał wiedzieć, czy jestem aktywna seksualnie, więc przyznałam, że jeszcze nie, ale o tym myślę. Spojrzał na moją datę urodzenia i trochę nad nią chrząkał, lecz ostatecznie dał mi receptę. Powiedział, że muszę brać pigułki przez cały miesiąc, zanim zaczną na dobre działać, że mam zacząć następnego dnia po miesiączce, a jeśli jedną pominę, to nie zaszkodzi, ale nie więcej. I że powinnam je brać o tej samej porze dnia. Receptę zrealizowałam u Bootsa w drodze powrotnej. Kupiłam też paczuszkę kondomów (bądź przygotowany!) i batonik Cadbury Dairy Milk, bardziej dla zamaskowania pozostałych zakupów, niż dlatego, że miałam na niego ochotę, ale i tak go zjadłam.

Trzymam pigułki i kondomy w torebce, bo nie mam innego bezpiecznego miejsca.

*Wtorek, 12 lutego 1980*

Deirdre o mało nie została przyłapana na odpisywaniu ode mnie Wergiliusza. Są dwa czasowniki, *progredior* i *proficor*, oba istnieją wyłącznie w trybie biernym, oba zaczynają się na *pro*, jeden oznacza posuwanie się do przodu, a drugi wyruszenie w drogę. Zawsze je myłę, i zdarzyło mi się to i teraz w pracy domowej, z której Deirdre ściągała. Panna Martin, która jest bardzo bystra, kiedy Deirdre przeczytała ten fragment, popatrzyła na nas surowo i stwierdziła, że mylenie czasowników pasywnych wydaje się zaraźliwe. Potem kazała Deirdre podejść i przetłumaczyć następny fragment, którego nam nie zadała.

Deirdre nie zrobiła zbyt wielu błędów, więc myślałam, że nam się udało. Ale wtedy ja musiałam przełożyć kolejny, którego też nie przerabialiśmy. Po lekcji, kiedy dzwonił dzwonek i wszystkie dziewczęta pędziły korytarzem na fizykę, panna Martin mnie zatrzymała.

– Morwenno, czy ty i Deirdre współpracowałyście trochę przy tym fragmencie Wergiliusza? – zapytała.

– Trochę w nim utknęła – przyznałam, co było prawdą i brzmiało znacznie lepiej niż to, że odpisała wszystko ode mnie.

– Jeśli nie będzie pracować samodzielnie, nigdy się niczego nie nauczy – powiedziała panna Martin, co zabrzmiało jak jakaś łacińska maksyma.

Dostałam list od Daniela, w którym pisze, że odbierze mnie w piątek, i że mogę jechać do Aberdare w niedzielę, a oprócz tego, że przedtem może czekać mnie niespodzianka. Ciekawe, co miał na myśli? Może oddzielnie wysłał książki?

Dziś mamy spotkanie klubowe, będziemy omawiali *Pavane* Keitha Robertsa.

*Sroda, 13 lutego 1980*

Spotkanie prowadził Hussein. Mówiliśmy nie tylko o *Pavane*<sup>66</sup>, ale też o błyskotliwej powieści Brunnera *Times Without Number*<sup>67</sup> i o *Człowieku z Wysokiego Zamku* Dicka (którego nie czytałam) oraz *Bring the Jubilee*<sup>68</sup> Warda Moore'a i o całej idei historii równoległej. Wspomnieliśmy także o *Prądach czasu*, *Strażnikach czasu* i *A Dream of*



*Wessex*<sup>69</sup> Christophera Priesta (muszę zamówić!), o którym Wim mówi, że jest wspaniały. Wypłynęła kwestia, czy to rzeczywiście SF – ewidentnie tale – i czy jest różnica między utworami typu „paratajmowego”, jak *Lord Kalvan of Otherwhen*<sup>70</sup>, a takimi jak *Pavane*, której akcja rozgrywa się w jednym świecie, gdzie historia potoczyła się inaczej.

Wciąż wracaliśmy do *Pavane* i sposobu, w jaki ta książka obejmuje tak szeroki zakres czasu, co, zdaniem Grega, czyni ją SF, właśnie ze względu na perspektywę. Potem Brian wspomniał książki o lordzie Darcym (uwielbiam Randalla Garretta<sup>71</sup>!) i zapytał, czy można je zaliczyć do SF. Oszukiwał, bo to ewidentna fantasy, tylko że niepodobna do fantasy, bo napisana jak SF. Harriet stwierdziła, że według jej przekonania należy je zaliczyć do tego samego gatunku co klubowe opowiadania i niestworzone opowieści Dunsany’ego, tak są wymyślne i kapryśne<sup>72</sup>. Nie zgodziłam się z nią (prawdopodobnie znów gadałam za dużo i zbyt emocjonalnie), bo uważam, że ich podobieństwo do SF wynika z czegoś wręcz przeciwnego niż kaprys, Garrett bierze magię i traktuje ją jak kolejną dziedzinę nauki, szczególnie dobrze widać to w *Too Many Magicians*.

Janine chyba ze mną nie rozmawia, z Pete’em zresztą też nie. Wim twierdzi, że się pogodzą. Mam nadzieję.

Hugh wydaje się trochę niepewny. Greg sądzi – powiedział mi to w samochodzie – że Hugh uważał, że ja i on automatycznie staniemy się parą, bo jesteśmy w tym samym wieku. Nigdy w całym moim życiu nie słyszałam czegoś równie głupiego. Powiedziałam to głośno. Chociaż lubię Hugh, nie myślałam o nim w ten sposób ani przez chwilę. Greg tylko się roześmiał i stwierdził, że te sprawy układają się same, i zapytał, czy czytałam McCaffrey. Nie wiem, co to ma wspólnego z czymkolwiek. Jednak przez całą resztę drogi rozmawialiśmy o Naznaczeniu ze smokami.

Jutro znów mam się spotkać z Wimem w Gobowen. Uważa, że widzimy się niezbyt często, ale w moim odczuciu tak jest najlepiej. Potrzebuję czasu między jednym spotkaniem a drugim, żeby je przemyśleć – i wszystko spisać! Nie wydaje mi się, żeby on tak robił.

Właśnie do mnie dotarło, że jutro są walentynki. Nie

przypuszczam, żeby się tym przejął – a może jednak? Nie mam bladego pojęcia. Panna Carroll sądzi, że raczej będzie pamiętał, więc powinnam mieć coś na podorędziu. Zasugerowała książkę – no pewnie! – i byłby to doskonały pomysł, gdybym miała czas na wizytę w księgarni. Mogłabym namalować mu kartkę. Tylko że nikt nie chciałby dostać takiej kartki... Mogłabym napisać dla niego wiersz albo ładnie przepisać jeden z tych, które wcześniej o nim napisałam. A co będzie, jeśli mu się nie spodoba? Nigdy nie rozmawiałam z nim o poezji, nie wiem, czy ją lubi, czy nie. Gdyby nie to, że nie znosi Heinleina, mogłabym mu dać *The Number of the Beast*. Nie mam poza tym nic nowego, a on prawdopodobnie ma już wszystko to, co ja tutaj.

Jeśli wyjdę ze szkoły trochę wcześniej, zdążę chyba wstąpić do księgarni po drodze na stację.

*Czwartek, 14 lutego 1980*

To się porobiło.

Niespodzianka Daniela polegała na tym, że postanowił zawieźć mnie do Shrewsbury. Nie mam pojęcia, dlaczego zrobił to akurat dzisiaj, skoro jutro zaczyna się przerwa międzysemestralna, ale chyba nie powinnam doszukiwać się w jego pomysłach sensu. Siedział i czekał w samochodzie, i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, jak kot, który wylizał śmietankę. IGedy go zobaczyłam, zamarłam, sparaliżowana zgrozą.

Umówiłam się z Wimem na stacji w Gobowen. Nie miałam możliwości zawiadomić go o zmianie planów. Jeśli się z nim nie spotkam, zobaczę go dopiero po przerwie międzysemestralnej. Pomyśli, że go rzuciłam, i to w walentynki.

No, chyba że opowiem o nim Danielowi. Zastanawiałam się nad tym, wsiadając do samochodu. Problem jednak był taki, że do tej chwili nie wspomniałam mu o Wimie, bo jak zwykle wszystkie listy do Daniela dotyczyły książek. Wyjątkowo niezręczna sytuacja. Nie mogłam przecież poprosić go, żeby zawrócił i zostawił mnie samą, chociaż niczego bardziej nie pragnęłam.

– Udało mi się wyrwać – powiedział. – Będziemy mogli znowu

pójść do chińskiej restauracji.

– To wspaniale, ale... – zaczęłam i urwałam.

– Ale co? – spytał, uruchamiając silnik i ruszając podjazdem między dwoma martwymi wiązami, które wyglądają okropnie, bo inne drzewa już zaczynają pokrywać się liśćmi.

– Myślałam, że będziesz zadowolona.

Zabrzmiało to żałościwie.

– Miałam spotkać się z przyjacielem na stacji w Gobowen – powiedziałam. – Jak myślisz, czy moglibyśmy tam podjechać i go zabrać?

Twarz Daniela straciła wyraz, ale zaraz się uśmiechnął.

– Oczywiście – zgodził się i zawrócił na drodze, która na szczęście była pusta.

Potem już raczej nie wypadało powiedzieć, że chciałabym najpierw wpaść do księgarni.

– Czy to twój chłopak, czy tylko ktoś w tym rodzaju? – zapytał.

– Tak jakby chłopak. No tak, to mój chłopak.

Byłam tak zakłopotana, że plątał mi się język.

– Opowiesz mi o nim? – zachęcił mnie Daniel, chociaż w jego głosie pobrzmiwało zdumienie.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

– Na imię ma Wim. Poznałam go na spotkaniu w klubie literackim. Ma siedemnaście lat. Lubi Delany'ego i Żelaznego. Uczy się angielskiego, historii i chemii do egzaminów do college'u, a jednocześnie pracuje na pół etatu. Sama pewnie będę chciała tak zrobić w przyszłym roku, jeśli będę musiała.

– Dlaczego miałabyś tego potrzebować?

– W czerwcu kończę szesnaście lat – przypomniałam.

– Nie będziesz musiał mnie utrzymywać. Mogłabym żyć na własny rachunek.

– Będę cię utrzymywał tak długo, jak długo będziesz chciała się kształcić – oznajmił, chociaż nie czytał *Bram w piasku* ani *The Number of the Beast*.

– Wiesz, że jest nowy Heinlein? – przypomniałam sobie.

– Napisałaś mi o tym w niedzielę. Chętnie przeczytam, nawet jeśli

to nie jest jego najlepsza powieść.

W tym momencie dojechaliśmy już do stacji w Gobowen. Była pusta. Pierwszy raz pojawiłam się przed Wimem, bo spodziewał się, że dotrę autobusami, jadąc po dwóch bokach trójkąta, podczas gdy przyjechałam samochodem, trzecim bokiem tego samego trójkąta.

– Zaraz przyjdzie, zawsze jest wcześniej – powiedziałam. Daniel zaparkował.

– Od jak dawna się spotykacie? – zapytał.

Policzyłam.

– Prawie dwa tygodnie.

Podziwiałam Daniela, że o nic nie pytał i nie robił mi wymówek, że jestem za młoda i tak dalej.

– Znów nowa rola dla mnie – stwierdził, ale się uśmiechał.

– Czuję się absurdalnie zdenerwowany.

– A myślisz, że ja jak się czuję? – spytałam.

Roześmiał się i właśnie wtedy Wim wjechał na placyk przy stacji.

Włosy powiewały mu wokół twarzy.

– To on? – zapytał Daniel.

– Tak.

Czułam się bezsensownie dumna. Wysiadłam z samochodu, na który Wim w ogóle nie zwrócił uwagi. Nie jest szczególnie spostrzegawczy.

Daniel również wysiadł.

– Możemy umieścić rower w bagażniku – zaproponował.

– Poczekaj, wyjaśnię mu, jaka jest sytuacja – powiedziałam.

Podeszłam do Wima. Daniel oparł się o samochód, palił papierosa i nas obserwował. Wim spostrzegł mnie, zobaczył bentleya, a potem Daniela. Widziałam, jak mu się to wszystko układa w mózgu.

– Wim, ojciec pojawił się, żeby zabrać mnie na akupunkturę. Nie spodziewałam się tego. Chcesz pojechać z nami do Shrewsbury, samochodem?

Wyglądał na bardzo zaskoczonego.

– Samochodem? Z twoim tatą?

– On nie ma nic przeciwko temu. Jeśli ty zechcesz. Tyle że nie będziemy sami i nie będziemy mogli rozmawiać o magii i niczym takim,

bo on nic o tym nie wie.

– Nie ma to jak dziwne życie – zacytował Zaphoda.

Potem mnie pocałował, trochę niepewnie, ale i tak przejawiając śmiałość w obecności Daniela. Z kieszeni kurtki wyciągnął paczkę i wręczył mi ją prawie wyzywająco.

– Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek.

Od razu ją otworzyłam. W środku były trzy książki! *A Touch of Strange* Theodore'a Sturgeona – ma piękną okładkę z głową kobiety i księżycem, *Inverted World*<sup>73</sup> Christophera Priesta i coś, o czym nigdy nie słyszałam, nieznanego mi autora – *Brama Ivrel* C.J. Cherryh. Poczułam się obezwładniona zachwytem.

– Och, Wim, są cudowne. A ja nic nie mam. Nie miałam jeszcze okazji, żeby coś ci kupić, ale napisałam to dla ciebie.

Wyjęłam z kieszeni wiersz, który przepisałam najładniej, jak umiałam na błękitnym papierze podarowanym mi przez pannę Carroll. (Ten, który zaczyna się od *Wleczesz się po suchej skale przez pustynie umysłu*).

Przeczytał go, a ja przyglądałam się temu, świadoma, że za moimi plecami czeka Daniel. Wim się zarumienił i wsunął wiersz do kieszeni. Nie wiem, czy mu się spodobał, czy nie.

Potem przedstawiłam Wima Danielowi. Uścisnęli sobie dłonie jak sędziowie sportowi. Atmosfera zrobiła się trochę lżejsza, kiedy upychali rower do bagażnika. Następnie wsiedliśmy i ruszyliśmy do Shrewsbury. Po drodze uświadomiłam sobie, że obaj będą musieli spędzić razem godzinę beze mnie. Co za niezręczna sytuacja. Daniel będzie miał za swoje, bo mnie nie uprzedził, ale biedny Wim na to nie zasłużył.

W samochodzie rozmawialiśmy o Żelaznym, bo to dla nas wszystkich temat bardzo interesujący, a potem o *Gwieździe Imperium* – że mogłaby to być całkiem zwyczajna przygodówka, ale nie jest. Czułam, że Daniel i Wim zaczynają się lubić, chociaż oczywiście Wim siedział z tyłu, przez co nie bardzo mogli się widzieć. Dojechaliśmy do Shrewsbury za wcześnie. Zajrzeliśmy do księgarni. Wim i Daniel sprzecjali się o Heinleina mniej więcej tak, jak przedtem Wim ze mną, chociaż mieli więcej argumentów. Byłam po stronie Daniela i obaj o tym wiedzieli, ale usiłowałam ugryźć się w język i nic nie mówić,

rozglądałam się tylko po półkach. Kiedy Wim nie patrzył, kupiłam dla niego *Znak Jednorożca* i *Kocią kołyskę*. Dałam mu je po wyjściu na ulicę.

A potem musiałam zostawić ich samych. Zgodzili się przyjść potem do kliniki i mnie stamtąd odebrać. Nigdy nie czułam się tak pełna obaw podczas akupunktury, nawet za pierwszym razem, gdy bałam się igieł. Kiedy leżałam na stole, starałam się tylko złapać oddech, w przenośni, nie koncentrowałam się na diagramie, na magii ani niczym innym. Efekt nie był taki dobry, jak bywało przedtem, a może przyszłam już w lepszej formie i nie zauważyłam różnicy.

Kiedy wyszłam, czekali na mnie, opierając się o ścianę. Przy Wimie Daniel wyglądał na starego i zgarbionego. Rozmawiali o doświadczeniach Wima na Seaconie w Brighton i jego nadziei na wyjazd na Albacon w Glasgow.

– Też chciałbym pojechać – powiedział Daniel.

– A dlaczego pan nie może? – zapytał Wim.

Daniel tylko wzruszył ramionami. Wyglądał na przybitego.

Poszliśmy do chińskiej restauracji, gdzie jedliśmy to samo co zeszłym razem. Ja i Wim niezgrabnie usiłowaliśmy posługiwać się pałeczkami. Rozmowa dotyczyła głównie Silverberga, z dygresjami związanymi z tym wszystkim, o czym była mowa we wtorek wieczorem na spotkaniu dotyczącym *Pavane*. Daniel czytał wszystko oprócz *A Dream of Wessex*. Widziałam, że obaj zaczynają imponować sobie nawzajem, co było wspaniałe i jednocześnie bardzo dziwne. Kiedy Daniel poszedł do łazienki, Wim wziął mnie za rękę.

– Lubię twojego tatę – oznajmił.

– To dobrze.

– Masz wielkie szczęście.

– No tak, właściwie mogłabym mieć znacznie mniejsze – przyznałam. Większość ludzi nie uważałaby Daniela za bardzo dobrego ojca, ale bywają znacznie gorsi. Przypomniałam sobie poprzedni raz, kiedy Wim to powiedział, i o czym wtedy rozmawialiśmy. – Och, to wspaniałe, powiedział, że będzie mnie utrzymywał, dopóki nie zdobędę wykształcenia. Ale nie czytał...

Wim wybuchnął śmiechem. Daniel właśnie wrócił, więc

musieliśmy mu wyjaśnić, o co chodzi. Na szczęście on też uznał, że to zabawne.

Ciasteczko z wróżbą powiedziało Wimowi: „Otrzymałeś dar”. Daniel odczytał: „Fortuna sprzyja śmiałkom”. A w moim była karteczka: „Czas na szczęście”.

Potem Daniel odwiózł nas do domu. Zapytał Wima, dokąd go podrzucić, a Wim uznał, że wszystko jedno, byle dało się stamtąd podjechać rowerem, więc wysiadł koło ronda. Ja też wysiadłam, kiedy wyjmowali rower z bagażnika, i śmiało poprosiłam Wima o numer telefonu.

– Mogę zadzwonić do ciebie w przyszłym tygodniu, kiedy wyjadę – powiedziałam. – A dziś też mógł mi się przydać.

– Nie mógł, bo wracałem wtedy z pracy – odparł.

Jednak podał mi go, a Daniel również sobie zapisał i wręczył Wimowi swoją wizytówkę – ma wizytówkę! Wim i ja uściskaliśmy się i pocałowaliśmy bardzo przyzwoicie, a potem Daniel odwiózł mnie do szkoły akurat w porze odrabiania lekcji.

*Piątek, 15 lutego 1980*

Sharon została odebrana przez rodzinę jako pierwsza, jak zwykle. Jest wiele pożytków z bycia Żydówką, jeśli ktoś chce znać moje zdanie. Jest też mnóstwo rzeczy, których trzeba pilnować. Muszę zapytać Sama, co się dzieje, kiedy złamie się zasady.

Co prawda Daniel był jednym z pierwszych spośród pozostałych rodziców.

– Spodobał mi się ten twój młodzieniec – powiedział, gdy wsiadałam do samochodu.

– Ty jemu też – odrzekłam, zapinając pasy.

– Pomyślałem, że moglibyśmy zaprosić go jutro na podwieczorek do Old Hall. Gdyby przyjechał do Shrewsbury pociągiem, spotkalibyśmy się z nim na stacji. Poszlibyście na spacer czy coś w tym rodzaju, a potem zjedlibyśmy podwieczorek.

Daniel mówił to dość nieśmiało, a jednocześnie z nadzieją, więc nie bardzo mogłam odmówić. Zresztą wiedziałam, że Wimowi spodoba

się ten pomysł. Będzie chciał zobaczyć Old Hall i poznać ciotki, bo wie, że mają związki z magią. Nie będzie się ich bał, bo nie boi się niczego. Poza tym oczywiście chciałam się z nim zobaczyć, nawet w niezbyt idealnych okolicznościach.

– Doskonale – powiedziałam. – A zapytałeś siostry, co o tym myślą?

– Anthea to zaproponowała.

– Myślałam, że mogą nie akceptować tego, że spotykam się ze zwykłym chłopcem z miasteczka.

– No cóż... – Daniel się zawahał. – Powiedziały, że za ich czasów się tego nie robiło, ale jestem pewny, iż zmienią zdanie, kiedy poznają Wima i zobaczą, jaki jest inteligentny i jak się właściwie wyraża..

„Właściwie się wyraża” to określenie dotyczące klasy średniej. Zorientowałam się w Arlinghurst. Ktoś kiedyś powiedział, że brytyjski system Idas społecznych wprowadził rozróżnienie według umiejętności posługiwania się językiem. Wim ma wymowę ze Shropshire, ale przestrzega zasad gramatyki. Mówi jak osoba wykształcona. Nie wywyższa się ani nie jest pretensjonalny jak dziewczęta w szkole, ale chyba jestem zadowolona, że według Daniela mieści się w kategorii „właściwie się wyrażających”. Jakie to głupie, że takie rzeczy się liczą!

Jadłam z nimi obiad i musiałam odpowiedzieć na mnóstwo pytań dotyczących szkoły i Wima, i jeszcze raz szkoły. Staralam się być miłą bratanicą. Wszystko szło gładko. Nikt nie wspominał o przekłuwaniu uszu.

Po obiedzie zadzwoniłam do Wima. Odebrała osoba, którą uznałam za jego matkę, ale szybko oddała słuchawkę Wimowi. Ulżyło mi, że go zastałam. Równie dobrze mógł być na dyskotecze z Shirley.

– Co robisz jutro? – zapytałam.

– Dlaczego pytasz?

– Daniel zastanawia! się, czy chciałbyś zjeść z nami podwieczorek w Old Hall. Mógłbyś podjechać pociągiem do Shrewsbury i odebralibyśmy cię stamtąd.

– Myślałem, że jedziesz do Południowej Walii.

– Dopiero w niedzielę. Ale jeśli nie chcesz, to w porządku. W soboty nie pracujesz, prawda?



- Pracuję, ale tylko rano.
- No to jak sam postanowisz.  
Nie chciałam naciskać.
- Będę mógł się z tobą zobaczyć? – spytał. – To znaczy sam na sam.
- Daniel powiedział, że moglibyśmy pójść na spacer czy coś w tym rodzaju. I tak zostawiają mnie samą przez większość czasu.
- A co powinienem włożyć? Na podwieczorek we dworze?  
Jak to miło, że się tym przejmuje!
- To, co zwykle nosisz, zupełnie wystarczy. Nie chodzi przecież o formalny obiad w strojach wieczorowych.
- A siostry będą?
- Oczywiście.
- Ale zaszczyt! – Jego głos ociekał ironią.
- No dobra, to do jutra. Przyjazd pociągu o pierwszej?
- Do jutra, oczywiście.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, poczułam się zmarznięta i samotna. Włóczyłam się przez dłuższy czas od pokoju do pokoju. Daniel pił w swoim gabinecie, a siostry oglądały telewizję w saloniku. To poniekąd gorsze, że zobaczę go jeszcze jutro, niż gdybym go miała nie widzieć przez tydzień. Zebrałam się w sobie, żeby jakoś to przetrwać.

*Sobota, 16 lutego 1980*

Świeciło słońce, a Wim pojawił się na stacji w eleganckiej koszuli i krawacie, przez co wyglądał na młodszego, jak uczeń z podstawówki. Oczywiście nie powiedziałam mu tego. Daniel zgodnie z obietnicą zawiózł nas do walącego się zamku Acton Burnell, którego ruiny porasta młoda wiosenna trawa i bluszcz.

- Nikogo tu nie ma – zauważył Wim, kiedy wysiedliśmy.
- No cóż, jest luty. To nie sezon na *grockles* – stwierdził Daniel.  
Wim uniósł brwi.
- Turystów – wyjaśnił Daniel. – Latem mamy tu ich wielu. No więc stąd możecie przejść się na piechotę. To około dwóch kilometrów. A jeśli nie będziecie mieli ochoty na spacer, zadzwońcie z budki

telefonicznej, dobrze, Morwenno?

Koło bramy zamkowej stała czerwona budka telefoniczna.

– W porządku – mruknęłam.

Oczywiście miał na myśli – jeśli odpadnie mi noga. Tak naprawdę nie powinnam złościć się na ludzi, którzy chcą się dostosować do moich potrzeb. To denne zachowanie.

Zewnętrzny mur się rozpadał, fosa pełna była pokrzyw, a rozróżnić szczegóły twierdzy można było tylko wtedy, jeśli się wcześniej widziało prawdziwy zamek, taki jak w Pembroke albo Caerphilly, gdzie wszystko jest oznaczone. Oczywiście wszędzie kręciły się wróżki; przecież dlatego zaproponowałam to miejsce na spacer.

Zauważyłam, że istnieją dwa rodzaje ludzi łązących po zamkach. Jedni mówią: „Tu ustawimy kotły z wrzącym olejem, a tu staną łucznicy”. Inni za to planują: „Tu ustawimy sofę, a tam powiesi się obrazy”. Wim na szczęście należał do tej pierwszej kategorii. Jeździł ze szkolnymi wycieczkami do Conwy i Beaumaris, więc wie, jak wyglądają zamki. Odegraliśmy bardzo porządne oblężenie i trochę się poprzytulaliśmy w co bardziej zacisznych załomach muru), zanim zapytał o wróżki.

– Jest ich mnóstwo – powiedziałam, siadając w otworze okiennym, tak żeby mógł wziąć moją łaskę i je zobaczyć.

Wyjrzałam przez otwór strzelniczy w kształcie krzyża, ale widok z tego miejsca obejmował głównie słupy trakcji elektrycznej, biegnącej wzdłuż skrajów schludnych pól Shropshire, no i czerwoną budkę telefoniczną pod nami.

Wim usiadł obok mnie, położył sobie łaskę na kolanach i przez dłuższą chwilę obserwował wróżki. Nie zwracały na nas uwagi. Kiedy ja i Mor byliśmy dziećmi, wróżki bawiły się z nami, przeważnie w chowanego i inne zabawy polegające na gonitwach. Te tutaj najwyraźniej też się bawiły, wbiegając i wybiegając z komnat, chowając się przed wzrokiem pozostałych, wpadając nagle przez otwory w murze. Ja oczywiście nie potrzebowałam łaski, żeby je widzieć, więc siedzieliśmy i głośno zastanawialiśmy się, co one robią. A potem jedna z nich, nieprawdopodobnie wysoka wróżka–kobieta o długich włosach splecionych łąbiedzimi piórami, przeskoczyła przez zrujnowaną

ścianę, zobaczyła nas i przystanąła.

– Cześć – powiedziałam, a potem dodałam po walijsku:

– Dzień dobry.

– Idź – odezwała się do mnie po angielsku. – Potrzeba. W... –

Wykonała gest ręką.

– W Dolinach? – spytałam. Przywykłam do zgadywanek w rozmowach z wrózkami, które nie używają rzeczowników.

– W Aberdare? W dolinach węgla i żelaza?

Czułam na sobie wzrok Wima.

– Przynależy – powiedziała i wskazała na mnie.

– Tam, skąd pochodzę? – zapytałam. – Jadę tam jutro.

– Idź – powtórzyła. – Dołącz. – Potem spojrzała na Wima, uśmiechnęła się i przesunęła dłońią po jego twarzy. – Piękny.

No cóż, był piękny. Pomknęła do otworu po drzwiach, a przez dziurę w murze wpadła gromada szarych, obrośniętych brodawkami gnomów i pobiegła za nią bez jednego spojrzenia w naszym kierunku.

Wim patrzył za nią pełen respektu.

– O rety – odezwał się po chwili.

– Już wiesz, co miałam na myśli, kiedy mówiłam, że trudno z nimi rozmawiać? – spytałam.

– Tak, to zupełnie niemożliwe – przyznał. – Z takich fragmentów trudno się domyślić, czy dopowiadasz sobie to, co chcą powiedzieć, czy się mylisz. – Mówił z roztargnieniem i nadal patrzył tam, gdzie zniknęła wróżka. – Była naprawdę piękna.

– Powiedziała, że ty jesteś piękny – zauważyłam.

Roześmiał się.

– Nie mówisz poważnie. Nie, naprawdę? Jezu!

– Bo jesteś.

– Mam pryszczę. Zaciałem się przy goleniu. Włożyłem durny krawat. Ona...

– Czytałeś *Firiel*? W *Przygodach Toma Bombadila*? Zakończenie? Tak się właśnie czujesz.

– Tolkien naprawdę wiedział, o czym mówi.

– Sądzę, że je widział. Pewnie je zobaczył, a potem prześnił je w elfy, jakich pragnął. Dla niego były skarłatą pozostałością wspaniałej

rasy.

– Może widywał je, będąc dzieckiem, i nie zapomniał tego? Chciałbym wiedzieć, kim one naprawdę są. Masz rację, to nie duchy, albo nie tylko duchy. Definitywnie nie są też przybyszami z kosmosu. Nie są też do końca materialne. Kiedy mnie dotknęła...

– Czasami mogą się stać bardziej materialne – powiedziałam, pamiętając ciepło Glorfindela, kiedy stał obok mnie w Halloween.

– Co ona chciała powiedzieć? „Idź”, „potrzeba”, „w”, „przynależy”, „idź”, „dołącz”...

Byłam pełna podziwu, że tak dokładnie wszystko zapamiętał.

– Myślę, że chciała powiedzieć, iż powinnam pojechać w Doliny, bo jestem tam do czegoś potrzebna. Może nie mylisz się co do mojej matki, a może chodzi o coś jeszcze innego. W każdym razie jutro tam jadę.

– Prawie nie mogę w to wszystko uwierzyć. W to, co powiedziałaś mi o swojej matce, o magii i całej reszcie. A wtedy zdarza się takie coś, jak spotkanie z nią. – Odwrócił się do mnie i otoczył mnie ramionami. – Jeśli zamierzasz wyruszyć, żeby uratować świat, chcę być z tobą.

– Będę codziennie do ciebie dzwoniła – obiecałam.

– Potrzebujesz mnie.

Nie zapytałam, jaki mogę mieć z niego pożytek, bo to byłoby okrutne.

– Już to przedtem robiłam, sama.

– Przedtem zostałaś niemal przejechana i o mało nie zginęłaś – przypomniał mi. – A twoja siostra nie żyje.

– Teraz już nie może zrobić niczego takiego – zapewniłam go. – Nie przypuszczam nawet, żeby wtedy chciała nas zabić. A to, co dziś się tu dzieje, nie jest niczym niezwykłym. Dziwne tylko, że mówiła po angielsku i na terenie, gdzie na ogół nie zwracają na mnie uwagi. Może dlatego, że jesteśmy bliżej.

– Nie jest niczym niezwykłym! – Wim patrzył na mnie, jakby usłyszał najdziwaczniejszą rzecz na świecie. – Bliżej czego?

– Walii?

– Czasem bliżej znaczy dalej. Granica z Walią znajduje się zaledwie trzy kilometry od Oswestry.

– Dobra. Jednak chcą, żebym coś zrobiła. Zrobię to albo nie, zadziała albo nie, przeżyję albo nie – powiedziałam.

– Jadę z tobą.

– Nie wybieram się do Krainy Elfów po przygody. Jadę do Południowej Walii, gdzie, oprócz spotkania z moimi dość dziwnymi krewnymi, wróżki będą prawdopodobnie chciały, żebym zrobiła coś, co będzie wyglądało na bezsensowne, w rodzaju wrzucenia kwiatka do stawu albo grzebienia do bagna, a co będzie miało poważne następstwa.

– Grzebień do bagna? – zdziwił się. – Jaki był tego skutek?

– Ktoś wyjechał i zmarł – powiedziałam, odwracając wzrok z poczuciem winy. Pożałowałam, że w ogóle o tym wspomniałam.

– Czy zawsze będziesz się tym zajmowała?

– Nie wiem. Tak było dotąd. Tylko że teraz jestem mniej przydatna. I myślę, że dzieci są w tym lepsze, bo widzą mniej odcieni szarości między bielą a czernią.

– Mógłbym ci pomóc – upierał się.

– Zobaczymy. Jeśli uznam, że możesz mi się przydać, dam ci znać i będziesz mógł przybyć z odsieczą.

Dzięki Bogu to mu wystarczyło.

Przeszliśmy polami do Old Hall. Jest tam ścieżka, którą Daniel pokazał mi na mapie, łatwo ją znaleźć, poza jednym miejscem, gdzie usunięto oznakowanie. Idzie się cały czas przez monotonne pola, między zbożami.

Ciotki były bardzo mile dla Wima, lecz traktowały go odrażająco protekcjonalnie. Pytały go, czym zajmuje się jego ojciec. Zaskoczyło mnie, że jest farmerem. Wim w niczym nie przypomina syna farmera. Matka pracuje na niecały etat jako kucharka w szpitalu. Wim ma dwie młodsze siostry, osiem i sześć lat, nazywają się Katrina i Daisy. Dowiedziałam się tego dopiero teraz, podczas gdy on wie wszystko o mojej dziwacznej rodzinie. Czułam, że za dużo gadam!

Jedzenie było okropne – zakalcowaty keks, wysuszone ciasteczka, słabiutka herbata, a ponieważ był to późny podwieczorek – także obeschnięte plasterki szynki. Przynajmniej chleb był smaczny, Daniel przywiózł go z Shrewsbury.

Ciotki nie próbowały używać magii przeciwko Wimowi, z całą

pewnością bym coś zauważyła. Zaakceptowały go i to, że się z nim spotykam. W końcu to było coś normalnego. Miła bratanica powinna mieć chłopaka, i jeśli nawet ich standardy są trochę inne, to Wim jest bliski spełnienia wymogów. Skoro zamierzam dorosnąć, wyjechać i nie wprowadzać zakłóceń do ich świata, mogą mnie tolerować. Ostatecznie nie są złe, tylko dziwaczne na bardzo angielski sposób.

Pojechałam z Danielem na stację odwiedzić Wima.

– Pamiętaj, dzwoń codziennie, a jeśli będziesz mnie potrzebowała, przyjadę. Mogę się pojawić w ciągu trzech i pół godziny – zapewniał mnie Wim.

To bardzo miłe z jego strony, naprawdę. Zobaczymy się znowu już za tydzień z kawałkiem.

*Niedziela, 17 lutego 1980*

Jestem w pociągu.

*Inverted World* jest dziwaczny. Nawet nie jestem pewna, czy to science fiction. Pod koniec robi się bez sensu. Na początku raczej mi się podobał, ale teraz mam wątpliwości.

Ciocia Teg ma na mnie czekać na dworcu w Cardiff. Jeśli jednak nie dotrze, poradzę sobie. Mam sześć funtów i siedemdziesiąt dwa penty. W pewnym sensie pieniądze to wolność, ale tak naprawdę nie chodzi o nie, ale o to, że dają możliwość wyboru. To chyba miał na myśli Heinlein.

Pociąg na tej trasie jedzie wzdłuż całej granicy Walii. Któregoś dnia muszę pojechać do Północnej Walii, a może nawet przekroczyć granicę w miejscu, o którym Wim mówił, że znajduje się jakieś trzy kilometry od Oswestry. Mam je na mapie. Wolałabym, żeby na geografii uczyli nas czytania map zamiast ciągle wałkować głupie zlodowacenia. Chociaż pewnie wiedza o zlodowaceniach pozwala mi orientować się w terenie, przynajmniej tam, gdzie przesuwali się lodowce. W niektórych częściach świata odbywało się to tak często, że góry zostały prawie całkowicie starte i krajobraz przypomina płaskie dno jeziora z wystającymi „korkami”, miejscami, gdzie pozostały wulkaniczne wypiętrzenia gór. Fajnie byłoby to zobaczyć, ale cieszę się, że nie

zdarzyło się to tutaj. Kocham góry.

Kiedy mija się Abergavenny (i przejeżdża przez granicę z Walią), na nasypie pojawia się mnóstwo pierwiosnków. Muszę pamiętać, żeby opowiedzieć o tym Dziadkowi. W Cardiff będą już kwitły żonkile, na długo przed Dniem Świętego Davida, patrona Walii, który przypada pierwszego marca.

Opisuję, będąc już w mieszkaniu cioci Teg, tuż przed pójściem spać.

Poszliśmy do Dziadka w porze odwiedzin. Ku mojemu przerażeniu, zastałyśmy tam ciocię Flossie, niby nic takiego, ale była z nią ciocia Gwennie, jedna z najmniej lubianych przeze mnie osób na świecie. Niewiele jest gorszych rzeczy niż oddział pełen zniedołężniałych i umierających starych ludzi, ale jednak istnieje coś takiego. Ciocia Gwennie nie ma pojęcia o takcie ani o współczuciu. Jest niegrzeczna, irytująca i szczyci się tym, że mówi to, co myśli. Ma osiemdziesiąt dwa lata, ale nie zachowuje się tak okropnie dlatego, że jest stara i irytuje ją otoczenie. Babcia mówiła, że jako sześciolatka była dokładnie taka sama.

– Dlaczego uciekłaś od Liz? – powitała mnie.

– Bo jest niespełna rozumu i nie da się z nią żyć – odparłam.

Trzeba bezwzględnie stawiać jej czoło, bo inaczej wdepcze cię w ziemię. – Dlaczego rodzina uważała, że to dla mnie dobre miejsce?

– Hm. A jak ci się podoba życie z twoim nic niewartym ojcem?

– Rzadko go widuję, mieszkam w internacie – odrzekłam.

Przyznaję, że było to unikanie tematu.

Dotąd udawało nam się nie zdradzać Dziadkowi, że Daniel jest zamieszany w sprawy naszej rodziny, ale teraz oczywiście wszystko wyszło na jaw. Próbując zmienić temat na bardziej neutralny, ciocia Teg wspomniała o swoich planach, żeby zabrać Dziadka z Fedw Hir na wakacje, kiedy będzie mogła się nim zająć, jeśli z opieką nie wypali. Ciocia Gwennie natychmiast zasugerowała, że ciocia Teg powinna rzucić pracę w szkole, sprzedać mieszkanie i przeprowadzić się do Aberdare, żeby opiekować się Dziadkiem przez cały czas. Jeszcze czego! A co się z nią stanie, kiedy Dziadek umrze? Nie wierzę, że ludzie, nawet jeśli są takimi egoistami jak ciocia Gwennie, mogą

uważać, że inni powinni poświęcać się aż tak bardzo. Wygaduje rozmaite rzeczy i można tylko stać i patrzeć, bo trudno uwierzyć, że naprawdę coś takiego powiedziała. Dziadek oznajmił jej wprost, że jest głupia, to jedyna satysfakcja.

Ostatecznie ciocia Gwennie opowiedziała zabawną historię o tym, jak straciła prawo jazdy – muszę to zapisać. Pamiętajmy o tym, że ona ma osiemdziesiąt dwa lata. Wraciała z Manchesteru, gdzie mieszka jej okropna córka, do domu, do Swansea. Jechała drogą Heads of the Valleys, która jest drogą typu A, z dwoma pasami w obu kierunkach, choć to nie autostrada, więc z ograniczeniem prędkości do stu kilometrów na godzinę. Pędziła sto czterdzieści. Zatrzymał ją policjant, młody impertynent, jak go określiła.

– Czy wie pani, z jaką prędkością pani jechała? – zapytał.

– Sto czterdzieści – odrzekła, ale bez skruchy.

– Czy jest pani świadoma, że na tej drodze obowiązuje ograniczenie prędkości do stu kilometrów na godzinę?

– Młody człowieku, jeździłam sto czterdzieści na godzinę na długo przed pańskim urodzeniem.

– Więc najwyższy czas, żeby ktoś zabrał pani prawo jazdy – odparował policjant i zrobił to, więc musiała wracać pociągiem!

Ciocia Gwennie, w przeciwieństwie do mnie, nienawidzi pociągów.

– Nie znoszę kolei. Nienawidzę stacji w Crewe. Przechodzenie z peronu na peron jest tam zupełnie niemożliwe. Żeby wsiąść do pociągu do Cardiff, trzeba przejść przez cały peron numer dwanaście, po schodach na górę, a potem znów na dół! Nigdy więcej! Nie, Luke, widzisz mnie ostatni raz. Nie przyjadę więcej do Południowej Walii aż do dnia śmierci, a wtedy to moja trumna będzie przenoszona z peronu na peron w Crewe!

Wybuchnęłam śmiechem i trzeba przyznać, że nie poczuła się tym urażona.

Zadzwoiłam do Wima i powiedziałam mu, że na razie jeszcze nic nie działałam. Lepiej jutro pójde i sprawdzę, czy uda mi się znaleźć Glorfindela. Opowiedziałam cioci Teg o Wimie – chciała wiedzieć o nim wszystko, ale nie interesowało jej, kim jest jego ojciec ani to, do



jakich egzaminów się przygotowuje, tylko jaki jest. Powiedziałam, że jest wspaniały i lubi mnie, tak jakby. Ciocia Teg pragnie go poznać. Przyznałam, że Wim chciał ze mną przyjechać, a ona natychmiast zaczęła się martwić, gdzie będzie spał. Jej brązowe kanapy są o wiele za krótkie dla gości.

*Poniedziałek, 18 lutego 1980*

Poszłam dziś do *mm*. Nie okłamałam cioci Teg, ale i nie powiedziałam jej całej prawdy. Wyjaśniłam, że chcę przejść się do *mm* i pospacerować trochę w samotności. Szłam pod górę, mijając bibliotekę. Nikt tam nigdy nie chodzi. Nie wiem dlaczego. Rzeka płynie równoległe do *dramroad*, jest ślicznie, jak tylko może być, szczególnie teraz, kiedy brzozy zaczynają wypuszczać listki. Nie ma piękniejszego koloru niż wczesnowiosenna zieleń. Po niebie mknęły wielkie chmury, jakby spieszyły się na jakieś pilne spotkanie w Brecon. Przebijające się pomiędzy nich promienie słońca sprawiały, że cała zieleń niemal świeciła własnym blaskiem.

Kiedy dotarłam do Ithilien, był tam Glorfindel, i Mor, i wróżka, która dała mi laskę, i całe mnóstwo innych, z których wiele znam całkiem dobrze. Nie zamierzam znowu się wysilać i zapisywać całą rozmowę, to niewykonalne. Glorfindel powiedział, że muszę otworzyć bramę, żeby Mor mogła zamieszkać z nimi, stać się jedną z nich i umożliwić im wykorzystywanie magii w sposób, o którym wiedzą, ale którego nie umieją zastosować.

– Więc jesteście duchami? – spytałam.

Wiedziałam, że Wim chciałby znać odpowiedź, a jeśli już o to chodzi, to ja też.

– Niektórzy – przyznał.

Niektórzy z nich są duchami?

– A co z pozostałymi?

– Istnieją.

No tak, cóż, wiedziałam. Są istotami, istnieją. Są tam, znają magię i żyją zupełnie inaczej niż my. Tylko skąd się wzięły? Czy te, które mówią, były kiedyś ludźmi?

Otwarcie bramy, którą mam otworzyć, musi oczywiście zostać dokonane z udziałem krwi. I jest tam coś jeszcze, czego nie rozumiem. Zapytałam o moją matkę, a on powiedział, że ona nie może nas skrzywdzić, czy raczej, że nie będzie mogła nas skrzywdzić nawet wtedy, gdy wykonam zadanie. To oznacza, że muszę to zrobić, aby zapobiec czyjejs krzywdzie. Na szczęście nie chodzi o tamto miejsce w labiryncie, bo to daleko. To tu, blisko, na terenie dawnej fabryki brykietów antracytowych. Mogę podjechać autobusem prawie bezpośrednio na miejsce. Używanie krwi w magii zawsze jest ryzykowne, ale Glorfindel wie, co robi. Zawsze. Dziwne jest tylko to, że wiedząc, i tak mnie potrzebuje, żebym zrobiła, co trzeba, bo sam nie potrafi przemieszczać przedmiotów.

Dziwnie było widzieć Mor wśród wrózek, jakby w połowie była już jedną z nich. Czułam się naprawdę osobliwie. Nie porastała liśćmi ani nic w tym rodzaju, ale gdyby tak się stało, nie byłabym zaskoczona.

Dziś wieczorem zadzwoniłam do Wima i opowiedziałam mu o wszystkim najlepiej, jak umiałam.

– Jakie jest ryzyko? – zapytał.

– No, że mogę za bardzo zagłębić się w magię albo że rozleje się ona szerzej, niż powinna.

– Co masz na myśli, mówiąc „za bardzo zagłębić”? Możesz umrzeć?

W jego głosie pobrzmiwała frustracja.

– Myślę, że tak.

– Myślisz!? Słuchaj, jadę do ciebie.

– Nie ma potrzeby – powiedziałam. – Będzie dobrze. On wie, co robi.

– Jesteś tego bardziej pewna niż ja.

Rozmowy telefoniczne są takie ubogie, brakuje widoku wyrazu twarzy, gestów i wszystkiego, co ważne. Nie jestem pewna, czy go uspokoiłam.

Z umieraniem, ze śmiercią jest coś takiego, że istnieje różnica między kimś, kto wie, że w każdej chwili naprawdę może umrzeć, a kimś, kto sobie tego nie uświadamia. Ja należę do tych pierwszych, Wim do drugich. Tylko tyle. Nie życzyłabym nikomu przeżycia takiej

koszmarnej chwili jak ta, kiedy zrozumiałam, że światła pędzących na nas reflektorów są prawdziwe. Bez takiego doświadczenia ludziom wydaje się, że istnieją niebezpieczne rzeczy i sytuacje, które mogą pozbawić ich życia, a wszystko inne jest bezpieczne. To tak nie działa. My już miałyśmy za sobą niebezpieczny odcinek, gdzie mogłyśmy zginąć, i po prostu przechodziłyśmy przez drogę. Raczej nie przypuszczam, że matka chciała nas zabić. Bardziej przydałybyśmy się jej żywe.

Muszę zrobić to o zachodzie słońca, który dziś według gazety „Western Mail” nastąpi o wpół do szóstej.

*Wtorek, 19 lutego 1980*

Po lunchu pojechałam autobusem na drugi koniec doliny. Ciocia Teg musiała być w szkole na zebraniu, a potem miała spotkać się ze mną w Fedw Hir o siódmej. Wysiadłam w Abercwmboi, koło ruin fabryki brykietów antracytowych. Było jeszcze wcześniej. Żałowałam, że nie umówiłam się z kimś po południu, na przykład z Moirą, Leah i Nasreen. Mogłam do nich zadzwonić, ale potem przypomniałam sobie, że ostatni raz widziałam je na imprezie u Leah, i od tamtej pory nie są już moimi przyjaciółkami, tylko po prostu znajomymi. Chciałyby dowiedzieć się czegoś o Wimie i próbowałyby naśmiewać się po swojemu, a to raniłoby moje uczucia.

Na początku drogi do fabryki, na zardzewiałym żelaznym ogrodzeniu wisiała tabliczka: PROJEKT ODZYSKIWANIA TERENU. RADA HRABSTWA MID GLAMORGAN. Podniosło mnie to na duchu, bo przypomniały mi się marchie władców Gondoru. Nazywałyśmy to miejsce Mordorem, który w końcu upadł. Nie buchały tu już piekielne ognie. Na niektórych drzewach pokazała się odrobina wiosennej zieleni. Wróżek nie było. Trochę bolała mnie noga, możliwe, że to trzymało je na dystans.

Kominy fabryki wystygły, a wszystkie okna były powybijane. Żałosna, pięcioletnia ruina, nierozpadająca się jednak na tyle, żeby przypominać fortecę wróżek. Tabliczka ostrzegająca przed psami zwisała ukośnie. Psy, jeśli w ogóle tu były, odeszły razem z

robotnikami. Ciemne jezioro wciąż wyglądało paskudnie, choć brzegi już porastała trawa. Przeszłam na drugą stronę zabudowań, gdzie mogłam przysiąść w zagłębieniu muru i patrzeć na wzgórza. Chciałam odpocząć, żeby przywrócić nodze zwykły stan lekkiego ćmienia, które wróżki by tolerowały. Czytałam *A Touch of Strange* – wspaniałe opowiadania, pięknie napisane, chociaż trochę dziwaczne. Cieszę się, że przynajmniej jedna z książek od Wima jest dobra.

Kiedy je skończyłam, zamiast zabrać się do *Bramy Ivrci*, próbowałam sprawdzić, czy uda mi się uśmierzyć ból tak, jak to ma miejsce podczas akupunktury. To nie jest objaw prawdziwej magii, chociaż bez wątpienia nią jest. To nie magia, która sięga do struktury świata i zmienia różne rzeczy. Wszystko dzieje się wewnątrz mojego ciała. Siedząc tam, pomyślałam, że w zasadzie wszystko jest magią. Używanie rzeczy tworzy więź z nimi, istnienie stwarza więź ze światem, słońce zalewa nas magią i ludzie, zwierzęta oraz rośliny rosną dzięki niej, a świat się obraca i wszystko, co się w nim dzieje, jest magią. Wróżki przynależą bardziej do magii niż do świata, a ludzie na odwrót. Być może te, które nie są zagubionymi zmarłymi, są jej personifikacjami? A Bóg? Bóg jest wszystkim, przenika wszystko, jest we wzorze, który tworzy ruch wszystkiego, co istnieje. Dlatego mieszanie się do magii tak często nie wychodzi nam na dobre, bo zakłóca ten wzór. Niemal go widziałam, gdy blask promieni słonecznych i cienie chmur wędrowały po wzgórzach. Odsuwałam od siebie ból tam, gdzie nie dokuczał mi tak bardzo.

Pierwszy pojawił się Glorfindel, a za nim pozostałe wróżki. Nigdy nie widziałam takiego ich pochodzenia, nawet w zeszłym roku, kiedy musiałyśmy powstrzymać Liz. Przyjrzałam się Glorfindelowi, a będąc pod wpływem wcześniejszych rozmyślań o magii i ogólnym wzorze, stwierdziłam, że powinnam przestać go tak nazywać, wpasowywać we wzór znaleziony w opowieści. To imię tak naprawdę nie należało do niego, chociaż nazwy to takie pożyteczne etykiety. Wokół krążyły wróżki, otaczały mnie coraz ciaśniej. Nikt nie powiedział, że mam przynieść coś szczególnego, więc niczego ze sobą nie miałam, ale byłam gotowa.

Słońce powoli osuwało się za wzgórza. Glorfindel bez słowa

poprowadził nas do jeziora. Powinnam była wiedzieć, że chodzi o to miejsce. Zatrzymałam się na brzegu. Podeszła do mnie Mor. Wyglądała tak młodo i tak odlegle. Z trudem znosiłam jej widok. Miała identyczny jak wróżki wyraz twarzy. Wciąż była podobna do siebie, ale zbliżyła się w stronę magii. Już stała się bardziej wróżką niż ludzką istotą. Wyjęłam scyzoryk, gotowa do nacięcia sobie kciuka, ale Glorfindel – nie potrafię myśleć o nim inaczej – pokręcił głową.

– Połącz – powiedział. – Uzdrów.

– Co?

– Rozdzielone. – Pokazał na mnie i Mor. – Być razem.

Wróżka, która dała mi laskę, wystąpiła do przodu.

– Zrób, bądź razem – dodał Glorfindel. – Zostań.

– Nie! – zaprotestowałam. – Nie tego chcę. Ty też tego nie chcesz.

„W połowie”, powiedziałeś w Halloween. Mogłam to zrobić wtedy, gdybym chciała.

Starzec–wróżka dotknął mojej laski, a ta przemieniła się w nóż, drewniany i ostry. Pokazał gestem, że mam wbić go sobie w serce.

– Nie! – powtórzyłam i upuściłam go.

– Życie – powiedział Glorfindel. – Pomiedzy. Razem.

– Nie! – Powoli odsuwałam się od noża, bo oczywiście był również laską, a bez niej mogłam się poruszać tylko bardzo wolno. Mor podniosła go i mi podała.

– Poza umieraniem – rzekł starzec. – Życ wśród, stawać się, łączyć się. Razem. Uzdrawione. Siła, sięganie, wpływanie, zawsze bezpiecznie, silne zawsze, razem.

– Nie – powtórzyłam spokojnie. – Słuchajcie, nie tego chcę. Może zeszłej zimy, zaraz po wypadku tak, ale nie teraz. Mor wie. Glorfindel też. Poszłam swoją drogą. Zdarzyły się różne rzeczy. Zmieniłam się. Postrzegacie mnie jako połowę rozdzielonej pary i być może widzicie moją śmierć jako sposób na uporządkowanie wszystkiego, co niezakończone, zyskanie większej mocy, by dotykać realnego świata, ale ja tak tego nie widzę. Nie teraz. Mam rozmaite plany do wykonania.

– Robienie to robienie – stwierdził, i tym razem niezbyt mnie to pocieszyło. – Pomóc. Połączyć. Działać.

Mor podała mi nóż, ostrzem w moją stronę. Wokół mnie roily się

wróżki, namacalne i cielesne, popychały mnie w jego stronę. Wiedziałam, że nóż też jest materialny. Opierałam się na nim od kilku tygodni. Wytworzyła się między nami magiczna więź.

– Nie, nie chcę – upierałam się. – Trochę krwi i magii, żeby pomóc Mor i wam, tak, na to się zgodziłam, ale nie na śmierć.

Co by Wim pomyślał? Gorzej – co by pomyślała ciocia Teg, która nie ma pojęcia o wróżkach, i wydałoby jej się, że przyszłam tu bez słowa wyjaśnienia, by popełnić samobójstwo? A co z Danielem?

– Nie mogę – powiedziałam.

Próbowałam się cofnąć, ale napierały na mnie, pchając w stronę noża.

– Nie – powtórzyłam stanowczo. Otaczały mnie, a nóż był coraz bliżej, pragnął mojej krwi, mojego życia, kusił mnie, żebym stała się jedną z nich. Gdybym nią była, już zawsze widziałabym wzór magii. Nie istniałby ani ból, ani łzy. Rozumiałabym magię. Byłabym z Mor, stałabym się nią, byłybyśmy jedną istotą, połączone. Tylko że tak naprawdę nigdy nie mogłoby się to zdarzyć. Cofnęłam się o krok. – Nie. Nie chcę być wróżką. – Mówiłam tak spokojnie, jak tylko to było możliwe. – Nie chcę się połączyć. Pragnę żyć i być odrębną osobą. Chcę dorastać w realnym świecie.

Spokój pomógł mi opanować sytuację, tak samo jak odmawianie litanii pomaga w walce ze strachem, którego magia używa do swoich celów. Odrzucenie presji wróżek przez najgłębszą część mojej duszy pomogło jeszcze bardziej, bo używały przeciwko mnie części mojego ja, przemożnego pragnienia, żeby zostać wróżką, które zawsze gdzieś tam we mnie tkwiło.

Przed sobą widziałam Mor i nóż, a za nią jezioro. Wokoło tłoczyły się wróżki. Wyciągnęłam rękę po nóż. Był przede wszystkim kawałkiem drewna, a to kocha się palić, w jego wzór wbudowany jest potencjalny płomień, słoneczny ogień. Słońce już zachodziło, lecz drewno stało w płomieniach, ja też byłam płomieniem, przez chwilę zawartym w zarysach mojej sylwetki, a potem ogromniejącym. Ziemia tutaj wiedziała, co to ogień. Płonęły tu ognie piekielne, przetwarzano węgiel z kopalni, żeby pozbawić go dymu i trucizn. Węgiel pragnął płonąć, nawet bardziej niż drewno wiedział, czym jest płomień. Wróżki

uciekły ode mnie, wszystkie prócz Mor, która trzymała płonący nóż i poprzez niego była ze mną połączona. Stałyśmy się dwiema ogromnymi zwierciadlanymi postaciami powstałymi z płomieni.

Nie miałam przy sobie dębowego liścia i nie znajdowałyśmy się w pobliżu przejścia do krainy śmierci, ale byłam ogniem i ona też, widziałam wzór i kochałam ją. Nie była mną, ale wciąż mieszkała w moim sercu i zawsze tak będzie.

– Trzymaj się, Mor – powiedziałam, a ona, chociaż była płomieniem, uśmiechnęła się tak, jak tylko ona potrafiła, jak wtedy, gdy Babcia jeszcze żyła i w Boże Narodzenie rano zaraz po przebudzeniu widziałyśmy w korytarzu baloniki oznaczające, że był u nas Święty Mikołaj, a pełne pończochy czekają na rozpakowanie. Otworzyłam szczelinę pomiędzy płomieniem a miejscem, gdzie śmierć wpasowywała się w ogólny wzór, pchnęłam tam Mor razem z nożem, a potem zamknęłam. Odsunęłam się, stłumiłam ogień i znów przybrałam własne kształty.

Nadal płonęłam, lecz wiedziałam, jak to wszystko zatrzymać, jak wrócić do ciała, które jest mną. Łatwo byłoby zapomnieć, dać się pochłonąć przeobrażeniu. Dotarłam do ciała, a z nim powrócił ból. Nie byłam nawet odrobinę osmalona, ale noga protestowała przeciwko obciążaniu.

Wróżki cofnęły się, lecz wciąż jeszcze mnie otaczały. Glorfindel wyglądał na zasmuconego, a starzec nie krył gniewu.

– Bywajcie – powiedziałam i ruszyłam wolno pod górę.

Tymczasem słońce zaszło i wszystko otulił lekki mrok.

Wróżki pomału znikwały. Odwróciłam się powoli.

Była tam, oczywiście, w zapadającym zmierzchu, na drodze.

Ciocia Gwennie musiała jej powiedzieć, że przyjechałam, a potem, obserwując zamieszanie wśród wrózek, wywnioskowała, gdzie jestem.

W ogóle się nie zmieniła. Wygląda jak wiedźma. Ma długie przetłuszczone czarne włosy, smagłą cerę, haczykowany nos i myszkę na policzku. Trudno by znaleźć kogoś bardziej podobnego do czarownicy – chociaż oczywiście siostry też nimi są, pomimo że to naturalne blondynki z niewielkiego miasteczka. Ubrana była jak zwykle, czyli w to, co wpadało jej w ręce, kiedy otwierała drzwi szafy i liczyła do trzech.

W ten sposób wybierała rzeczy naładowane magią, a w każdym razie o to jej chodziło. Poszczególne sztuki odzieży zwykle gryzły się ze sobą kolorystycznie i rzadko pasowały zarówno do siebie, jak i do pory roku. Teraz był to wielki patchworkowy pulower i długa, cienka, czarna spódnica.

– Mamo – odezwałam się niemal szeptem.

Byłam bardziej przerażona niż podczas konfrontacji z wrózkami i nożem. Zawsze się jej bałam.

– Zawsze to ty byłaś bardziej podobna do mnie – zauważyła.

– Nieprawda – zaprzeczyłam. Głos mi się załamał i zabrzmiało to prawie jak jęk.

– Razem mogłybyśmy tyle osiągnąć. Mogłabym cię bardzo dużo nauczyć.

Przypomniałam sobie, jak pewnego razu ją dręczyłyśmy. Miałyśmy wtedy dziesięć czy jedenaście lat. Wysłała mnie do sklepu po papierosy, a ja wróciłam z pustymi rękami, bo nie chcieli mi ich sprzedać, a wtedy zepchnęła mnie z frontowych schodków. Skaleczyłam się, Mor pomagała mi się podnieść i zobaczyłyśmy wielkiego czarnego ptaka, który machając wolno skrzydłami, przelatywał nad bramą cmentarza. Była to prawdopodobnie wrona, ale wtedy wszystkie takie ptaki nazywałyśmy krukami. Po walijsku bez różnicy.

– *Raz w północnej, głuchej dobie...*<sup>74</sup> – zaczęła Mor, a ja dołączyłam do niej.

Nasza matka, Liz, wycofała się do domu, a potem do swojego pokoju, a my nadal recytowałyśmy *Kruka* Poego, coraz głośniej i głośniej.

Widziałam wzór tworzący świat. Wysłałam Mor tam, gdzie ludzie powinni udać się po śmierci. Płonęłam żywym ogniem. Matka była tylko żalospną patchworkową czarownicą, która tak często używała magii, by zmienić własne życie, że stopniowo wszystko przestało trzymać się kupy, a ona stała się kłębkim nienawiści, który bezsensownie pożerał sam siebie. Z pomocą wrózek ograniczyłam jej moc.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – oznajmiłam głośno i cofnęłam się o krok.



Zrobiłam kolejny i poczułam w nodze silny ból, ale zignorowałam go, zignorowałam też matkę. Widziałam, że kombinuje coś związanego z magią, a skierowanego przeciwko mnie, ale na szczęście ochronne bariery, które stworzyłam jeszcze w szkole, nie puściły, i jej magiczna moc spłynęła do ziemi tak, jak robi to ból podczas akupunktury.

Zrobiłam kolejny krok i ją wyminęłam. Wyciągnęła ręce i mnie chwyciła. Jej palce były niczym szpony.

Odwróciłam się i popatrzyłam na nią. Oczy miała jak zwykle przerażające. Odetchnęłam głęboko.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziałam i strząsnęłam z siebie jej ręce.

Próbowała mnie uderzyć, a wtedy uprzytomniłam sobie, że patrzę na nią z góry. Byłam wyższa. Pchnęłam ją, posiłkując się impetem jej własnego ruchu oraz energią obrotu świata pod nami. Upadła. Wykonałam kolejny krok pod górę, oddalający mnie od niej. Nie mogłam biec, ledwie kuśtykałam, ale posuwałam się wzwyż, po zboczu wzgórza.

– Jak śmiesz – zaprotestowała, leżąc.

W jej głosie brzmiało nieukrywane zdziwienie. Znów sięgnęła do magii i zupełnie jak wtedy, gdy zginęła Mor, wokół mnie pojawiły się iluzje, monstrualne, wirujące kształty. Wtedy je zlekceważyliśmy, jak dalece się dało, ale teraz pozwoliłam im się zbliżyć i otoczyłam się nimi. Pozbawione pokarmu w postaci strachu stanowiły żałosne, puste zjawy.

Usłyszałam za sobą szelest dartego papieru. Odwróciłam się i jęknęłam z przerażenia. Trzymała jednotomowe wydanie *Władcy Pierścieni*, jej własność, ale jednocześnie to, które czytałam jako pierwsze, i wydarła z niego kartkę. Rzuciła nią we mnie. W powietrzu kartka zmieniła się w płonącą włócznię. Było już na tyle ciemno, że w locie oświetliła otoczenie i stworzyła dodatkowe, dziwne iluzje. Uchyliłam się. Wiedźma wydarła kolejną kartkę. Nie mogłam tego znieść. Wiem, że książka to tylko drukowane słowa i mam dwa inne, własne wydania, ale miałam ochotę zawrócić i wyrwać tom z jej rąk. Lecące włocznie, nawet gdyby któreś mnie trafiły, były niczym w porównaniu z niegodziwością, jaką było użycie książki jako broni. Jak mogła? Chociaż to było dość oczywiste.

Mogłam zrobić to samo. Przyciągnęłam ku sobie widmowe monstra i pchnęłam w jej stronę. Zmieniły się w smoki, ogromne nieziemskie żółwie, ludzi w skafandrach kosmicznych, chłopaka i dziewczynę z obnażonymi mieczami. Utworzyły barierę między nami, chroniły mnie, lecąc w mroku w jej stronę. Zrobiłam kolejny krok w górę zbocza.

Oczywiście potrafiła lekceważyć iluzje tak samo jak ja.

Włócznie wciąż nadlatywały. Już nie płonęły, a przez to trudniej było je dostrzec. Musiała wrywać kartki garściami i rzucać je gwałtownie. Zatrzymałam się i sięgnęłam do wzoru świata. Kartki są z papieru. Papier jest zrobiony z drewna, więc łatwo je przekształcić we włócznie, ale czym tak naprawdę chce być drewno? Jedna przeleciała tak blisko, że poczułam podmuch na policzku. I już wiedziałam. Roześmiałam się. O tym właśnie mówiła Mor, tutaj, tak dawno temu. To nawet nietrudne... Włócznia, która była kartką, stała się drzewem. Pozostałe także, te ciśnięte wcześniej, które utkwily w ziemi. Przez chwilę stały tak, zakorzenione w glebie, wyciągając w górę rozpostarte gałęzie. Dąb, jesion, głóg, brzoza, jarzębina i jodła, wielkie, dojrzałe, w pełni ulistnione drzewa. A potem ruszyły w dół wzgórza, las Birnam ku Dunzynańskiemu Wzgórzu.

– Huornowie pomogą – powiedziałam ze łzami w oczach.

Jeśli dostatecznie kochamy książki, odwzajemnią naszą miłość.

Nie była to iluzja, lecz drzewa, z których powstał papier, pragnący wrócić do swojej pierwotnej postaci. Ledwie ją dostrzegałam pomiędzy pniami. Miotła się i coś do mnie wrzeszczała. Kartki zmieniały się w drzewa w następnej chwili po wyrwaniu spomiędzy okładek, a nawet szybciej. Książka, którą trzymała w rękach, stała się wielkim kłębem bluszczu i jeżynowych gałązek, coraz bardziej się rozrastających. Całe pustkowie, gdzie dawniej była fabryka brykietów antracytowych, stało się lasem, w którego sercu tkwiły ruiny zabudowań. Wśród drzew przemykały wróżki. Oczywiście musiały tam być. Nad powierzchnią mrocznego jeziora przeleciała sowa.

– Czasami zajmuje to więcej czasu, niż się wydaje – stwierdziłam.

Wciąż wspinałam się pod górę, coraz bardziej oddalając się od terenu fabrycznego. Ona nadal szalała na dole, wśród drzew. Posuwałam

się krok po kroku tak szybko, jak tylko mogłam, chociaż tempo nie było szczególnie imponujące. Wreszcie znalazłam się poza jej zasięgiem. Dwa kolejne kroki i byłam na drodze.

Przytrzymałam się prętów ogrodzenia, co ułatwiało marsz, prawie tak, jakbym podpierała się łaską. Musiałam dotrzeć do przystanku autobusowego. Moja stara laska została w domu Dziadka. Nagle uprzytomniłam sobie, że prawie pełznąć wzdłuż ogrodzenia, wyglądam jak ta głupia Fanny Robin z książki Hardy'ego, i serdecznie się roześmiałam.

Wciąż chichocząc, dotarłam do końca płotu, tuż koło przystanku, i wtedy zobaczyłam ich tuż przed sobą.

Byłam bardzo zaskoczona, że widzę Wima, zdumiona obecnością Daniela (jak mu się udało wyrwać?) i osłupiała na widok Sama. Wszyscy trzej pojawili się nagle niczym trójca z tego świata. Oczywiście wyjaśnienie okazało się dość proste. Wim postanowił przyjechać i zadzwonił do Daniela, a Daniel do Sama. Nie widzieli, jak stawałam się płomieniem ani jak zamieniałam kartki w drzewa, w każdym razie Daniel tego nie widział. Myślę, że Wim mógł coś zauważyć kątem oka. Nie wiem, co widział Sam. Tylko się uśmiechał.

Nie potrzebowałam ich pomocy, ale cudownie było ich zobaczyć.

*Sroda, 20 lutego 1980*

Pojechaliśmy samochodem po laskę, a potem do Fedw Hir w odwiedziny do Dziadka. Nie zamierza w najbliższym czasie wybaczyć Danielowi, ale taka jest kolej rzeczy. Ciocia Teg przygotowała obiad dla wszystkich, a ja jej pomagałam. Potem postanowiliśmy, że spędzimy noc w domu Dziadka, bo w mieszkaniu cioci nie ma tylu łóżek. Czuję się jak w jednym z tych snów, gdzie każdy trafia w niewłaściwe miejsce. Dziadek polubił Wima. Zawsze chciał mieć syna. A Wimowi bardzo spodobał się Sam. Dziwnie się czuję, gdy wszyscy oni są tutaj, razem.

Ja też tu jestem, żywa, wciąż na tym świecie. Mam zamiar utrzymać ten stan, w każdym razie dopóki nie umrę. Na Wielkanoc pojedę do Glasgow i przekonam się, jaki jest fan-dom science fiction. W czerwcu za rok przystąpię do egzaminów i zdam je, kwalifikując się do

następnego etapu kształcenia. Zdam egzaminy wyższego stopnia najlepiej, jak to tylko możliwe. Pójdę na uniwersytet. Będę żyła, czytała, miała przyjaciół, swój karass, ludzi, z którymi można rozmawiać. Dorosnę, zmienię się i będę sobą. Zapiszę się do każdej biblioteki, gdziekolwiek się zatrzymam. Nawet na innych planetach. Będę rozmawiała z wróżkami, gdy je zobaczę, i zajmowała się magią, jeśli stanie na mojej drodze i jeśli zapobiegnie to czyjejs krzywdzie – nie zamierzam niczego zapomnieć. Ale nie będę jej używała do oszukiwania, sztucznego poprawiania sobie życia ani nie zakłócę wzoru. Wydarzą się rzeczy, o których teraz nie mam zielonego pojęcia. Zmienię się, wrosnę w przyszłość, która będzie niewyobrażalnie inna niż przeszłość. Pozostanę żywa. Będę sobą. Będę czytała swoją księgę. Nigdy nie zatopię ksiąg ani nie złamię laski. Dopóki żyję, będę się uczyła. Ostatecznie dotrę do końca żywota i umrę, a potem przejdę przez śmierć do nowego życia, może do nieba, a może do wielkiego niewiadomego, które staje się udziałem ludzi po śmierci. Umrę, zgniję, moje komórki powrócą do cyklu życia w ramach wzoru, na dowolnej planecie, na której wtedy będę.

Tym jest życie, i zamierzam je przeżyć.

Wychodzi na to, że *Brama Ivrel* jest naprawdę świetna.

### *Podziękowania i uwagi*

Chciałabym podziękować cioci Jane, która akceptowała jako rzecz oczywistą, że dorosnę i będę pisała, oraz jej córce Sue, teraz Ashwell, która dała mi *Hobbita* i trylogię **Ziemiomorze** Le Guin. Jestem również wdzięczna pani Morris, mojej walijskiej nauczycielce, która martwiła się o mnie przez trzydzieści lat.

Mary Lace i Patrick Nielsen Hayden wspierali mnie, gdy pisałam tę książkę. Korespondenci z Livejournal byli nieocenieni w dostarczaniu mi najróżniejszych informacji, szczególnie Mike Scott, bez którego napisanie *Wśród obcych* byłoby niemożliwe. Niektórzy pisarze

zatrudniają na etat asystentów do poszukiwania danych, którzy nie dorównują mu ani szybkością, ani sprawnością w zdobywaniu informacji. Dziękuję ci raz jeszcze, Milce.

Emmet O'Brien, Sasha Walton i dość często Alexandra Whitebean znosili mnie podczas tworzenia tej książki. Alter Reiss kupił mi laptopa z DOS-em, żebym mogła nadal pisać, a Janet M. Kegg znalazła do niego baterię i mi ją dostarczyła. Sąsiad Rene Walling znalazł tytuł dla tej książki. Mam najlepszych w świecie przyjaciół. Poważnie.

Louise Mallory, Caroline–Isobelle Caron, David Dyer—Bennett, Farah Mendlesohn, Edward James, Mike Scott,

Janet Kegg, David Goldfarb, Rivka Wald, Sherwood Smith, Sylvia Rachel Hunter i Beth Meacham czytali tę książkę w trakcie jej pisania i robili pożyteczne uwagi. Liz Gorinsky oraz ciężko pracujący ludzie z Działu Produkcji i Promocji w wydawnictwie Tor zawsze robią świetną robotę przy moich książkach i dbają o to, by znalazły się w rękach czytelników.

Ludzie radzą, żeby pisać o tym, co się dobrze zna, ale odkryłam, że pisanie o tym, co się zna, jest o wiele trudniejsze, niż wymyślanie wszystkiego od początku do końca. Łatwiej jest przeprowadzić badania jakiegoś okresu w historii niż własnego życia, łatwiej też jest radzić sobie z tematami o mniejszym znaczeniu emocjonalnym, do których ma się większy dystans. To okropna rada! Dlatego odkryjecie, że nie istnieje takie miejsce jak walijskie Doliny, nie ma pod nimi węgla, jeżdżących tam czerwonych autobusów, że nigdy nie było roku 1979, nikt nigdy nie miał piętnastu lat, i że nie ma planety Ziemi. Owszem, wróżki są prawdziwe.

*Przypisy*

\* Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy.

1 Greyfriars School – fikcyjna siedmioklasowa szkoła publiczna

dla chłopców w hrabstwie Kent, miejsce akcji rozbudowanego i niezmiernie popularnego cyklu powieściowego Franka Richardsa (właśc. Charles Hamilton, 1874–1961). Najczęściej występuje w nich Billy Bunter, uczeń czwartej klasy. Historie te ukazywały się na łamach tygodnika „The Magnet” od 1908 do 1940 w 1683 numerach. Książki zaczęto wydać w 1947 roku. Pierwsza seria liczy 41 powieści (do 1965). Do roku 1989 ukazało się dalszych 167 książek. Część cyklu to egzotyczne historie przygodowe. Serial BBC nadawano w latach 1951–1961. Serie komiksowe zamieszczały różne pisma od 1939 do 1976 roku. Postacie z tego cyklu dołączyły też do *The Black Dossier* komiksowej Ligi Niezwykłych Dżentelmenów. Greyfriars School to jeden z licznych cykli pióra Hamiltona, który znalazł się w Księdze Guinnessa jako najpłodniejszy autor świata”.

2 Cykl Pern otwiera powieść *Jeźdźcy smoków* (*Dragonflight*, 1968), na którą złożyły się dwie długie opowieści, opublikowane na łamach miesięcznika „Amazing Stories”: *Weyr Search* (październik 1967) i *Dragonrider* (grudzień 1967 i styczeń 1968). Pierwsza znalazła się w wielu antologiach, a w Polsce miała osobne wydanie w 1985 roku. *W pogoni za smokiem* (*Dragonquest*, 1971) jest 2. tomem cyklu.

3 Chodzi o słynny cykl opowiadań, wydawany pierwotnie w dwóch tomach udających powieści: *Pilgrimage: The Book of the People* (1961) i *The People: No Different Flesh* (1968). Bohaterowie cyklu to grupa humanoidalnych obcych o nadzwyczajnych zdolnościach parapsychicznych, rozbitkowie mieszkający na Ziemi jako ludzie. John Korty wyreżyserował na podstawie tych książek pełnometrażowy film telewizyjny pt. *The People* (USA 1972).

4 „Niech mnie nienawidzą, byleby się bali, niech się mnie boją, byleby słuchali” – tak mawiał cesarz Tyberiusz.

5 Drugi tom dylogii Historia Tezeusza. Pierwszy ukazał się po polsku pt. *Król musi umrzeć* w 2005 roku. Też autorki, jednej z najświetniejszych pisarek historycznych świata, mamy przekład trylogii o Aleksandrze Macedońskim. I nic więcej!

6 Wiązy brytyjskie są genetycznie identycznie, to klony jednego drzewa sprowadzonego przez Rzymian w celu zakładania i rozwijania winnic.

7 WH Smith pic – założona w 1792 brytyjska firma zajmująca się sprzedażą detaliczną książek, czasopism i materiałów piśmiennych. Dysponuje siecią blisko sześciuset księgarń i ponad pięciuset punktów sprzedaży.

8 James Tiptree jr – pseudonim Alice Hastings Bradley Sheldon (1915–1987), amerykańskiej pisarki SF i psychologa; debiutowała opowiadaniem „Birth of a Salesman” (1968); do 1977 roku zakładano, że pod tym pseudonimem kryje się mężczyzna. Po polsku ukazały się tylko dwie jej książki: powieść *Jasność splywa z powietrza* (*Brightness Falls from the Air*, 1985) i wybór *Houston, Houston, czy mnie słyszysz i inne opowiadania*.

9 W Polsce znamy tylko pierwszą, *101 dałmatyńczyków* (*The Hundred and One Dalmatians*, 1956), i animowane filmy Disneya nakręcone na jej podstawie. Druga to *The Starlight Barking* (1967).

10 Nieznana w Polsce klasyczna i bestsellerowa powieść obyczajowa z 1949 roku (sfilmowana w 2003, polski tytuł *Nie oddam zamku*), której akcja rozgrywa się w Anglii w okresie międzywojennym, a jej bohaterka, rezolutna i ocytana Cassandra Mortmain (też pisze dziennik), mieszka w starym zamku ze swoją zubożałą ekscentryczną rodziną. Ze Stanów przybywa spadkobierca zamku, Cassandra zakochuje się po raz pierwszy...

11 Arthur Ransome (1884–1967) – brytyjski pisarz dla młodzieży. W Polsce znany z *Wyspy krabów* (*Peter Duck*, 1975), a zwłaszcza cyklu o Jaskółkach i Amazonkach: *Jaskółki i Amazonki* (*Swallows and Amazons*, 1930) i *Jaskółczyn* (*Swal-lowdale*, 1931), poświęconego dzieciom, które pływają żaglówkami po jeziorze i odkrywają bezludną wyspę. Zwraca uwagę fachowość autora w dziedzinie żeglarstwa i dyskretne podkreślanie takich cech, jak koleżeństwo, miłość i poszanowanie przyrody.

12 (Mary) Noel Streatfeild (1895–1986) – brytyjska autorka głównie literatury dla dzieci, w tym słynnego cyklu rozpoczynającego się klasyczną powieścią *Zaczarowane balctki* (*Ballet Shoes*, 1936). To historia trzech osieroconych dziewczynek, które pewien starszy pan przywiózł ze swoich licznych wypraw zamorskich. Po polsku wydano jeszcze *Złotą jabłoń* (*Apple Bough*, 1962), wzruszającą opowieść o

dzieciach, które muszą wyrzekać się wielu rzeczy po to, by ich brat mógł rozwijać muzyczny talent.

13 Mowa oczywiście o książkach najtańszych, czyli pocket–bookach (formalnie paperback oznacza książkę w miękkiej okładce bez względu na format, choć w tamtych latach, kiedy najpowszechniejszymi z nich były pockety, terminy te stosowano wymiennie).

14 *Inklingowie: C.S. Lewis, J.R.R. Tolkien, Charles Williams i ich przyjaciele (The Inklings, 1978).*

15 *J.R.R. Tolkien: Wizjoner i marzyciel (J.R.R. Tolkien, 1977).*

16 W oryg. Hopalong – przezwisko/przydomek kowboja Billa „Hopalonga” Cassidy’ego z westernów z początku XX wieku – ten epitet dotyczy! jego sposobu poruszania się podskokami po trwałym uszkodzeniu nogi wskutek postrzału. Autorem cyklu 28 powieści (i licznych opowiadań) mu poświęconych jest Clarence E. Mulford (1883–1956). Postać tę utrwaliły słuchowiska radiowe, filmy telewizyjne, kinowe (66), a także komiksy.

17 *Oft evil will doth evil mar.* W rzeczywistości mówi to Theoden, kiedy Pippin właśnie zajrzał do palantim (*Dwie wieże*, przeł. Maria Skibniewska).

18 *Time Enough for Love* (1973) – jedna z późnych powieści Heinleina. Jej bohaterem jest Lazarus Long, najstarszy Ziemianin żyjący ponad 2000 lat. Urodził się w 1912 roku w trzecim pokoleniu ludzi poddanych selekcji genetycznej, w naukowym eksperymencie prowadzonym przez Fundację Iry Howarda. Oczywiście jego wiek nie jest jedynie skutkiem owej selekcji; w grę wchodzi również mutacja. Pozostałe powieści Heinleina, w których występuje Long: *Methuselah’s Children* (1941; zmień. 1958, tom 4 cyklu *Future History*), *The Number of the Beast* (1980), *Kot, który przenika ściany (The Cat Who Walks Through Walls, 1985)*, *To Sail Beyond the Sunset* (1987). *The Notebooks of Lazarus Long* (1978) to zbiór złotych myśli i przemyśleń Longa, wyjętych z powieści *Time Enough for Love*.

19 Antologia zawiera opowiadania wybrane z miesięcznika SF *Galaxy Science Fiction*, jednego z najważniejszych w latach 50.–70. amerykańskich magazynów SF obok „*Astounding Analog*”, „*The*



Magazine of Fantasy and Science Fiction” i „Amazing Stones”, wybrane przez Jima Baena z puli utworów opublikowanych w okresie, kiedy był redaktorem naczelnym „Galaxy” (czerwiec 1974–październik 1977).

Opowiadanie Zelaznego nosi w polskim przekładzie tytuł *Gra*.

20 *The Spell Sword*. (1974) – dziesiąty tom cyklu Darkover liczącego 40 pozycji, w tym część pióra innych autorów (antologie i powieści – najnowsza, pióra Deborah J. Ross, to *The Children of Kings*, 2013). Cykl ten należy do podgatunku *planetairy romance*, czyli powieści, których fabuła rozgrywa się wyłącznie na określonej planecie, gdzie (zwykle) społeczeństwa są zorganizowane na zasadach zbliżonych do ustroju feudalnego. Akcja powieści toczy się w epoce, kiedy Ziemskie Imperium odkrywa Darkover, a potomkowie rozbitków nie chcą przyjąć do wiadomości, że wywodzą się z Ziemi.

21 „Destinies” (1978–1981, 11 numerów) – amerykański magazyn SF w formacie kieszonkowym, wydawany przez Ace Books, redagowany przez Jamesa Beana i sprzedawany w księgarnie. Praktycznie była to wydawana nieregularnie seria antologii (opowiadania i powieści odcinkowe hard SF, artykuły popularnonaukowe i recenzje książkowe). Autorzy: Anderson, Benford, Gard, Herbert, Niven & Poumelle, Siniak, Zelazny i inni. W środku było też sporo czarno—białych ilustracji. *Zaginiony Dorsaj!* z lutego 1980 otrzymał nagrodę Hugo dla najlepszej novelli SF roku. Seria skończyła się po odejściu Beana z Ace Books, ale wydawnictwo wydało antologię (tzw. Destinies Special) *Proteus: Voices for the 80's* (1981) pod redakcją Richarda S. McEnroe, zawierającą opowiadania zakupione do *Destinies*, których Bean nie wykorzystał, bo uznał, nie są dostatecznie twardą SF. Baen założył wydawnictwo Baen Books w 1983 i stworzył podobny magazyn—antologię *Far Frontiers* (1985–1986), a wkrótce potem *New Destinies* (1987–1990, 8 numerów). Te książki były grube, „solidne” pod każdym względem, zawierały naprawdę sporo ciekawych rzeczy dla miłośnika SF, a opowiadania były przeważnie długie.

22 Pierwszy tom humorystycznego cyklu sf/fantasy z ludźmi i kosmitami, a także robotami, wydany w 1977 roku. Są to opowiadania i powieści należące do podgatunku *club stoły*, a ich bohaterowie, stali bywalcy i przygodni goście, mają sporo wspólnego z amerykańskim

fandomem. Ostatni, dziewiąty tom to *Callahan's Con* (2003). Debiut Robinsona, opowiadanie „The Guy with the Eyes” (*Analog* luty 1973), jest pierwszym utworem cyklu.

23 Elidor – nazwa fantastycznej krainy z powieści Alana Garnera pod tym samym tytułem, wydanej po raz pierwszy w 1965 roku. Garner jest znany i ceniony jako autor powieści fantasy dla młodszych i starszych dzieci, a także dla młodzieży, w tym trylogii Alderley, poprzedzonej powieścią *The Weirdstone of Brisingamen* (1960).

24 Sylvia Engdahl (ur. 1933) to ceniona i nagradzana amerykańska pisarka SF dla starszych dzieci i młodzieży. Na trylogię *Children of the Star* (wyd. łączne 2000) składają się powieści: *This Star Shall Abide* (1972, wyd. brytyjskie pt. *Heritage of the Star*), *Beyond the Tomorrow Mountains* (1973) i *The Doors of the Universe* (1981). Jej najśłynniejsza powieść to *Enchantress from the Stars* (1970; została wyróżniona jako Newbery Honor Book – Newbery to najstarsza na świecie i najbardziej prestiżowa nagroda dla najlepszej powieści roku dla dzieci obok Caldecott Award; po raz pierwszy przyznano ją w 1921 roku). W 1990 autorka otrzymała za nią Phoenix Award, przyznawaną dorocznie przez Children's Literature Association dla najlepszej powieści dla dzieci, wydanej 20 lat wcześniej, która nie była nagrodzona). Jest to tom 1 dylogii Elana. Drugi nosi tytuł *The Far Side of Evil* (1971). Ostatnio Sylvia Engdahl pisze SF dla dorosłych.

25 Fragment *Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufivcka* w tłumaczeniu Władysława Dulęby.

26 *The Ciystal Cave* (1970, wydanie pt. *Merlin of the Crystal Cave* 1991 jest powiązane z filmem BBC nakręconym na podstawie tej powieści) – pierwszy tom obszernej bestsellerowej trylogii o Merlinie pióra Mary Stewart. Pozostałe noszą tytuły: *The Hollow Hills* (1973) i *The Last Enchantment* (1979). Trylogia ta należy do najlepszych utworów arturiańskiej fantasy. Jej kontynuacją jest *The Wicked Day* (1983), który dzieje się po śmierci Merlina.

27 W ramach cyklu Pern Anne McCaffrey napisała trylogię dla dzieci (tomy 4–6): *Śpiew smoków* (*Dragonsong*, 1976), *Smoczy śpiewak* (*Dragonsinger*, 1977) i *Smocze werble* (*Dragon drums*, 1979). Trzeci tom cyklu nosi tytuł *Biały smok* (*The White Dragon*, 1978).

28 Powieść *Stand on Zanzibar* (1968) zdobyła trzy nagrody: Hugo, British Science Fiction Award i Apollo (francuska nagroda dla najlepszej wydanej w tymże języku powieści zagranicznej). Po niej Brunner napisał jeszcze trzy duże dystopijne i kompleksowe wizje przyszłości, tworzące swoisty kwartet tematyczny: *The Jagged Orbit* (1969; British Science Fiction Award), *The Sheep Look Up* (1972) i *The Shockwave Rider* (1975). *Stand on Zanzibar*, opus magnum Brunnera, pokazuje przeludniony świat na przykładzie Nowego Jorku; techniką pisarską nawiązuje do stylu trylogii USA Johna Dos Passosa. Druga ukazuje skomplikowane interakcje międzynarodowych korporacji przemysłowych – medycznych i militarnych, a także zajmuje się rasowym rozwarstwieniem społeczno–politycznym ze szczególnym uwzględnieniem Afroamerykanów. Trzecia to dramatyczna i przekonująca wizja zanieczyszczenia środowiska naturalnego, do którego walnie przyczyniają się politycy i wielkie korporacje, napisana z dziennikarskim zacięciem. Czwarta, podobnie wykorzystująca techniki reportażu, pokazuje eksplozję informatyczną i przewiduje komputeryzację i rozwój internetu na globalną skalę z uwzględnieniem wirusów („robaków”) i hakerów, zawiera także prekursorskie elementy cyberpunku. Z wielu ważnych powieści Brunnera wydano w Polsce jedynie *Telepatę* (*The Whole Man*, 1964, jako dodatek do numerów 2–4/1987 miesięcznika „Fantastyka”).

29 *Jake the Peg* – popularna piosenka komiczna o facecie, który ma trzy nogi. Rolf Harris (ur. 1930) zaadaptował ją w 1965 roku (piosenka została wtedy nagrana na singlu, który w 2004 roku znalazł się czwartym miejscu listy najsłynniejszych australijskich singli „wszech czasów”). Harris to australijski komik, który komponuje, tańczy i śpiewa, maluje i rysuje, występuje w telewizji; od 50 lat mieszka w Anglii. Harris wykonuje ten utwór przy zręcznym użyciu sztucznej nogi (rekwizyt teatralny). Pierwszą wersję i najnowszą można obejrzeć na YouTube. Oryginalną wersję *Ben van der Steen* wykonywał Frank Roosen, Holender mieszkający w Kanadzie. Sytuacja jest nieprzyjemna, bo dziewczyny wrednie kpią z „dziwoląga” pod prysznicem, w dodatku bohater piosenki jest zdecydowanie „przygłupiasty”.

30 *Everyman's Library* – prestiżowa seria przedruków z klasyki

literatury pięknej i eseistycznej, wydawana w twardej oprawie pierwotnie przez wydawnictwo J.M. Dent od 1906 roku, a później przez Random House.

31 Laurie i Ralph – postaci z powieści Mary Renault *The Charioteer*. Akcja toczy się podczas II wojny światowej, a główny bohater, Laurie Odell, jest rannym żołnierzem ewakuowanym z Dunkierki i gejem nieśmiałym i skonfundowanym swoimi romantycznymi uczuciami do dwóch młodych mężczyzn, kwakra obdźkatora, który nie akceptuje swojej natury, i oficera marynarki, dobrze umocowanego w gejowskiej subkulturze wojskowej. Powieść została wydana w 1953 roku (w USA w 1959) i od razu stała się bestsellerem społeczności gejowskiej. Otwarta tematyka gejowska w literaturze tamtych lat była czymś rzadko spotykanym.

32 Tam Lin – bohater ludowych szkockich ballad, śmiertelnik uprowadzony lub uwiedziony przez królową elfów. Jego ludzka ukochana ma szansę go odzyskać, jeśli rozpozna go w orszaku elfów i wykaże się wielką miłością oraz odwagą (musi go przytrzymać w trakcie licznych transformacji – motyw Proteusza). Może to się zdarzyć tylko raz, jednej nocy w Halloween, inaczej straci go na zawsze. Istnieją liczne, różniące się szczegółami wersje tej historii – także w literaturze fantasy oraz filmie.

33 Fragment pobożnego wiersza Dorothy Gurney (1858–1932) pt. *God's Garden*, w Wielkiej Brytanii powszechnie znanego i cytowanego. Napisała też słowa popularnej pieśni odtwarzanej lub śpiewanej podczas ceremonii ślubnych (*O Perfect Love*).

34 Krew użyta w rytuałach magicznych ma wielką moc, wzmacnia magię, karmi (niekoniecznie fizycznie) przywoływane istoty. Krew zwierzęca jest słabsza, najsilniej działa krew odprawiającego rytuał.

35 Harriet Deborah Vane, później lady Peter Wimsey, jedna z postaci występujących w cyklu klasycznych powieści kryminalnych pisarki brytyjskiej Dorothy L. Sayers (1893–1957), których bohaterem jest lord Peter Wimsey. Cykl zawiera 11 powieści i opowiadania. Po polsku mamy zaledwie 4 powieści: początek cyklu *Czyje to ciało?* (*Whose Body?* 1923), dwie wydane przed wojną, *Gwałtowna trucizna* (*Strong Poison*, 1930) i *Zbrodnia wymaga reklamy* (*Murder Must*

*Advertise*, 1933) oraz *Nieprzyjemność w klubie Bellona* (*The Unpleasantness at the Bellona Club*, 1928) i garstkę opowiadań w trzech zeszycikach.

36 Black Mage – ceniona marka czekolady Nestle.

37 Boxing Day – święto obchodzone 26 grudnia (dzień po Bożym Narodzeniu) w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Nowej Zelandii i Australii oraz w innych krajach Wspólnoty Narodów. Wywodzi się ono od średniowiecznego zwyczaju obdarowywania służby i ubogich podarkami zapakowanymi w pudełka. Dziś jest to dzień wolny od pracy, w którym odbywają się imprezy sportowe i poświęteczne wyprzedaże.

38 W rzeczywistości to tylko pierwszy tom cyklu *Patrol Czasu*. Pozostałe były publikowane w różnych konfiguracjach, jedyna edycja kompletna ukazała się nakładem Baen Books: *Time Patrol* (2006) i zawiera 10 utworów; drugi tom cyklu, wydany przez Tor Books, nosi tytuł *The Shield of Time* (1990) i zawiera 6 utworów.

39 *The Mote in God's Eye* (1974) – znana powieść Larry'ego Nivena i Jerry'ego Pournelle'a. Tom 1 dylogii **Moties** w ramach dużego cyklu **CoDominium Universe** tworzonego przez wielu autorów, ale głównie Pournelle'a. To powieść o pierwszym kontakcie, wyjątkowo udana, bo łączy zalety Nivena (atrakcyjne koncepty) i talent fabularny Pournelle'a. Po polsku w wydaniu klubowym ukazała się tylko pierwsza połowa tej powieści.

40 *Ciemność rusza do boju* (*The Dark Is Rising*, 1973) – drugi tom pięcioksiągu Susan Cooper, sfilmowany w 2007 roku. Po polsku ukazał się jeszcze tylko tom czwarty, *Szary Król* (*The Grey King*, 1975), który otrzymał Newbery Medal. Pozostałe noszą tytuły: *Over Sea, Under Stone* (1965), *Greenwitch* (1974) i *Silver on the Tree* (1977).

41 KwikSave – popularna sieć brytyjskich dyskontów.

42 *Citizen of the Galaxy* (1957) – powieść Roberta Heinleina dla starszych dzieci. Jej bohaterem jest chłopiec, sierota i niewolnik, którego właściciel przygotowuje do twardego, męskiego życia w zawodzie międzygwiazdowego niezależnego kupca. W swoim czasie powieść ta wywołała kontrowersje, ponieważ pokazuje, że niewolnictwo jest akceptowane przez wysoko rozwinięte cywilizacje i społeczności. Inne zarzuty dotyczyły „twardego galaktycznego kapitalizmu” i

Heinleinowskiej koncepcji wychowania, męskości i ról wyznaczonych mężczyźnie i kobiecie w społeczeństwach przyszłości. Oczywiście takie koncepcje występują również w innych powieściach tego pisarza.

43 *Lot & Lot's Daughter* (1953 i 1954; 1996) – klasyczne i bardzo ważne opowiadania, opisujące wyimek rzeczywistości w trakcie atomowej zagłady cywilizacji i później. Opowiadania dotyczą m.in. kazirodztwa, które było tabu w SF tamtych lat. Nawiązują do Biblii i są bardzo ironiczne w wymowie. Więcej na ten temat pisze Stanisław Lem w *Fantastyce i futurologii*. Na podstawie pierwszego opowiadania nakręcono film *Panic in the Year Zero!* (1962). Umowne imię „Jir” (tak jest też w opowiadaniach) to w rzeczywistości pochodna skrótu Jr od Junior oczywiście.

44 Neapolitanki (Terry's Chocolate Neapolitans) – chodzi o nadziewane czekoladki w różnych kolorach, sprzedawane w specjalnych pudełkach i zwyczajowo kupowane pod choinkę w Wielkiej Brytanii. Można je porównać do czekoladek Merci (też podłużne, owinięte w folię i w pudełku kartonowym), z tym że w zestawie były też czekoladki z nadzieniem miętowym i pomarańczowym. Nie są już produkowane, czego miłośnicy wyrobów czekoladowych bardzo żałują.

45 Trzy kurki ze starej kolędy symbolizują wiarę, nadzieję i miłość. Tradycyjna gra polegała na tym, że rozdawało się (mniej lub bardziej losowo) karty z postaciami z tej kolędy i trzeba było wcielać się w te postacie przez całą noc.

46 Clenigs – drobne podarki pieniężne, które walijscy rodzice dają zwyczajowo dzieciom na Nowy Rok. Także takie, które dostają dzieci, stukając do drzwi sąsiadów i prosząc o datek z tej samej okazji.

47 Eisteddfod – walijski festiwal literatury, muzyki i piosenki. Tradycja takich spotkań artystycznych sięga wstecz do XII wieku. Wyraz ten oznacza „siedzący”.

48 Dingly Dell – dosłownie Lesista (i wąska) Dolinka; *dingly* w żargonie miejskim znaczy też „penis”.

49 Bary na Trytonie są podzielone na dwie części, jedna jest dla tych osób, którym odpowiada podryw, a druga dla tych, którym nie odpowiada.

50 Fragment poematu historycznego *Marmion* (1808), często

antologizowany i deklamowany przy różnych okazjach. To rzecz o młodym rycerzu, który podstępem, udając, że chce z nią zatańczyć, porywa ukochaną z jej wesela z narzuconym przez ojca innym mężczyzną.

51 Fasolka czy groszek w cieście – wedle starej tradycji w ten sposób mianowano Króla i Królową na noc Trzech Króli, natomiast reszta obecnych w domu musiała im służyć, zwłaszcza wtedy, kiedy poszczyściło się komuś niższego stanu. W ten sposób na przykład dama musiała usługiwać swojej pokojówce.

52 Przekład Tadeusz Karyłowski.

53 Cordwainer Smith (1913–1966) – jeden ze współczesnych wielkich klasyków współczesnej amerykańskiej SF. Autor głośnego cyklu **Lords of Instrumentality**, w którym pokazuje odległą, galaktyczną przyszłość ludzkości. Po polsku ukazało się zaledwie kilka opowiadań, w tym *Planeta o nazwie Shayol* i *Gra w szczura i smoka*. Więcej o Smithu w *Fantastyce i futurologii* Lema.

54 *Sfery...* – pierwsze dwa tomy rozrywkowego cyklu SF Piersa Anthony'ego, wydane oryginalnie w 1977 i 1978 roku. Cykl liczy pięć tomów.

55 *The Archers* – radiowa opera mydlana, którą nieprzerwanie nadaje BBC od 1 stycznia 1951 roku. To wielka saga rodzinna, która rozgrywa się w niewielkim angielskim miasteczku Ambridge. Jej niebывały sukces przyczyni! się do powstania podobnych polskich słuchowisk, *Matysiakowie* i *W Jezioranach*.

56 Pelican – popularnonaukowa seria brytyjskiego wydawnictwa Penguin.

57 Humphrey Davey Findley Kitto (1897–1982), znany i ceniony brytyjski historyk, jego specjalnością była starożytna Grecja. Po polsku ukazała się monografia *Tragedia grecka: Studium literackie* (*Greek Tragedy: A Literary Study*, 1939).

58 Akt trzeci, scena druga, tłumaczył Leon Urlich.

59 **Elsie Dinsmore** – cykl 28 powieści pióra amerykańskiej pisarki Marthy Finley (1828–1909) o tematyce dydaktyczno–chrześcijańskiej, wydanych w latach 1867–1905 i wznawianych do dziś.

60 *Eric, or Little by Little* (1858) – umoralniająca opowieść o

niegrzecznym chłopcu pióra Frederica W. Farrara (1831–1903), duchownego anglikańskiego, egzegety, nauczyciela, a także autora popularnych powieści historycznych i dla dzieci.

61 *Po prostu Katy* (*What Katy Did*, 1872, inny tytuł *Co Kasia robiła*) – powieść pióra dziewiętnastowiecznej pisarki amerykańskiej Susan Coolidge (właśc. Sarah Chauncey Woolsey, 1845–1905), która tworzyła powieści dla dziewcząt. Po polsku wydano także drugi tom tego cyklu, *Co Kasia robiła w szkole* (*What Katy Did at School*, 1873).

62 *Space Hostages* (1967) – przygodowa powieść SF Brytyjczyka Nicholasa Fiska (ur. 1923), poczytnego autora ponad 50 książek, który pisał głównie dla dzieci i specjalizował się w tematyce fantastycznonaukowej.

63 *Oliver's Army* – przebój Elvisa Costello & The Attractions z trzeciego LP pt. *Armed Forces* (1979). Zarówno album, jak i singiel z *Oliver's Army* dotarły do drugiego miejsca brytyjskiej listy przebojów.

64 **Lensmen** – saga Edwarda Elmera Smitha o wojnach kosmicznych między dwoma supercywilizacjami; ten odwieczny konflikt miał istotny wpływ na rozwój ziemskiej cywilizacji (m.in. na ukształtowanie się idei religijnych), która po osiągnięciu odpowiedniego poziomu rozwoju opowiedziała się po stronie tych „dobrych”, czyli Arizjan, przeciwko „złym”, czyli Eddorianom. Cykl liczy 6 tomów (1948–1954, w pierwotnej wersji był publikowany na łamach „Amazing” i „Astounding” od 1934 roku). Lensmeni to mężczyźni i kobiety nowych ziemskich ludzkich ras, wchodzący w skład Galaktycznego Patrolu. Nadzwyczajne mentalne i parapsychiczne zdolności uzyskują dzięki wszczepowi aryzyjskiej tzw. Soczewki (sztucznej formy życia). Koncepcje zawarte w tym cyklu miały istotny wpływ na powstanie **Wielobarwnego Kraju** Julian May i serialu TV *Star Gate*.

65 Vimto – napój na bazie soku z winogron, truskawek i czarnej porzeczki, doprawiony ziołami i korzeniami.

66 *Pavane* (1968) – ambitnie zakrojona powieść Keitha Robertsa, opisująca zacofaną technologicznie feudalną Anglię pod rządami Wojującego Kościoła Katolickiego. W tym alternatywnym świecie mamy do czynienia z elementami tradycyjnie należącymi do gatunku



fantasy, takich jak „wróżki”.

67 *Times Without Number* (1962) – epizodyczna powieść Johna Brunnera, w której strażnikowi czasu nie udaje się zapobiec klęsce Wielkiej Armady w 1588 roku i w konsekwencji Wielka Brytania nie zostaje podbita przez Hiszpanów.

68 *Bring the Jubilee* (1953) – klasyczna powieść o historii alternatywnej (a zarazem o podróży w czasie), w której wybitny historyk z podupadłych Stanów Północnych (ponieważ Południe zwyciężyło w wojnie secesyjnej) wyrusza w przeszłość wehikułem czasu, żeby odmienić ten stan rzeczy i odmienia losy bitwy pod Gettysburgiem, doprowadzając do powstania naszej wersji dziejów.

69 *A Dream of Wessex* (1977) – powieść o eksperymencie naukowym; jego uczestnicy w snach zbliżają się do poznania przyszłości (albo alternatywnego świata), w której Wielka Brytania jest zdominowana przez Związek Sowiecki z wyjątkiem hrabstwa Wessex, które stało się wyspą.

70 Powieść *Lord Kulvan of Otherwhen* (1965) i opowiadania z tomu *Paratime* (1948–1955 *Astounding*; 1981) II. Beama Pipera (znanego w Polsce z trylogii o Kudłaczach) składają się na znany i ceniony cykl **Paratime Police** i są stosunkowo wczesnym w SF przykładem rozpracowania idei związanych ze światami alternatywnymi i strażnikami czasu. Mamy tu do czynienia z policją, która chroni mieszkańców miliona niczego niepodważających alternatywnych Ziemi przed inwazją bardziej zaawansowanych sąsiadów z paralelnych kontynentów.

71 Randall Garrett (1927–1987) – amerykański pisarz SF, szczególnie ceniony jako twórca dużej ilości opowiadań, przewrotnych, zabarwionych ironią i humorem. Jego najlepszy okres przypadł na lata 50. i 60. ubiegłego wieku. Jego najsłynniejsze dzieło to **Lord Darcy**, cykl opowieści kryminalnych z alternatywnego świata, w którym działa magia.

72 Lord Dunsany (1878–1957), Irlandczyk, autor klasycznej powieści *Córka króla elfów* (*The King of Elfland's Daughter*, 1924), stworzył legendarny cykl (1931–1954, 2002, 6 tomów), poświęcony nieprawdopodobnym i dowcipnym opowieściom pana Jorkensa, stałego

bywalca Klubu Bilardowego, dotyczący zarówno jego własnych przeżyć, jak i tych, które stały się udziałem innych klubowiczów. Opowiadania tzw. klubowe charakteryzuje duży stopień nieprawdopodobieństwa opisywanych zdarzeń, ale przede wszystkim to, że są one przekazywane niejako z drugiej ręki, że ich narrator zwykle nie jest ich „przekaznikiem”, a jeśli nawet, to sposób, w jaki opowiada te historie, może sugerować, iż niekoniecznie zdarzyły się „naprawdę”. Od talentu i dowcipu autora zależy skuteczność żonglowania zasadniczymi elementami konstrukcyjnymi *club story*.

73 *Inverted World* (1974) – jedna z najważniejszych powojennych brytyjskich powieści SF, rzecz o odkrywaniu prawdziwej natury świata, który Ziemię przypomina tylko z nazwy. Bohaterowie żyją w Mieście Ziemia zamkniętym w kieszonkowym wszechświecie, który porusza się na szynach po powierzchni gigantycznej hiperboloidy.

74 *Raz w północnej...* – przekład Zenona Przesmyckiego „Miriamy”.